

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jonathan Swift

Podróże Gulliwera

Przekład Anonima z 1784 r.

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WYDAWCA DO CZYTELNIKA

Autor tych podróży, Lemuel Gulliwer, jest moim dawnym i poufałym przyjacielem, a nawet po matce jesteśmy ze sobą w pokrewieństwie. Będzie temu około lat trzech, jak pan Gulliwer, znudzony ciągłym gromadzeniem się ciekawych w jego domu w Redriff, kupił sobie małą majątność z gruntem i wygodnym domem pod Newark, w hrabstwie Nottingham, swej ojczyznej prowincji, i teraz żyje tam, wprawdzie na ustroniu, ale szanowany przez sąsiadów.

Chociaż pan Gulliwer urodził się w hrabstwie Nottingham, gdzie ojciec jego mieszkał, słyszałem jednakże, że rodzina jego pochodzi z hrabstwa Oxford, i sam znalazłem na cmentarzu w Banbury, do tej prowincji należącym, wiele nagrobków Gulliwerów.

Jeszcze przed oddaleniem się z Redriff pan Gulliwer wręczył mi pisma tu drukowane i upoważnił do rozporządzenia nimi według upodobania. Przeczytałem je z największą starannością trzykrotnie. Styl w nich jest jasny, prosty i jedną tylko mają wadę, a mianowicie, że autor zwyczajem podróżnych za obszernie opisuje pomniejszych szczegóły; przez całe jednak dzieło powiewa duch prawdy i autor taką się istotnie odznacza prawdomównością, że w okolicach Redriff, jeżeli kto chce kogo o czymś zapewnić, zwykle mówi: „Jest to tak prawdziwe, jakby sam pan Gulliwer powiedział”.

Po zasięgnięciu rady wielu godziwych osób, którym za pozwoleniem autora papiery te pokazałem, odważam się dzisiaj ukazać je światu w nadziei, że przynajmniej na niejaki czas będą przyjemniejszą rozrywką dla naszej szlachetnej młodzieży niż pospolite ramoty o polityce i stronniectwach.

Ten tom byłby zapewne jeszcze raz tak obszerny, gdybym sobie nie był pozwolił na opuszczenie wielu miejsc opisujących wiatr, przypływ i upływ morza, meteorologiczne postrzeżenia i ruchy okrętowe w czasie burzy, a wszystko to w stylu żeglarskim. Opuściłem także wszystkie podania długości i szerokości geograficznej i obawiam się, że może pan Gulliwer niekontent będzie z tych wypuszczeń, lecz ja postanowiłem, ile tylko być może, dzieło to uczynić dla ogółu przystępnym. Jeżeli z nieświadomości mej w żeglarstwie błędy jakie popełniłem, sam tylko za to jestem odpowiedzialny; zresztą gdyby kto z podróżnych życzył sobie zobaczyć tekst oryginalny w całej obszerności, tak jak z rąk autora wyszedł, do zadośćuczynienia zawsze znajdzie mnie gotowym.

Co się tyczy bliższych wiadomości o życiu autora, znajdzie je czytelnik na pierwszych kartach tej książki.

Richard Symphon

LIST KAPITANA GULLIWERA DO SWEGO KUZyna RICHARDA SYMPSONA

*Jeżeli się kiedy sposobność nadarzy, to mam nadzieję, że nie omieszkasz publicznie oświadczyć, iż tylko na Twoje usilne i ponawiane prośby zgodziłem się błędnie i niepoprawnie napisaną historią moich podróży drukiem ogłosić, przy czym zobowiązałem Cię wezwać na pomoc kilku młodych akademików z któregoś z naszych uniwersytetów do uporządkowania materiałów i poprawy stylu, tak jak za moją radą uczynił mój kuzyn Dampier ze swoją książką pod tytułem *P o d r ó ż n a o k o ł o ś w i a t a*. Lecz jeżeli sobie dobrze przypominam, nie pozwoliłem Ci nic opuszczać, a jeszcze mniej dodawać. Zmuszony więc jestem nie przyznać się do tego wszystkiego, co nie jest moje, a szczególnie do ustępu o Najjaśniejszej Królowej Annie, najpobożniejszej i najchwalebniejszej pani. Lubo ją więcej szanowałem i uwielbiałem niż kogokolwiek z rodzaju ludzkiego, powinniście byli jednak rozważyć. Ty lub który z Twych współpracowników, co sobie pozwolił usunąć ten ustęp, naprzód: że nie jest moim zwyczajem pochlebiać, a potem, że nieprzyzwoicie było stworzenie tego co ja gatunku chwalić przed moim nauczycielem Houyhnhnmem. Co więcej, jest to zupełnym fałszem, bo ja przez pewną część panowania Jej Królewskiej Mości żyłem w Anglii i – o ile wiem – rządziła ta pani ciągle przez pierwszego ministra, z początku lorda Godolphina, a później lorda Oxfordu; tak umieściliście na mój karb fałsz oczywisty. A nawet w przedstawieniu Akademii Systematyków i w niektórych miejscach mojej mowy do mego pana Houyhnhnma powypuszczaliście główne zdarzenia alboście je tak poobcinali i poodmieniali, że mi z trudnością przychodziło poznać własne moje dzieło. Kiedy Ci czyniłem wyrzuty w którymś z moich listów, odpowiedziałeś mi, że lękasz się obrazić władze publiczną, która, wolności druku ciągle baczna, wszystko, cokolwiek pozór ma przymówki (sądzę, że tego wyrażenia użyłeś), gotowa nie tylko zganić, ale i karać. Ale proszę Cię, jak można to, co napisałem przed tylu laty i w oddaleniu pięciu tysięcy mil w innym królestwie, stosować do któregoś z Jahusów, którzy dziś, jak powiadają, rządzą naszą trzodą? Zwłaszcza że to wszystko pisałem w czasie, kiedym się nie mógł obawiać powrotu pod ich panowanie. Czyliż nie mam przyczyny dręczyć się widokiem tych samych Jahusów ciągnionych w powozach przez Houyhnhnmów, jak gdyby były to ostatnie bydłeta, a tamci rozumnymi stworzeniami? Prawdziwie dlatego tylko się usunąłem w moje zacisze, ażeby uniknąć tego szkaradnego widowiska.*

Oto, co uważałem za swój obowiązek, aby Ci powiedzieć, tak ze względu na Ciebie, jak i na ufność, jaką Cię darzyłem.

Nadto wyrzucam sobie słabość moją, iż na prośby i fałszywe powody, przez Ciebie i niektórych innych użyte, zezwoliłem na ogłoszenie moich podróży wbrew własnemu zdaniu. Przypomnij sobie, jak często Cię prosiłem, kiedy chcąc niechęć moją przezwyciężyć powoływałeś się na dobro powszechne; jak często, mówię, prosiłem Cię, byś rozważył, że Jahusy są zwierzętami zupełnie niezdolnymi do poprawy ani przez naukę, ani przez przykład. Wy-

padki potwierdziły tę opinię, gdyż zamiast aby książka moja przynajmniej na tej małej wyspie pomogła usunąć nadużycia i zepsucie, jak miałem niejaka nadzieję, widzisz, że po sześciu miesiącach od jej ogłoszenia żadnego nie przyniosła z tych skutków. Prosiłem Cię, abyś uwiadomił mnie listownie, kiedy stronnictwo i kliki znikną, sędziowie będą oświeceni i nie-przedajni; pieniacze poczcwi, umiarkowani i niezupełnie z rozumu obrani; kiedy równina Smithfield¹ zajaśnieje piramidami ksiąg prawnych; wychowanie młodzieży szlacheckiej - gruntownie odmienione; lekarze - wygnani; żony Jahusów - bogate w cnoty, honor, wierność, zdrowy rozsądek; dwory i poczekalnie ministrów - oczyszczone z plugastwa; mądrość, zasługa i nauki - wynagrodzone, a ci, co wierszem lub prozą druk hańbią - skazani, aby za jedyne pożywienie mieć swój papier, a za napój - atrament. Po Twoich zachęceniach rachowałem na te zmiany i na tysiąc innych, które jasno były wytknięte w moim dziele. I trzeba przyznać, że siedem miesięcy wystarczyłoby na poprawę tych wszystkich przywar i słabości, którym Jahusy są poddani, gdyby choć trochę mądrości i cnoty posiadali. Wbrew jednak moim oczekiwaniom każdy Twój posłaniec przynosił mi z listem paki „pism, rozważań, głosów i uwag nad drugą częścią”, w których mnie oskarżano, że spotwarzyłem urzędników stanu, poniżył rodzaj ludzki (mają bowiem bezczelność przywłaszczania sobie tego nazwiska) i płeć niewieścią zniesławił. Poznałem zaraz, że pisarze tych ramot nie są z sobą w zgodzie, jedni bowiem nie chcą przyznać, ażebym ja był autorem moich podróży, drudzy zaś wmawiają we mnie pisma zupełnie mi obce.

Muszę także napomknąć, że Twój drukarz pokładł fałszywe daty niektórych moich podróży i czasu mego powrotu i ani roku, ani miesiąca, ani dnia nie podał dokładnie. Dowiedziałem się przy tym, że rękopis mój po ogłoszeniu dzieła zniszczony został; a że nie mam żadnej kopii onego, przesyłam Ci przeto niektóre sprostowania, które umieścić możesz, gdyby kiedykolwiek drugie wydanie ukazać się miało; nie zaręczam jednak za nie i zostawiam rozsądnym i zacnym czytelnikom, aby poprawił, co trzeba.

Powiedziano mi, że nasi jahuscy żeglarze mowę moją żeglarską uznali w wielu miejscach za niewłaściwą i przestarzałą. Nic na to nie poradzę. W pierwszej mojej podróży, będąc jeszcze bardzo młodym, uczony byłem przez starych żeglarzy i tak się nauczyłem mówić, jak oni mówili. Później widziałem, że Jahusy na morzu tak są skłonni do przyjmowania nowych słów jak Jahusy na lądzie, którzy co rok prawie tak mowę swą odmieniają, że ile razy do mej ojczyzny wróciłem, zawsze znalazłem starą mowę tak zmienioną, iż ją zaledwie mogłem zrozumieć. Podobnie, gdy mnie kto ciekawy z Londynu odwiedzi, nigdy się nie możemy zrozumieć, bo do wyrażenia swych myśli zupełnie innych słów używamy.

Gdyby mnie krytycy Jahusów choć trochę interesowali, miałbym zupełną słuszość na wielu z nich się użalać, którzy na tyle byli bezczelni, żeby naprzód utrzymywać, że podróże moje są czystą bajką w mózgu moim wyległą, a potem nawet tak dalece zuchwałość swą posunęli, iż ośmielili się powiedzieć, że równie nie ma Houyhnhnmów i Jahusów, jak i mieszkańców Utopii.

Wyznaję jednak, że co się tyczy narodów Lilliputów, Brobdingnagu (tak powinno być napisane, a nie Brobdingnagu, jak to błędnie czytają) i Laputy, żaden z naszych Jahusów nie był na tyle śmiały, by je choćby w najmniejszą podać wątpliwość, jako też i wypadki, które o tych narodach przytoczyłem, tu bowiem prawda tak jest jasna, że przekonanie gwałtem za sobą pociąga.

Ale czyż powieść moja o Houyhnhnmach i Jahusach mniej jest prawdziwa? Czyliż i w tym kraju nie ujrzysz tysięcy tych ostatnich, którzy tylko szwargotaniem i tym, że nie chodzą nago, różnią się od swych zwierzęcych braci w kraju Houyhnhnmów? Pisałem dla ich poprawy,

¹ Autor robi złośliwą uwagę do targowiska Smithfield pod Londynem, znanego z oszukańczych transakcji bydłem (przyp. red.).

nie dla ich pochwał. Jednogłośnie pochwały całego ich rodu mniej by znaczyły u mnie niż rżenie dwóch wyrodków Houyhnhnmów w mej stajni trzymany, ponieważ mimo całego ich zwyrodnienia uczę się ciągle od nich jakiejś cnoty wolnej od domieszki zła.

Czyż śmieją mniemać te nędzne stworzenia, że się poniżę i bronić będę mej prawdomówności? Lubo i ja Jahu jestem, wiadomo jednak, że przez naukę i przykład mego znakomitego pana i nauczyciela w przeciągu dwóch lat (jak wyznać muszę, nie bez trudności) do tego doprowadziłem, że się pozbyłem tych piekielnych nałogów, które szczególnie w Europie w mym rodzaju są tak zakorzenione, to jest kłamania, chęłpienia się, oszukiwania i dwuznacznego przemawiania.

Mógłbym jeszcze więcej czynić żalów z tego powodu, lecz i Ciebie, i mnie nie chcę dłużej męczyć. Przyznaję, że od ostatniego mego powrotu, przez obcowanie z małą liczbą jednostek Twojego gatunku, a szczególnie z tymi z mej rodziny, z którymi związków unikać nie mogę, reszta tych złych zarodków mojej jahusowej natury znowu we mnie odżyła. Gdyby nie to, pewno bym tak niedorzecznego planu, jak chęć zreformowania rodzaju Jahusów w tym królestwie, nigdy nie był uczynił, lecz teraz odstępuję już na zawsze od tego urojenia.

2 kwietnia 1727

CZĘŚĆ PIERWSZA
Podróż do Lilliputu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gulliwer nadmienia w krótkości o swoim urodzeniu, rodzinie i pierwszych przyczynach podróży. Statek jego ulega rozbiciu i Gulliwer wpław dostaje się do Lilliputu, gdzie go zwiążują i w głąb kraju prowadzą.

Ojciec mój miał szczupły majątek, położony w hrabstwie Nottingham. Z pięciu jego synów ja byłem trzeci. W czternastym roku posłał mnie do Kolegium Emanuela w Cambridge, gdzie zostawałem przez lat trzy, czas mój pożytecznie trawiając; ale że na utrzymywanie mnie w szkołach wydatek był nazbyt wielki, gdyż sam miałem bardzo skąpą rentę, oddano mnie do pana Jakuba Batesa, sławnego w Londynie chirurga, u którego bawiłem lat cztery. Niewielkie kwoty, które mi czasem posyłał mój ojciec, obracałem na uczenie się żeglugi i umiejętności matematycznych, potrzebnych tym, którzy myślą żeglować, co jak przewidywałem, miało być moim przeznaczeniem. Porzuciwszy pana Batesa powróciłem do ojca, i tak od niego jako też od mego stryja Jana i od niektórych moich krewnych zebrałem czterdzieści funtów szterlingów, zapewniwszy sobie drugie trzydzieści funtów szterlingów co rok na utrzymanie moje w Lejdzie. Tam się dostawszy uczyłem się doktorstwa przez lat dwa i siedem miesięcy, będąc przekonany, że ta umiejętność bardzo mi się kiedyś przyda w moich podróżach.

Wkrótce po moim z Lejdy powrocie, za poręką mego zacnego nauczyciela, pana Batesa, otrzymałem urząd chirurga na statku „Jaskółka”, na którym, przez półczwarta roku zostając pod komendą kapitana Abrahama Panella, odprawiłem podróże na Wschód i do innych krajów, z których powróciwszy postanowiłem osiąść w Londynie.

Pan Bates zachęcał mnie do chwycenia się tego przedsięwzięcia i zdał mi niektórych swoich chorych. Nająłem mieszkanie w jednym małym domu, położonym w dzielnicy miasta zwanej Old-Jury, i niedługo potem ożeniłem się z panną Marią Burtonówną, drugą córką pana Edwarda Burtona, pończosznika z ulicy Newgate, która mi w posagu wniosła czterysta funtów szterlingów. Lecz gdy w dwa lata potem umarł mój nauczyciel, kochany pan Bates, zostałem prawie bez znajomych i dochody moje poczęły się znacznie zmniejszać, ponieważ sumienie moje nie pozwalało mi w leczeniu uciekać się do środków, których wielu moich kolegów używało. Naradziwszy się przeto z żoną i z niektórymi poufałymi przyjaciółmi, przedsięwziąłem jeszcze jedną morską podróż. Byłem chirurgiem na dwóch statkach, a odprawiając przez sześć lat niemało podróży do Indii Wschodnich i Zachodnich, mój szczupły majątek nieco powiększyłem. Czas mój wolny obracałem na czytanie najlepszych, tak dawnych, jako i teraźniejszych autorów, będąc zawsze pewną liczbą książek zaopatrzony, a gdy

się znajdowałem na łądzie, nie zaniedbywałem dowiadywać się o obyczajach narodu oraz uczyć się krajowego języka, co mi z łatwością przychodziło, bo miałem pamięć arcydobrą.

Gdy mi ostatnia podróż nie udała się szczęśliwie, zbrzydziłem sobie morze i umyśliłem z żoną i z dziećmi mieszkać w domu. Odmieniłem gospodę i przenieśliśmy się z Old-Jury na ulicę Fetter-Lane, a stamtąd na Wapping, w nadziei, że mieszkając między flisami znajdę stąd dla siebie jakąś korzyść, ale mi się to nie udało.

Po trzech latach oczekiwania i próżnej nadziei polepszenia mych interesów otrzymałem od kapitana Wilhelma Pricharda korzystne miejsce na jego statku „Antylopa”, odpływającym na morza południowe. Ruszyliśmy z Bristolu dnia czwartego maja 1699 roku. W początku żegluga nasza była arcyszczęśliwa.

Próżna rzecz nudzić czytelnika szczegółami przypadków, które się nam na tych morzach przytrafiły, dosyć jest powiedzieć, że płynąc do Indii Wschodnich wytrzymaliśmy wielką burzę, która nas zapędziła na północny zachód od Ziemi Van Diemena. Postrzegłem, żeśmy się znajdowali pod trzydziestym stopniem i dwiema minutami szerokości południowej. Dwunastu naszych żeglarzy umarło z nadmiernego wysiłku i lichego pożywienia, reszta znajdowała się w stanie zupełnego wyczerpania. Piątego listopada, kiedy lato zaczyna się w tamtym kraju, czas był pochmurny i żeglarze ujrzeni skałę wtedy dopiero, gdy już nie więcej jak na połowę długości liny była oddalona od statku. Wiatr był tak gwałtowny, że nas prosto na nią napędził i w jednej chwili statek nasz się rozbił. Sześciu z nas pośpieszyło do szalupy, usiłując oddalić się od skały i statku. Przez trzy prawie mile płynęliśmy robiąc wiosłami, aż na koniec, gdyśmy zupełnie z sił opadli, zdaliśmy się na łaskę fal i w przeciągu może pół godziny jeden szturm północnego wiatru nas wyrzucił.

Nie wiem, co się stało z towarzyszami moimi, którzy byli na szalupie, ani z tymi, co próbowali dostać się na skałę albo na statku zostali; mniemam, że wszyscy zginęli. Płynąłem na los szczęścia, będąc przez wiatr i morze pędzony naprzód. Nieraz opuszczałem nogi w dół, ale nie mogłem zgruntować. Na koniec, gdy już ustawał na siłach, dostałem dna, a jednocześnie nawałnica znacznie osłabła. Dno podnosiło się powoli, toteż szedłem morzem około pół mili, nim się do lądu dostałem; było to około godziny ósmej wieczór, według mojej rachuby. Uszedłszy jakby pół mili, nie postrzegłem ani domów, ani śladu mieszkańców, lub może byłem zbyt wyczerpany, aby je dostrzec. Zmęczenie, upał i pół kwarty wódki, którą wypilem opuszczając statek, pobudziły mnie do snu. Położywszy się na trawie, która była bardzo niska i miękka, usnąłem smaczniej niż kiedykolwiek w życiu i spałem przez dziewięć godzin podług mego rachunku. Dzień już był jasny, gdy się obudziłem; chciałem wstać, ale nie mogłem. Leżąc na wznak, spostrzegłem, że moje ręce i nogi były do ziemi przymocowane, tak samo i włosy, które miałem długie i gęste, czułem też cieniutkie sznurki, które mnie od piersi aż do nóg opasywały. Mogłem patrzeć tylko w górę, a słońce zaczęło dopiekać i wielka jego jasność raziła moje oczy.

Usłyszałem około siebie niewyraźny szmer, ale w położeniu, w jakim byłem, mogłem widzieć tylko słońce. Wtem poczułem, że się coś porusza po mojej lewej nodze i, lekko postępując po piersiach, zbliża aż ku brodzie. Jakie było moje zdziwienie, gdy ujrzałem osobkę malutką, ludzką, nie więcej jak sześć cali wysoką, z łukiem i strzałą w rękę i z kołczanem na ramieniu! Postrzegłem w tym samym czasie przynajmniej ze czterdziestu innych tego rodzaju.

Natychmiast zacząłem głosem przeraźliwym wrzeszczeć, tak że wszystkie te drobne stworzenia, przejęte bojaźnią, umknęły i niektóre z nich, jak dowiedziałem się potem, uciekając porywczo i skacząc ze mnie na ziemię, poniosły szwank na zdrowiu. Wkrótce jednak wrócili i ten, co miał odwagę tak się do mnie zbliżyć, że mógł całą moją twarz zobaczyć, podniósłszy z podziwienia ręce i oczy, piskliwym, ale wyraźnym głosem zawołał: *Hekinah degul!* Inni też te same słowa kilkakrotnie powtórzyli, ale ja wówczas nie rozumiałem ich znaczenia.

Położenie moje nie było najwygodniejsze, jak łatwo to czytelnik zrozumie. Na koniec dobywszy całych sił na uwolnienie się od więzów, potargałem szczęśliwie sznurki, czyli nici, i powyrywałem kołki, którymi moja prawa ręka była przymocowana do ziemi, ponieważ nieco ją podniósłszy, zobaczyłem, co mnie więziło i trzymało. Gwałtownie skręciwszy głowę, chociaż z niemałym bólem, nadciągnąłem nieco sznurków, którymi włosy moje z lewej strony były przywiązane, tak że mogłem cokolwiek ruszyć głową. Wtedy to ludzkie robactwo, przeraźliwie krzycząc, uciekać zaczęło, nim zdołałem którego z nich schwytać. Gdy krzyk ustał, usłyszałem, że jeden z nich zawołał: *Tolgo Phonac*, i wnet uczułem, że więcej niż sto strzał, kłujących jak szpilki, przeszło mi lewą rękę. Potem wystrzelili drugi raz w powietrze, tak jak my w Europie puszczamy bomby; wiele strzał, krzywo się spuściwszy, musiało spaść na mnie, chociażem ich nie czuł, inne zaś padały mi na twarz, którą natychmiast zasłoniłem moją lewą ręką. Gdy ten grad strzał przeminął, zacząłem stękać z bólu i żalu, potem spróbowałem raz jeszcze uwolnić się z mych więzów, ale zaczęto jeszcze rześciej strzelać niż pierwej i niektórzy chcieli mnie swymi kopiami przeszyć: na szczęście miałem na sobie kaftan bawoli, którego nie mogli przebić. Zdało mi się przeto, że najlepiej będzie zostawać spokojnie w tym stanie aż do nocy, że wówczas, wywikławszy na dobre rękę lewą, potrafię zupełnie się uwolnić. Co do tych ludzi, słusznie sądziłem, że moje siły najpotężniejszemu ich wyrównają wojsku, które by na atakowanie mnie wystawić mogli, jeśliby tylko wszyscy byli tegoż wzrostu co ci, których do tego czasu widziałem. Ale los był mi przeznaczony inny.

Kiedy postrzegli, że się uspokoił, przestali do mnie strzelać, ale z wzmacniającym się gwaru poznałem, że liczba ich znacznie urosła. Słyszałem także w odległości może dwóch sążni ode mnie, na wprost mego prawego ucha, więcej niż przez godzinę, szelest ludzi, jakby nad czymś pracujących. Na koniec obróciwszy nieco w tę stronę głowę, na ile mi sznurki i kołki pozwoliły, ujrzałem może na półtorej stopy wysokie rusztowanie, gdzie się mogło, wlaższy po drabinie, pomieścić czterech tych malutkich ludzi. Jeden z nich, co mi się zdawał być jakąś znaczną osobą, miał stamtąd do mnie długą mowę, z której i słowa nie rozumiałem. Nim zaczął mówić, po trzykroć zawołał: *Langro dehul san*. (Te słowa wraz z pierwszymi zostały mi później powtórzone i objaśnione). Natychmiast zbliżyło się z pięćdziesięciu tych ludzi i pourzynali sznurki, którymi głowa moja była przywiązana z lewej strony, tak że mogłem, obróciwszy ją na stronę prawą, obserwować postać i gesty mówiącego. Był to mąż w średnim wieku, postawniejszy od trzech innych, którzy mu towarzyszyli. Jeden z nich, paż, nie większy od mego palca, podtrzymywał ogon jego sukni, dwaj inni stali obok tego znacznego męża i trzymali go pod boki. Zdał mi się być dobrym mówcą i domyślałem się, że podług prawideł krasomówstwa wiele w mowie swojej mieszał wyrazów pełnych gróźb i obietnic, litości i grzeczności. Dałem odpowiedź w krótkich słowach tonem jak najbardziej uniżonym, podnosząc lewą rękę i oczy ku słońcu, jakby je na świadectwo biorąc, że umierał z głodu, nic nie jadłszy od dawnego czasu.

Jakoż tak mi się jeść chciało, iż nie mogłem się wstrzymać (może to było przeciw ustawom obyczajności) od okazania niecierpliwości, wkładając często palec w usta, ażeby dać do zrozumienia, że posiłku potrzebowałem. Hurgo (tak oni zwali, jak się potem dowiedziałem, wielkiego pana) dobrze mnie zrozumiał, zstąpił z wzniesienia i rozkazał do boków moich poprzystawiać drabiny, po których zaraz wlażło więcej niż stu ludzi z koszami pełnymi potraw, które z rozkazu cesarskiego na pierwszą wiadomość o moim przybyciu zgromadzili. Wiele było tam mięsiwa różnych zwierząt, których po smaku nie mogłem poznać, były tam łopatki i udźce niby skopowe, dobrze przyrządzone, ale mniejsze od skrzydełka skowronkowego. Półkałem na raz po dwie i po trzy, z trzema chlebami wielkości kuli muszkietowej. Wszystkiego mi dostarczali tak szybko, jak nadażyć mogli, wielkie z przyczyny mojej ogromności i niesłychanego żarłocstwa pokazując podziwienie. Gdy im dałem znak, że mi się chce pić, wnieśli ze sposobu mojego jedzenia, że mało napoju nie wystarczyłoby dla mnie, a że to naród dowcipny, podnieśli zrećźnie jedną z największych beczek wina i przytoczywszy

ją do ręki mojej, odszpuntowali. Wypiłem ją duszkiem, co nie było trudne, bo ledwie pół kwarty zawierała, a wino miało smak lekkiego burgunda, choć było smaczniejsze. Przyniesiono mi drugą beczkę, którą także wypilem, dając znaki, żeby mi jeszcze parę beczek dostawili, ale więcej nie było na pogotowiu.

Przypatrzwszy się tym wszystkim dziwom wydali okrzyki radości i zaczęli tańczyć na mojej piersi, powtarzając często: *Hekinah degul*. Potem dali mi przez znaki do zrozumienia, abym wypróżnione beczki rzucił na ziemię, pierwszej jednak ostrzegli stojących naokoło, wykrzykując głośno: *Borach mivola*, a gdy ujrzeli beczki w górę wyrzucone, znowu wydali wszyscy okrzyk: *Hekinah degul!*

Muszę się przyznać, iż miałem chęć trzydziestu lub czterdziestu z tych ichmościów, co się po moich piersiach przechadzali, na ziemię zrzucić, wspomnienie jednak na udręczenia, które już zniosłem, i na to, że jestem całkiem w ich mocy, tak podziało, że gestami uczyniłem im obietnicę, iż się spokojnie zachowam i siły mej przeciw nim nie użyję. Oprócz tego uważałem, że obowiązują mnie prawa gościnności wobec ludu, który mnie traktował z taką okazałością. Nie mogłem się jednak dosyć wydziwić odwadze tych człowieczków, którzy się wazyli po mnie chodzić, chociaż moja lewa ręka zupełnie była wolna, i nie drżeli ze strachu na widok tak ogromnego stworzenia, za jakie mnie poczytywać musieli.

Kiedy się przekonali, że już więcej jeść nie żądam, przyprowadzili do mnie osobę wyższej rangi, przyslaną od Jego Cesarskiej Mości. Jego Ekscelencja wstąpił na moją prawą nogę niżej kolana i postępował z tuzinem może swojej świty ku mej twarzy. Okazał mi list wierzitelny z pieczęcią cesarską i trzymając go tuż przed moimi oczami, mówił może z dziesięć minut spokojnie, lecz z wyrazem i determinacją, często pokazując w stronę, w której, jak wkrótce zmiarkowałem, leżała stolica państwa, może o pół mili oddalona, tam bowiem Jego Cesarska Mość postanowił mnie przetransportować. Odpowiedziałem w kilku słowach, których nie zrozumiano, musiałem przeto znowu udać się do znaku, kładąc wolną rękę na prawą, lecz ponad głowę Jego Ekscelencji z obawy uszkodzenia jego lub kogoś z jego świty, a potem na głowę i piersi. To miało znaczyć, że sobie życzę być wolny. Jego Ekscelencja zrozumiał mnie zupełnie, lecz trząśł głowę z nieukontentowaniem i dał mi do zrozumienia, że tak jak jestem, mam być transportowany, dając jednak poznać innymi znakami, że mi będą dostarczać, czego tylko będę potrzebował. Począłem więc znowu próbować potargać moje więzy, lecz natychmiast poczułem klucie ich strzał po twarzy i rękach, które już i tak bąblami były okryte; czułem również, że niektóre z tych strzał utkwiły w moim ciele, a liczba nieprzyjaciół coraz się zwiększała. Zmuszony byłem dać im znak, że mogą ze mną robić, co im się podoba. Wtenczas Hurgo ze swoją świtą oddalił się z wielką grzecznością i oznakami wielkiego ukontentowania.

Wkrótce potem usłyszałem powszechny odgłos z częstym powtarzaniem tych słów: *Peplom selan*, i postrzegłem wiele ludu popuszczającego sznurki z lewej strony do tego stopnia, że mógł na prawą stronę obrócić i wypuścić urynę, w czym sprawiłem się z wielkim podziwieniem ludu, który domyślając się, co miałem czynić, czym prędzej w prawą i w lewą stronę uskoczył dla uniknięcia potopu.

Nieco wprzód namaszczone mi twarz i ręce jakimś przyjemnego zapachu balsamem, który w krótkim czasie pokłucia zadane od strzał uleczył. Tak podjadłszy i nie czując więcej bólu, zacząłem się mieć do snu i prawie przez osiem godzin, jak mnie potem zapewniano, nie przebudzając się spałem, ponieważ doktorowie z rozkazu cesarskiego sfałszowali wino i domieszały do niego środek nasenny.

Pokazuje się, że jak tylko mnie śpiącego na brzegu znaleziono, natychmiast Cesarz został o tym zawiadomiony przez kurierów i na Radzie Stanu postanowiono, ażeby (w sposób przeze mnie opisany) zwięzać mnie i aresztować, co się w czasie snu mojego stało; także jadła i napoju miano mi dostatecznie dostarczyć i machina na przewiezienie mnie do stolicy miała być natychmiast sporządzona. Takowy zamysł może się zdawać zbyt śmiały i niebezpieczny, i

pewny jestem, że w podobnym wypadku nie naśladowałby go żaden monarcha europejski. Według mego zdania jednak było to przedsięwzięcie równie rozsądne, jak i wspaniałe, w przypadku bowiem, gdyby ten naród kusił się zabić mnie we śnie swymi włóczniami i strzałami, zapewne obudziłbym się za pierwszym uczuciem boleści, a wpadłszy w złość i ostatnich sił dobywszy, mógłbym potargać resztę więzów. Potem, jako ten naród cały oprzeć mi się nie był zdolny, wszystkich bym wydeptał i wydusił.

Lud ten odznaczał się szczególnie w matematyce i mechanice, umiejętnościami wielce szacowanych i protegowanych przez Cesarza, znakomitego patrona nauk. Monarcha ten posiada liczne maszyny na kółkach do przewożenia drzewa i innych ciężarów. Często największe okręty wojenne, z których niektóre mają dziewięć stóp długości, budowane są w lasach, gdzie rośnie drzewo do ich budowy, i stamtąd przewożone do morza, które znajduje się w odległości trzystu lub czterystu łokci.

Pięciuset cieśli i stelmachów zaczęło pracować nad zrobieniem maszyny największej, jaką do tej pory zbudowali. Był to wóz wysoki na trzy cale, długi na siedem stóp, a na cztery szeroki, o dwudziestu dwóch kołach. Radość była powszechna, gdy wóz, który, zdaje się, ruszył w cztery godziny po moim lądowaniu, przyprowadzono na miejsce, gdzie byłem, i równolegle do mnie ustawiono, ale największa trudność była, jak mnie podnieść i na nim położyć. W tym celu wkopano około mnie osiemdziesiąt słupów na stopę wysokich, z bardzo wielu hakami, i obwiązawszy mi wokół szyję, ręce, nogi i całe moje ciało mocnymi sznurkami (nie grubszymi co prawda od naszego szpagatu), przewleczono je przez kółka na słupach. Dziewięciuset najsilniejszych ludzi użyto do ciągnięcia tych sznurków po kółkach do haków poprzywiązywanych, i tym sposobem może w trzy godziny byłem podniesiony, na maszynie złożony i przywiązany. Wszystko mi to potem powiedziano, ponieważ podczas tej roboty twardo spałem, wypiwszy dużo zaprawionego wina. Pięćset koni ze stajni cesarskiej, największych, bo każdy miał wzrostu około półpięta cala, założono do wozu i zawieziono mnie do stołecznego miasta, odległego o pół mili.

Już może cztery godziny upłynęło w tej podróży, gdy nagle bardzo śmiesznym przypadkiem obudziłem się. Furmani dla naprawienia czegoś zatrzymali się, a wtem dwóch czy trzech tego kraju mieszkańców, ciekawością zdjętych i chcąc mi się we śnie przypatrzeć, weszło na wóz, potem na mnie i na palcach zbliżyło się aż do mojej twarzy. Jeden z nich, kapitan gwardii, włożył mi ostrą pikę w lewe nozdrze, co mnie tak w nosie załechtało, że się obudziłem i trzy razy kichnąłem. Po czym panowie ci uciekli spiesźnie i dopiero we trzy tygodnie później dowiedziałem się o przyczynie mego obudzenia. Ujechaliśmy dosyć dnia tego i stanęliśmy na noc pod strażą pięciuset gwardii z każdej strony wozu, połowa z pochodniami, a połowa z łukami i strzałami założonymi na cięciwie na wypadek, gdybym się zaczął zbytnio poruszać. Nazajutrz o wschodzie słońca dalej kończyliśmy naszą podróż, a około południa stanęliśmy o sto prętów od bram miasta. Na widzenie mnie wyszedł Cesarz z całym dworem swoim, ale wielcy urzędnicy nie chcieli zezwolić, ażeby Jego Cesarska Mość, wstępując na mnie, miał osobę swoją na niebezpieczeństwo narazić.

Niedaleko miejsca, gdzie się wóz zatrzymał, stał starożytny kościół, uznany w całym państwie za największy budynek. Ponieważ przed kilku laty popełniono w nim ohydne zabójstwo, przeto podług wiary tego narodu miano go za sprofanowany i po usunięciu wszelkich religijnych sprzętów obracano na różne cele. Uchwalono, żeby mnie w nim osadzić. Wielka jego brama od strony północnej była wysoka prawie na cztery stopy, a na dwie szeroka, tak że mogłem do niej z łatwością wpełznąć. Po jednej i po drugiej stronie bramy były okna wzniesione na sześć cali od ziemi. Do okna ze strony lewej ślusarze cesarscy przykuli dziewięćdziesiąt jeden łańcuszków tej samej wielkości i podobnych do tych, jakie europejskie damy przy zegarkach noszą, i drugi koniec tychże łańcuszków przymocowali mi do lewej nogi na trzydzieści sześć kłódek. Naprzeciw kościoła, po drugiej stronie gościńca, w odległości może dwudziestu stóp, stała wieża przynajmniej na pięć stóp wysoka; na nią to, jak mi opowiadano,

wstąpił Cesarz ze znaczniejszymi dworu swego panami, aby mi się wygodniej przypatrzeć. Obliczano, że więcej niż sto tysięcy mieszkańców wyszło z miasta, aby mnie obejrzeć. I mimo mej warty nie mniej niż dziesięć tysięcy ludu wlaźło na mnie różnymi czasy po drabinach. Lecz rychło została wydana proklamacja zabraniająca tego pod karą śmierci. Kiedy robotnicy uznali, że niemożliwe jest, abym się uwolnił, przecięli wszystkie sznurki, które mnie przytrzymywały; wtedy podniosłem się w usposobieniu tak ponurym, jak nie byłem nigdy w życiu. Trudno sobie wyobrazić wrzawę i zdumienie ludu, gdym powstał i począł się przechadzać. Łańcuszki przywiązane do mojej lewej nogi były na sześć stóp długie, a że były przy-mocowane blisko bramy, przeto mogłem nie tylko chodzić w półkołu, ale nawet wpełznąć do kościoła i wyciągnąć nogi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cesarz Lilliputu, liczny otoczony dworem, odwiedza Gulliwer w więzieniu. Opisanie osoby i odzienia Jego Cesarskiej Mości. Ludzie uczeni przydani są autorowi dla uczenia go języka. Zyskuje względy przez swoją łagodność. Rewizja jego kieszeni i odebranie szpady i pistoletu.

Stanąwszy na nogi obejrzałem się naokoło i wyznać muszę, że jeszcze nigdy nie miał tak pięknego widoku. Cała okolica miała wygląd ogrodu, a pola, które zajmowały przeważnie po czterdzieści stóp kwadratowych, wyglądały jak grządki kwiatów. Niektóre z tych pól przepłatane były lasami; największe z drzew zdawały się mieć około siedmiu stóp wysokości. Z lewej strony spostrzegłem stolicę państwa, wielkie mającą podobieństwo do miasta malowanego na dekoracjach teatralnych.

Już od kilku godzin nagliła mnie bardzo natura, a nie było to dziwne, bo od dwóch dni nie mogłem jej zadośćuczynić. Stąd w nie najprzyjemniejszym znajdowałem się położeniu, między konieczną potrzebą a wstydem. Osądziłem więc za najlepszy środek pozbyć się tej konieczności w moim mieszkaniu i tak też uczyniłem. Zamknąłem bramę i postąpiwszy tak daleko, jak mi długość łańcuchów pozwalała, uwolniłem się z tej naturalnej potrzeby. Lecz żeby czytelnik nie miał złego wyobrażenia o mojej czystości, nadmienię muszę, że ten raz tylko w taki sposób się obszedłem, a kto raczy zważyć okoliczności położenia mego, ten mnie i uniewinni. Od tego czasu odbywałem podobne czynności zawsze rano, na wolnym powietrzu, i co rano także, nim jeszcze kto z publiczności nadszedł, dwóch ludzi, specjalnie do tego przeznaczonych, wywoziło te nieczystości na taczkach.

Nie rozwodziłbym się tak nad tą okolicznością, która na pierwsze wejrzenie może się nie wydawać tak ważką, gdybym nie uważał za konieczne obronić przed światem mej osoby od zarzutu nieczystości, który niektórzy oszczercy czynili mi przy tej sposobności i kiedy indziej. Kiedy załatwiłem tę czynność, wyszedłem z mego domu dla nabrania świeżego powietrza.

Cesarz już był zstąpił z wieży i zbliżał się konno do mnie, co mało go o nieszczęście nie przyprawiło. Koń bowiem na mnie spojrzawszy, lubo bardzo dobrze ujeżdżony, na widok tak nadzwyczajny, jakim ja byłem dla niego, bo mu się pewno wydawać musiało, że to góra jaka się porusza, spłoszył się. Ale ten pan, będąc dobrym jeźdźcem, trzymał się mocno w strzemionach, aż póki nie przyskoczyli dworscy i konia za cugle nie schwycili. Jego Cesarska Mość zsiadł z konia i przypatrywał mi się ze wszystkich stron z wielkim podziwieniem, miał jednak ostrożność zawsze stać dalej, niżeli łańcuchy moje dosięgnąć mogły. Potem rozkazał

swoim kucharzom i piwnicznym, którzy już stali w pogotowiu, aby mi jeść i pić podano. Pożywienie podsuwali mi na pewnego rodzaju wózkach tak blisko, że ich rękami dosięgnąć mogłem. Zaraz też je podniosłem i wkrótce wszystkie wypróżniłem. Dwadzieścia z nich naładowanych było mięsem, dziesięć trunkami. Każdy starczył na dwa lub trzy dobre kęsy, a trunki, które mieściły się w glinianych dzbanach, wlałem z dziesięciu naczyń do jednego z wozów i duszkiem go wypróżniłem. Tak też uczyniłem z dalszym pożywieniem.

Cesarzowa, książęta i księżniczki, w towarzystwie wielu dam, usiadły w krzesłach w pewnej odległości, lecz po wypadku Cesarza z koniem powstały i zbliżyły się do monarchy, którego chcę teraz bliżej opisać. Cesarz był wyższy o jakąś szerokość mego paznokcia od wszystkich dworzan, co już samo wystarczało, by go strasznym uczynić w oczach poddanych. Twarz miał pełną i męską, habsburską wargę, orli nos, kolor śniady, wyniosłą postawę, członki proporcjonalne, ruchy przyjemne i wspaniałe. Już nie był pierwszej młodości, miał bowiem lat dwadzieścia osiem i trzy kwartały, z czego siedem lat szczęśliwie i zwycięsko panował. Aby mu się wygodniej przypatrzeć, położyłem się na boku, tak żeby twarz moja była równo z twarzą jego, a on stał o półtora pręta ode mnie. Potem często go miewałem na ręce mojej, przeto w tym opisanu osoby jego nie mogę się mylić. Odzienie jego było jednostajne i proste, częściowo zrobione po azjatycku, częściowo na wzór europejski, ale na głowie miał lekki hełm złoty, ozdobiony klejnotami i wspaniałym piórem. W rękę trzymał szpadę dobytą dla obrony, jeślibym łańcuchy pokruszył. Ta szpada była blisko na trzy cale długa, rękojeść i pochwa złote, diamentami wysadzone. Głos jego był piskliwy, ale jasny i wyraźny; mogłem go, nawet stojąc, łatwo słyszeć. Damy i dworzanie byli pysznie postrojeni, tak że miejsce, w którym stali, przypominało piękną spódnice rozpostartą na ziemi, na której haftowane są figury srebrem i złotem. Jego Cesarska Mość czynił mi honor często mówiąc do mnie; jam mu odpowiadał, aleśmy jeden drugiego nic nie rozumieli. Obecni byli przy tym księża i prawnicy (jak z ich ubioru łatwo mogłem poznać), którzy mieli za zadanie do mnie przemawiać, lecz pomimo że we wszystkich znanych mi językach próbował z nimi rozmawiać, jak to górno- i dolno-holenderskim, łacińskim, francuskim, hiszpańskim, włoskim i *lingua franco*, usiłowania moje były jednak daremne.

Po dwóch godzinach dwóch odjechał, a przy mnie zostawiono straż mocną dla przeszkodzenia grubiaństwu, a może złości pospólstwa, które dla widzenia mnie z bliska tłumem się ciśnieło. Niektórzy, w gorącej wodzie kąpani, zaczęli strzelać do mnie z łuków, kiedym siedział na ziemi w drzwiach mego mieszkania, i o mało jedna strzała lewego oka mi nie wykłuła, ale pułkownik kazał sześciu najczelniejszych z tego hultajstwa schwycić i za najślusniejszą karę ich występku osądził, aby związanych i skrupowanych w ręce moje oddać. Rozkaz jego wykonało natychmiast paru żołnierzy, zagnawszy ich halabardami ku mnie. Wziąłem więc ich w rękę prawą i pięciu włożyłem do kieszeni, a co do szóstego udawałem, jakobym go chciał zjeść żywcem. Biedny człowieczek okropnie wydawał wrzaski, a pułkownik i inni oficerowie, osobliwie kiedy dobywałem scyzoryka, mocno się lękać zaczęli; ale wkrótce uspokoiłem ich bojaźń, ponieważ z łagodnością poprzerynawszy powrózki, którymi był związany, postawiłem go delikatnie na ziemi. Naturalnie, spiesznie uciekł. Tymże sposobem i z drugimi postąpiłem, wyciągając po jednym z kieszeni. Postrzegłem z ukontentowaniem, że lud i żołnierzy ujął ten mój postęp, o którym zaraz doniesiono dworowi w sposób dla mnie bardzo pożyteczny.

Ku wieczorowi wcisnąłem się znowu do mego domu i położyłem na ziemi; tak sypiałem prawie przez dwa tygodnie, aż póki mi na rozkaz cesarski nie sporządzono proporcjonalnego łóżka. Sześćset zwykłych pościeli zniesiono i w domu moim przerobiono. Sto pięćdziesiąt pozszywanych razem tworzyło rodzaj materaca o długości i szerokości dla mnie stosownej, a cztery takie warstwy nie były jeszcze dostateczne do wygodnego leżenia na twardej, z ciosanego kamienia, posadzce. W podobnej proporcji zaopatrzono mnie w poduszki, prześcieradła, kołdry, które mi wielką sprawiły przyjemność po tylu doznanych niewygodach.

Wieść o przybyciu człowieka dziwnie wielkiego, rozgłoszona po całym państwie, sprawiała mnóstwo ciekawych próżniaków tak dalece, że wsie stały prawie opuszczone i uprawa ziemi nie małą by szkodę poniosła, gdyby był temu Cesarz różnymi edyktami nie zapobiegał. Przykazał więc, ażeby ci wszyscy, którzy mnie już widzieli, niezwłocznie powracali do siebie i nigdy nie ważyli się do mieszkania mojego zbliżyć bez wyraźnego na to pozwolenia. Przez taki uniwersał urzędnicy sekretarzów stanu znaczne dla siebie zyskali sumy.

Tymczasem Cesarz często zwoływał spotkania dla naradzenia się, co ze mną czynić miało. Od jednego z moich przyjaciół na dworze, który znał wszystkie tajemnice stanu, dowiedziałem się potem, że dwór z mojej przyczyny w wielkich znajdował się trudnościach. Obawiano się, żebym nie potargał więzów i wolnym nie został. Mówiono, że na karmienie mnie tak wiele wychodziło żywności, iż mógłby stąd i głód nastąpić. Zdawało się niektórym, że najlepiej byłoby umorzyć mnie głodem albo zaprawionymi trucizną przeszyć strzałami, ale czyniono uwagi, że zaraza z trupa tak wielkiego mogłaby w mieście stołecznym i w całym państwie wywołać morowe powietrze. Gdy się tak naradzano, kilku oficerów przyszło do drzwi Wysokiej Izby, gdzie Rada Cesarska była zgromadzona, i dwaj z nich, których wprowadzono, donieśli o moim postępku względem sześciu złoczyńców, o których wyżej opowiedziałem, co tak przychylnie na umyśle Cesarza i całej jego Rady uczyniło wrażenie, że natychmiast cesarską wyznaczono komisję do wszystkich wsi o czterysta pięćdziesiąt pretów około miasta leżących, ażeby co dzień dostarczały sześć wołów, czterdzieści baranów i innej na mój wikt żywności, wraz z odpowiednią ilością chleba, wina i innych napojów. Co do zapłaty za tę żywność, Cesarz Jegomość wydał asygnację do skarbu swego. Monarcha ten czerpie większość dochodów ze swoich dóbr królewskich i tylko w ważnych okolicznościach nakłada podatki na swych poddanych, lecz ci za to swoim własnym kosztem na wojnę, prowadzoną przez monarchę, iść muszą. Wyznaczono sześćset osób na usługi moje, dano im stosowny żołd, ażeby mieli za co kupować sobie żywność, i z obu stron drzwi wygodne dla nich rozbito namioty. Kazano także, ażeby trzystu krawców robiło dla mnie suknie podług mody krajowej, żeby sześciu najuczeńszych ludzi w kraju usiłowało nauczyć mnie języka, na konie, żeby konie cesarskie i szlacheckie tudzież kompanie gwardii często przede mną odprawiały musztry dla przyzwyczajenia ich do osoby mojej. Wszystkie te rozkazy należycie były wykonane i w przeciągu trzech tygodni wielkie uczyniłem postępy w pojmowaniu języka lillipuckiego. Przez ten czas Cesarz zaszczycał mnie częstymi wizytami, a co większa, sam do uczenia mnie języka nauczycielom moim pomagał.

W najpierwszych słowach, których nauczyłem się, wyraziłem chęć pozyskania wolności. Co dzień, klęcząc, błagałem Cesarza, żeby mnie raczył z więzienia wypuścić. Odpowiadał mi, że trzeba jeszcze niejaki czas czekać, że nic bez zdania Rady nie może ustanowić i że pierwaj muszę *lumos kelmin pesso desmar lon emposo* – to jest: zaprzysiąc pokój z nim i z jego podwładnymi; tymczasem zaś ze wszelką uczciwością miano się ze mną obchodzić. Radził mi, żebym przez cierpliwość i dobre postępowanie u niego i u ludu jego szacunek dla siebie jednał. Przestrzegł, żebym mu nie poczytał za złe, jeśli niektórym oficerom każe mnie zrewidować, ponieważ podług wszelkiego podobieństwa mogłem mieć przy sobie wiele broni, zagrażającej bezpieczeństwu państwa. Odpowiedziałem, iż gotów jestem zdjąć z siebie przyrodziwek i wypróżnić kieszenie moje w przytomności jego. Oświadczenie to wyraziłem częściowo słowami, częściowo gestami. Rzekł mi na to, iż podług prawa krajowego muszę zezwolić, aby dwóch komisarzy mnie zrewidowało, że dobrze wie, iż to się nie może stać bez zezwolenia mego, ale ma tak dobre wyobrażenie o mojej wspaniałomyślności i poczciwości, iż bez bojaźni w ręce moje osoby tych komisarzy powierzy, a wszystko, cokolwiek by mi zabrano, zostanie mi powrócono wiernie, jeśli bym się z kraju oddalał, albo też zapłacone podług taksy, którą bym ja sam położył.

Gdy ci dwaj komisarze przyszli mnie rewidować, wziąłem ich na ręce, wsadziłem do kieszeni sukni, potem do wszystkich innych moich kieszeni, ominąwszy jednak kieszonki w

spodniach i inną ukrytą kieszeń, w których miałem niektóre drobiazgi mnie potrzebne, a dla nich nic nie znaczące. W jednej miałem srebrny zegarek, w drugiej sakiewkę z niewielką ilością złota. Urzędnicy cesarscy mieli przy sobie pióra, atrament i papier, spisali przeto dokładny inwentarz tego wszystkiego, co tylko widzieli, a gdy spis ten ukończyli, prosili mnie, bym ich spuścił na ziemię, aby się Jego Cesarskiej Mości z urzędu swego sprawili.

Później przetłumaczyłem na język angielski ten inwentarz słowo w słowo; brzmiał on, jak następuje:

Naprzód w kieszeni prawej sukni wielkiego Człowieka Góry (tak ja tłumaczę słowa *Quinbus Flestrin*), po zrewidowaniu pilnym, znaleźliśmy tylko jeden kawał płótna grubego, tak wielki, iż mógłby zakryć posadzkę w najpierwszym, paradnym pokoju Waszej Cesarskiej Mości. W kieszeni lewej znaleźliśmy jeden kufer srebrny z wiekiem z tegoż metalu, którego my, komisarze, nie mogliśmy podnieść. Prosimy wspomnianego Człowieka Górę, żeby go nam otworzył, i jeden z nas, wchodząc w ten kufer, wpadł w jakiś proch po kolana, od którego kichaliśmy obaj przez czas dłuższy. W kieszeni prawej, w kamizelce, znaleźliśmy pakę niezmierniej wielkości, pełną rzeczy białych, ciężkich, mocnym powrozem owiązanych, jedne na drugie poskładanych, grubości jakby trzech ludzi gdzie znajdują się wielkie znaki czarne; zdaje się nam, że to muszą być pisma, każda litera jest wielkości połowy naszych dłoni. W kieszeni lewej była jakaś wielka machina płaska, uzbrojona w dwadzieścia bardzo długich zębów, podobnych do palisady przed pałacem Jego Cesarskiej Mości. Wnosimy, że Człowiek Góra używa tej maszyny do czesania się, widząc jednakże, jak nam trudno porozumieć się, nie chcieliśmy nadaremnie trudzić go naszymi pytaniami. W wielkiej kieszeni, po prawej stronie, w «pokryciu środka» (tak ja tłumaczę słowo *ransulo*, przez które chciano wyrazić moje pludry) widzieliśmy kłodę żelazną, we środku okrągłą wydrążoną, długą na wysokość człowieka i osadzoną w wielkiej sztuce drzewa, grubszej niż ta kłoda żelazna. Przy jednym boku tejże kłody znajdowały się inne sztuki żelazne dziwnego kształtu; nie mogliśmy dociec, co by to było; W lewej kieszeni była druga podobna machina. W mniejszej kieszeni z prawej strony znajdowały się różne sztuki okrągłe, płaskie, z metalu czerwonego i białego, różnej wielkości; niektóre z tych sztuk białe, a jak nam się zdaje – srebrne, tak szerokie były i ciężkie, żeśmy ledwo obydwa, i to z wielką trudnością, mogli je podnieść. W lewej kieszonce znaleźliśmy dwa czarne słupy nieregularnego kształtu. Z wielką trudnością zdołaliśmy, stojąc na dnie kieszeni, osiągnąć górnej części tych słupów. Jeden z nich był przykryty i wydawał się być zrobiony z jednego kawałka, górna część drugiego była zrobiona z jakiejś białej substancji i dwa razy przewyższała wielkość naszych głów. Oba zawierały w sobie wielkie żelaza, które rozkazaliśmy nam pokazać, obawiając się, że mogą to być niebezpieczne maszyny; wyjął je z pochew i powiedział, że w jego kraju jest zwyczaj używania jednego z nich do golenia a drugiego do krajania mięsa. Zostawały dwie kieszenie do zrewidowania, te on nazwał kieszonkami skrytymi. Były to dwa otwory w górze jego «pokrycia środka», tak ścieśnione przez brzuch, który je przyciskał, że nie mogliśmy się do nich dostać. Z prawej kieszonki zwiisał wielki łańcuch srebrny, a przy końcu tego łańcucha, w kieszonce, była bardzo dziwna machina. Rozkazaliśmy mu, ażeby wyciągnął z kieszeni, co było przy łańcuchu. Zdaje się to być kulą płaską, której połowa była srebrna, a druga połowa z jakiegoś przezroczystego metalu. Ze strony przezroczystej widzieliśmy jakieś osobliwsze figury wyrysowane naokoło, rozumieliśmy, że się ich dotknąć możemy, ale palce nasze zatrzymały się na tym przezroczystym metalu. Gdy nam maszynę tę przytknął do uszów, taki wielki huk nieustannie czyniła jak młyn wodny. Wnieśliśmy, że to jest albo jakieś nieznanome zwierzę, albo też bóstwo, które on czci, i bardziej się skłaniamy do tego drugiego mniemania, ponieważ on nas zapewniał (jeśliśmy go dobrze zrozumieli, gdyż bardzo niedoskonale się tłumaczył), że rzadko czynił co bez porady tej maszyny. Nazywał ją swoją wyrocznią i mówił, że ona mu przepisuje czas na wszystkie sprawy życia. Ze skrytej kieszonki lewej wyciągnął sieć, prawie tak szeroką, że mogłaby zdać się dla rybaków, ale otwierała się i zamykała jak sakiewka, i w istocie służyła

mu za sakiewkę. Znaleźliśmy w niej wiele sztuk ciężkich z żółtego metalu; jeśli to jest prawdziwe złoto, zapewne wartość ich jest nieoszacowana.

Tak rozkazom Waszej Cesarskiej Mości czyniąc zadość, zrewidowawszy pilnie wszystkie jego kieszenie, postrzegliśmy na nim pas ze skóry jakiegoś zwierza niewypowiedzianie wielkiego, przy którym z lewej strony wisiała szpada długości pięciu ludzi, a z prawej strony torba na dwie przedzielona przegródki, mogące w sobie pomieścić po trzech poddanych Waszej Cesarskiej Mości. W jednej z tych przegródek były kule z dziwnego metalu, osobliwszej ciężkości, tak wielkie jak głowy nasze, do których udźwignięcia potrzeba silnej ręki. W drugiej przegródce było wiele jakiegoś czarnego piasku, ale ten był lekki i niezbyt wielki, gdyż mogliśmy więcej jak pięćdziesiąt ziaren na dłoni utrzymać.

Taki jest dokładny inwentarz tego wszystkiego, cokolwiek znaleźliśmy przy Człowieku Górze, który nas z ludzkością i względami na komisję Waszej Cesarskiej Mości przyjął. Podpisano i pieczęcią stwierdzono czwartego dnia, osiemdziesiątego dziewiątego księżyca najszczęśliwszego panowania Waszej Cesarskiej Mości. – Clefren Frelock. Marsi Frelock.

Gdy ten inwentarz w przytomności Cesarza przeczytano, rozkazał mi w grzecznych wyrazach, abym mu te wszystkie rzeczy oddał. Najprzód chciał mieć szpadę moją, którą mu wraz z pochwą złożyłem. Tymczasem kazał, żeby trzy tysiące doborowego żołnierza otoczyło mnie w koło, trzymając tuki i strzały w pogotowiu, czego nie spostrzegłem, mając wlepione oczy w Cesarza. Prosił mnie, ażebym dobył szpady, która chociaż od wody morskiej zardzewiała, dosyć jednak błyszczała. Dobyłem jej i natychmiast wojska przerażone krzyknęły, słońce bowiem świeciło jasno, a błysk oślepił ich oczy, kiedy machałem szpadą w różne strony. Cesarz, spokojniejszy niż mogłem przypuścić, kazał mi ją schować do pochwy i najlżej, jak tylko mogłem, rzucić o sześć stóp od łańcucha mego na ziemię. Druga rzecz, o którą mnie pytał, były to kłody żelazne wywiercone, przez które oni rozumieli moje krucice. Wyciągnąłem je i na prośbę monarchy tłumaczyłem ich użycie, a nabiwszy prochem tylko, który dzięki dobremu zamknięciu mojej torby uniknął szczęśliwie zamoknięcia w morzu (czemu wszyscy przezorni marynarze starają się zapobiec), przestrzegłem Jego Cesarską Mość, aby się nie zląkł, potem wystrzeliłem w powietrze. Zdziwienie, jakie nastąpiło, było większe niżeli na widok mej szpady. Wszyscy na ziemię popadali jakby piorunem uderzeni i sam Cesarz, choć był najodważniejszy, długo nie mógł przyjść do siebie. Oddałem mu obydwie krucice tymże sposobem jak i szpadę, także prochownicę z kulami i prochem, ostrzegając, ażeby worka z prochem nie przybliżano do ognia, bo zająłby się od najmniejszej iskry i cały pałac cesarski mógłby być w powietrze wysadzony. Oddałem mu także mój zegarek, który z wielką ciekawością oglądał i kazał, ażeby dwóch największych i najsilniejszych gwardzystów niosło go na ramionach, zawiesiwszy na wielkim drągu, jak piwowarscy parobcy noszą w Londynie beczki z piwem. Dziwił się nieustannemu trzaskowi zegarka i ruszania się wskazówki minutowej, której ruch łatwo mógł dojrzeć, bo wzrok tego narodu nierównie jest od naszego bystrzejszy i żywszy. Pytał mędrców swoich, co by o tej machinie rozumieli, ale, jak łatwo czytelnik wnosić może, bardzo się w swych zdaniach różnili, choć niezupełnie dobrze mogłem ich zrozumieć.

Potem oddałem moje pieniądze miedziane i srebrne, oddałem worek z dziewięciu wielkimi sztukami złota i kilku mniejszymi, scyzoryk, brzytwę, grzebień, tabakierkę srebrną, chustkę i dziennik. Szpada moja, krucice i woreczek z prochem i ołowiem były przewiezione do arsenału cesarskiego, a resztę rzeczy przy mnie zostawiono.

Miałem, jak już wspomniałem, jedną osobną kieszeń, której nie rewidowano. Były w niej okulary (których czasem używałem, mając wzrok słaby), teleskop kieszonkowy i inne drobiazgi, które Cesarzowi na nic nie mogły się przydać, i dla tej przyczyny nie wspomniałem o nich komisarzom, obawiając się, aby mi ich nie popsuto albo nie zatracono.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gulliwer bawi Cesarza i państwo obojej płci osobliwszym sposobem. Opisanie zabaw dworu lillipuckiego. Gulliwer pod pewnymi warunkami z więzienia wypuszczony.

Moje dobre zachowanie i powolność zjednały mi przychylność Cesarza i dworu jako też wojska i pospólstwa; począłem więc mieć nadzieję, że wkrótce wolność otrzymam, i czyniłem wszystko, co mogłem, aby utrzymać ich w życzliwym dla mnie usposobieniu. Powoli bojaźń krajowców zmniejszała się: czasem kładłem się na ziemi i pozwalałem pięciu lub sześciu z nich tańczyć na mojej dłoni; wreszcie chłopcy i dziewczęta odważyli się bawić w chowanego w mych włosach. Uczyniłem też znaczne postępy w rozumieniu ich języka.

Jednego dnia Cesarz chciał dla rozrywki mojej dać widowisko, w czym naród ten wszystkie, które mi się widzieć zdarzyło, tak zręčnością jak i wspaniałością przechodzi. Nic jednak tak mnie nie ubawiło jak taniec na linie, który odbywał się na cienkiej nici białej, rozciągniętej na dwie stopy i dwanaście cali ponad ziemią. Czytelnik wybaczy mi, że zabawę tę cokolwiek obszerniej opiszę. Ćwiczą się w tej sztuce osoby ubiegające się o najwyższe urzędy i o łaskę monarchy, dlatego też od dzieciństwa wprawiają się w nią, choć nie zawsze mogą się poszczycić szlachetnym urodzeniem lub wielką edukacją. Gdy jaki wielki urząd bądź przez śmierć, bądź przez popadnięcie w niełaskę (co się często zdarza) wakuje, pięciu lub sześciu kandydatów podaje Cesarzowi memoriały, ażeby mieli pozwolenie bawienia Jego Cesarskiej Mości i dworu skakaniem po linie. Kto skacze najwyżej bez upadnięcia, ten otrzymuje urząd. Zdarza się często, że wielkim dostojnikom i ministrom każą na sznurze tańczyć dla pokazania swej zdatności i przekonania Cesarza, że nie stracili swego talentu. Flimnap, wielki podskarbi, ma zaszczyt, że może na sznurze wyskoczyć przynajmniej na cal wyżej niżeli którykolwiek z panów w całym cesarstwie. Widziałem go nieraz, jak wyczyniał koziółki na deszczulce drewnianej, przywiązanej na sznurze nie grubszym od sznurka do pakowania w Anglii. Przyjaciel mój, Reldresal, pierwszy sekretarz Rady Przybocznej, jeżeli mnie wzrok jemu przychylny nie myli, jest pierwszy w tych sztukach po podskarbie. Inni znaczniejsi urzędnicy są sobie prawie równi co do talentu.

Bywają te rozrywki częstokroć przyczyną smutnych przypadków, których znaczna liczba zapisana jest w archiwach cesarskich. Sam widziałem, jak dwóch albo trzech kandydatów połamało sobie nogi. Ale daleko większe jest niebezpieczeństwo, kiedy sami ministrowie otrzymują rozkaz popisania się swoją zręčnością, ponieważ niewyczerpanie się mocując dla przezwyciężenia siebie samych i przewyższenia innych, każdy prawie choć raz upada, wyrządzając sobie szkodę, a niektórzy po dwa i trzy razy. Powiadano mi, że rok przed moim przy-

byciem Flimnap byłby bez wątpienia kark skręcił, gdyby jedna z poduszek cesarskich, przypadkiem na ziemi leżąca, nie osłabiła siły upadku.

Drugi rodzaj rozrywki odbywa się tylko wobec Cesarza, Cesarzowej i pierwszego ministra, i to w specjalnych wypadkach. Cesarz kładzie na stole trzy tasiemki jedwabne, rozciągnięte, na sześć cali długie, jedna niebieska, druga czerwona, a trzecia zielona. Te tasiemki są nagrodą dla tych, którym Cesarz chce okazać szczególniejszy znak łaski swojej. Obrządek odbywa się w wielkiej audiencyjnej izbie cesarskiej, gdzie konkurenci obowiązani są takie dać dowody swej sprawności, jakim podobnych nie widziałem w żadnym kraju dawnego i nowego świata. Cesarz trzyma kij tak, że obydwie końce w równej są od ziemi odległości, a tymczasem konkurenci jeden za drugim przez ten kij skaczą lub pod nim pełzają, w tył i w przód, zależnie od tego, czy kij jest podniesiony, czy ugięty ku dołowi. Bywa, że Cesarz trzyma kij za jeden koniec, a pierwszy jego minister za drugi; czasem też podtrzymuje go tylko minister. Ten, co się popisie najlepiej i najdłużej wytrzyma w skakaniu i pełzaniu, odbiera w nagrodę tasiemkę niebieską, czerwoną dają drugiemu w wytrzymałości, a zieloną trzeciemu. Noszą te tasiemki przepasane wokół swych bioder i mało ujrzyysz na tym dworze osób z wyższego stanu, które by pasem takim nie były ozdobione.

Konie wojskowe i ze stajni cesarskiej codziennie ujeżdżano przede mną i wkrótce tak do mnie przywykły, że bez obawy aż do nóg moich przychodziły. Jeźdźcy skakali często przez moją rękę, gdy ją na ziemi położyłem, a jeden ze strzelców cesarskich przeskoczył mi przez nogę obutą w trzewik. Był to skok istotnie nadzwyczajny. Pewnego dnia miałem szczęście bawić Cesarza w sposób iście niezwykły. Prosiłem, ażeby rozkazał dostawić mi kilka kijów, długich na dwie stopy, a grubych jak trzcina zwyczajna. Jego Cesarska Mość wydał natychmiast rozkazy dozorcóm lasów i nazajutrz przybyło sześciu leśniczych i tyleż ośmiokonných wozów. Wziąłem dziewięć kijów i powtykałem je w ziemię, w kwadrat obszerny na dwie i pół stopy, cztery inne kije przywiązałem na tych poziomo, potem rozłożyłem chustkę od nosa na tych dziewięciu kijach i wyprężyłem ją mocno, tak że jak skóra na bębnie wyglądała. Cztery kije, które poziomo leżały i nad chustką może na cztery cale występowały, formowały barierkę. Kiedy skończyłem moje dzieło, prosiłem Cesarza, aby kazał dwudziestu czterem najlepszym ze swoich kawalerzystów manewrować po tej płaszczyźnie. Myśl ta podobała się Cesarzowi, wydał stosowne rozkazy i wkrótce własną ręką powsadzałem uzbrojonych jeźdźców z końmi i z dowodzącymi oficerami. Jak tylko uformowali się w szeregi, rozdzielili się na dwie partie i rozpoczęli strzelać tępyimi strzałami, nacierać i ustępować, słowem – udaną prowadzili wojnę, okazując we wszystkim nadzwyczajną karność wojskową. Poziome kije chroniły ich od upadku. Ta zabawa nadzwyczaj spodobała się Cesarzowi i potem kilka razy musiałem ją powtarzać; raz nawet na tyle był łaskaw, że kazał mi się podnieść i sam ewolucjami komenderował. Z wielką trudnością namówił potem Cesarzową, że pozwoliła, bym ją w lektyce o parę łokci od tego terenu trzymał, aby mogła widzieć dokładnie wszystkie te manewry. Szczęściem żaden przypadek nie przerwał zabawy Jego Cesarskiej Mości, raz tylko wierzgnął koń pod jednym kapitanem, rozdarł chustkę i utknąwszy w rozdarciu nogą padł razem z jeźdźcem; zaraz ich podniosłem, zasłoniłem ręką dziurę, i całe wojsko, jakem wstał, tak i na powrót zsadziłem. Koń, który padł, wywichnął sobie lewą tylną nogę, jeździec jednak nie doznał żadnego szwanku. Naprawiłem chustkę, jak mogłem, lecz trwałości jej nie śmiałem już więcej na próbę wystawiać.

Na dwa lub trzy dni przed odzyskaniem wolności, kiedy zabawiałem dwór tego rodzaju rozrywką, przybył goniec, aby powiadomić Jego Cesarską Mość, że paru z jego poddanych, przejeżdżając blisko miejsca, skąd zostałem zabrany, znalazło na ziemi wielką czarną substancję o osobliwym kształcie, rozciągającą się tak szeroko jak cesarska sypialnia, a u szczytu wysoką na wzrost mężczyzny. Że to przedmiot martwy, poznali od razu, bo leżał na trawie bez ruchu. Niektórzy z nich przechadzali się po nim wiele razy i wchodząc jedni drugim na ramiona dostali się aż na sam szczyt, który był płaski i równy. Spostrzegli wtedy, że rzecz ta

jest w środku pusta. Sądzą pokornie, że należy ona do Człowieka Góry, i na rozkaz Jego Cesarskiej Mości gotowi są rzecz tę przewieźć za pomocą pięciu koni. Pojąłem teraz, o czym mówili, i bardzo byłem kontent z tej nowiny.

Kiedy po rozbiciu statku dotarłem do brzegu, byłem w takim pomieszeniu, że nim doszedłem do miejsca, gdzie usnąłem, spadł mi kapelusz, choć sznurkiem był przymocowany do głowy. Sznur musiał się przerwać, czego nie postrzegłem, i sądziłem, że kapelusz zgubił w morzu. Prosiłem Jego Cesarską Mość, by kazał mi go jak najrychlej dostarczyć. Opisałem mu również jego użytek i kształt. Nazajutrz furgony przyciągnęły kapelusz, który wielce ucierpiał na tej podróży. Wywiercono bowiem dwie dziury w rondzie na półtora cala od brzegu i dwa haki umieszczono w owych dziurach. Te haki przymocowane były długimi sznurami do końskich uprząży i w ten sposób wleczono mój kapelusz przez dobre pół mili. Szczęściem kraj ten jest nad podziw gładki i równy, tak że kapelusz mniejszej doznał szkody, niż mogłem przypuścić.

We dwa dni po tej przygodzie Cesarz, rozkazawszy, aby część wojska w mieście stołecznym i okolicy była w gotowości, chciał się zabawić osobliwszym sposobem. Kazał mi, żebym stanął jak kolos, rozkraczywszy nogi jak najszerzej, ile tylko można. Potem przykazał swemu generałowi, sędziwemu i doświadczonemu żołnierzowi, który wielce mi sprzyjał, ażeby wojska uszykował jak do bitwy i kazał im maszerować między moimi nogami. Piechota po dwudziestu czterech, a jazda po szesnastu w szeregu, z biciem w bębny, z rozwiniętymi chorągwiami i z podniesionymi pikami. Wojsko to było złożone z trzech tysięcy piechoty i z tysiąca jazdy. Cesarz pod karą śmierci wszystkim przykazał żołnierzom, by w marszu jak najściślej względem osoby mojej zachowali uczciwość, co jednak nie przeszkodziło kilku młodym oficerom do patrzenia w górę, gdy przechodzili pode mną, a wyznać muszę, że spodnie moje naówczas w tak złym były stanie, że im dały pobudkę do głośnego śmiechu i podziwu.

Tyłem przedkładał, tyłem posyłał memorialów o uwolnienie mnie z więzienia, że na koniec Cesarz Jegomość podał rzecz tę naprzód do Rady Stanu, a potem na Radę Ministrów, gdzie nikt mi nie był przeciwny prócz ministra Skyresha Bolgolama, który bez żadnej wiadomej przyczyny stał się moim śmiertelnym wrogiem. Reszta Rady była mi jednak przychylna i Cesarz zatwierdził ich zdanie. Tym wrogiem mi ministrem był galbet, to jest wielki admirał, który zasłużył na zaufanie swego monarchy przez zdatność w sprawowaniu interesów publicznych, ale charakter miał przykry i dziwaczny. Nie mogąc opierać się sam jeden zdaniom całej Rady, musiał ustąpić, ale wymógł, że sam ułoży artykuły dotyczące się warunków mego uwolnienia, żądając, żebym zaprzysiągł ich dotrzymania. Przyniósł mi te artykuły sam Skyresh Bolgola w asyście dwóch podsekretarzy stanu i wielu innych znakomitych osób. Po odczytaniu kazano mi przyrzec zachowanie ich przez przysięgę, naprzód wedle zwyczaju mego kraju, a potem w sposób przez ich prawa przypisany, to jest lewą ręką trzymać za palec u prawej nogi, położyć średni palec ręki prawej na czubku głowy, a palec wielki na końcu ucha prawego. Lecz że może czytelnik będzie ciekawy poznać styl i sposób wyrażania się tego ludu, jako też i warunki mego uwolnienia, przeto kładę tu cały akt, tłumaczony słowo w słowo:

Golbasto Momarem Evlame Gurdiiio Shefin Mully Ullly Gue, najpotężniejszy Cesarz Lilliputu, rozkosz i postrach całego świata, którego państwo rozciąga się na pięć tysięcy blugstrugów (to jest blisko dwunastu mil) naokoło, aż do końca okręgu ziemnego. Monarcha wszystkich monarchów, wyższy aniżeli synowie ludzcy, którego nogi dostają aż do środka ziemi, którego głowa sięga słońca, na którego jedno spojrzenie drżą mocarzów kolana, miły jak wiosna, przyjemny jak lato, obfity jak jesień, straszny jak zima, wszystkim poddanym naszym wiernym i miłym zdrowia życzy. Jego Najwyższy Majestat podaje przybyłemu w prowincję nasze Człowiekowi Górze następujące artykuły, których zachowanie obowiązany będzie uroczystą przysięgą stwierdzić:

1. Człowiek Góra nie wyjdzie z obszernych państw naszych bez pozwolenia naszego, wielką opatrzonego pieczęcią.

2. Nie będzie mu wolno wchodzić do naszej stolicy bez wyraźnego naszego rozkazu, o czym mieszkańcy na dwie godziny pierwiej będą ostrzeżeni, żeby nie wychodzili z domów swoich.

3. Tenże Człowiek Góra po wielkich tylko gościńcach będzie miał wolność chodzenia i nie będzie przechadzał się lub kładł na łąkach i w zbożach.

4. Przechadzając się po drogach publicznych ma się strzec, ile możliwości, ażeby nie zdeptać którego z naszych wiernych poddanych ani ich koni lub wozów, i nie ma brać żadnego ze wspomnianych poddanych na ręce swoje, chyba za ich własnym zezwoleniem.

5. Gdy zajdzie potrzeba, że kurier gabinetowy będzie miał biec z ekspedycją ekstraordynaryjną, Człowiek Góra obowiązany jest nieść go w kieszeni swojej przez sześć dni, raz każdego księżyca, i stawiać go zdrowego i całego przed naszą obecność cesarską.

6. Będzie sprzymierzeńcem naszym przeciw naszym nieprzyjaciołom z wyspy Blefusku i wszelkich użyje sposobów na zgubienie floty, którą oni właśnie uzbrajają dla wkroczenia w państwo nasze.

7. Pomieniony Człowiek Góra w swoje godziny wolne będzie dopomagał rzemieślnikom naszym dźwigać niektóre wielkie kamienie dla dokończenia murów zamku i innych naszych budowli cesarskich.

8. Człowiek Góra winien jest w przeciągu dwóch księżyców złożyć dokładny opis rozmiarów naszego państwa, obliczony własnymi jego krokami.

9. Gdy wykona uroczystą przysięgę, że te wszystkie wyrażone artykuły wspomniany Człowiek Góra zachowa, będzie miał na co dzień jedzenia i napoju tyle, ile by dla tysiąca siedmiuset dwudziestu czterech poddanych naszych mogło wystarczyć, i będzie miał wolny przystęp do naszej osoby cesarskiej, wraz z innymi znakami naszej dla niego łaski.

Dan w pałacu naszym w Belfaborac dwunastego dnia, dziewięćdziesiątego pierwszego księżyca panowania naszego.

Złożyłem przysięgę i podpisałem z wielką radością wszystkie artykuły, chociaż niektóre z nich nie były dla mnie tak i zaszczytne, jak bym był sobie tego życzył, co sprawiła złość wielkiego admirała, Skyresha Bolgolama. Zdjęto ze mnie łańcuchy i wypuszczono na wolność. Cesarz uczynił mi honor, będąc sam przytomny ceremonii uwolnienia mego. Uczyniłem jak najgłębsze podziękowanie Jego Cesarskiej Mości, upadłszy mu do nóg, ale kazał mi wstać, i to w jak najgrzeczniejszych wyrazach. Obsypawszy mnie łaskawymi słowy, których tu me powtórzę, by nie popaść w pychę, dodał, że spodziewa się znaleźć we mnie pożytecznego sługę godnego wszystkich jego dobrodziejstw.

Niech czytelnik będzie łaskaw zauważyć, że w ostatnim artykule aktu uwolnienia mego obowiązał się Cesarz dać mi tyle żywności i napoju, ile by mogło wystarczyć dla tysiąca siedmiuset dwudziestu czterech Lillipucjanów. W niejaki czas potem spytałem się jednego dworzanina, poufnego mego przyjaciela, dlaczego taką ilość wyznaczono dla mnie żywności i napoju. Odpowiedział mi, iż ponieważ matematycy cesarscy – zmierzwszy wysokość ciała mego za pomocą kwadranta i policzywszy grubość – znaleźli moje proporcje w stosunku do nich jak dwanaście do jednego, wniesli z podobieństwa swych ciał, że ja powinienem potrzebować żywności tysiąc siedemset dwadzieścia cztery razy więcej niż oni; skąd może czytelnik wnosić, jak dziwny jest narodu tego dowcip, jak mądra, przezorna i dokładna ekonomika ich wielkiego monarchy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Opisanie Mildendo, miasta stołecznego Lilliputu, i pałacu cesarskiego. Rozmowa między Gulliwerem i sekretarzem stanu o interesach państwa. Gulliwer ofiarowuje się służyć Cesarzowi podczas wojny.

Najpierw memoriał, który po uwolnieniu moim podałem, był prośbą o zezwolenie mi widzenia Mildendo, stolicy tego państwa, na co mi Cesarz pozwolił, zalecając, żebym nic złego obywatelom, żadnej szkody ich domom nie uczynił. Lud przestrzeżony był obwołaniem o zamyśle moim zwiedzenia miasta. Mury opasujące wysokie są na półtrzeciej stopy, a szerokie przynajmniej na jedenaście cali, tak że można po nich bezpiecznie naokoło miasta jeździć powozem. Przy tychże murach są wieże bardzo mocne, co dziesięć stóp jedna od drugiej. Przelazwszy przez Bramę Zachodnią szedłem bardzo lekko, stąpając bokiem przez dwie największe ulice, w kamizelce tylko, bom się obawiał, że połami sukni zwierchniej uczynię szkodę w dachach. Szedłem z największą ostrożnością, ażeby się ustrzec zdeptania którego z ludzi pozostałych jeszcze na ulicach mimo wyraźnego rozkazu zalecającego wszystkim, by się podczas mojego przejścia do domów schronili. Okna facjatek i dachy napelnione były tak wielkim tłumem patrzących, jakiego nie zdarzyło mi się widzieć podczas żadnej podróży, skąd wniosłem, że miasto było arcyludne. Zbudowane jest w zupełny kwadrat, każda ściana murów opasujących ma pięćset stóp długości. Dwie wielkie ulice, którymi przechodziłem, przecinające się i dzielące miasto na cztery równe części, mają szerokość stóp pięć; mniejsze ulice, którymi nie mogłem chodzić, a tylko oglądałem z góry, są szerokie na dwanaście do osiemnastu cali. Miasto może w sobie pomieścić pięciokroć sto tysięcy dusz. Domy są o trzech, czterech i pięciu piętrach; w sklepach i na rynkach pod dostatkiem towarów.

Pałac cesarski stoi w samym środku miasta, gdzie się dwie wielkie schodzą ulice; opasany jest murem na dwie stopy wysokim, a w odległości dwudziestu stóp od muru są budynki. Cesarz Imć pozwolił mi przez ten mur przeleźć dla obaczenia jego pałacu, a że przestrzeń między murami i pałacem dosyć była obszerna, mogłem go przeto obejrzeć z każdej strony. Dziedziniec zewnętrzny jest kwadratowy, na czterdzieści stóp rozległy, i zawiera w sobie dwa inne dziedzińce. W tym dopiero dziedzińcu, który jest w samym środku, są pokoje cesarskie, które wielką chęć miałem widzieć, co jednak było trudne, ponieważ największe bramy, z jednego dziedzińca do drugiego, nie były wyższe nad osiemnaście, a szerokie nad siedem cali. Nadto budynki w dziedzińcu zewnętrznym miały przynajmniej pięć stóp wysokości; niepodobna mi było przez nie przeleźć bez niebezpieczeństwa połamania dachówek i dachów, bo co do murów, to były mocno budowane z kamienia ciosanego, na cztery cale szerokiego. Ce-

sarz jednak wielce pragnął, abym widział okazałość i bogactwa jego pałacu, ale nie mogłem mu tego ukontentowania uczynić, aż dopiero po trzech dniach, gdy nożem moim wyrząłem kilka najwyższych drzew w parku cesarskim, od miasta prawie na pięćdziesiąt prętów odległym. Z tych drzew zrobiłem dwa stołki na trzy stopy wysokie i tak mocne, żeby mnie mogły utrzymać. Gdy ostrzeżono lud powtórnie, przeszedłem znowu przez miasto i udałem się ku pałacowi, niosąc dwa moje stołki w ręku. Przyszedłszy na dziedziniec zewnętrzny, wlałem na jeden stołek, a drugi wziąłem w rękę, potem przez dach delikatnie spuściłem stołek na plac, który jest między dziedzińcem zewnętrznym i wewnętrznym, szeroki na stóp osiem. Przepędowałem potem wygodnie przez budynki za pomocą tych dwóch stołków, dostając hakiem (który na to wziąłem) stołek na drugiej stronie zostawiony. Takowym wynalazkiem dostałem się aż do dziedzińca środkowego, gdzie położywszy się na boku, przykładając twarz do wszystkich na pierwszym piętrze okien, które umyślnie otwarte zostawiono. Widziałem pokoje wspanialsze, niżeli w myśli wystawić można. Widziałem Cesarzową i cesarzówny w swych apartamentach z całą ich asystencją, a Cesarzowa Jejmość zaszczyliła mnie łaskawym uśmiechem i podaniem mi przez okno do ucałowania ręki swojej.

Nie będę wyszczególniać osobliwości znajdujących się w tym pałacu, do innego je zachowuję dzieła, które już prawie jest gotowe pójść pod prasę i będzie zawierać w sobie ogólne opisanie państwa tego od założenia swego, historię cesarzów przez wiele wieków, uwagi nad wojną, polityką, prawami, naukami i religią kraju, opisanie ziół i zwierząt, które się tam znajdują, szczególne obyczaje narodu i wiele innych ciekawych i nader pożytecznych materii. Zamiarem moim teraz jest tylko opisać to, co się temu narodowi i mnie samemu przez dzień prawie miesiący pobytu mego w tym osobliwym kraju przytrafiło.

Po uwolnieniu moim w dni piętnaście Reldresal, sekretarz stanu (jak go tam mianują) w Departamencie Spraw Partykularnych, przyszedł do mnie z jednym tylko sługą. Kazał, żeby kareta czekała na niego opodal, i prosił, abym z nim przez godzinę pomówił. Chętnie się na to zgodziłem ze względu na jego przymioty jako też dla wielu przysług, które mi na dworze oddał, gdy o wolność prosiłem. Chciałem się położyć, żeby miał bliżej moje ucho, ale wołał, abym go trzymał na ręce przez przeciąg naszej rozmowy. Zaczął od winszowania mi wolności i powiedział, iż może sobie pochlebić, że się cokolwiek do uwolnienia mego przyłożył; potem przydał, iż gdyby dwór nie miał w tym swego interesu, nie zostałbym był tak prędko uwolniony, i dodał:

– Jakkolwiek państwo nasze w oczach cudzoziemca zdaje się być kwitnące, musimy jednak z dwiema plagami walczyć: z buntem wewnętrznym i najazdem z zewnątrz, którym nam grozi potężny nieprzyjaciel. Co do pierwszego, trzeba ci wiedzieć, że od siedemdziesięciu księżyców były w tym państwie dwie partie sobie przeciwne pod imionami *Tramecksan* i *Slamecksan*, tak nazwane od wysokich i niskich klocków, czyli obcasów u trzewików, którymi się różniły.

Wiadomo wszystkim, że Wysokie Klocki bardziej się zgadzają z naszą starą konstytucją. A choć tak się ma sprawa, Cesarz postanowił używać tylko Niskich Klocków, tak w sprawowaniu rządu, jako też we wszystkich od woli monarszej zależnych urzędach. Mogłeś nawet zauważyć, że klocki Jego Cesarskiej Mości są przynajmniej o drurr niższe niżeli któregośkolwiek z dworskich (drurr jest to prawie czternasta część cala).

Niechęci dwóch partii – mówił dalej – w takim wysokim są stopniu, że ani jedzą, ani piją z sobą, ani do siebie gadają. Rozumiemy, że *Tramecksani*, czyli Wysokie Klocki, przechodzą nas liczbą, ale w naszych rękach jest władza.

Niestety! Lękamy się, żeby syn cesarski, następca tronu, nie miał skłonności do Klocków Wysokich, zwłaszcza gdy łatwo dostrzec, że jeden jego klocek wyższy jest niż drugi, dlatego idąc trochę kuleje. Otóż wśród zamieszania wewnętrznego grozi nam najazdem wyspa Blefusk, która jest drugim wielkim cesarstwem świata, tak prawie obszernym i mocnym jak nasze państwo. Bo co się tyczy opowiadań twoich, jakoby znajdowały się na świecie inne państwa,

królestwa, stany, zamieszkane przez ludzi tak wielkich i tak ogromnych jak ty jesteś, filozofowie nasi bardzo o tym wątpią i wolą raczej wnosić, żeś spadł z księżycy lub z jakiej gwiazdy, ponieważ stu ludzi twojej wielkości w krótkim czasie wyjadłoby w państwie naszego Cesarza wszystkie owoce, wszystkie bydła i wszystką żywność.

Nadto, nasi dziejopisowie od sześciu tysięcy księżyców o żadnych innych krajach, prócz państw Lilliputu i Blefusku, wzmianki nie czynią. Te dwa straszne mocarstwa, jakem ci nadmienił, przez trzydzieści sześć księżyców uporczywą z sobą toczyły wojnę, której powód był następujący: wszyscy się na to zgadzają, że początkowo zawsze tłuczono jaja przed jedzeniem z grubszego końca, ale dziad Cesarza miłościwie nam panującego, gdy jeszcze był dziećciem, mając jeść jajo i nadłamawszy je zgodnie ze starożytnym zwyczajem, nieszczęśliwym jakimś przypadkiem skaleczył sobie palec, skąd poszło, że Cesarz, ojciec jego, pod surowymi karami wydał prawo, żeby od owego czasu jaja z cieńszego końca tłuczono. Lud tą ustawą tak był oburzony, że dziejopisowie nasi o sześciu z tej okoliczności wspominają rozruchach, w których jeden cesarz utracił życie, a drugi koronę. To zamieszanie i niezgody wewnętrzne wznecali zawsze królowie Blefusku, a kiedy bunt poskramiano, winowajcy do ich kraju uciekali. Na jedenaście tysięcy liczą ludzi, którzy różnymi czasami woleli śmierć ponieść aniżeli poddać się prawu tłuczenia jaj z cieńszego końca. Kilkaset wielkich tomów o tej materii napisano i na publiczny widok wydano, ale księgi Grubych Końców zakazane są od dawnego czasu, a ich partia uznana za niegodną posiadania urzędów. W czasie tych ustawicznych zamieszek królowie Blefusku często przez posłów swoich oskarżali nas o zbrodnie, jakobyśmy kardynalne gwałcili przykazania naszego wielkiego proroka Lustroga, objawione w pięćdziesiątym czwartym rozdziale *Brundrecalu* (to jest ich *Alkoranu*), co jednak, myślę, jest tylko przekręceniem tekstu, którego te są słowa: „Wszyscy wierni tłuc będą jaja z końca wygodniejszego”.

Podług mojego zdania powinno być każdego sumieniu zostawione, który koniec do tłuczenia jest wygodniejszy, a przynajmniej ustanowienie tego należy zostawić najwyższemu sędziemu. Owóż Grube Końce tyle względów u króla Blefusku, tyle tajnej pomocy i wsparcia w swoim własnym kraju znaleźli, że z tej okoliczności między dwoma państwami już przez trzydzieści i sześć księżyców krwawa panuje wojna z odmiennym szczęściem dla stron walczących. W tej wojnie straciliśmy czterdzieści okrętów liniowych i wiele pomniejszych statków, a trzydzieści tysięcy najlepszych naszych majtków i żołnierzy. Liczą, że nieprzyjaciół nieco większą poniósł stratę. Jakkolwiek bądź, teraz straszną uzbraja flotę w celu wkroczenia do kraju naszego. Przeto Jego Cesarska Mość, pokładając zaufanie w męstwie twoim i wysokie o siłach twoich mając rozumienie, zalecił mi, ażeby ci w szczególności przedłożył stan państwa.

Odpowiedziałem sekretarzowi stanu, że go proszę, aby upewnił Jego Cesarską Mość o najpokorniejszym moim uszanowaniu i oznajmił mu, że nie przystoi mi, jako cudzoziemcowi, mieszać się do stronnictw, lecz na obronę Jego Poświęconej Osoby i państwa jego gotów jestem przeciw wszelkim zamachom i najazdom nieprzyjaciół życie moje poświęcić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gulliwer osobiwszym wynalazkiem przeszkadza wtargnieniu nieprzyjaciół. Cesarz nadaje mu wielki tytuł. Posłowie króla Blefusku przychodzą prosić o pokój. Zajmuje się ogień w pałacu Cesarzowej. Gulliwer wiele się przykłada do ugaszenia pożaru.

Państwo Blefusku jest wyspą na północny wschód od Lilliputu położoną, od którego dzieli je tylko jeden kanał na czterysta prętów szeroki. Nie widziałem go jeszcze, a przestrzeżony o bliskim Blefuskianów na Lilliput ataku, strzegłem się ukazywać z tamtej strony, aby mnie który z okrętów nieprzyjacielskich nie postrzegł. Blefuskianie nic nie wiedzieli o mnie, bo wszelkie związki między tymi państwami były pod karą śmierci zakazane w czasie wojny, a z rozkazu Cesarza każdy ich statek miał być przytrzymany.

Zwierzyłem się Cesarzowi z zamiaru opanowania całej floty nieprzyjacielskiej, która, podług uwiadomienia wysłanych od nas szpiegów, stała w porcie, gotowa za pierwszym pomyslnym wiatrem wyjść pod żagle. Radziłem się najdoświadczeńszych żeglarzów dla zasięgnięcia wiadomości, jaka była głębokość kanału, a ci zapewnili mnie, że na środku podczas najwyższego wezbrania morza jest siedemdziesiąt glumgluffów (to jest około sześciu stóp miary europejskiej), a w innych miejscach co najwyżej pięćdziesiąt glumgluffów. Udałem się ku stronie północno-wschodniej, naprzeciw samego Blefusku, i położywszy się za jednym pagórkiem, patrzałem przez mój teleskop i ujrzałem flotę nieprzyjacielską z pięćdziesięciu okrętów liniowych i z wielkiej liczby statków przewozowych złożoną. Oddaliwszy się stamtąd, kazałem zrobić wiele lin, jak tylko można najmocniejszych, a także wiele szyn żelaznych. Liny te były grubości szpagatu, a szyny długości i grubości drutów do pończoch. Jeszcze liny pospłatałem po trzy w jedną, żeby były mocniejsze, i z szynami to samo uczyniwszy, końce ich jak haki pozakrzywiałem. Pięćdziesiąt takich haków umocowawszy do tyłu lin, powróciłem do brzegów północno-wschodnich i zrzucając obuwie, pończochy i zwierzchnie suknie, wstąpiłem w morze, ubrany w skórzany kaftan, na pół godziny przed przypływem. Z początku szedłem z największą, jaka tylko być może, prędkością, potem na środku płynąłem przez jakie piętnaście prętów, aż póki dna nie dostałem. Przybyłem do floty mniej jak w pół godziny. Nieprzyjacielem, na mój widok przestraszeni, jak żaby z okrętów powyskakiwali i na wyspę uciekli. Zdawało mi się, że ich było blisko trzydzieści tysięcy. Wtedy, zaczepiwszy hakiem za dziurę w dziobie każdego okrętu, wszystkie końce lin razem związałem.

Gdym się tą pracą zatrudniał, nieprzyjaciół tysiące strzał na mnie wypuścił, z których wiele ugodziło mnie w twarz i ręce, i nie tylko że mi niewypowiedziany ból sprawiły, ale i przeszkadzały w robocie. Najwięcej się obawiałem o moje oczy, które bym z pewnością postradał, gdyby mi nie przyszedł na myśl sposób prędkiego zapobieżenia temu, Miałem w jednej kie-

szonce, która, jak już wspomniałem, uniknęła rewizji, pomiędzy innymi użytecznymi drobiazgami okulary; te dobywszy wsadziłem na nos, jak mogłem najmocniej. Tym sposobem, okularami jakby jakim szyszakiem uzbrojony, kończyłem dalej robotę, nie zważając na grad strzał spadających na mnie, z których wiele uderzyło w szkła moich okularów, lecz bez poważniejszego efektu z wyjątkiem obruszenia ich trochę. Zahaczywszy wszystkie okręty, zacząłem ciągnąć, lecz nadaremnie, gdyż stały na kotwicach. Musiałem teraz wykonać najśmielszy zabieg mego przedsięwzięcia. Wypuściłem z rąk związane okręty, pourzynałem czym prędzej nożem wszystkie liny, do których były przywiązane kotwice (otrzymawszy przy tym ze dwieście strzał w twarz i ręce), z czym szybko uwinąwszy się, pięćdziesiąt największych okrętów bez żadnej trudności za sobą pociągnąłem.

Blefuskianie, którzy zamysłu mego nie odgadli, zostali równie zadziwieni jak przerażeni. Widząc, że urzynałem liny, sądzili, iż myślałem rozpuścić ich flotę na igrzysko wiatrów albo też jeden okręt o drugi porozbijać. Lecz gdy ujrzeli, żem całą ich flotę ciągnął za sobą, zawrzeszczeli ze złości i rozpacz. Szedłem przez niejaki czas i gdy mnie już strzałami dosięgnąć nie mogli, zatrzymałem się nieco dla powyciągania tych, które mi w twarzy i w rękach utkwiły, namaściłem rany maścią daną mi po przybyciu, zdjąłem okulary i poczekawszy z godzinę do odpływu przybyłem bezpiecznie z moją zdobyczą do portu cesarstwa Lilliputu.

Cesarz, czekając na przedsięwzięcia mego skutek, stał na brzegu z całym dworem swoim. Widzieli z daleka zbliżającą się flotę, ale że byłem w wodzie po piersi, nie postrzegli, że to ja ku nim ją prowadziłem. Kiedym doszedł do środka kanału, strach ich wzmógł się, bo byłem w wodzie po szyję, i Cesarz mniemał, żem zginął i że to flota nieprzyjacielska ciągnie dla wylądowania; ale ta bojaźń wkrótce ustala, bo jak tylko dna dostałem, zaraz zobaczono mnie na czele wszystkich okrętów i usłyszano, gdym głośno wykrzyknął: „Wiwat najpotężniejszy Cesarz Lilliputu!”

Monarcha ten, kiedy przybyłem, nieskończone mi dawał pochwały i natychmiast kreował mnie *nardakiem*, co jest u nich najwyższą godnością. Prosił mnie potem, żebym użył sposobu przeprowadzenia do jego portów wszystkich innych nieprzyjacielskich okrętów. A tak nienasycona jest pycha władców, że ambicja monarchę tego podzegała do opanowania całego państwa Blefusku, obrócenia go w prowincję swego cesarstwa i rządzenia nim przez swego gubernatora. Myślał o wygubieniu wszystkich wygnańców ze stronnictwa Grubych Końców i zmuszeniu obu narodów do tłuczenia jaj z cieńszego końca, co by go uczyniło jedynym monarchą całego świata. Ale ja argumentami, na polityce i słuszności ugruntowanymi, usiłowałem go odwieść od tego przedsięwzięcia i oświadczyłem jawnie, że nigdy nie zechcę być narzędziem, którego by można użyć do pogwałcenia narodu wolnego, szlachetnego i odważnego. Kiedy później rzecz tę roztrząsniono w Radzie, większa część poszła za moim zdaniem.

Śmiałe i odważne moje sprzeciwienie się polityce i zamysłom monarchy tak bardzo go na mnie obraziło, iż mi tego nie mógł darować. Dał to poznać na Radzie w mowie swojej, arcyszczucznej. Powiadano mi, że wielu z radców rozsądniejszych milczeniem zdaniu mojemu przytwierdziło, lecz drudzy, skryci moi nieprzyjaciele, nie zaniedbali niechęci cesarskiej na zgubę moją użyć. Od tego czasu Jego Cesarska Mość i nieprzychylni mi ministrowie zaczęli przeciw mnie intrygę, której skutki dały się odczuć w niespełna dwa miesiące i która omal mnie o zgubę nie przyprawiła. Tak to mało znaczą u monarchów największe dla nich uczynione zasługi, gdy po nich następuje uchylenie się od ślepego ich namiętnościom służenia.

We trzy prawie tygodnie po mojej sławnej wyprawie przybyło z Blefusku poselstwo z propozycją pokoju. Traktat wkrótce został zawarty pod kondycjami dla Lilliputu arcypożytecznymi, którymi nie będę czytelnika zaprzątał. Poselstwo było złożone z sześciu panów, mających z sobą w asyście pięćset osób, i trzeba przyznać, że wjazd ich był taki, jak wielkości monarchy i ważności negocjacji przystało.

Po zawarciu pokoju, w czym wpływ mój był niemiły (dzięki znaczeniu, którym się cieszyłem lub zdawałem się cieszyć na dworze), posłowie, dowiedziawszy się o uczynionej

przeze mnie ich narodowi przysługę, złożyli mi ceremonialną wizytę. Zaczęli od pochwał mego męstwa i wspaniałości, zapraszali mnie imieniem swego monarchy do jego królestwa i na koniec prosili, ażeby im raczył pokazać próbę mej nadzwyczajnej siły, o której tyle dziwiących opowiadań słyszeli. Zrobiłem, o co prosili, lecz nie będę nużył czytelnika szczegółami, i zyskałem ich zupełne zadowolenie, po czym prosiłem, aby mi wyjednali zaszczyt złożenia mego najgłębszego uszanowania Królowi Imć Blefuskowi, którego znakomite cnoty całemu światu były znane. Obiecałem stawić się u tronu Jego Królewskiej Mości pierw, niżelim miał do kraju mego powrócić.

Chciałem mieć jednak uprzednie pozwolenie od swego Cesarza na złożenie uszanowania monarsze Blefuskowi. W kilka dni potem prosiłem o to Cesarza Imci, na co mi ozięble odpowiedział: „Pozwalam”, a jeden z moich przyjaciół doniósł mi sekretnie, że Cesarz, usłuchawszy podszeptów Flimnapa i Bolgolama, rozmowę moją z posłami za znak wiarołomstwa poczytuje, do którego w sercu swoim się nie poczuwałem. Wtedy to po raz pierwszy o dworze i ministrach powziąłem właściwe wyobrażenie.

Zapomniałem powiedzieć, że posłowie przez tłumaczy ze mną mówili. Języki tych dwóch państw tak się różnią od siebie jak dwa jakiegokolwiek języki w Europie. Obydwa te narody wychwalają dawność, piękność i moc swego, a sąsiedzki w pogardzie mają. Tymczasem Cesarz, pyszny z przemocy nad Blefuskianami, którą zyskał przez zabranie ich floty, rozkazał okazać posłom swoje listy uwierzytelniające i mieć mowę w języku lillipuckim. Jakoż potrzeba przyznać, że z przyczyny handlu między tymi dwoma państwami, wzajemnego zbiegów przyjmowania i zwyczaju wysyłania za granicę szlacheckiej młodzieży dla nabycia poloru i umiejętności, mało jest osób znacznych, a mniej jeszcze kupców i żeglarzów, którzy by nie umieli obydwóch języków, jak przekonałem się parę tygodni później, kiedy udałem się, by złożyć me uszanowanie Królowi Blefuskowi, co pośród wielu przeciwności spowodowanych złością mych nieprzyjaciół, miało okazać się bardzo szczęśliwym wydarzeniem, jak to opowiem we właściwym miejscu.

Czytelnik raczy sobie przypomnieć, że pomiędzy warunkami mego uwolnienia były i takie, którym byłem niechętny, jako że zbyt mnie poniżały, i do których przyjęcia zmusić mnie mogły tylko okoliczności mego położenia. Godność *nardaka*, którą byłem zaszczycony, uwalniała mnie od warunków uwłaczających mej czci i muszę oddać sprawiedliwość Jego Cesarskiej Mości, iż nigdy mi o tym nie wspomniał. Zdarzyła mi się podówczas okoliczność uczynienia Jego Cesarskiej Mości jednej znakomitej, jak mniemałem, przysługi. Jednego razu obudzony byłem o północy krzykiem zgromadzonego ludu pod drzwiami mego mieszkania, co mnie w pierwszej chwili przestraszyło. Usłyszałem nieustannie powtarzane słowo: *burglum, burglum*. Niektórzy z dworu Cesarza, przecisnąwszy się przez tłum, prosili mnie, żebym czym prędzej pośpieszył do pałacu, gdzie w pokojach Cesarzowej Jejmości wszczął się pożar przez nieostrożność pewnej damy, która nad czytaniem jednego romansu usnęła. Natychmiast wstałem i udałem się do pałacu, a że wydano już rozkazy, by mi się wszyscy usunęli z drogi, i była to noc księżycowa, nikogo nie zdeptałem w tym powszechnym zamieszaniu. Kiedy na miejsce przyszedłem, zastałem już przystawione do pokoiw drabiny i niemało przygotowanych wiader, ale woda była daleko od miejsca pożaru. Wiadra te były wielkości dużego naparstka i chociaż lud biedny z wielkim pośpiechem wody dostarczał, ogień jednak był tak gwałtowny, że to niewiele pomagało. Ja bym łatwo ten ogień suknią moją przytłumił, ale miałem na sobie tylko mój kaftan skórzany, a pożar tak się zaczął szerzyć, że wspaniały pałac niechybnie by został w perzynę obrócony, gdyby mi z niepospolitą umysłu przytomnością nie przyszedł na pamięć sposób arcydobry. W wieczór poprzedzający piłem bardzo wiele wybornego wina, nazywającego się *glimigrim*. Mieszkańcy Blefuskowi nazywają je *flunec*, lecz tutejsze uważane jest za lepszy gatunek i bardzo pędzi urynę. Szczęśliwym trafem do tej chwili nie załatwiłem jeszcze naturalnej potrzeby. Żar ognia i moje wysiłki ugaszenia go pobudziły jeszcze bardziej działanie wina. Zacząłem więc operację, tak obficie i tak zręcznie

kierując masę płynną na miejsca ratunku potrzebujące, że w trzech minutach ze wszystkim ogień ugasilem i resztę tego pysznego budynku, który pochłonął tyle wieków pracy, zachowałem od nieszczęsnego spłonienia.

Dzień zaczął świtać, wróciłem więc do siebie nie czekając na podziękowanie, zwłaszcza że nie wiedziałem, czy tę przysługę Cesarz przyjmie łaskawie, gdyż podług kardynalnych praw państwa było to główną i śmierci godną zbrodnią puszczać urynę na placu otaczającym pałac cesarski, ale się uspokoił, gdym się dowiedział, że Jego Cesarska Mość rozkazał wielkiemu sędziemu wydać list dla mnie na odpuszczenie kary, którego jednak nigdy nie miałem otrzymać. Lecz w tym samym czasie doniesiono mi, że Cesarzowa, niewymowną z postępu mego powziawszy obrzydliwość, przeniosła się w najodleglejsze części pałacu i postanowiła nigdy nie mieszkać w pokojach, którem śmiał zbezcześcić uczynkiem nieuczciwym i bezwstydnym, za co nawet w obecności najpoufalszych dam swoich zemścić się poprzysięgła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obyczaje mieszkańców Lilliputu, ich nauki, prawa, zwyczaje i sposoby wychowania dzieci. Sposób życia autora w owym kraju. Jego obrona wielkiej damy.

Lubo przedsięwziąłem opisać to państwo w osobnej książce, uważam za rzecz potrzebną dać na tym miejscu czytelnikowi ogólne o nim wyobrażenie. Tak jak pospolity wzrost mieszkańców Lilliputu jest nieco mniejszy od sześciu cali, i we wszystkich innych zwierzętach tudzież w ziołach i drzewach doskonała znajduje się proporcja. Na przykład konie i woły najroślejsze mają wysokość czterech, pięciu cali; barany około półtora cala. Gęsi ich są prawie wielkości wróbla i tak dalej aż do owadów, których dojrzeć nie mogłem, ale natura tak umiała oczy Lillipucjanów przystosować do tych widoków zgadzających się z ich wzrostem, że wszystkie najmniejsze przedmioty mogą dokładnie widzieć, lecz z niewielkiej odległości. Żeby pokazać, jak wzrok mają bystry z bliskiej odległości, powiem, jak z ukontentowaniem patrzałem, gdy raz sprawny jeden kucharz skubał skowronka mniejszego od pospolitej muchy, albo gdy panienka jedna na niewidoczną igiełkę nawlekała równie niewidoczną nić jedwabną.

Najwyższe ich drzewa mają około siedmiu stóp wysokości. Mam na myśli niektóre drzewa w parku królewskim, których wierzchołków z trudem mogłem dosięgnąć swoją zwartą pięścią. Inne rośliny są podobnej proporcji, lecz to pozostawiam fantazji czytelnika. O naukach, które od wieków u nich kwitną, nie chcę tu mówić, wspomnę tylko o dziwnym rodzaju pisania. Mają litery i pismo, ale sposób ich pisania godny jest uwagi. Pismo ich nie jest ani ze strony lewej ku prawej jak europejskie, ani z prawej ku lewej jak arabskie, ani z góry na dół jak chińskie, ani z dołu do góry jak kaskalieneńskie, ale ukośne od jednego rogu papieru ku drugiemu, jak piszą damy angielskie.

Umarłych grzebią prosto, głową w dół, ponieważ utrzymują, że po jedenastu tysiącach księżyców wszyscy umarli mają zmartwychwstać, że wówczas ziemia, którą wyobrażają sobie płaską, przewróci się na drugą stronę i tym sposobem w czasie swego zmartwychwstania wszyscy będą stać jak należy. Uczeni między nimi uznali od dawna niedorzeczność tego mniemania, ale zwyczaj trwa, ponieważ jest dawny i na przesądach popólstwa oparty.

Mają swoje prawa i zwyczaje osobliwsze, które bym może przedsięwziął usprawiedliwić, gdyby prawom i zwyczajom mojej kochanej ojczyzny nie były nazbyt przeciwne. Trzeba by tylko sobie życzyć, by były wszędzie wykonywane. Pierwsze prawo, o którym nadmienię, mówi o donosicielach. Wszystkie zbrodnie przeciw stanowi w tym kraju z osobliwszą karzą surowością, ale jeżeli oskarżony okaże swoją niewinność, oskarżyciela karzą natychmiast

śmiercią haniebną i z jego majątku i posiadłości uniewinniony dostaje poczwórne odszkodowanie za czas stracony, za niebezpieczeństwo, na jakie był narażony, za udrękę swego uwięzienia i wszystkie koszta, które poniósł w swej obronie. Kiedy fałszywy oskarżyciel nie ma majątku, korona niewinnego nagradza, a Cesarz publicznie okazuje mu swoje uznanie i proklamację jego niewinności ogłasza po całym mieście.

Oszustwo mają za obrzydliwszą zbrodnię niżeli kradzież i dlatego je zawsze niemal karzą śmiercią, ponieważ utrzymują, że przy zwykłym rozsądku, staraniu i ostrożności można się od złodziei uchronić, gdy tymczasem uczciwość przeciw zdraodom i oszukaniom żadnej nie znajdzie obrony. Ponieważ nieustannie odbywa się wymiana i operacje kredytowe, gdzie oszustwo jest dozwolone, pobłażliwie traktowane lub żadnym prawem nie regulowane, przeto uczciwy przegrywa, a złodziej ciągnie korzyści. Prosiłem raz Cesarza o przebaczenie dla pewnego winowajcy, który znaczną sumę, powierzoną mu przez jego pana, dla siebie zatrzymał i z nią uciekł. Gdy przy prośbie mojej Cesarzowi przypadkiem napomknąłem, że to jest tylko nadużycie zaufania, odpowiedział mi z oburzeniem, że jest szkaradziństwem chcieć bronić zbrodni najniegodziwszej. Nie mogłem na to znaleźć innej odpowiedzi, jak tylko powszechnie znane przysłowie: „Co kraj – to obyczaj”, i przyznaję, że byłem mocno zawstydzony.

Aczkolwiek kary i nagrody mamy za największe rządu podpory, mogę atoli mówić, że ustawy karania i nagradzania nie są tak w żadnym narodzie mądrze zachowane jak w państwie Lilliputu. Ktokolwiek może dostatecznie okazać dowody, że przez siedemdziesiąt i trzy księżycy narodowe ustawy dokładnie zachowywał, ma prawo upomnienia się o niektóre przywileje, podług swego urodzenia i stanu, i o pewną sumę pieniężną z dóbr umyślnie na to przeznaczonych; a nadto zyskuje tytuł *snilpall* czyli prawomyślny, który się przydaje do jego nazwiska, ale nie przechodzi na potomstwo.

Naród tamtejszy poczytuje za straszny błąd polityki naszej, że wszystkie nasze prawa są tak groźne i że złamanie ich surowo bywa karane, gdy tymczasem zachowanie onych nie ma żadnej dla siebie naznaczonej nagrody. Dla tej przyczyny wyobrażają oni Sprawiedliwość z sześciorgiem oczu, dwoje na przedzie, dwoje z tyłu, a po jednym z jednej i z drugiej strony (dla wyobrażenia baczności), trzymającą otwarty worek złota w ręce prawej, a miecz w pochwie w lewej, dając przez to poznać, że pędza jest do nagrody jak do karania.

W obieraniu osób na urzędy więcej uważają na poczciwość niżeli na wysoką zdatność. Rząd potrzebny jest narodowi ludzkiemu, mówią oni, a zatem każdy człowiek zwyczajnym rozumem obdarzony do jakiegoś urzędu się nadaje, a Opatrzność nie miała zamiaru zawiadywania interesami publicznymi uczynić umiejętnością trudną i mało komu dostępną, którą by tylko rzadkie umysły mogły posiadać, jakich dwa lub trzy ledwo cały wiek wydaje. Uważają oni, że rzetelność, sprawiedliwość, trzeźwość i inne cnoty dla wszystkich ludzi nie są trudne i ćwiczenie się w tych cnotach, z doświadczeniem i dobrą chęcią złączone, każdego może uczynić zdolnym do służenia swej ojczyźnie, pominąwszy urzędy, gdzie specjalne nauki są wymagane. Tak są dalecy od mniemania, że niedostatek cnót moralnych mogą zastąpić wielkie przymioty rozumu, iż raczej sądzą, że nie można urzędu w ręce niebezpieczniejsze powierzać, jak w ręce tych rozumów, które nie mają żadnej cnoty, a dalej, że błędy z nieświadomości człowieka poczciwego pochodzące nigdy nie będą mieć dla dobra publicznego skutków tak nieszczęśliwych jak czynności człowieka, którego skłonności są zepsute, którego zamiary są niegodziwe i który w dowcipie swoim znajduje sposoby czynienia złego bezkarnie.

Ktokolwiek między Lillipucjanami nie wierzy boskiej Opatrzności, wyłączony zostaje od sprawowania jakiegokolwiek urzędu publicznego. Lillipucjanie utrzymują, że nie ma nic dzielszego i nierozsądniejszego nad postępek monarchy, który podaje się za namiestnika Opatrzności, a do rządów używa ludzi bez religii i w wątpliwość podających tę władzę, od której jego własna zawisła. Opisując prawa te i następujące, mówię tylko o prawach Lilliputu początkowych i pierwiastkowych, a nie o teraźniejszym zepsuciu, w które lud ten wpadł przez

wykoślawioną naturę ludzką, czego najlepszym dowodem jest ów sromotny zwyczaj tańczenia na sznurach dla otrzymania wielkich urzędów i ów drugi – przeskakiwania przez kij lub pełzania pod nim, żeby się przepasać znakiem dystynkcji. Donieść muszę czytelnikowi, iż te niegodne zwyczaje wprowadził dopiero dziadek panującego Cesarza, a urosły one do obecnego rozmiaru przez stopniowe rozszerzenie się partyjniactwa.

Niewdzięczność u Lillipucjanów jest szkaradną zbrodnią karaną śmiercią, tak jak była niegdyś u niektórych narodów cnotliwych. Ten, mówią oni, co złe wyrządza nawet swemu dobrodziejowi, koniecznie musi być nieprzyjacielem wszystkich innych ludzi, a więc jest żyć niegodzien.

Wyobrażenia ich o wzajemnych obowiązkach dzieci i rodziców różne są zupełnie od naszych. Uważają oni, że związek mężczyzny z kobietą ufundowany jest na wielkim prawie natury, którego celem jest rozmnożenie gatunku, jak i u wszystkich zwierząt. Dlatego sądzą, że mężczyźni i kobiety łączą się z sobą tylko z pożądania i z tej samej naturalnej potrzeby rodzi się i czułość dla dzieci. Nie chcą, aby dziecko miało jakieś osobliwsze zobowiązania wobec ojca za jego poczęcie i wobec matki za urodzenie, które, zważywszy nędzę ludzkiego życia, nie było ani dobrodziejstwem, ani też nie było jako dobrodziejstwo zamierzone przez rodziców zajętych innymi myślami w miłosnych uściskach. Z tej przyczyny uważają, że ojciec i matka mniej od kogoś obcego nadają się do wychowania swych dzieci. W każdym mieście są instytucje publiczne, do których wszyscy rodzice, wyjąwszy wieśniaków i rzemieślników, obowiązani są dzieci swoje obojga pici na wychowanie posyłać, gdy te przyjdą do wieku dwudziestu księżyców, w którym wnoszą, że są już zdolne do nauk. Szkoły są różnego rodzaju, podług różności urodzenia i płci, gdzie doskonali nauczyciele sposobią dzieci stosownie do ich urodzenia, talentów i skłonności.

Szkoły dla chłopców wysokiego urodzenia mają sławnych i wykształconych profesorów oraz wielu pomniejszych nauczycieli. Odzież i pokarm dzieci są proste. Wszczepiają tam w ich serca chęć sławy, sprawiedliwość, odwagę, skromność, litość, religię i miłość ojczyzny. Chłopców ubiera służba męska aż do czterech lat, a potem muszą się ubierać sami, chociażby najznakomitszego byli urodzenia. Służebne, których wiek odpowiada naszym niewiastom pięćdziesięcioletnim, świadczą im tylko najpodrzedniejsze posługi. Zawsze są zatrudnieni poza dość krótkim czasem jedzenia i spania i dwiema godzinami rozrywki, poświęconej ćwiczeniom ciała. Używać zabaw wolno im tylko w przytomności nauczyciela lub jego zastępcy, a to w większych i mniejszych grupach, jako też wzbronione mają rozmawiać ze służącymi, przez co unikają głupstw i zdrożności, które tak wcześniej zaczynają psuć obyczaje i skłonności młodzieży. Ojciec i matka mają możność widzenia swych dzieci dwa razy w roku, ale te odwiedziny nie powinny trwać dłużej nad godzinę. Wolno im pocałować dziecię wchodząc i wychodząc, ale nauczyciel, który zawsze jest przy tym obecny, nie pozwala im z dzieckiem mówić sekretnie, głaskać go i pieścić, ani na to by mu dawać cacka i łakocie.

Koszta edukacji i żywności płacą rodzice za swoje dzieci, a gdy tego odmówią, natychmiast są one egzekwowane przez urzędników cesarskich.

Szkoły dla dzieci średniego stanu, kupców, kramarzy, rzemieślników, podobnie są urządzone, z różnicą zastosowaną do ich stanu. Ci jednak już w siódmym roku oddawani bywają do rzemiosł lub kunsztów, którym się poświęcają, gdy tymczasem dzieci wyższych stanów pozostają w szkołach aż do piętnastego roku, co równa się wiekowi dwudziestu jeden lat naszych. W ostatnich trzech latach otrzymują trochę więcej wolności.

W żeńskich instytucjach panienki tym samym prawie chowają się sposobem co i chłopcy, tylko je ubierają kobiety służące, zawsze jednak w przytomności nauczycielki lub jej zastępczyni, aż do lat pięciu, po których same się ubierać muszą. Kiedy się czasem wyda, że mamki albo służące bawią te młode panienki historiami głupimi albo powieściami sposobnymi wrazić w nie bojaźń (co arcyzwyczajne jest służącym w Anglii), takie trzy razy ćwiczą różgami w mieście, zamykają do więzienia na rok cały i na całe życie wysyłają na wygnanie w najodleglejszy kąt kraju. A tak panienki u nich, równo jak i mężczyźni, wstydzą się być trwożliwymi,

gnuśnymi, głupimi, pogardzają wszelką ozdobą powierzchowną i tylko mają wzgląd na ochędość i przystojność. Nie postrzegłem też, by je inaczej uczono z powodu ich płci. Ćwiczenia ich ciała jednak nie są tak pracochłonne jak u chłopców, lubo podobnej natury; przydane mają w zamian niektóre nauki do prowadzenia domu potrzebne, a od niektórych nauk są zwolnione. Jest to u nich maksymą, że kobieta ma być dla męża swego towarzyszką zawsze miłą, powinna zatem, skoro nie może być wiecznie młoda, kształcić swój rozum, który się nigdy nie starzeje.

Gdy dziewczyna skończy lat dwanaście, staje się podług nich zdalna do małżeństwa, rodzice przeto albo opiekunowie biorą ją do domu, oświadczając jak największą wdzięczność dla nauczycielki. Rozstanie podobne zawsze prawie jest przyczyną łez odchodzącej dziewczynki i jej towarzyszek.

W szkołach dla dziewcząt niższego stanu uczą się dzieci wszystkich robót stosownych do ich płci; te, które do terminu iść mają, wypuszczane zostają w siódmym roku, inne – w jedenastym.

Familie uboższe, których dzieci uczą się w tych szkołach, oprócz kosztu na ich utrzymanie, który jest bardzo mały, muszą także składać część swych dochodów na posag dla dzieci. Dlatego wydatki wszystkich rodziców są prawem ograniczone, bo uznają to Lillipucjanie za wielką niesprawiedliwość, gdy rodzice, spłodzwszy dzieci dla zaspokojenia własnych apetytów, zostawiają ciężar ich utrzymania społeczności. Majętniejsi dają zaręczenie na pewną sumę dla swego dziecka stosownie do stanu i zamożności, staje się ona własnością dziecka i bywa z jak największą oszczędnością i sprawiedliwością zawiadywana.

Ubożsi chłopcy i najemnicy zatrzymują dzieci w domu, bo skoro ich jedynym zatrudnieniem jest rolnictwo i domowe gospodarstwo, przeto uczenie ich nie ma wielkiego znaczenia dla społeczności, w późnej zaś starości lub chorobie udają się do szpitali, żebractwo bowiem nie jest znane u tego ludu.

Może zrobię przyjemność ciekawemu czytelnikowi, gdy mu opiszę rodzaj życia, które prowadziłem przez dziewięć miesięcy i dni trzynastie mego pobytu w tym kraju. Mając zdolność do prac mechanicznych i zmuszony przez okoliczności, zrobiłem sobie z największych drzew, jakie mogłem znaleźć w parku cesarskim, dość wygodne krzesło i stół. Dwieście szwaczek trudniło się dla mnie szyciem koszul, prześcieradeł i obrusów z najgrubszego płótna, jakie tylko dostać mogli, a i tak musieli je podwójnie, a czasem i potrójnie składać, bo najgrubsze ich płótno jest o kilka stopni cieńsze od batystu i zwykle bywa szerokie na trzy cale, a cała sztuczka mierzy trzy stopy. Miare brały szwaczki, gdy na ziemi leżałem: jedna stanęła mi na szyi, druga na kolanach i trzymały wyprężony sznurek, gdy tymczasem trzecia linijką na cal długą mierzyła długość sznurka. Potem wzięła mi miarę prawego wielkiego palca u ręki i więcej już nie wymagały; dowiedzione bowiem jest rachunkiem matematycznym, że podwójna miara palca wielkiego jest miarą przegubu ręki, a tę podwoiwszy otrzymuje się miarę szyi, tę zaś ostatnią znowu zdwoiwszy, okaże się miara w stanie. Rozłożyłem im potem moją starą koszulę, podług której mi nową robili. Trzystu krawców podobnie było zatrudnionych, ci jednak przy braniu miary inaczej postępowali; musiałem klęknąć, a oni przystawili wielką drabinę, aż do szyi mi dostającą, i jeden z nich wszedł na górę i spuścił na dół od mego kołnierza sznurek z kulą ołowianą na końcu, co odpowiadało długości mej sukni; potem sam wzięłem miarę moich rąk i grubości. Suknie te robiono u mnie, gdyż największy dom w Lillipucie nie mógłby ich pomieścić, a gdy już je skończono, z wyglądu były bardzo podobne do kołder z kawałków pozszywanych, tak powszechnie przez damy angielskie robionych, tyle tylko że były w jednym kolorze.

Trzystu kucharzy gotowało dla mnie jedzenie w domkach niedaleko od mego domu dla nich zbudowanych, gdzie wraz z rodzinami mieszkali, a każdy przyrządzał mi po dwie potrawy. Dwudziestu lokai podnosiłem na stół, stu innych stało na dole, jedni z mięsnymi potrawami, drudzy z winem i likworami w beczułkach, które trzymali na ramionach. Wszystko to służący będący na stole bardzo zmyślnie windowali z dołu sznurkami, podobnie jak u nas ciągną wodę ze studni. Każde mięsne danie i beczka wina starczały mi na jeden kęs i jedno połknięcie. Baranina nie jest u nich tak dobra jak u nas, ale za to wołowina jest przedoskona-

ła. Raz dostałem tak wielki udziec wołowy, że na trzy kęsy mi wystarczył, ale to się rzadko zdarzało. Służący moi nie mogli się dosyć wydziwić, gdy wszystko razem z kośćmi jadłem, podobnie jak u nas jedzą skrzydełko skowronka. Gęsi i indyki brałem na raz do gęby i przyznać muszę, że są daleko delikatniejsze niżeli nasze, a z ich drobnego ptactwa zwykle dwadzieścia do trzydziestu na raz brałem na koniec mego noża.

Jego Cesarska Mość dosłyszawszy o sposobie mego jedzenia zaszczycił mnie dnia jednego wraz z Cesarzową i młodymi książętami oświadczeniem, że będzie jadł ze mną obiad. Gdy przybyli, posadziłem ich na stole naprzeciw siebie na dworskich krzesłach, razem z ich gwardią przyboczną. Flimnap, wielki podskarbi, towarzyszył im także, ze swą białą laską, i uważałem, że na mnie niechętnym spoglądał okiem, udawałem jednak, że tego nie widzę, i jadłem więcej niż zwykle dla uczynienia honoru mojej ojczyźnie i dla zadziwienia dworu. Mam powody do wniosku, że te cesarskie odwiedziny dodały Flimnapowi sposobności do szkolenia mi u Cesarza. Ten minister był zawsze nieprzyjacielem moim, lubo mi więcej czynił słownych oświadczeń, niżby po jego rządym charakterze oczekiwać wypadało. Przedstawiał Cesarzowi smutny stan finansów cesarstwa, który go zmusza do zaciągnięcia pożyczki na wysokie procenty; że papiery skarbowe spadły o dziewięć procent niżej nominalnej wartości, że kosztowałem już skarb cesarski półtora miliona sprugów (jest to największa złota moneta lillipucka wielkości paciorka) i że jest rzeczą konieczną dołożyć wszelkich starań do pozbycia się mnie przy najmniejszej sposobności.

Tu obowiązany jestem stanąć w obronie reputacji pewnej szanownej damy, która z mojej przyczyny najniewinniej bardzo wiele miała nieprzyjemności. Panu podskarbiemu uroiło się być zazdrosnym, a to wskutek złośliwych języków, które mu doniosły, że ta szanowna dama, jego żona, mocno się we mnie rozkochala. Na dworze nawet biegła plotka, że sama jedna odwiedziła mnie raz w moim mieszkaniu. Wszystko to było szkaradną potwarzą, bo ta szanowna osoba raczyła tylko łaskawie w najniewinniejszym sposobie przychylnieść mi swoją oświadczyć. Przyznaję, że często raczyła mnie odwiedzać, ale zawsze otwarcie i w towarzystwie trzech innych dam w karecie, to jest: siostry, córki i dobrej przyjaciółki, co bardzo wiele i innych dam dworskich robiło. Wszyscy służący moi mogą to zaświadczyć, że ilekroć zajeżdżał do mnie powóz jaki, zawsze wiedzieli nazwiska osób w nim będących. Kiedy tylko służący zameldował mi odwiedziny, udawałem się do drzwi i po należnych ukłonach brałem powóz z parą koni delikatnie na rękę (bo jeżeli powóz był cztero- lub sześciokonny, to resztę koni odpręgali) i stawiałem go na stół, który dla bezpieczeństwa miał wokoło ruchomą listwę może na pięć cali wysoką. Często stały tak trzy i cztery powozy wraz z końmi na moim stole, a ja siedziałem wtedy na krześle i nachyliwszy twarz ku nim rozmawiałem z damami siedzącymi w powozach. Gdy tak zabawiałem jedno towarzystwo, woźnice z drugimi gośćmi jeździli w koło po stole. Niejedno popołudnie w taki sposób przyjemnie przepędziłem; ale wzywam tu podskarbiego z jego dwoma donosicielami (wymienię ich i niech się bronią, jak mogą), Ciustrilem i Drunlem, żeby mi udowodnili, czyli kto sekretnie do mnie przychodził, wyjąwszy sekretarza stanu Reidresala, który przysłany był z rozkazu Jego Cesarskiej Mości, jak to już wyżej opisałem. Nie wchodziłbym w te szczegóły, gdyby nie była zagrożona reputacja dystygowanej damy, nie mówiąc już o mojej. Nadto w randze byłem wyższy od wielkiego podskarbiego, bo byłem *nardakiem*, gdy on tymczasem był tylko *glumglumem* (jest to tytuł o jeden stopień niższy, jak markiz wobec diuka w Anglii), lubo wskutek urzędu swego miał wyższe znaczenie ode mnie. O wszystkich tych plotkach dowiedziałem się dużo później przez przypadek, którego tu ani chcę, ani mogę wspominać, a miały one ten skutek, że pan podskarbi kwaśny był dla swej żony, a do mnie odnosił się coraz gorzej, i chociaż się później przekonał o niesłuszności swych posądzeń i z żoną pogodził, nie zmienił się w swej zawziętości do mnie, co wkrótce poznałem, gdyż mój wpływ coraz się zmniejszał u Cesarza, nad którym ten faworyt wielką miał władzę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gulliwer, dowiedziawszy się, że go chcą pozwać o zbrodnię zdrady stanu, ucieka do królestwa Blefusku. Jak go tam przyjęto.

Pierwej niżeli powiem o wyjściu moim z państwa Lilliputu, nie od rzeczy będzie podobno odkryć czytelnikowi jeden potajemny podstęp, który już od dwóch miesięcy był przeciwko mnie knowany. Nie byłem dotąd przy żadnym dworze, a to dla niskości urodzenia mego. Czytałem wprawdzie i słyszałem wiele o różnych charakterach książąt i ministrów, nie spodziewałem się jednak nigdy, że w tak odległym kraju, gdzie zupełnie inne niż w Europie panują prawa, nabędę tak smutnego doświadczenia.

Właśnie gdym się gotował w podróż do Króla Blefusku, pewna osoba wielkiej u dworu powagi, której znaczne uczyniłem przysługi, gdy była w niełasce Jego Cesarskiej Mości, przysłała do mnie potajemnie w nocy i nie zapowiadając się, zjawiała się w lektyce w moim mieszkaniu. Odesławszy tragarzy, lektykę jego ekscelencji wraz z nim samym schowałem w kieszeń mojej sukni i przykazałem służącemu drzwi pilnować, a gdyby się kto o mnie pytał, powiedzieć, że jestem słaby i spać się położyłem; po czym tego pana postawiłem z lektyką na stole i sam, podług zwyczaju mego, przy stole usiadłem. Po pierwszych komplementach spostrzegłem, że twarz tego pana była smutna, a umysł niespokojny. Gdy spytałem o przyczynę, odpowiedział mi, prosząc, abym go posłuchał w pewnym interesie, który się tyczy mego honoru i życia. Jego mowę spisałem zaraz, kiedy odszedł. Była ona takiej treści:

„Donoszę ci – rzekł mi – że od niedawnego czasu wiele złożono względem ciebie rad sekretnych i że od dwóch dni Jego Cesarska Mość przykre przedsięwziął zamysły.

Wiadomo ci jest, że Skyresh Bolgolam (*galbet* albo wielki admirał) od czasu twego tu przybycia wielkim jest twoim nieprzyjacielem. Nie wiem, skąd tego początek, lecz nienawiść jego powiększyła się po wyprawie twojej przeciw flocie Blefusku; jako admirał pewnie jest zazdrosny, żeś tak wielkim zwycięzcą został. Ten pan wraz z Flimnapem, wielkim podskarbisem, który ciebie nienawidzi (sprawa jego żony), z Limtokiem, generałem, z Lalkonem, wielkim szambelanem, i z Balmuffem, wielkim sędzią, ułożyli artykuły celem oskarżenia cię o zbrodnię zdrady stanu i o inne wielkie występki”.

Te słowa tak mnie zniecierpliwiły, gdyż pewny byłem mej niewinności i zasług, że miałem mu już przerwać mowę, ale prosił, żebym nic się nie odzywał, jeno dalej słuchał, i tak kończył:

„Z wdzięczności za wyświadczenie mi przez ciebie przysługi starałem się dowiedzieć o całym procesie i dostałem jedną kopię artykułów. Oto sprawa, w której dla uczynienia ci przysługi głowę moją na niebezpieczeństwo podaję:

ARTYKUŁY OSKARŻENIA PRZECIW QUINBUS FLESTRINOWI (CZŁOWIEKOWI GÓRZE)

A r t y k u ł I

Jako Quinbus Flestrin otwarcie zgwałcił ustanowione za panowania Jego Cesarskiej Mości Calina Dessara Plunę prawo, które na każdego, ktokolwiek by się ważył urynę wypuszczać w obrębie cesarskiego pałacu, rozciąga te same kary, co są za zbrodnie zdrady stanu przypisane, gdy pod pozorem zgaszenia pożaru wznieconego w pokojach Cesarzowej Jejmości złośliwie, zdradliwie i diabelsko przez wypróżnienie swego pęcherza zgasił pomieniony pożar w rzeczonych pokojach, wszedłszy podówczas na dziedziniec pałacu cesarskiego, wbrew statutom regulującym podobne wypadki itd., wbrew powinności itd.

A r t y k u ł II

Jako tenże Quinbus Flestrin, gdy flotę Króla Blefusku przyprowadził do naszego cesarskiego portu, a Jego Cesarska Mość zlecił mu, żeby i wszystkie inne pomienionego królestwa Blefusku okręty z żaglami, masztami itd. opanowawszy, państwo to w prowincję obrócił, które by przez wicekróla naszego było rządzone, i nie tylko wszystkich Grubych Końców na wygnaniu tam znajdujących się, ale też wszystek lud tego państwa, który by niezwłocznie herezji Grubych Końców porzucić nie chciał, wytępił i wygubił; pomieniony Quinbus Flestrin jako zdrajca i buntownik podał Jego Cesarskiej Mości notę, prosząc o uwolnienie od tej usługi, a to pod nikczemnym i fałszywym pretekstem, że nie mógł w sobie przezwyciężyć wstrętu do przymuszania sumienia i gnębienia wolności narodu niewinnego.

A r t y k u ł III

Jako wkrótce potem, gdy od dworu Blefusku przyszli posłowie do Jego Cesarskiej Mości prosić o pokój, rzeczony Flestrin, jako niewierny poddany, wspierał, wspomagał, ratował i obdarzał pomienionych postów, choć wiedział, że to byli ministrowie monarchy, który świeżo ogłosił się nieprzyjacielem i otwartą przedsięwziął wojnę przeciwko Jego Cesarskiej Mości.

A r t y k u ł IV

Jako tenże Quinbus Flestrin wbrew powinnościom wiernego poddanego do dworu Blefusku gotuje się w podróż, choć ma na to słowne tylko od Jego Cesarskiej Mości pozwolenie, i pod pozorem pomienionego pozwolenia zdradliwie i zuchwale układa tę podróż, ażeby Królowi Blefusku, niedawnemu nieprzyjacielowi, który otwartą przedsięwziął wojnę przeciw Jego Cesarskiej Mości, dać pomoc i posiłki.

Są jeszcze – przydał – inne artykuły, ale te są większej wagi, którem ci w krótkości zebrane przedłożył. Podczas różnych nad tym oskarżeniem deliberacji przyznać trzeba, że Jego Cesarska Mość wiele okazał pamiarkowania, łagodności i słuszności, przekładając twoje usługi i umniejszając szkaradność twych zbrodni. Podskarbi i admirał zawsze byli tego mniemania, że cię należy ukarać śmiercią okrutną i haniebną, podpalając mieszkanie twoje w nocy, a generał miał najść twój dom z dwudziestu tysiącami ludzi, uzbrojonymi w zatrute strzały dla przeszywania ci rąk i twarzy.

Miały być wydane niektórym służącym twoim sekretne rozkazy, ażeby koszule twoje maczali w jadowitym soku, który by wkrótce poszarpał twe ciało i w okrutnych męczarniach o śmierć cię przyprowadził. Generał był tegoż samego zdania, tak iż przez niejaki czas większość

głosów była tobie przeciwna, ale Cesarz Jegomość, chcąc twoje życie ocalić, pozyskał kreskę szambelana.

Gdy się to działo, Reidresal, pierwszy stanu sekretarz, zawsze ci wierny przyjaciel, odebrał od Cesarza rozkaz, aby oznajmił zdanie swoje, jakoż dał je stosownie do nakazu cesarskiego i mową swoją usprawiedliwił szacunek, który masz dla niego. Uznał on, że zbrodnie twoje są wielkie, ale i zasługują na niejakię przebaczenie, które jest u władcy najpiękniejszą cnotą i którym jego Cesarska Mość tak słusznie się wsławił. Mówił, że przyjaźń między nim a tobą tak jawna była, iż może go wysoka rada o stronnictwość posądzi, ale że będąc posłuszny woli cesarskiej chce szczerze i otwarcie zdanie swoje wynurzyć, że jeżeliby Jego Cesarska Mość przez wzgląd na usługi twoje i przez wrodzoną skłonność do dobroci chciał ci ocalić życie i przestać tylko na wylupieniu ci obydwu oczu, sądzi z winną majestatowi podległością, iż tym sposobem stałoby się zadość sprawiedliwości i że litość Cesarza, jako też słuszne i wspaniałe wystąpienie tych, co mieli honor być jego radcami, cały świat będzie sławił. Dalej, że utrata oczu nie odebrałaby ci siły, która przydać się może jeszcze monarsze, że oślepienie powiększa odwagę zakrywając przed nami niebezpieczeństwa, że wreszcie największą trudnością, którąś miał w zabieraniu floty nieprzyjacielskiej, była bojaźń twoja o oczy i że dosyć by ci było, żebyś patrzył oczami ministrów, ponieważ najpotężniejsi monarchowie inaczej patrzą.

Ta propozycja przez całe zgromadzenie z wielkim była przyjęta nieukontentowaniem. Admirał Bolgolem porwał się, cały w ogniu, i uniesiony złością rzekł, że się dziwuje, iż sekretarz stanu śmie radzić zachowanie życia zdrajcy; że usługi, któreś oddał, są podług prawdziwych maksym stanu szkaradnymi zbrodniami, że ty, któryś mógł od razu ugasić pożar kropiąc uryną pałac cesarski (czego nie mógł wspomnieć bez wzdrygnięcia), mógłbyś kiedy indziej tymże samym sposobem powódź sprawić, cały pałac zalać, i że z tą samą siłą, z którąś przyciągnął nieprzyjacielską flotę, mógłbyś, jeśli poczujesz się urażony, odprowadzić ją znowu na miejsce, skąd była zabrana; że ma mocne powody do myślenia, iż w głębi serca jesteś Grubym Końcem, a ponieważ zdrada poczyna się od serca, nim się w uczynkach okaże, więc jako Grubego Końca ogłosił cię zdrajcą i buntownikiem, nalegając, żeby cię niezwłocznie stracono.

Podskarbi był tegoż zdania. Pokazał, do jakiego stanu przez wydatki na utrzymanie ciebie przyszedł skarb cesarski, który się wkrótce do szczytu wyniszczy; dodał, że poddany przez sekretarza stanu sposób wylupienia ci oczu nie tylko z tego złego nie uleczy, ale je jeszcze podług wszelkiego podobieństwa powiększy, jak się pokazuje z doświadczenia oślepionego ptactwa, które potem jeszcze więcej jada i prędzej się tuczy; że ponieważ Jego Cesarska Mość i rada, którzy są twymi sędziami, o zbrodniach twoich są przeświadczeni w swoim sumieniu, jest to więcej, niż trzeba, aby skazać cię na śmierć bez odwoływania się do dowodów formalnych, których wymaga surowe rozumienie prawa.

Mimo tego wszystkiego Cesarz Jegomość, postanowiwszy koniecznie ci życie ocalić, rzekł łaskawie, iż ponieważ wylupienie ci oczu zdawało się radzie nadto lekką karą, można by przydać inną, na co twój przyjaciel sekretarz stanu uprosiwszy głos, ażeby mógł odpowiedzieć na zarzuty podskarbiego, dotyczące wielkich kosztów na utrzymanie twoje, rzekł, że jego ekscelencja podskarbi, który sam cesarskimi zawiaduje dochodami, mógłby temu złemu łatwo zapobiec ujmując ci powoli stołu, a tym sposobem, nie mając dostatecznego pożywienia, wpadłbyś w osłabienie, utracił apetyt, a potem wkrótce i życie. W takim razie i odór z trupa twego nie byłby tak niebezpieczny, bo podobne postępowanie objętość jego zmniejszy przynajmniej o połowę. Natychmiast po twojej śmierci można będzie pięć do sześciu tysięcy poddanych Jego Cesarskiej Mości wyznaczyć do obkrajania mięsa z twych kości i wywiózłszy je w odległe okolice zagrzebać dla uniknięcia zarazy, a szkielet zachować dla potomności jako pomnik godny podziwu.

Tak tedy przez wielką sekretarza przyjaźń cała sprawa zgodnie zakończona została. Dane są wyraźne rozkazy, ażeby zamysł umorzenia cię z wolna głodem w ścisłym sekrecie trzyma-

no. Dekret na wylupienie ci oczu zapisany jest w protokół rady i nikt się temu nie sprzeciwiał oprócz admirała Bolgolama, który będąc zaufanym Cesarzowej, ustawicznie był przez nią podpuszczany, żeby nastawał na twoją śmierć, jako że ona żywiła do ciebie ciągłą urazę z powodu tej haniebnej i bezprawnej metody ugaszenia pożaru w jej apartamentach. Po trzech dniach odbierze rozkaz sekretarz, twój przyjaciel, aby udawszy się do ciebie przeczytał ci artykuły twego oskarżenia, potem dał ci poznać wielką łaskawość Cesarza Jegomości i rady, że cię tylko na stracenie oczu skazano, a nie wątpi Jego Cesarska Mość, że się temu z przyzwolitą pokorą i wdzięcznością poddasz. Dwudziestu chirurgów Jego Cesarskiej Mości przytomnych będzie, by dopilnować operacji, która zostanie dokonana przez zręczne puszczenie wielu ostrych strzał w żrenice twych oczu, gdy będziesz na ziemi leżał.

Do ciebie teraz należy przyzwoite przedsięwziąć kroki, jakie twój rozum uzna za najlepsze, ja zaś dla zapobieżenia podejrzeniom muszę się stąd oddalić tak sekretnie, jak tu przyszedłem”.

Zostawił mnie ów pan zanurzonego w niespokojności. Był to zwyczaj przez monarchę panującego i jego ministra wprowadzony (bardzo różny, jak mi powiadano, od zwyczajów dawnych), że kiedy dwóch osądzi kogo na okrutne stracenie dla dogodzenia urazie monarchy albo złości faworyta, Cesarz powinien mieć do całej rady mowę, sławiąc *wielką litość swoją i łagodność jako przymioty znane i uznawane przez cały świat*. Mowa cesarska o mojej osobie wkrótce rozgłoszona była po całym państwie i nic tak nie przerażało ludu, jak te pochwały litości Cesarza, bo doświadczone, że im bardziej się rozwodził nad swą łagodnością, tym *okrutniejsza kara była, a większa niewinność skazanego*. Co do mnie, przyznać się muszę, że ani z urodzenia, ani z edukacji nie będąc przeznaczony na dworaka, tak się mało znałem na prowadzeniu spraw, iż nie umiałem dostrzec łagodności i łaski w dekreście na mnie wydanym, a mniemałem (może błędnie), że więcej w nim surowości niż dobroci. Z początku chciałem poddać się sądowi, bo choć nie mogłem zaprzeczyć oskarżeniom wymienionym w artykułach, mogłem mieć niejaką nadzieję na okoliczności łagodzące. Lecz napatrzwszy się dawniej wielu spraw podobnych, wiedziałem, że się zawsze kończą podług zamysłu sędziów, i nie ważyłem się w tak poważnej chwili polegać na ich wyroku mając równie możliwych oskarżycieli.

Miałem mocne chęci bronienia się, ponieważ będąc wolny nie obawiałem się całej tego państwa potęgi i mógłbym łatwo kamieniami stołeczne miasto rozbić i zburzyć, ale natychmiast zamysł ten ze wstrętem porzuciłem, przypominając sobie przysięgę, którą złożyłem Jego Cesarskiej Mości, dobrodziejstwa, które odebrałem, i wysoką godność *nardaka*, którą zostałem zaszczycony. Nadto nie nabrałem tyle ducha dworskiego, żebym wyperswadował sobie, że Cesarza Jegomości *obecna surowość uwalnia mnie od wszystkich obowiązków, które byłem mu winien*.

Na koniec chwyciłem się sposobu, który słusznie zganiony być może, ponieważ sam wyznaję, że jeno przez pośpiech i brak doświadczenia zdołałem zachować moje oczy, wolność i życie. Gdybym znał lepiej charakter monarchów i ministrów stanu, których potem obserwowałem po różnych dworach, i gdybym więcej wiedział o ich sposobach postępowania z oskarżonymi mniej niżeli ja winnymi, byłbym się bez trudności tak *łagodnemu* poddał ukaraniu. Ale ogniem młodości uniesiony i mając pozwolenie Jego Cesarskiej Mości na udanie się do Króla Blefusu, pośpieszyłem przed upłynieniem trzech dni z przesłaniem listu do mego przyjaciela sekretarza stanu, w którym mu doniosłem, iż przedsięwziąłem tego samego dnia płynąć do Blefusu podług pozwolenia, które otrzymałem. Nie czekając odpowiedzi udałem się w stronę wyspy, gdzie stała flota. Pochwyciłem jeden wielki okręt wojenny, przywiązałem do przodu linę, podniosłem kotwicę, zdjąłem z siebie odzienie i położyłem na okręcie wraz z kołdrą, którą w rękę przyniosłem, i ciągnąc raz w bród, drugi raz wpław, przybyłem do królewskiego portu Blefusu, gdzie na mnie od dawnego czasu lud czekał. Dano mi dwóch przewodników dla pokazania drogi do stołecznego miasta, które tegoż co i kraj było nazwi-

ska. Trzymałem ich na ręce, aż pókiśmy nie zbliżyli się do bramy o sto prętów. Natenczas prosiłem ich, ażeby donieśli któremu z sekretarzy stanu o moim przybyciu i oznajmili, że czekam rozkazów Jego Królewskiej Mości. W godzinę odebrałem odpowiedź, że Król Jego-mość idzie na spotkanie ze mną z całym swoim domem i dworem królewskim. Postąpiłem jakie pięćdziesiąt kroków. Król i dworzanie zsiadli z koni, a Królowa i damy wysiadły z karet i nie postrzegłem po nich żadnej bojaźni. Położyłem się na ziemi dla ucałowania rąk Króla i Królowej. Powiedziałem Jego Królewskiej Mości, że czyniąc zadość obietnicy mojej przyszedłem za pozwoleniem Cesarza, pana mego, ażeby mieć honor widzieć tak mocnego monarchę i ofiarować mu wszystkie należne usługi, które by obowiązkom, jakiem winien monarche mojemu, nie były przeciwne; ale o niełasce mojej nic nie nadmieniałem, ponieważ nie byłem o niej oficjalnie powiadomiony, a mniemałem, że sam Cesarz nie odkryje tej tajemnicy, kiedy opuściłem już jego cesarstwo. Wkrótce jednak okazało się, że się pomyliłem.

Nie będę nudził czytelnika opisywaniem przyjęcia mego na tym dworze; odpowiadało ono wspaniałości tak wielkiego króla. Nie wyliczam niewygód, które poniosłem, to tylko powiem, że nie mając mieszkania ani łóżka musiałem sypiać na ziemi, kołdrą moją okryty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gulliwer szczęśliwym zdarzeniem znajduje sposób porzucenia Blefusku i po niejakich trudnościach powraca do swej ojczyzny.

W trzy dni po moim przybyciu przechadzając się przez ciekawość przy północno-wschodnich brzegach wyspy, postrzegłem o pół mili na morzu coś podobnego do przewróconej łodzi. Zdjąwszy trzewiki i pończochy, szedłem wodą jakieś dwieście do trzystu łokci. Widziałem, że ten statek morze napędza ku brzegom, i poznałem natenczas, że to była prawdziwa² szalupa, która, jak sądziłem, oderwała się podczas burzy z nieznanego okrętu. Powróciwszy do miasta prosiłem natychmiast Króla Jegomości, aby mi pożyczył dwadzieścia okrętów większych, które po utraconej flocie pozostały, tudzież trzy tysiące majtków pod rozkazami wiceadmirala. Flota, wyszedłszy pod żagle, krążyła koło brzegów, a ja tymczasem pośpieszyłem jak najkrótszą drogą w tę stronę, gdzie pierwszy raz łódź ujrzałem. Przypływ jeszcze ją bliżej ku brzegom zapędził. Wszyscy majtkowie zaopatrzeni byli w mocne liny, które przedtem sam poskręcałem. Gdy okręty nadeszły, zdjąwszy z siebie odzienie wszedłem w wodę i tak może o pięćdziesiąt prętów zbliżyłem się do łodzi, potem musiałem płynąć, dopóki się do niej nie dostałem. Majtkowie rzucili mi linę, której jeden koniec przywiązałem do dziury na dziobie łodzi, a drugi do jednego z pożyczonych mi okrętów. Wszystkie jednak moje usiłowania były daremne, bo nie mogąc zgruntować, nie mogłem roboty mej skończyć. Zacząłem więc płynąć z tyłu łodzi i popychać ją jedną ręką i tym sposobem, korzystając z przypływu morza, przypchałem ją tak blisko ku brzegom, że dostałem dna, chociaż wodę jeszcze aż po brodę miałem. Odpocząłem przez dwie lub trzy minuty i potem łódź pchałem aż do miejsca, gdzie mi woda tylko do pachy sięgała. Największą robotę miałem za sobą, wziąłem więc liny, które na jednym z okrętów przywieziono, i przywiązawszy je pierwszej do łodzi, a potem do dziewięciu okrętów, które mi towarzyszyły, za pomocą wiatru i majtków przyciągnąłem łódź na dwadzieścia prętów od brzegu. Gdy morze odstąpiło, suchą nogą przeszedłem do łodzi i przy pomocy dwóch tysięcy ludu z linami i machinami zdołałem ją obrócić dnem do góry, i znalazłem, że nie była bardzo uszkodzona.

Nie będę nużył czytelnika opisem trudności, jakie miałem, by doprowadzić ową łódź przy pomocy wiosła, których sporządzenie kosztowało mnie dziesięć dni czasu, do królewskiego portu Blefusku. Tam dla zobaczenia tak ogromnego statku mnóstwo zgromadziło się ludu.

² Autor przez wtrącenie słówka „prawdziwa” po raz pierwszy oddziela świat wyobraźni od rzeczywistości (przyp.red.).

Powiedziałem Królowi Jegomości, że szczęśliwy los dał mi napotkać ten statek, ażebym mógł popłynąć do jakiegoś kraju, skąd bym mógł wrócić do ojczyzny mojej. Prosiłem Jego Królewską Mość, ażeby rozkazał naprawić statek i przysposobić do podróży i żeby mi pozwolił wyjechać z państwa swego, na co w bardzo grzeczny sposób przystał.

Bardzo się dziwił, że Cesarz Lilliputu nie ścigał mnie po odejście moim, ale dowiedziałem się, iż nie wiedząc, że o zamysłach jego był przestrzeżony, pewny był, że tylko dla uiszczenia się z obietnicy udałem się do Blefusku i po kilku dniach powrócę. Na próżno jednak oczekując mego powrotu, począł być niespokojny i złożwszy z podskarbin i innymi intrygantami radę, wysłał jedną znakomitą osobę z kopią artykułów przeciw mnie ułożonych. Poseł miał instrukcję, ażeby przedłożył Królowi Blefusku wielką monarchy swego łagodność, który przestał na ukaraniu mnie wyłupieniem oczu; że się uchylił od sprawiedliwości i że jeślibym w dwóch godzinach nie powrócił, będę obdarty z mego tytułu *nardaka* i za wielkiego zdrajcę i zbrodniarza ogłoszony. Poseł przydał, iż dla zachowania między dwoma państwami pokoju i przyjaźni monarcha jego miał nadzieję, że jego brat. Król Blefusku, rozkaże mnie związanego do Lilliputu odprowadzić, ażeby ukarano mnie jako zdrajcę.

Król Blefusku, wzięwszy trzy dni do namysłu, dał odpowiedź arcyuprzejmą i dyplomatyczną. Przedstawił, że Cesarz Jegomość, brat jego, wie dobrze, iż jest rzeczą niepodobną odesłanie mnie związanego, a chociażem mu porwał flotę, wszelako jest mi wdzięczny za wielkie przysługi, którem uczynił przy zawarciu pokoju. Nadto, że obydwaj monarchowie będą w krótkim czasie ode mnie uwolnieni, ponieważ znalazłem na brzegu dziwnej wielkości okręt, którym mogę puścić się na morze, i że wydał rozkazy, ażeby go przy mojej pomocy i podług moich przepisów naprawiono, tak że spodziewa się, iż za kilka niedziel obydwaj państwa zostaną uwolnione od tego nieznośnego ciężaru, jakim jest moja osoba.

Z taką odpowiedzią poseł powrócił do Lilliputu, a Król Blefusku opowiedział, co się stało, ofiarowując pod wielkim sekretem łaskawą swoją dla mnie protekcję, jeślibym chciał na jego usługach zostać. Choć rozumiałem, iż mi to szczerze mówił, przedsięwziąłem jednak nigdy nie zostawać na łasce ani monarchów, ani ministrów, kiedym się bez nich mógł obejść. Dlatego oświadczwszy Jego Królewskiej Mości należytą wdzięczność za jego łaskawe dla mnie względy, prosiłem pokornie, aby na mój wyjazd pozwolił, mówiąc, iż skoro los dobry lub zły ofiarowuje mi okręt, postanowiłem raczej puścić się na ocean aniżeli być pobudką do zerwania przyjaźni między dwiema tak potężnymi monarchiami. Król nie zdawał się być urażony tą mową, owszem, dowiedziałem się, że tak on, jak i wielu ministrów kontenci byli z mego przedsięwzięcia.

Te uwagi przywiodły mnie do prędszego, niżeli zamierzałem, odjazdu, a dwór, który sobie tego również życzył, usilnie się przyłożył do przyśpieszenia mej podróży. Pięciuset rzemieślników użyto do zrobienia podług moich przepisów dwóch żagli do mej łodzi, najgrubsze płótno w trzynaścioro zszywając. Sam się zająłem robieniem sznurów i lin, dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści lin skręcając w jedną. Wielki kamień, który po długim szukaniu znalazłem przypadkiem nad brzegiem morza, posłużył mi za kotwicę. Z trzystu wołów dostałem łoju na smarowanie łodzi i inne potrzeby. Nieskończoną miałem pracę przy wycinaniu najgrubszych i największych drzew na wiosła i maszty, w czym mi jednak pomagali cieśle okrętowi Jego Królewskiej Mości, wyglądając je, kiedy dokonałem pierwszej obróbki.

W jakiś miesiąc potem, gdy wszystko było gotowe, poszedłem na pożegnanie do Króla. Król Jegomość, otoczony rodziną, wyszedł z pałacu. Położyłem się twarzą ku ziemi, ażebym miał honor ucałowania ręki królewskiej, którą mi łaskawie podał, podobnie jak Królowa i młodzi książęta i księżniczki. Darował mi pięćdziesiąt sakiewek, każda po dwieście sprugów, i portret swój naturalnej wielkości, co wszystko dla większego bezpieczeństwa w jedną moją rękawiczkę schowałem. Ceremonie z moim odjazdem związane zbyt były liczne, bym miał nudzić nimi czytelnika.

Naładowałem na łódź sto zabitych wotów i trzysta skopów, a także chleba i napoju, i mięsiwa pieczonego tyle, ile czterystu kucharzy mogło przygotować. Wziąłem ze sobą sześć krów, dwa byki, tyleż owiec i baranów żywych, aby w moim rodzinnym kraju założyć ich hodowlę. Ażeby bydło, które zabierałem, mieć czym żywić, wziąłem stosowną ilość siana i worek pełny zboża. Wielką miałem ochotę wywieźć z sobą tuzin ludzi tamtych, ale Król żadnym sposobem pozwolić na to nie chciał, i po ścisłym zrewidowaniu mych kieszeni kazał mi na honor przyrzec, żebym żadnego z poddanych jego nie brał, chociażby który sam tego chciał i o to prosił.

Wszystko przygotowawszy, jak tylko mogłem najlepiej, wyszedłem pod żagle o godzinie szóstej rano dnia dwudziestego czwartego września roku 1701. Gdym upłynął mil cztery ku północy, wiatr zmienił się na południowo-wschodni i około godziny szóstej wieczór postrzegłem między północą i zachodem wyspę małą, prawie na pół mili odległą. Zbliżyłem się do niej i rzuciłem kotwicę z tej strony, która była od wiatru bezpieczna. Zdała mi się być bezludna. Podjadłszy, położyłem się na spoczynek i spałem około sześciu godzin, gdyż we dwie godziny dopiero po moim obudzeniu rozedniało. Zjadłem śniadanie, a mając wiatr pomyślny podniosłem kotwicę i płynąłem w tę stronę, co i dnia poprzedzającego, za przewodnią mego kieszonkowego kompasu. Zamiarem moim było dostać się do wysp, które sądziłem, że leżą na północny wschód od Ziemi Van Diemena. Przez cały ten dzień nie odkryłem nic. Ale nazajutrz o trzeciej po południu, gdy podług rachunku mego zrobiłem około dwudziestu czterech mil od Blefusku, postrzegłem statek płynący jakby w kierunku południowo-wschodnim. Mój zaś kierunek był ściśle wschodni. Wołałem na niego, ale nie dostałem odpowiedzi. Postrzegłem jednak, że zaczynam go doganiać, ponieważ wiatr osłabł. Natychmiast wszystkie podniosłem żagle i w pół godziny postrzeżono mnie z okrętu, wywieszono banderę i z działa wystrzelono.

Niełatwo wyobrazić sobie radość, którą uczułem z tej niespodziewanej nadziei odwiedzenia raz jeszcze ukochanej ojczyzny i drogich moich, których w niej zostawiłem. Statek opuścił żagle, a ja doścignąłem go o piątej lub szóstej wieczór dnia dwudziestego szóstego września. Serce moje skakało z radości, gdym na okręcie ujrzał flagę angielską. Włożyłem moje owce i krowy do kieszeni i z całym moim niewielkim ładunkiem przeniósłem się na okręt.

Był to statek pewnego angielskiego kupca, powracający przez morza północne i południowe z Japonii, a komendę na nim miał kapitan Jan Biddell z Deptfordu, człowiek zacny i doświadczony żeglarz. Byliśmy pod trzydziestym stopniem szerokości geograficznej. Znajdowało się na tym statku ludzi pięćdziesiąt, między którymi napotkałem jednego z dawnych towarzyszy moich, Piotra Williamsa, który mię dobrze kapitanowi zarekomendował. Ten poczciwy mąż bardzo mnie grzecznie przyjął i prosił, abym mu opowiedział, skąd i dokąd płynąłem. Opowiedziałem mu w krótkich słowach, lecz on sądził, że cierpienia i niebezpieczeństwa pomieszały mi rozum. Postrzegłszy to, dobyłem z kieszeni moje owce i krowy, na których widok w niewypowiedziane wpadł podziwienie, przekonawszy się o prawdzie tego, co ode mnie słyszał. Pokazałem mu także pieniądze złote, które na odjeździe dał mi Król Blefusku, tudzież jego naturalnej wielkości portret i wiele innych tego kraju osobliwości. Dałem mu dwie sakiewki, każda po dwieście sprugów, i przyobiecałem za naszym do Anglii przybyciem darować mu jedną krowę cielną i jedną owcę kotną.

Nie chcę nużyć czytelnika opisywaniem szczegółów mej na ogół pomyślnej podróży. Staaliśmy na Dunach trzynastego kwietnia roku 1702. Jedno tylko miałem nieszczęście, że mi okrętowe szczury porwały owcę. Znalazłem w dziurze jej kości do czysta obrane z mięsa. Resztę mojego bydła dowiozłem zdrowo i puściłem na paszę na pewnej równinie w Greenwich, gdzie im trawa bardzo delikatna do smaku przypadła, a żywiłem o to pewne obawy. Nie miałbym ich czym paść w czasie tak długiej podróży, gdyby nie poczciwość kapitana, który dał mi najdelikatniejsze suchary. Mieszałem je z wodą i tak karmiłem moje bydło.

Przez krótki czas mego bawienia w Anglii zyskałem wiele pokazując moje bydłatka różnym osobom dystyngowanym, a nawet i pospólstwu. Nim zaś drugą podróż przedsięwziąłem, sprzedałem je za sześćset funtów szterlingów. Po moim ostatnim powrocie zauważyłem, że ich potomstwo znacznie wzrosło, zwłaszcza owce, które dzięki osobliwszej miękkości swego runa przyczynią się, jak przypuszczam, do polepszenia naszych wełnianych manufaktur.

Zabawiłem tylko dwa miesiące z moją żoną i z dziećmi. Nienasycona chęć widzenia obcych krajów nie dozwalała dłużej siedzieć na miejscu. Zostałem żonie mojej tysiąc pięćset funtów szterlingów i ulokowałem ją w wygodnym domu w Redriff, a resztę fortuny, częścią w pieniądzu, częścią w towarach, wziąłem ze sobą w nadziei powiększenia mego majątku. Stryj mój Jan zostawił mi grunta blisko Epping, przynoszące rocznego dochodu trzydzieści funtów szterlingów, a z arendy dużego folwarku w Czarnej Wólce w Fetter-Lane miałem drugie tyle, tak więc nie obawiałem się, żeby żona i dzieci moje od gminy wsparcia potrzebowały. Syn mój Jan, tego imienia co stryj, uczęszczał do elementarnej szkoły i był posłusznym dzieckiem, a córka Elżbieta (która teraz jest za mężem i ma dzieci) zajmowała się ręcznymi robótkami.

Pożegnałem żonę, syna i córkę z wielkim łez z jednej i drugiej strony wylaniem. Wszedłem odważnie na statek, zwany „Przygoda”, kupiecki, o ładunku trzystu beczek, który płynął do Suraty. Komendę miał na nim kapitan John Nicholas z Liverpoolu.

Opisanie tej podróży zawarte jest w drugiej części dzieła.

CZEŚĆ DRUGA

Podróż do Brobdingnagu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Opis wielkiej burzy. Gulliwer dla zwiedzenia kraju wsiada na szalupę wystaną po słodką wodę. Zostawiony na brzegu, schwytany zostaje przez krajowca i zaprowadzony do domu rolnika. Jak się z nim obchodzono i wiele innych wydarzeń. Opis krajowców.

Będąc przez własną skłonność i los mój skazany na życie niespokojne, we dwa miesiące po moim powrocie znowu opuściłem kraj mój ojczysty i wstąpiłem na Dunach dnia dwudziestego czerwca roku 1702 na statek „Przygoda”, na którym kapitan John Nicholas płynął do Suraty. Mieliśmy wiatr arcywymyślny aż do Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie dla zaopatrzenia się w wodę przybiliśmy do brzegu, znaczne jednak uszkodzenie statku zmusiło nas dłużej się zatrzymać. Tymczasem kapitan nasz mocno zapadł na febrę, przez co musieliśmy tam całą przepędzić zimę i dopiero przy końcu marca mogliśmy to miejsce opuścić.

Wtenczas rozwinęliśmy żagle i podróż nasza aż do cieśniny Madagaskaru szczęśliwie się odbyła. Lecz gdyśmy znaleźli się na północ od tej wyspy, mniej więcej pod piątym stopniem szerokości południowej, wiatr, co na tych morzach począwszy od grudnia aż do maja równo powiewa z północy i zachodu, zaczął dnia dziewiętnastego kwietnia wiać gwałtownie i bardziej z zachodu niż zazwyczaj.

Trwał ten wiatr ciągiem przez dni dwadzieścia, przez które byliśmy zapędzeni nieco na wschód od Wysp Moluckich i o trzy stopnie na północ od równika, co nasz kapitan postrzegł przez swój rachunek dnia drugiego maja, kiedy wiatr ustał i zapanowała zupełna cisza, czym nieco się pocieszyłem. Lecz kapitan, mając wielkie doświadczenie w żegludze na tych morzach, rozkazał nam przygotować się nazajutrz na wielką nawałnicę, co też się i ziściło. Zaczął wiać wiatr z południa, zwany monsunem. Obawiając się, ażeby nie był zbyt gwałtowny, przykrępowaliśmy żagiel drągiem sztabowym i podnieśliśmy kapę dla przywiązania masztu przedniego. Lecz gdy się wiatr wzmaczał coraz bardziej, poprzywiązaliśmy działa, żagiel zaś na tylnym małym maszcie rozwinęliśmy. Statek znajdował się na otwartym morzu, więc uznaliśmy za rzecz najlepszą puścić się za wiatrem. Zanitowaliśmy maszt i poprząciliśmy liny. Ster był od wiatru, a przeto statek nasz dobrze się kierował. Opuściliśmy wielki żagiel, ale go wiatr podarł. Potem przyciągnęliśmy drąg masztowy i pourzynaliśmy wszystkie sznury. Morze było w największej wysokości, a wały roztrącały się jedne o drugie. Jęliśmy się steru dla pomagania sternikowi, który sam nie mógł kierować. Nie chcieliśmy zwijać masztu zwierzchniego, gdy statek bezpieczniej płynął z wiatrem, i sądziliśmy, że lepiej, żeby jeden żagiel był rozwinięty. Kiedy nawałnica ucichła, widząc się na wielkim przestworzu, podnieśliśmy maszt przedni i żagiel wielki, puszczając się za wiatrem. Potem podnieśliśmy maszt

ostatni i wszystkie żagle. Droga nasza była od wschodu na północ, a wiatr wiał od południa ku zachodowi. Poprzywiązaliśmy liny do sztymborku i kierowaliśmy linami pobocznymi, wszystkie rozpuściwszy żagle. Przez tę straszną burzę, po której nie ustawał wiatr mocny z południa za zachód, byliśmy podług rachunku mego zapędzeni około mil pięciuset ku wschodowi tak dalece, że najsędziwsi i najbieglejsi żeglarze nie umieli powiedzieć, w której części świata się znajdujemy. Tymczasem nie brakło nam żywności, wszystkim służyło zdrowie i tylko brak wody do picia mocno nam dokuczał. Sądziliśmy, że lepiej będzie w tę samą płynąć stronę aniżeli wracać na północ, z obawy, ażebyśmy nie zostali zapędzeni na wschód ku Wielkiej Tartarii i na Morze Lodowate.

Dnia szesnastego czerwca roku 1703 jeden wyrostek ze szczytu masztu zobaczył ziemię. Siedemnastego ujrzelśmy wszyscy wielką wyspę czy też ląd jakiegoś kraju, bo nie mogliśmy poznać, co to było. Od południowej strony nieco się ziemia wdarła w morze tworząc zatokę, ale nie dość głęboką, aby większy okręt do niej mógł płynąć. Rzuciliśmy kotwicę o milę od tej zatoki i kapitan wyprawił dwunastu ludzi na szalupie, dobrze uzbrojonych, z beczkami po słodką wodę. Prosiłem go o pozwolenie, żebym i ja mógł płynąć dla zwiedzenia kraju, jeśliby co było w nim ciekawego. Wyszedszy na ląd nie znaleźliśmy ani rzeki, ani źródła, ani śladu mieszkańców. Majtkowie nasi trzymali się ciągle brzegu szukając wody w pobliżu morza. Ja zaś przechadzałem się sam jeden i zaszedłem w głąb kraju około mili, gdzie znalazłem tylko ziemię pustą i skał pełną. Jużem się nieco zmordował i nie znajdując nic ciekawego powracałem z wolna ku małej zatoce, kiedy ujrzałem żeglarzy na łodzi, którzy wiosłami usilnie robiąc zdawali się od jakiegoś niebezpieczeństwa uciekać. Chciałem wołać, choć mało by mi to pomogło, gdy wtęm spostrzegłem człowieka dziwnej wielkości, który ich gonił. Chociaż wszedł w morze, wszelako po kolana tylko miał wody i niepojęcie szerokie czynił kroki, ale że nasi już byli od niego na pół mili, a morze w tym miejscu pełne skał, nie mógł wielkolud szalupy dogonić. Te szczegóły opowiadano mi później, gdyż skorom go zoczył, zacząłem, jak tylko umiałem najprędzej, uciekać i wdrapałem się na spadzisty pagórek, skąd miałem widok na znaczną część kraju. Znalazłem, że był doskonale uprawnny, alem się zadziwił nad wielkością trawy, która była na dwadzieścia stóp wysoka.

Puściłem się drogą, która zdawała mi się być wielkim gościńcem, chociaż dla mieszkańców tego kraju była tylko ścieżką przechodzącą przez jęczmień. Szedłem w tę stronę przez czas niejaki, ale nic zobaczyć nie mogłem, ponieważ czas był żniw, a zboże na czterdzieści stóp wysokie. Godzina upłynęła, nim przyszedłem na koniec pola, które ogrodzone było płotem, przynajmniej na sto dwadzieścia stóp wysokim. Co do drzew, tak były wielkie, że niepodobna mi było ich wysokości zmiarkować. Były tam schody prowadzące z jednego pola do drugiego, składające się z czterech stopni, każdy na sześć stóp wysoki, i z jednego kamienia ponad dwadzieścia stóp wysokiego.

Nie będąc w stanie wejść na te schody, szukałem dziury jakiej w płocie, gdy spostrzegłem na sąsiednim polu człowieka takiego wzrostu jak ten, którego widziałem goniącego po morzu za szalupą naszą. Zdał mi się być tak wysoki jak wieże zwyczajne, a kroki przynajmniej na pięć prętów szerokie stawiał. Niewypowiedziany mnie strach ogarnął, biegłem schować się w zbożu. Stamtąd widziałem, jak zatrzymawszy się na górnym stopniu obejrzał się w tył i zawołał głosem ogromniejszym i bardziej rozlegającym się niżeli przez trąbę. Odgłos był tak mocny i w powietrzu rozchodzący się, iż z początku zdało mi się, że grzmot słyszał. Natychmiast przyszło do niego siedmiu ludzi takiegoż samego wzrostu, każdy z sierpem tak długim jak sześć kos naszych. Ci ludzie nie byli tak dobrze odziani jak pierwszy i zdali się być jego sługami, gdyż podług jego rozkazu poszli żąć żyto, w którym się ukryłem. Uchodziłem od nich, jak tylko mogłem najdalej, ale niewypowiedzianą miałem w uciekaniu trudność, ponieważ kłos od kłosa był często tylko o stopę odległy, tak że trudno mi było postępować w tak gęstym lesie. Dostałem się na koniec w jedną stronę pola, gdzie deszcz i wiatr obaliły żyto. Wtedy żadnym sposobem iść nie mogłem dalej, gdyż żdźbła tak gęsto leżały na

ziemi, iż niepodobna było pomiędzy nimi przeleżeć, a ze spadłych kłosów oście były tak mocne i ostre, że mi przez odzienie kaleczyły ciało. Wtem usłyszałem, że żęncy już może o sto łokci są ode mnie. Straciwszy siły i do rozpacz przywiedziony, położyłem się w brudzie, pragnąc śmierci. Ubolewałem nad losem wdowy i sierot nieszczęśliwych, opłakiwałem moje szaleństwo, które mi kazało ruszyć w tę drugą podróż wbrew radom wszystkich moich przyjaciół i krewnych.

W tym strasznym pomieszczeniu nie mogłem nie przypomnieć sobie kraju Lilliputu, którego mieszkańcy mieli mnie za największy cud, jaki się mógł kiedy ukazać na świecie, gdzie potrafiłem jedną ręką całą flotę cesarską pociągnąć i tyle innych dziwnych spraw dokazać, których pamiątka wiecznie się w kronikach państwa tego zachowa i w które może nawet potomność, mimo świadectwa całego narodu, nie zechce uwierzyć. Rozmyślałem, jakie bym miał umartwienie, gdybym u narodu tego, u któregoś się naówczas znajdował, pokazał się tak nikczemny, jakby Lillipucjanin nam się wydawał. Ale to poczytywałem za najmniejsze moje nieszczęście, uważałem bowiem, że ludzie tym są dziksi i okrutniejsi, im większego są wzrostu. Czegóż oczekiwać mogłem, jak nie tylko tego, że stanę się zakąską pierwszego z wielkoludów, który mnie złapie. Filozofowie mają powody mówić, iż wielkość i małość to rzecz względna. Być może, że Lillipucjanie znajdą naród daleko od siebie drobniejszy niżeli oni w porównaniu ze mną, i kto wie, czy ten ród wielkoludów nie byłby Lilliputem w porównaniu z jakimś innym, któregośmy jeszcze nie odkryli.

Tym myślałem mimo największej twogi się oddając, ledwom nie zginął, bo jeden z żenców przybliżył się o pięć prętów do bruzdy, w której leżałem. Złakłem się, żeby postąpiwszy raz jeszcze nie rozdeptał mnie nogą albo sierpem na dwoje nie przeciął, przeto widząc, że podnosi nogę, zacząłem żałośnie krzyczeć, ile mi tylko w strachu sił stawało. Natychmiast się wielkolud zatrzymał i obejrawszy się pilnie około siebie, a potem w górę i na dół, na koniec mnie postrzegł. Przypatrywał mi się przez niejaki czas z ostrożnością człowieka, który próbuje podnieść małe niebezpieczne zwierzątko, tak żeby go nie ukąsiło albo nie zadrapało, i jak ja sam czasem czyniłem łapiąc w Anglii łasicę. Nareszcie ośmieliwszy się, ujął mnie w pasie kciukiem i palcem wskazującym i podniósł na półtora pręta od oczu, aby się lepiej kształtowi mojemu przypatrzeć. Zgadłem jego myśli i postanowiłem nic się nie sprzeciwiać, chociaż trzymał mnie na wysokości sześćdziesięciu stóp nad ziemią i okrutnie ścisnął uda, obawiając się, żebym mu się z palców nie wysliznął. Ośmieliłem się tylko oczy moje podnieść ku słońcu, złożyć ręce jak do modlitwy i wymówić słów kilka głosem pokornym i smutnym, stosownym do stanu, w którym naówczas byłem, gdyż co moment obawiałem się, żeby mnie o ziemię nie uderzył, jak to czynimy nieraz z małym, szkodliwym zwierzątkiem, które chcemy wygubić. Ale on zdał mi się być kontent z mego głosu i gestu i zaczął mi się przypatrywać jako rzeczy jakiej ciekawej, mocno zdziwiony, że wymawiam słowa, chociaż ich nie mógł zrozumieć.

Ja tymczasem nie mogłem wstrzymać się od jęczenia i wylewania łez i obracając na niego oczy, ile możności dawałem mu poznać, jak bardzo mnie ścisnął swymi palcami. Zdało mi się, że mnie zrozumiał, ponieważ podniósłszy połę swej sukni włożył mnie w nią z lekka i zaraz pobiegł do swego pana, bogatego kmiecia, którego najpierw zobaczyłem na polu.

Kmieć, dowiedziawszy się o mnie (jak dorozumiewać się mogłem) tego, co mu sługa powiedzieć zdołał, wziął małe źdźbło słomy wielkości laski, której do podpierania się używamy, podniósł nim połę mej wierzchniej sukni, pokazując po sobie, jakby ją miał za jakowyś gatunek odzienia, które mi samo przyrodzenie nadało. Dmuchał mi we włosy, aby się lepiej przypatrzeć mojej twarzy. Zwołał swoich parobków i pytał (jak mi potem powiedziano), czy kiedy nie widzieli na polach zwierzątka mnie podobnego. Na koniec położył mnie z wolna na ziemi na czworakach, ale ja natychmiast wstałem i przechadzałem się przed nimi dla pokazania, żem nie miał myśli uciekać. Obsiedli mnie naokoło wszyscy, aby się lepiej moim ruchom przypatrzeć. Zdjąłem kapelusz, pokłoniłem się z największą uniżonością kmieciowi, rzuciłem

się do nóg jego, podniosłem do góry ręce i oczy i wymówiłem wiele słów, jak tylko mogłem najgłośniej. Wyciągnąłem z kieszeni worek pełen złota i z największą uniżonością mu go podałem. Wziął go na dłoń i przypatrywał mu się z bliska, chcąc widzieć, co by to było, a potem wyjąwszy ze swego rękawa szpilkę przewracał go końcem jej na wszystkie strony, ale nie mógł zrozumieć, co by to było. Widząc to dałem mu znak, żeby rękę swoją na ziemi położył, i wzięwszy worek, otworzyłem go i wszystkie pieniądze na ręce mu wysypałem. Było tam sześć poczwórnych pistoletów hiszpańskich, nie licząc dwudziestu lub trzydziestu sztuk mniejszych. Widziałem, jak pośliniwszy palec przyciskał go do największych sztuk i jedną po drugiej podnosił, ale zdawało mi się, że wcale nie rozumiał, co by to było. Dał mi znak, żebym je nazad schował, co wydało mi się najlepsze po daremnych próbach uczynienia mu z nich prezentu.

To wszystko przekonało gospodarza, iż muszę być jakimś stworzeniem obdarzonym rozumem. Często do mnie mówił, lecz głos jego, chociaż z wyraźnych słów złożony, ogłuszał mnie jak gruchotanie młyna wodnego. Jak także jak najgłośniej odpowiadałem różnymi językami, a on trzymał wtedy ucho swoje o pręt ode mnie, ale darmo, nie mogliśmy się zrozumieć. Na koniec odesławszy czeladź swoją do roboty i dobywszy z kieszeni chustkę do nosa złożył ją na dwoje, rozciągnął na ręce lewej, położywszy ją na ziemi, i dał mi znak, żebym w tę chustkę wlał, co łatwo mogłem uczynić, ponieważ ręka jego nie była grubsza nad jedną stopę. Sądziłem, iż trzeba posłuchać, a bojąc się, ażebym nie spadł, rozciągnąłem się jak długi na chustce, w którą mnie obwinał, i tym sposobem do domu zaniósł. Tam zawołał swoją żonę i pokazał mnie jej, lecz ona z przestachu krzyknęła i odskoczyła jak kobiety w Anglii na widok żaby lub pajaka. Gdy jednak po jakimś czasie przypatrzyła się wszystkim moim postępkom i jak pilnie znaki, które dawał mi jej mąż, wypełniałem, straciła prędko odrazę i nawet bardzo dla mnie zrobiła się łaskawą.

Okolo południa jeden ze służących przyniósł jedzenie. Była to potrawa mięsna, do stanu i zatrudnień rolnika stosowna, przyniesiono ją na półmisku, który miał przynajmniej dwadzieścia cztery stopy średnicy. Kmieć, jego żona, troje dzieci i sędziwa babka zasiedli do jedzenia. Gospodarz postawił mnie w niejakej od siebie odległości na stole prawie trzydzieści stóp wysokim. Stałem, jak mogłem najdalej od brzegu, bojąc się, że spadnę. Gospodyni, ukroiwszy kawałek mięsa i pokruszywszy nieco chleba na deskę do siekania, postawiła ją przede mną. Podziękowałem jej z największą pokorą i dobywszy noża i grabków zacząłem jeść, co ich niewymownie bawiło. Gospodyni posłała swoją służącą po mały kieliszek, którego używano do picia likworów, a który ze dwanaście kwart w sobie zawierał, i napełniła mi go napojem. Z wielką trudnością mogłem to naczynie podnieść i w sposób jak najgrzeczniejszy piłem zdrowie jejmości, wymawiając jak najgłośniej słowa po angielsku, z czego tak się kompania śmiała, że mało nie ogłuchłem. Napój był podobny do jablecznika i dosyć przyjemny. Gospodarz dał mi znak, żebym podszedł do jego talerza, ale ja, biegnąc prędko i będąc bardzo zmieszany, potknąłem się o jedną kruszynę chleba i upadłem na twarz, nic sobie złego nie robiwszy. Wstałem natychmiast, a spostrzegłszy, że tych pocziwych ludzi mocno mój przypadek obchodził, wzięłem kapelusz, który trzymałem pod pachą (zgodnie z dobrymi manierami), podrzuciłem go trzy razy nad głową i po trzykroć wykrzyknąłem „hura”, dając im poznać, że mi się nic złego nie stało. Ale gdy szedłem do mego pana (tym go imieniem odtąd będę nazywać), najmłodszy jego syn, jakie może dziesięć lat mający, arcyzłośliwy, pochwycił mnie za nogi i w górę podniósł, tak że się zatrzęsł cały. Ojciec wydarł mnie z jego rąk i zaraz strzelił go w ucho tak silnie, że cały pułk europejskiej jazdy mógłby takim uderzeniem wywrócić; kazał mu też natychmiast pójść od stołu. Ale obawiając się, żeby ten chłopiec nie powziął do mnie urazy – pamiętałem bowiem, jak złośliwi są u nas wszyscy chłopcy względem ptasząt, królików, kociąt i szczeniąt – ukląknąłem przed gospodarzem i pokazując palcem na owego chłopca, dałem do zrozumienia, jak tylko umiałem najwymowniej, że proszę, ażeby

mu darował. Zezwolił na to ojciec i syn powrócił na miejsce swoje. Wtenczas zbliżywszy się pocałowałem go w rękę, którą z kolei ujął mój pan i pogłaskał mnie nią łagodnie.

Podczas obiadu kot, pieszczoch pani, wskoczył na jej podolek. Usłyszawszy za sobą straszny huk, jaki u nas dwunastu pończoszników na warsztatach robi, obróciłem się i ujrzałem, że to kot mruczy. Zdał mi się być trzy razy większy od wołu, jak mogłem sądzić widząc głowę jego i jedną łapę, gdy mu pani jeść dawała. Dzikość zwierza tego niezmiernie mnie przeraziła, choć stałem od niego na jakie pięćdziesiąt stóp i gospodyni mocno go trzymała z obawy, żeby na mnie nie skoczył. Ale nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, bo kot nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, choć pan mój postawił mnie przy nim tylko o półtora pręta. Wiedząc, że najbardziej do napadu pobudza drapieżne zwierzęta, kiedy kto pokazuje, że się ich lęka albo też od nich ucieka, postanowiłem odważnie przed nim stać i bynajmniej nie okazywać po sobie bojaźni. Przechadzałem się przed nim śmiało i zbliżyłem się ku niemu aż do osiemnastu cali. Wtenczas kot ode mnie odskoczył, jakby właśnie on się mnie uląkł. Psów daleko mniej się obawiałem. Trzy albo cztery weszły do pokoju, jak to bywa zwyczajnie w domu kmiecia, był między nimi jeden brytan wielkości czterech naszych słoni i jeden chart, trochę wyższy od brytana, ale nie tak gruby.

Przy końcu obiadu przysłała mamka trzymając na ręku roczne dziecię, które, skoro mnie na stole zobaczyło, zaczęło krzyczeć tak głośno, że zdaniem moim można by je łatwo od Mostu Londyńskiego aż do Chelsea usłyszeć. Dziecko wzięło mnie za lalkę i chciało się mną bawić. Matka, straciwszy cierpliwość, natychmiast mnie wzięła ze stołu i podała dziecięciu, które, pochwycając mnie ręką, zaraz głowę moją włożyło w gębę; lecz ja tak straszliwie zacząłem wrzeszczeć, że przestraszone dziecię mnie upuściło, przy czym głowę bym sobie niezawodnie strzaskał, gdyby matka nie podstawiła swego fartucha, w który wpadłem. Mamka chcąc ukoić niemowlę bawiła je grzechotką, która była rodzajem pustego naczynia, wypełnionego wielkimi kamieniami i przywiązanego na linie do paska dziecka.

A gdy i to nie pomogło, musiała ostatniego użyć sposobu, to jest dać mu ssać. Muszę wyznać, że żaden widok nigdy mi takiej nie sprawił obrzydliwości jak olbrzymia pierś tej mamki, którą nie wiem do czego mógłbym przyrównać, by dać pojęcie czytelnikowi o jej objętości, kształcie, kolorze. Wystawała na sześć stóp i musiała mieć nie mniej szesnastu w obwodzie. Sutka była gruba jak połowa mojej głowy, a skóra jej, podobnie jak i całych piersi, tak była plamami i krostami upstrzona, że nic chyba nie może być bardziej odrażającego. Miałem sposobność oglądać te piersi w bliskości, stojąc na stole, kiedy mamka usiadła dla wygodniejszego karmienia dziecięcia.

Myślałem wtedy o delikatnym ciele naszych dam angielskich, które nam się tylko takim wydaje, będąc w miarę naszego wzroku i wzrostu, lecz szkło, które je powiększa i różne części oczami naszymi nie dojrzane odkrywa, najgładszą i najbielszą płęć niewypowiedzianie brzydką czyni.

Przypominam sobie, że w Lillipucie płęć tych malutkich ludzi wydawała mi się najpiękniejsza na świecie, lecz kiedy rozmawiałem o tym z jednym z tamtejszych uczonych, a moim serdecznym przyjacielem, powiedział mi, że twarz moja, piękna i delikatna, kiedy ją z ziemi ogląda, z bliska okropne na nim czyni wrażenie. W skórze mojej postrzega wielkie dziury, włosy na mej brodzie są dziesięć razy twardsze niż szczecina, a od twarzy mojej pstrego koloru nie ma nic nieprzyjemniejszego, chociaż, niech mi to będzie wolno o sobie powiedzieć, dość jestem biały i uchodziłem w mojej ojczyźnie za człowieka mającego twarz dosyć piękną, a w podróżach bardzo się mało opaliłem.

O damach cesarskiego dworu wcale inne miał od mojego zdanie: jednej twarz wydawała mu się pełna piegów, usta drugiej za wielkie i szerokie, innej nos długi i gruby, czego ja znów nie mogłem w żaden sposób dostrzec. Nie chciałem tych uwag pominąć, choć zbytnimi się mogą wydawać, ażeby łaskawy czytelnik nie powziął mniemania, iż olbrzymi ten naród jest

istotnie brzydki; przeciwnie, wcale jest nadobny, a rysy mojego pana, który był rolnikiem jeno, wydawały mi się, w odległości sześćdziesięciu stóp, proporcjonalne i kształtne.

Po obiedzie pan mój poszedł do swoich robotników i jak ze słów jego i znaków pomiarować mogłem, zalecił swej żonie, ażeby wielkie o mnie miała staranie. Byłem mocno zmordowany i bardzo mi spać się chciało, co pani moja spostrzegłszy, położyła mnie na swoim łóżku i przykryła chustką białą, ale nierównie obszerniejszą i grubszą aniżeli główny żagiel okrętu wojennego. Spałem przez dwie godziny i zdawało mi się we śnie, że jestem u siebie z żoną i z dziećmi, co powiększyło mój smutek, gdy obudziwszy się ze snu spostrzegłem, że jestem sam jeden w obszernej izbie, na dwieście lub trzysta stóp szerokiej, a na jakie dwieście wysokiej, i leżę w łóżku szerokim na dziesięć prętów. Moja pani wyszła do swych domowych zatrudnień i zamknęła mnie na klucz. Łóżko było wysokie na cztery pręty. Naturalna potrzeba nagliła mnie do zejścia. Nie śmiałem wołać, a choćbym i wołał, cóż by mi to pomogło? Kuchnia, gdzie się znajdowali służący, była dla mojego słabego głosu zbyt daleko. W tym przykrym położeniu dwa szczury wlażyły po firankach i zaczęły biegać po pokoju. Jeden zbliżył się do mojej twarzy, czym przestraszony porwałem się i dobywszy szpady bronić się zacząłem. Straszne bestie natarły na mnie z obu stron, jeden już nawet ciągnął mnie za kołnierz, lecz mu rozplątałem brzuch i padł martwy u nóg moich. Drugi, widząc los towarzysza, uciekł, lecz zdołałem go jeszcze zranić w grzbiet, tak że podłogę krwią zboczył. Po tym zwycięstwie przechadzałem się trochę po łóżku dla odpoczynku i ochłonięcia ze strachu. Zwierzęta te były wielkości najroślejszych brytanów, ale daleko żywsze i zjadliwsze, tak że gdybym idąc spać odpaśł szpadę, niechybnie zostałbym przez nie pożarty. Zmierzyłem ogon zabitego szczura. Miał dwa łokcie bez jednego cala. Z wielkiego obrzydzenia nie mogłem tej padliny dotknąć i wyrzucić z łóżka, które krwią zboczył, a postrzegłszy, że ten, którego śmiertelnie zraniłem, jeszcze cokolwiek oddycha, dobiłem go mocnym cięciem w gardło.

Wkrótce potem weszła do izby pani moja, a widząc mnie całego skrwawionego, przybiegła i na rękę wzięła. Ja, pokazawszy jej zabitego szczura, uśmiechem i innymi znakami dałem poznać, że nie byłem zraniony, z czego się niewymownie ucieszyła i zawołała służącą, by szczypcami wyrzuciła zabitego szczura przez okno. Kiedy posadziła mnie na stole, pokazałem jej moją szpadę we krwi, wytarłem ją o połę mej kurty i schowałem do pochwy. Odczuwałem gwałtowną potrzebę, której nikt inny za mnie wykonać nie mógł i usiłowałem dać jej poznać, aby mnie na ziemię zsadziła, co też uczyniła; ale skromność moja nie pozwalała mi tłumaczyć się inaczej, jak wskazując palcem drzwi i często się kłaniając. Pocziwa kobieta, domyśliwszy się, o co mi chodzi, wzięła mnie na rękę i wyszedłszy ze mną do ogrodu postawiła na ziemię. Oddaliłem się od niej na jakie sto prętów i dając jej znak, żeby nie patrzyła, skrywszy się między dwa liście szczawiu, zrobiłem to, czego się domyślić możesz.

Łaskawy czytelnik wybaczy, że się zatrzymuję nad szczegółami na pierwszy rzut oka niewielkiej wagi, lecz pospolity tylko człowiek za czcze i niepotrzebne uznać je może; dla filozofa będą one wielką pomocą do rozszerzenia myśli i wyobraźni ku polepszeniu społeczeństwa. Było to też głównym moim zamiarem przy wydawaniu mych podróży. Unikałem wszelkich upiększeń, tak co do języka, jak i naukowości, i tylko prawdę najściślej miałem na celu.

Podróż ta tak wielkie i głębokie na mnie zrobiła wrażenie, że opisując ją, nic prawie nie opuściłem. Przy przejrzeniu jednak rękopisu wykreśliłem niektóre miejsca z obawy, aby drobniawością nie znudzić lub nie rozśmieszyć czytelnika, co niektórym podróżnikom można słusznie zarzucić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Portret córki kmiecia. Gulliwer zaprowadzony do miasta jarmarcznego, a stamtąd do stolicy. Opisanie tej podróży.

Pani moja miała jedną dziesięcioletnią córeczkę, dziecko na swój wiek arcydowcipne, gdyż z wielką już zręcznością umiało igłą robić i swoją lalkę jak najładniej ubierać. Przyszło jej wraz z matką na myśl narządzić mi posłanie w kolebce jej lalki. Kolebkę tę włożono do małej szuflady z szafy i przymocowano do wiszącej tarcicy dla zabezpieczenia mnie przed szczurami; było to moje łóżko przez cały czas przebywania u tych pocziwych ludzi, a było coraz wygodniejsze, w miarę jak przywykałem do nich, uczyłem się ich języka i zaczęli mnie rozumieć. Dziewczynka tak była pojętna, że kiedy raz czy dwa rozebrałem się i ubrałem w jej oczach, umiała, kiedy się jej podobało, ubrać mnie i rozebrać, na co jej pozwalałem, tylko chcąc jej być posłusznym. Zrobiła mi sześć koszul i inną bieliznę z najcieńszego płótna, jakie można było dostać, które jednak grubsze było niżeli płótno żaglowe. Bieliznę moją zawsze sama prała. Praczką moja była mi także nauczycielką języka. Kiedy na jaką rzecz pokazałem palcem, ona mi zaraz powiedziała nazwę tego, tak że w krótkim czasie umiałem prosić prawie o wszystko, czego tylko potrzebowałem. Naturę miała niewypowiedzianie dobrą. Wzrost jej nie przenosił czterdziestu stóp, była trochę mała na swoje lata. Dała mi imię Grildrig, które przejęła cała jej rodzina, a potem całe królestwo. Słowo to oznacza to samo co w języku łacińskim *nanunculus*, we włoskim *homunculetino*, w angielskim *mannikin*, w polskim karzeleczek. Jej winieniem ocalenie moje w tym kraju, zawsześmy oboje byli razem, nazywałem ją Glumdalclitch, czyli malutką piastunką, i byłbym winowajcą szkaradnej niewdzięczności, gdybym kiedy zapomniał jej starań i przywiązania. Pragnąłbym z całego serca odwdziżyć się za wyświadczone mi przez nią dobrodziejstwa, a tymczasem stałem się, czego się bardzo obawiam, niezawinioną przyczyną jej nieszczęścia.

Rozgłosiło się wtedy po całym kraju, że pan mój znalazł na polu jedno malutkie zwierzątko, tej prawie wielkości co splacknuc³, ale mające postać ludzką, że to zwierzątko naśladuje człowieka we wszystkich swoich czynnościach i zdaje się mówić jakimś językiem sobie właściwym, że już nauczyło się wielu słów, że chodzi prosto na dwóch nogach, jest spokojne i łagodne, idzie, gdy je zawołają, czyni, co tylko mu każą, członki ma delikatne, płęć bielszą i piękniejszą niżeli najlepszego urodzenia trzyletnia dziewczynka. Jeden kmieć, sąsiad i przyjaciel mego pana, odwiedził go umyślnie dla dowiedzenia się o prawdzie rozsianej pogłoski.

³ Neologizm Swifta, który wszedł do języka angielskiego na oznaczenie dziwnego zwierzątka lub osoby (przyp.red.).

Przyprowadzono mnie i postawiono na stole, po którym chodziłem, jak mi kazano. Dobyłem mej szpady i znowu ją do pochwy włożyłem. Ukłoniłem się przyjacielowi pana mego, spytałem w jego języku, jak się ma, i powiedziałem komplement z okazji jego przybycia, wszystko podług nauki mojej malutkiej nauczycielki. Ten człowiek, mając wzrok sędziwością osłabiony, dla przypatrzenia mi się lepiej włożył na nos okulary, z czego nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, gdyż oczy jego, szklami powiększone, wydawały mi się jak dwa księżycy w pełni, zagładające do pokoju o dwu oknach. Czeladź, postrzegłszy przyczynę mej wesołości, także śmiać się zaczęła, co starca tego niewypowiedzianie rozgniewało. Miał minę starego skapca, z czym się aż nadto wydał, dając panu memu podłą radę, aby mnie pokazywać za pieniądze na jarmarku w sąsiednim mieście, odległym o jakie pół godziny konnej jazdy, czyli o dwadzieścia dwie mile od naszego domu. Domyśliłem się, że coś ze mną chcą zrobić, gdy postrzegłem, iż pan mój z przyjacielem swoim przez długi czas po cichu gadali, niekiedy palcem wskazując na mnie, a w strachu mym sądziłem, że dosłyszałem i zrozumiałem niektóre ich słowa.

Nazajutrz rano Glumdalclitch, moja malutka pani, opowiedziała mi całą sprawę, o której się od matki chytrze dowiedziała. Biedne dziewczę, przycisnąwszy mnie do piersi, nie mogło się od łez utulić ze wstydu i żalu. Obawiała się, żeby mi się co złego nie stało, żeby mię nie stłukli, nie skaleczyli i nie wyłamali członków grubianie, którzy mnie będą oglądać ujawszy w ręce. A jako postrzegła we mnie wrodzoną skromność i wielką delikatność we wszystkim, co się tyczy honoru, ubolewała, że miałem być wystawiony za pieniądze na bawienie ciekawości najpodlejszego pospólstwa. Mówiła, że tatuleńko i matuleńka przyrzekli jej, iż Grildrig do niej należeć będzie, ale że poznała dobrze, iż ją oszukują, jak oszukano w roku przeszłym, kiedy niby jej darowano baranka, a jak tylko się upasł, sprzedano go jednemu rzeźnikowi. Co do mnie, daleko się mniej smuciłem niż moja malutka pani. Powziąłem wielką nadzieję, w której zawsze trwałem, że odzyskam jeszcze wolność, co zaś do obelgi, że będę pokazywany jak jakiś dziwotwór, pocieszałem się myślą, że jestem w kraju tym zupełnie obcy i nikt mi po powrocie do Anglii nie wyrzuci, że splamiłem honor, gdyż sam król Wielkiej Brytanii, jeśliby się w podobnym znajdował stanie, tegoż by doznał losu.

Pan mój podług rady swego przyjaciela wsadził mnie w pudełko i w dzień najbliższego jarmarku poprowadził do miasta z córką swoją. Pudło zewsząd było zamknięte i tylko w nim kilka dziur przewiercono dla przechodu powietrza, posiadało też małe drzwi, przez które wchodzić i wychodzić mogłem. Dziewczynka pamiętała, aby podesłać pode mnie pierzynę z łóżka swej lalki, jednakowoż straszne wycierpiałem rzucania i trzęsienia w tej podróży, choć nie trwała więcej nad pół godziny. Koń za każdym stąpieniem czynił około czterdziestu stóp, a kłusował tak wysoko, że największa burza na morzu większych wstrząsów nie sprawia. Droga trochę dłuższa była jak z Londynu do St. Albans. Pan mój zatrzymał się w jednej oberży, do której miał zwyczaj wstępować, i naradziwszy się z gospodarzem, i potrzebne przygotowania poczyniwszy najął grultruda, czyli wywoływacza, ażeby obwołał po całym mieście, że w oberży pod znakiem „Zielonego Orła” będzie pokazywane zwierzę cudzoziemskie, mniejsze niżeli splacknuck (najdrobniejsze zwierzątko w tym kraju, mające sześć stóp długości), podobne we wszystkim do człowieka, które może wiele słów wymawiać i niezliczone dowcipne sztuki pokazywać.

Postawiono mnie na stole w oberży, w największej sali, która miała powierzchnię przynajmniej stóp trzysta, a malutka moja pani stała na stołku dla pilnowania mnie i nauczania, co trzeba było czynić. Pan mój, unikając zamieszania i tłumu, nie wpuszczał naraz więcej niż trzydzieści osób do sali. Przechadzałem się tam i sam po stole podług rozkazu dziewczyny. Zadawała mi wielorakie pytania, o których wiedziała, że nie były nad moje siły i umiejętności, a ja odpowiadałem, jak tylko mogłem najgłośniejsze. Często obracałem się do widzów i tyśiączne im czyniłem ukłony, wygłaszając mowy, których mnie nauczono. Wziąłem jeden naparstek pełen wina, który mi Glumdaiclitch podała zamiast kielicha, i wypilem ich zdrowie. Dobyłem szpady i szermowałem nią jak fehmistrze w Anglii. Dziewczyna podała mi słomkę, którą

robiłem jak pika, nauczywszy się tej sztuki w młodości. Tego dnia byłem pokazywany dwanaście razy i musiałem zawsze toż samo powtarzać, tak że prawie konałem z trudu, przykrości i nudności.

Ci, co mnie widzieli, tak dziwne wszędy wieści porozglaszali, że pospólstwo, ażeby mnie oglądać, chciało drzwi wyłamać. Pan mój, mając na oku swój własny pożytek, nie chciał pozwolić, żeby mnie kto dotykał oprócz córki swojej, a dla uniknięcia wszelkiego przypadku postawiono ławy naokoło stołu w takiej odległości, aby mnie żaden widz nie mógł dosięgnąć. Ale i tak jeden złośliwy uczeń rzucił włoskim orzechem w głowę moją tak silnie, że gdyby nie chybił, zapewne by mi zgruchotał czaszkę, bo orzech był taki wielki jak średni melon. Miałem tylko to ukontentowanie, że studencika obito przykładnie i ze wstydem wyrzucono z sali.

Pan mój kazał obwieścić, że na następnym jarmarku będzie miał honor znowu mnie pokazywać. Tymczasem kazał zrobić dla mnie wygodniejsze pudełko, bo pierwsza podróż i widowisko, którem dawał przez osiem godzin, tak mnie osłabiły, że nie mogłem się na nogach utrzymać i prawie ze wszystkim głos straciłem. Po trzech dniach dopiero przyszedłem cokolwiek do siebie, ale we własnym nawet mieszkaniu nie miałem spokoju, bo znaczniejsi panowie, do których sława moja z odległości stu mil doszła, przyjeżdżali i przychodzili, aby odwiedzić mnie w domu pana mego. Nieraz było w izbie nie mniej niż trzydzieści osób z żonami i dziećmi (ponieważ kraj ten bardzo jest ludny), a od każdej takiej rodziny brał mój pan zapłatę jakby za pełną salę. Przez cały ten czas nie miałem prawie odpoczynku (z wyjątkiem środy, która jest u nich niedzielą), chociaż do miasta mnie nie wożono.

Mój pan, widząc, jak wielkie dla niego mogę przynosić zyski, umyślił pokazywać mnie w największych miastach królestwa. Opatrzywszy się więc we wszystkie potrzeby na podróż długą, zarządziwszy interesami domowymi i pożegnawszy żonę, dnia siedemnastego sierpnia roku 1703, około dwóch miesięcy po moim przybyciu, wyjechaliśmy do miasta stołecznego. Było ono prawie w samym środku państwa, o jakie trzy tysiące mil od mieszkania naszego. Pan mój córkę swoją umieścił na koniu za sobą. Wiozła mnie ona na swym łonie w pudle przywiązany do paska. Dziewczynka z wielką troskliwością wyłożyła ściany najmniejszym sukniem, jakie tylko dostać mogła, włożyła do pudełka łóżeczko dla lalki i wszystko, co potrzebne. Mieliliśmy też ze sobą chłopca, który z pakunkami za nami jechał. Pan mój zamierzał pokazywać mnie po wszystkich miastach, miasteczkach, wsiach znaczniejszych, a nawet dworach szlacheckich, które niedaleko były z drogi. Jechaliśmy z wolna, po sto czterdzieści albo po sto sześćdziesiąt mil na dzień, gdyż Glumdalclitch dla uchronienia mnie od zbyt wielkich trudów uskarżała się często, że jazdy konnej znieść nie może. Czasem na moją prośbę wyjmowała mnie z pudełka dla zażycia wolnego powietrza i widzenia kraju, przy czym zawsze trzymała mnie mocno na postronku. Przejechaliśmy przez pięć czy sześć rzek daleko szerszych i głębszych niżeli Nil i Ganges, nie było żadnego potoku, który by nie był większy od Tamizy, kędy jest Most Londyński. Przepędziliśmy w podróży dziesięć tygodni i byłem pokazywany w osiemnastu wielkich miastach, nie licząc wielu miasteczek i prywatnych domostw.

Dnia dwudziestego szóstego października przybyliśmy do stolicy, zwanej w ich języku Lorbrulgrad, czyli Duma Świata. Pan mój najął pokoje na głównej ulicy, niedaleko pałacu królewskiego, i rozlepił podług zwyczaju afisze, zawierające opisanie osoby i przymiotów moich. Najął bardzo wielką salę na trzysta lub czterysta stóp szeroką, gdzie postawił stół, mający sześćdziesiąt stóp średnicy, z poręczą naokoło, o trzy stopy od krawędzi odległą i na tyleż wysoką, ażeby nie spadł.

Na tym stole pokazywano mnie po razy dziesięć na dzień z wielkim podziwieniem i ukontentowaniem wszystkiego ludu. Już nieźle naówczas znałem ich język i rozumiałem, co do mnie mówiono, nadto nauczyłem się abecadła i mogłem, choć z trudem, przetłumaczyć czasami jakieś zdanie, bo Glumdalclitch dawała mi lekcje i w domu swego ojca, i w wolne godziny w podróży. Nosila w kieszeni książeczkę, mało co większą niż atlas Sansona, umyślnie ułożoną dla młodych panienek, która zawierała coś w rodzaju katechizmu. Na tej książeczce uczyła mnie czytać i tłumaczyła słowa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gulliwer wezwany jest do dworu. Królowa kupuje go i prezentuje Królowi. Wchodzi w dysputę z mędrkami Jego Królewskiej Mości. Gotują mu pokoje. Zostaje faworytem Królowej. Broni honoru swego kraju. Kłóci się z karłem Królowej.

Pracę i trudy, które codziennie podejmować musiałem, wielką w zdrowiu moim uczyniły odmianę, im więcej bowiem pan mój zarabiał, tym bardziej stawał się nienasycony. Straciłem zupełnie apetyt i została ze mnie tylko skóra i kości. Postrzegł to mój pan, a rozumiejąc, że wkrótce umrę, usiłował co tylko można, z pokazywania mnie wyciągnąć. Gdy tak rozmyślał, przyszedł *slardral*, czyli szambelan królewski, z rozkazem do mego pana, aby niezwłocznie szedł ze mną do dworu dla zabawienia Królowej i wszystkich jej dam. Niektóre z tych dam już mnie widziały i dziwnych rzeczy naopowiadały o moim wzroście drobniuchnym, trzymaniu się przyjemnym i dowcipie arcydelikatnym. Królowa Jejmość z całym dworem swoim niewypowiedzianie sztukami mymi została ukontentowana. Ukłękawszy prosiłem, żebym miał honor ucałować nogi królewskie, ale ta łaskawa pani podała mi do pocałowania swój mały palec (po usadowieniu mnie na stole), który ja wzięwszy w obydwie ręce z największym uszanowaniem jego koniuszek do ust moich przytuliłem. Pytała mnie o moją ojczyznę i podróże, na co, ile możliwości, krótko i jasno odpowiedziałem. Pytała mnie znowu, czybym sobie nie życzył zostać na zawsze u dworu; pokłoniłem się aż do blatu stołu, na którym stałem, i pokornie rzekłem, że jestem niewolnikiem mego pana, ale jeśliby to ode mnie tylko zależało, miałbym za największe szczęście poświęcić życie moje na usługi Jej Królewskiej Mości. Spytała potem pana mego, czyby mnie nie zechciał sprzedać za dobrą zapłatę. Ten, sądząc, że nie pociągnę i miesiąca, kontent był z tej okoliczności i zażądał za mnie tysiąc sztuk złota, które mu natychmiast wyliczono. Każda sztuka była wielkości ośmiuset luidorów. W proporcji jednak do wielkości wszystkiego i wielkiej ceny złota w tym kraju, owa ogromna suma odpowiadała zaledwie tysiącowi gwinei w Anglii. Wtenczas powiedziałem Królowej, że ponieważ zostałem pokornym Jej Królewskiej Mości niewolnikiem, proszę o tę łaskę, żeby Glumdalclitch, która zawsze miała o mnie tak wiele starania i pieczołowitości, miała także honor zostawania w służbie Królowej i nadal była moją piastunką. Pozwoliła na to Królowa i z łatwością uzyskała zgodę gospodarza, który kontent był, że córka jego zostanie na dworze. Biedna dziewczyna nie mogła ukryć swojej radości. Odchodząc pan mój powiedział, że mnie w dobrym zostawia miejscu, na co mu tylko zimnym ukłonem odpowiedziałem.

Królowa, spostrzegłszy oziębłość w pożegnaniu moim z pierwszym panem, spytała o przyczynę. Ośmieliłem się powiedzieć Królowej, że mogłem mu być tylko za to wdzięczny,

iż znalazłszy mnie przypadkiem na polu, nie rozdeptał jak jakie liche stworzenie, że to dobrodziejstwo sownie sobie wynagrodził pokazując mnie za pieniądze i sprzedając za sumę, którą mu wyliczono, że twarde życie, jakie prowadziłem, zabiłoby stworzenie dziesięćkroć ode mnie silniejsze, że zdrowie moje znacznie zostało nadwreżone przez niewolę i obowiązek bawienia co godzina najpospolitszego ludu, że jedynie z obawy, abym wkrótce nie umarł, za tak umiarkowaną cenę mnie sprzedał.

„Lecz teraz – mówiłem – zostając pod protekcją Królowej, tak wielkiej i tak dobrej, ozdoby natury, podziwienia świata, rozkoszy jej poddanych, feniksa między stworzeniami, spodziewam się, że bojaźń dotychczasowego pana mego o moje życie będzie próżna, ponieważ już czuję się zdrowszy i nowe siły we mnie wstąpiły przez wpływ jej prześwietnej przytomności”.

Taka była moja rozmowa, w której często zaczynałem się i wiele omyłek w języku czyniłem. Ostatnia jej część odpowiadała sposobowi mówienia tego ludu, którego nauczyłem się od Glumdalclitch, kiedy prowadziła mnie do dworu. Królowa, przebacząc przez dobroć swoją omyłkom języka, zadziwiła się widząc taki dowcip i rozum w stworzeniu tak małym. Wzięła mnie na ręce swoje i zaniósła do Króla, który naówczas znajdował się w swoim gabinecie. Król Jegomość, pan bardzo poważny i twarzy posępnej, nie dojrawszy na pierwszy rzut oka mojej postaci, spytał oziębłe Królowej, od jak dawna tyle we mnie znajduje upodobania. (Wziął mnie bowiem za robaczka, kiedy leżałem wyciągnięty jak długi na prawej dłoni Jej Królewskiej Mości). Ale Królowa, mając wielki dowcip, postawiła mnie łagodnie na królewskim stoliku do pisania i rozkazała, abym powiedział Królowi, kim jestem. Opowiedziałem w krótkich słowach, a Glumdalclitch, która została przed drzwiami gabinetu, nie mogąc dłużej znieść mojej nieobecności weszła i powiedziała Królowi, co się zdarzyło ze mną w domu jej ojca od czasu znalezienia mnie na polu.

Król tak mądry jak nikt inny w królestwie, wychowany na filozofii, a zwłaszcza na matematyce, przypatrzwszy się, jak chodzę wyprostowany, nim jeszcze zacząłem mówić, sądził, że jestem sztuczną machiną, jak kołowrot albo zegarek jaki osobliwszy, przez doskonałego rzemieślnika wynaleziony i zrobiony (mechanika bowiem do wielkiego stopnia doskonałości doszła w tym kraju). Lecz gdy usłyszał mój głos i widział w mowie mojej rozum, nie mógł w sobie ukryć podziwienia. Opowiadanie moje, jakim sposobem dostałem się do kraju, zdawało mu się zmyślane przez pana mego i Glumdalclitch, aby mnie za wyższą cenę sprzedać. Zadawał mi różne pytania, na które mu do rzeczy odpowiadałem, wyjąwszy cudzoziemską wymowę, niektóre błędy i wyrażenia chłopskie, których się w domu gospodarza mego nauczyłem, a które nie pasowały wcale do języka dworskiego.

Posłał po trzech sławnych mędrców, mieszkających naówczas przy dworze i odprawujących tygodniową służbę podług panującego w tym państwie zwyczaju. Ci ichmoście, przypatrzwszy się dokładnie mojej osobie, różnie względem mnie rozumowali. Wszyscy się zgodzili, że nie mogłem zostać stworzony podług zwyczajnych ustaw natury, ponieważ ogołocony byłem z władzy przyrodzonej zachowania się przy życiu bądź przez szybkość, bądź przez łatwość drapania się na drzewo, bądź przez sposobność kopania jam w ziemi. Przypatrując się zaś przez czas długi zębom moim, wnosili, że jestem zwierzęciem mięsożernym. Ale ponieważ wszystkie zwierzęta silniejsze są ode mnie, a myszy polne i tym podobne stworzenia zbyt zręczne, by stały się mym łupem, nie mogli dojść, z czego żyję, chyba że jem ślimaki i różne owady; że zaś to ostatnie być nie może, podjęli się wszyscy trzej nader uczonymi wywodami tego dokazać.

Jeden spomiędzy tych filozofów wyrwał się ze zdaniem, iż byłem zarodkiem lub nie doznaczonym płodem, ale to mniemanie odrzucili dwaj drudzy, którzy uważali, że części ciała mego są doskonałe i dojrzałe i że wiele lat żyłem, co poznać z mojej brody, na której przez szkło powiększające było widać włosy. Nie chciano przyznać, że byłem karłem, ponieważ małość moja była bez porównania. Karzeł bowiem, faworyt Królowej, najmniejszy, jakiego tylko

widziano w tym królestwie, miał prawie trzydzieści stóp wysokości. Po długich sprzeczkach zgodzono się na koniec, że był *relplum scalcatch*, co tłumacząc dosłownie znaczy: igraszka natury. Ta decyzja odpowiada najzupełniej teraźniejszej filozofii europejskiej, której profesorowie, gardząc występowaniem ukrytych przyczyn, pod których zasłoną naśladowcy Arystotelesa usiłowali ukryć swoją niewiedzę, wynaleźli to cudowne rozwiązanie wszystkich trudności, ku wielkiemu postępowi w umiejętności ludzkiej!

Po tej ostatniej decyzji błagałem, by mi kilka słów powiedzieć dozwolono. Obracając moją do Króla Jegomości, upewniłem, że przybyłem z kraju, w którym znajduje się wiele milionów ludzi płci obojga gatunku mego, w którym zwierzęta, drzewa i domy są na miarę mojego wzrostu, w którym przeto mogę bronić się i znajdować pożywienie jak każdy poddany Jego Królewskiej Mości. Na tę odpowiedź, uśmiechając się z przekąsem, rzekli filozofowie, że się dobrze lekcji u mego gospodarza nauczyłem. Król, który miał rozum nierównie bardziej oświecony, odprawił mędrców i posłał szukać kmiecia, który szczęściem nie wyjechał jeszcze z miasta. Wypytawszy się go zaraz na osobności, a potem porównawszy jego odpowiedź z tym, co słyszał ode mnie i od jego córki, zaczął wierzyć, iż to, co mi powiadałem, mogło być prawdą. Prosił Królowej, aby zaleciła mieć o mnie wielkie staranie, i był zdania, żeby zostawić mnie pod dozorem Glumdalclitch, widząc, jak jesteśmy do siebie przywiązani.

Urządzono dla niej wygodne w pałacu mieszkanie, przyjęto guwernantkę, pokojówkę i dwie służące do jej usług, ja zaś wyłącznie jej staraniom zostałem powierzony.

Królowa dała rozkaz nadwornemu stolarzowi, ażeby podług wzoru, przeze mnie i Glumdalclitch przedłożonego, zrobił pudło mające mi służyć za sypialnię. Z największą biegłością wykonał dane sobie zlecenie, sporządziwszy mi w przeciągu trzech niedziel drewniany pokój, szesnaście stóp kwadratowych powierzchni, a dwanaście stóp wysokości mający, z oknami, drzwiami i dwoma przybocznymi gabinecikami, wielkości zwyczajnej sypialni w Londynie. Powala była tak kunsztownie zrobiona, że można ją było odemknąć. Tym sposobem mogła Glumdalclitch co dzień wyjąć moje łóżko, a usławszy je, nazad włożyć i powalę znowu nade mną zamknąć. Ściany, podłoga i sufit były jak najwykwintniej i najwygodniej przez tapicera Królowej obite, ażeby przez niezręczność nosicieli lub trzęsienie powozu nie został uszkodzony. Stolarz jeden, bardzo biegły w sporządzaniu najdrobniejszych bawidełek, zrobił dla mnie dwa krzesła z materiału do kości słoniowej podobnego, jako też dwa stoły i szafę dla rzeczy. Prosiłem też o zamek do drzwi, ażeby i szczury, i myszy nie mogły wejść do środka. Po wielu próbach zrobił mi ślusarz zamek tak mały, jakiego w tym kraju dotychczas jeszcze nie oglądano, ja zaś widziałem większy tylko u bramy jednego pałacu londyńskiego. Klucz postanowiłem nosić przy sobie z obawy, że Glumdalclitch może go zgubić. Królowa kazała mi sprawić odzież z najdelikatniejszego jedwabiu, niewiele grubszego od angielskiego koca. Z początku odzież ta była mi nieznośna i dużo później z ledwością mogłem się do niej przyzwyczaić. Krój sukien był podług najnowszej mody krajowej, mieszaniny chińskiej z perską, w ogóle był to jednak ubiór przystojny i poważny.

Królowa tak sobie upodobała moje towarzystwo, że beze mnie nawet obiadować nie mogła. Stół i krzesło dla mnie umieszczono na stole, przy którym Jej Królewska Mość siedziała. Glumdalclitch stała też na stołku około stołu i dawała baczność na mnie. Miałem kompletny serwis srebrny, zawierający wszystkie naczynia i narzędzia do jedzenia, które w porównaniu z narzędziami przez Królową używanymi wydawały się jak cacka dla dzieci. Cały ten serwis nosiła Glumdalclitch w kieszeni, w srebrnym pudełku, i wyjmowała na moje żądanie, a zawsze go sama czyściła. Z Królową obiadowały razem tylko księżniczki, jej córki: jedna mająca lat blisko szesnaście, druga - trzynaście i jeden miesiąc. Królowa sama kładła mi zawsze kawałek mięsa na mój talerz, z którego odcinałem sobie skrawek. Królową i księżniczki niezmiernie bawiło, kiedy oglądały taką miniaturę jedzenia. Każdy kęs Królowej (a miała najdelikatniejszy żołądek) był tak ogromny, że dwunastu angielskich dzierżawców nie dałoby mu

radę, co z początku wielką odrazę we mnie wzbudzało. Całe skrzydło skowronka, kość i mięso, zjadała, chociaż ptak był dziewięć razy większy od naszego tuczonego indyka. Wkładała do ust kawałek chleba tak duży jak dwa bochenki dwunastopensowe i wychylała jednym łykiem złoty puchar wielkości sporej beczułki. Nóż jej był dwa razy większy od wyprostowanej kosi, widelce i inne narzędzia były też proporcjonalnej wielkości. Piastunka moja zaniósła mnie raz do pokoju, gdzie obiadowali dworzanie, i wyznać muszę, że widok mnóstwa noży i widelców w ruchu wielką trwogą mnie przejął.

W każdą środę, która u nich niedzielę stanowi, Król, Królowa i cała familia królewska obiadowali w pokojach Króla, który, upodobawszy mnie sobie, rozkazał, ażeby stół mój i krzesło stawiano obok niego na stole, koło solniczki. Lubił rozmawiać ze mną, dowiadywać się o obyczajach, religii, prawach, rządzie i naukach w Europie, a ja, ile możliwości, starałem się odpowiadać jak najlepiej. Rozum jego był tak jasny, rozsądek tak przenikający, że na wszystko, co ode mnie usłyszał, arcyrozumne dawał uwagi. Lecz muszę wyznać, że gdym razu jednego zanadto szczegółowo mówił o mojej kochanej ojczyźnie, o naszym handlu, naszych wojnach lądowych i morskich, sporach religijnych i politycznych partiach. Król, przesądami swej edukacji przejęty, wziął mnie w jedną rękę, a drugą łagodnie uderzywszy spytał, śmiejąc się, czy jestem wig, czy torys? Obrócił się potem do pierwszego ministra, który stał za nim, trzymając w ręku białą laskę, prawie tak wielką jak główny maszt angielskiego wojennego okrętu „Royal Sovereign”, i rzekł:

– Jakże wielkość ludzka jest marna, kiedy tak liche robaczki mogą ją naśladować; i oni mają zapewne swoje rangi i tytuły, swoje gniazda i jamki królicze, które pałacami i miastami nazywają; mają jak i my ekwipaże, liberie, dostojęństwa i urzędy, którymi się szczycą. I u nich, równie jak u nas, kochają, walczą, kłócą się, oszukują i zdradzają.

Tak filozofował nad tym, co mu o Anglii opowiadałem. Błędem i czerwieniem się z oburzenia, widząc moją kochaną ojczyznę, mistrzynię nauk, panią morza, plagę Francji, wzór Europy, siedlisko cnoty, pobożności, honoru i prawdy, przedmiot dumy i zazdrości świata, tak wzgardliwie potraktowaną i najdotkliwiej obrażaną.

Zemścić się, gdybym nawet chciał, nie mogłem i po namyśle zacząłem wątpić, czym został obrażony. Przepędziwszy bowiem niejaki czas między tymi ludźmi, tak się do nich przyzwyczaiłem, że na koniec wszystkie przedmioty, które widziałem, wydawały mi się proporcjonalne i żadnego nieprzyjemnego wrażenia nie sprawiały z powodu swej wielkości. I zdaje mi się, że gdybym wtedy ujrzał towarzystwo lordów i dam angielskich w ich wykwinnych strojach, rozmawiających ze sobą, komplementujących się i pyszniących jak doskonali dworacy, śmiałbym się z nich, tak jak Król i jego świta śmiali się ze mnie. Często nawet, gdy mnie Królowa wzięła na rękę i przed zwierciadłem trzymała, z siebie samego śmiać się musiałem, bo nie było nic śmieszniejszego nad porównywanie naszych postaci, tak że mi się zdało, iż ciało moje istotnie się skurczyło.

Nikt mnie jednak tak nie gniewał i nie martwił jak karzeł Królowej, który, będąc najmniejszego wzrostu w tym kraju (przypuszczam, że miał jakieś trzydzieści stóp), skoro zobaczył jeszcze mniejszego od siebie, stał się niezmiernie zuchwały. Obchodził się ze mną z największą pogardą i zawsze, kiedy mnie widział na stole, jak rozmawiałem z panami i damami dworu, szydził z mojej drobnej figury. Mściłem się na nim nazywając go bratem, wyzywając do pasowania się ze mną lub dając mu uszczypliwe odpowiedzi, jak to służalcy dworu czynić zwykli. Jednego dnia tak go na siebie rozgniewałem, że wdrapawszy się na poręcz krzesła Królowej porwał mnie wpół, kiedym się niczego nie spodziewał, wrzucił w miskę śmietany i uciekł. Utonąłbym niezawodnie, gdybym nie był doskonałym pływakiem, bo aż po uszy się zanurzyłem.

Glumdalclitch była na drugim końcu sali, a Królowa tak ze strachu przytomność straciła, że nie mogła mnie ratować. Na krzyki moje piastunka przybiegła i wyciągnęła mnie z miski, gdzie z kwartę śmietany połknąłem.

Zaniesiono mnie do łóżka, lecz żadnej mi ta kąpiel nie sprawiła szkody, tylko ubiór mój kompletnie został zepsuty. Karła za to dobrze oćwiczono i musiał wszystką śmietanę wypić, do której mnie wrzucił. Stracił też łaskę Królowej, która go podarowała jednej damie dworskiej, co mnie mocno ucieszyło, bo pierwszej czy później złośliwy stwór zemściłby się na mnie strasznie.

Już i przedtem przysłużył mi się dobrą sztuczką, z której Królowa serdecznie się uśmieła, choć za to jeszcze surowsza spotkałaby go kara, gdybym za nim nie był prosił. Królowa miała na swym talerzu wielką kość, z której szpik wyjąwszy, znowu ją na półmisek położyła, otworem do góry. Karzeł zobaczywszy to skorzystał z nieobecności mojej piastunki, wskoczył na stół, porwał mnie, nogi mocno mi przycisnął i wepchnął mnie aż po pas w otwór tej kości. Siedziałem w niej przez niejaki czas, bo nikt nie wiedział, gdzie się podział, a krzyczęć wstydzilem się, nie chcąc ściągać uwagi na to śmieszne widowisko. Szkody żadnej nie doznałem, rzadko bowiem ciepłe potrawy na stół królewski się podaje, więc nie mogłem się sparzyć, tylko pończochy moje i spodnie żałośnie wyglądały. Karłowi tym razem, na moją prośbę, przebaczone i tylko go plagami ukarano.

Nieraz Królowa naśmiewała się z mojej wielkiej bojaźliwości i pytała, czy wszyscy w mojej ojczyźnie są tacy lękliwi. Powodem tego były nieznośne przykrości, które od much cierpieć musiałem. Brzydkie te owady, duże jak skowronki, ciąglým swoim brzęczeniem ani na chwilę spokoju mi nie dawały. Kiedym jadł, rzucały się z zaciętością na mój pokarm i zostawiały tam swoje jajka i inne nieczystości, dla mnie tylko widzialne, bo krajowcy tak drobnych rzeczy dojrzeć nie mogli. Czasem siadały mi na nos lub czoło i dręczyły mnie tym nielitościwie, gdyż czuć je było okropnie. Mogłem też wyraźnie widzieć klejową materię, za pomocą której, jak naturaliści utrzymują, zwierzęta te mogą głową na dół po powale chodzić. Z wielkim tylko trudem mogłem je od siebie odstraszyć, a karzeł łapał często mnóstwo tych much i wypuszczał je wszystkie hurmem pod mój nos, chcąc mnie tym trwożyć, a Królową bawić. Musiałem walczyć z tymi nienawistnymi zwierzętami przy pomocy noża, którym je latające w powietrzu przecinałem; wszyscy się dziwili nad wielką zręcznością, którą przy tym okazywałem.

Razu jednego piastunka postawiła mieszkanie moje przy otwartym oknie dla nabrania świeżego powietrza (nigdy bowiem nie pozwalałem, ażeby je jak klatkę zawieszano na gwoździu). Otworzyłem okno mojego pokoju i chciałem zjeść kawałek ciasta na śniadanie, gdy ze dwadzieścia os wleciało do mojego mieszkania, brzęcząc głośniejsze niż tuzin muzykantów na kobzach. Jedne rzuciły się na ciasto, unosząc je kawałkami, inne koło twarzy i głowy mojej chciwie się uwijały, ogłuszając mnie hałasem i napędzając mi wielkiego strachu swymi ogromnymi żądlami. Wyjąłem kordelas i śmiało zaatakowałem je w powietrzu. Cztery z nich zabiłem, a gdy drugie uciekły, okno moje zamknąłem. Owady były wielkie jak kuropatwy; z zabitych wyciągnąłem żądła, które miały długość półtora cala i ostre były jak igły. Schowałem je troskliwie i z innymi osobliwościami pokazywałem potem w Europie. Trzy z nich podarowałem do kolegium Gresham, czwarte dla siebie zatrzymałem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Opis kraju. Plan poprawienia nowszych map. Pałac Króla i stolica. Sposób podróżowania Gulliwera. Główny kościół.

Chcę dać czytelnikowi krótki opis Brodbingnagu, o ile go mogłem poznać towarzysząc zawsze Królowej w jej podróżach. Nie oddalała się ona jednak dalej ze swej stolicy Lorbrulgrudu jak na dwa tysiące mil, oczekując potem w stolicy powrotu Króla, zwiedzającego granice swego państwa. Rozległość tego kraju wynosi sześć tysięcy mil długości i trzy do pięciu szerokości. Stąd wniosłem, że geografowie nasi zupełnie błędnie utrzymują, że między Kalifornią i Japonią samo tylko jest morze. Ja zawsze byłem zdania, że musi być między nimi jakiś wielki ląd dla trzymania równowagi przeciw Wielkiej Tartarii. Geografowie więc powinni karty poprawić, dołączając ten obszerny kraj do północno-zachodniej Ameryki, i gotów jestem być im w tym, ile możliwości, pomocny.

Królestwo to jest półwyspom, otoczonym od północnego wschodu łańcuchem gór na trzydzieści mil wysokim, które z powodu wulkanów na ich szczycie zupełnie są niedostępne. Najwięksi nawet uczeni nie wiedzą, jaki rodzaj ludzi za górami mieszka ani też czy teren ten jest zamieszany. Z pozostałych trzech stron kraj olbrzymów otoczony jest morzem. W całym królestwie nie ma żadnego portu, a ujścia rzek tak są najeżone skałami i morze tak burzliwe, że żaden mieszkaniec nie odważa się wypłynąć choćby najlżejszym statkiem, przez co Brobdingnag z wszelkiej komunikacji z resztą świata jest wyłączony. Szerokie rzeki pełne są okrętów i mają wielką obfitość ryb najwyborniejszych. Rzadko kiedy mieszkańcy łowią ryby w morzu, bo te nie są większe od europejskich, przeto niewarte zachodu. Pokazuje się stąd, że natura ten kraj obdarzyła wyłącznie zwierzętami i roślinami tak ogromnej wielkości. Przyczynę zaś tego bardzo osobliwego zjawiska pozostawiam filozofom do wynalezienia.

Okolo brzegów mieszkańcy łowią czasami rzucane przez morze na skały wieloryby, które są ulubioną żywnością pospolitego ludu. Raz widziałem tak wielkiego, że go człowiek ledwo udźwignąć zdołał. Niekiedy i do stolicy dla osobliwości je przywożą, a nawet na stole królewskim jednego widziałem, podanego jako rarytas, zdawało mi się jednak, że Król nie bardzo lubił tę potrawę. Może wielkość zwierza odrazę w nim zbudziła, lubo nieco większego widziałem w Grenlandii.

Kraj jest bardzo zaludniony, ma bowiem pięćdziesiąt jeden głównych miast, sto mniejszych, murami opasanych, i wielką ilość wsi. Opis miasta Lorbrulgrudu będzie może dostateczny dla zaspokojenia ciekawości czytelnika. Miasto to leży nad rzeką, która dzieli je na dwie równe części. Ma osiemdziesiąt tysięcy domów. Długość jego wynosi trzy glonglunki

(około pięćdziesięciu czterech mil angielskich), a dwa i pół glonglunga szerokości, podług wymiaru przeze mnie uczynionego na karcie z rozkazu Króla sporządzonej. Karta ta miała sto stóp długości; rozłożono ją dla mnie na ziemi, chodziłem na niej gołymi nogami, liczyłem stopy i tym sposobem dosyć ścisłego doszedłem rezultatu.

Pałac królewski nie jest regularną budowlą, ale raczej zbiorem wielu gmachów o obwodzie siedmiomilowym. Główne sale są na dwieście czterdzieści stóp wysokie, przy proporcjonalnej szerokości i długości.

Ja i moja piastunka mieliśmy zawsze do dyspozycji powóz, do którego jej guwernantka zabierała nas dla zwiedzenia miasta i obejrzenia pałaców, placów i wielkich sklepów. Trzymała mnie zwyczajnie przy sobie w moim pudle, lecz na prośbę moją często mnie wyjmowała, abym mógł wszystko lepiej oglądać. Powóz nasz był tak wielki jak jeden czworobok Westminster Hallu, ale nie tak wysoki, być może jednak, że się omyliłem. Jednego dnia zatrzymywaliśmy się przed niektórymi sklepami; żebracy, korzystając z tej sposobności, cisnęli się hurmem do drzwiczek powozu, przedstawiając widok, jakiego jeszcze nigdy europejskie oko nie miało.

Kobieta jedna miała raka na piersi okropnie zapuchłej i tak ogromnych dziur pełnej, że w niektórych cały mógłbym się wygodnie pomieścić. Jeden miał wielką narośl na karku, jak pięć bel wełny, drugi chodził na drewnianych nogach na dwadzieścia stóp wysokich.

Najobrzydliwszy ze wszystkiego był widok niezliczonych wszy uwijających się na odzieży tych nieszczęśliwych. Członki tego robactwa mogłem gołym okiem doskonalej rozpoznać niżeli członki wszy europejskich za pomocą lupy i wyraźnie widziałem, że pysk mają podobny do ryja świni. Były to pierwsze wszy, które tu widziałem, i miałem wielką chęć anatomicznie rozbierać, ale nieszczęściem zostawiłem by instrumenty na statku, widok zaś tych zwierząt był tak odrażający, że mi się aż mdło robiło.

Oprócz wielkiego pudła, które było moim zwyczajnym mieszkaniem, kazała Królowa zrobić dla mnie mniejsze, mające dwanaście stóp kwadratowych powierzchni i dziesięć wysokości, które w podróży było daleko wygodniejsze i na kolanach mojej piastunki lepiej się mogło pomieścić, nadto mniej zawadzało w powozie. Zrobił go ten sam rzemieślnik, co się sporządzeniem pierwszego tak chwalebnie odznaczył. Miało formę czworoboku, trzy jego ściany miały po jednym oknie dla bezpieczeństwa opatrzonym kratami, a w czwartej, bez okien, były dwa skoble do przeciągnięcia rzemieni, którymi służący, co mnie nosił, pudło do swego ciała przywiązywał, kiedy miałem fantazję odbyć konną przejażdżkę. Tym sposobem towarzyszyłem Królowi i Królowej, oglądałem ogrody i składałem wizyty, kiedy Glumdalclitch nie była przy zupełnym zdrowiu. Dworzanie bardzo mnie szanowali i kochali, co niechybnie przychylności Króla, nie zaś moim zasługom zawdzięczałem. I w podróży wolałem być tak wożony, kiedy mi bowiem trzęsienie wozu zaczynało dokuczać, wyjmował mnie służący, brał na konia i stawiał przed sobą na poduszce, gdzie wyborny miewałem widok z trzech stron na całą okolicę.

Miałem w tym pudełku łóżko i wiszący u powały hamak, dwa krzesła i stół do podłogi zgrabnie przyśrubowany dla uniknięcia wstrząsów przy podskakiwaniu konia lub powozu, a że do podróży morskiej byłem przyzwyczajony, te wstrząsy żadnego szkodliwego wpływu na moje zdrowie nie wywierały.

Jeżeli chciałem miasto oglądać, noszono mnie zawsze w tym pudełku. Glumdalclitch trzymała je na kolanach siedząc sama w otwartej lektyce, noszonej przez czterech ludzi, a za nią postępowało dwu służących w liberii Królowej. Lud, który słyszał o mnie, cisnął się do nas, pragnąc mnie widzieć. Glumdalclitch była zawsze tak grzeczna, że zatrzymywała lektykę, wyjmowała mnie i stawiała na swej ręce, abym lepiej mógł być widziany.

Mocno byłem ciekawy zobaczyć główny kościół, a osobiście jego wieżę, uchodzącą za najwyższą w całym kraju. Zaniósł mnie tam moja piastunka, lecz muszę wyznać, że zupełnie zawiedziony zostałem w moich oczekiwaniach, bo wysokość jej nawet trzech tysięcy stóp nie

dochodziła, a jeżeli weźmiemy pod uwagę różnicę zachodzącą między wielkością tych ludzi a naszą, wysokość tej wieży nie tylko na zadziwienie nie zasługuje, ale nawet nie odpowiada wysokości wieży katedry w Salisbury. Nie chcąc wszelako uwłaczać narodowi, któremu do końca życia największą wdzięczność zachowam, muszę dodać, że czego tej wieży na wysokości brakuje, to wynagradza piękność i gruntowność budowy. Mury z ciosanych kamieni, wielkości czterdziestu stóp kwadratowych, mają sto stóp grubości i są ozdobione ogromnymi marmurowymi posągami bogów i cesarzy, ustawionymi w kilku niszach. Zmierzyłem mały palec jednego z tych posągów, który się odłamał i leżał między gruzami, i znalazłem, że był na cztery stopy i jeden cal długi. Glumdalclitch owinęła go w chustkę, wzięła ze sobą do domu i schowała między inne bawidelka, w których, jak każde dziecko, miała wielkie upodobanie.

Kuchnia królewska jest pysznie sklepioną budowlą, mającą sześćset stóp wysokości. Największy piec jest w obwodzie o dziesięć stóp mniejszy niżeli kopuła Świętego Pawła w Londynie, którą dla porównania za powrotem moim zmierzyłem. Gdybym chciał opisać ruszt kuchenny, ogromne garnki i kotły, sztuki mięsa na rożnach, nie dano by mi wiary lub posądzono o przesadę, podróżującą właściwą. Dla uniknięcia tego zarzutu zanadto może ostrożność posunąłem i w drugą ostateczność wpadłem, i w razie gdyby to moje dzieło na język brobdingnański zostało przetłumaczone, Król i naród, obawiam się, mogliby się słusznie uskarżać, że przez fałszywe wszystkiego zmniejszenie wielką krzywdę im wyrządziłem.

Król nie trzyma więcej jak sześćset koni w swojej stajni; mają one od pięćdziesięciu czterech do sześćdziesięciu stóp wysokości. Jeżeli na jakąś uroczystość wyjeżdża, natenczas towarzyszy mu gwardia złożona z pięciuset kawalerzystów, i z początku myślałem, że nie ma nic wystawniejszego; lecz widok jednej części armii w szyku bojowym ustawionej daleko większe zrobił na mnie wrażenie, o czym opowiem przy innej sposobności.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Niektóre przygody Gulliwera. Stracenie złoczyńcy. Gulliwer pokazuje swoją zręczność w żeglarsztwie.

Przyjemne miałbym w tym kraju życie, gdyby małość moja nie wystawiała mnie ciągle na przykre i śmieszne przygody, z których kilka czytelnikowi opowiem. Często brała mnie Glumdalclitch ze sobą do ogrodu dworskiego, wyjmowała z pudła, trzymała na ręce lub stawiała na ziemi, ażebym się przechadzał. Jednego dnia karzeł Królowej (jeszcze przed utratą jej ła-ski) znajdował się razem z nami w ogrodzie i gdy mnie piastunka na ziemię puściła, zszedłem się z nim przypadkiem pod karłowatą jabłonią. Chcąc pokazać mój dowcip, nie mogłem się wstrzymać, abym mu nie przyciął, porównując go z tym drzewem (które i w języku brobdin-gnańskim odpowiednio ma nazwisko). Złośliwiec postanowił się zemścić za moją przymówkę i zobaczywszy mnie pod tym drzewem zatrząsł gałęzią tak mocno, że z tuzin jabłek, jak becz-ki bristolskie dużych, na mnie spadło. Jedno, jakem się schylił, trafiło mnie w grzbiet i obaliło na ziemię. Nie odniósłszy stąd wielkiej szkody i będąc sam tego przyczyną, prosiłem o daro-wanie karłowi winy.

Innego razu piastunka moja posadziła mnie na trawniku, a sama przechadzała się ze swoją guwernantką w niejakej odległości. Wtem rozszalała się gwałtowna burza z takim gradobi-ciem, że w jednej chwili na ziemię powalony strasznie przez grad zostałem zbity, jakby przez piłki tenisowe. Z największym trudem czołgając się na czworakach, ledwo zdołałem schronić się pod macierzanką, tak jednak okropnie byłem stłuczony, że przez dziesięć dni nie mogłem wychodzić. Zadziwiające to wcale być nie powinno, bo wszystkie rzeczy w tym kraju mają wielkość gigantyczną w stosunku do nas, tak też i grad, który dla przekonania się zmierzyłem i odważyłem, był tysiąc i osiemset razy większy niż u nas w Europie.

Piastunka moja zaniósła mnie razu jednego do ogrodu, ale dla zaoszczędzenia sobie trudu nie wzięła ze sobą pudła i posadziła mnie w bezpiecznym i spokojnym miejscu, bom często ją to prosił, abym się mógł bez przeszkody oddać moim myślom, sama zaś oddaliła się z guwer-nantką i towarzyszkami. Podczas jej nieobecności mały wyżeł, należący do jednego z ogrod-ników, wpadł do ogrodu, zaczął się kręcić w tej stronie, w której siedziałem, a prowadzony swoim węchem przybiegł prosto do mnie, wziął w pysk, zaniósł do swego pana i położył przy nim najostrożniej na ziemi. Pies był tak wyuczony, że mi żadnej boleści ni szkody w ubiorze nie sprawił, ale ogrodnik, który dobrze mnie znał i niezmiernie lubił, mocno był moim wido-kiem przestraszony. Podniósł mnie więc łagodnie i pytał z największą troskliwością, jak się czuję, ale ja ze strachu i przez nadzwyczajną prędkość, z jaką mnie pies niósł, nie mogłem ani

słowa wymówić. W parę minut przyszedłem do siebie i ogrodnik zaniósł mnie natychmiast do mojej piastunki, która nie zastawszy mnie na zwykłym miejscu była wielką trwogą przejęta. Gniewała się mocno na ogrodnika za niedopilnowanie psa, a bojąc się bardzo gniewu Królowej, zupełnie o tym zdarzeniu zamilczała, ja zaś także przed nikim o tym wspomnieć nie chciałem w przekonaniu, że to mi wielkiego honoru przysporzyć nie może.

Z powodu tego przypadku postanowiła Glumdalclitch nie puszczać mnie więcej od siebie poza domem. Już dawno takiego postanowienia się lękałem, ukryłem więc przed nią wiele przygód, które mi się zdarzały. Razu jednego kot krążący po ogrodzie rzucił się na mnie i pewno by mnie porwał i uniósł, gdybym się nie obronił szpadą i nie ukrył w gęstym szpalerze. Innego razu wpadłem aż po szyję w dziurę przez kreta wykopaną; ledwo mogłem z niej wyleźć i musiałem zmyślić jakieś kłamstwo, by wytłumaczyć, dlaczego mam pobrudzoną odzież. Raz małom nogi sobie nie złamał, gdy myśląc głęboko o drogiej ojczyźnie potknąłem się o ślimaczą skorupę.

Nie mogę istotnie powiedzieć, czy mi to przyjemność, czy zmartwienie sprawiało, że małe ptaki zupełnie mnie się nie lękały i w mojej obecności z największym spokojem uganiały za żywnością, jakoby żadnego stworzenia w bliskości nie było. Jeden drozd był nawet tak zuchwwały, że wyrwał mi kawałek ciasta z ręki, który mi Glumdalclitch dała na śniadanie. Jeżeli chciałem złapać którego ptaka, śmiało się do mnie obracał i dziobem groził, a potem, jakby nic się nie stało, najspokojniej koło mnie skakał, szukając robaków lub innego pożywienia. Lecz raz rzuciłem wielki kij tak zręcznie na czeczotkę, że ją obaliłem, wziąłem ją potem za szyję oburącz i pobiegłem do miejsca, gdzie moja piastunka była, ale ptak, który tylko był ogłuszony, ocucił się i tak mocno zaczął mnie bić skrzydłami, choć trzymałem go na odległość ramienia i on nie mógł mnie pazurami dosięgnąć, iż pewno musiałbym go puścić, gdyby mi służący w pomoc nie przyszedł i nie ukręcił ptakowi głowy. Nazajutrz z rozkazu Królowej dostałem na obiad kawałek mojej zdobyczy. Czeczotka była nieco większa od łabędzia angielskiego.

Panny Królowej często prosiły Glumdalclitch, aby ze mną przychodziła do ich pokoju, chcąc się mną bawić i piastować mnie na ręku. Często zdejmowały ze mnie wszystkie odzienie i obnażały od stóp do głowy dla tym lepszego przypatrzenia się delikatności moich członków. W tym stanie głaszały mnie i przyciskały do swoich piersi, co mi wielką nieprzyjemność sprawiało z powodu mocnego odoru ich ciała. Nie mówię o tym, aby uwłaczać tym damom, które bardzo szanuję, lecz mniemam, że proporcjonalna moja małość czyniła zapewne mój zmysł powonienia zanadto delikatnym i że te damy dla swych przyjaciół i wzajem dla siebie nie były mniej przyjemne od dam angielskich. Przy tym wszystkim odór ich naturalny nie miał tyle dla mnie nieprzyjemności, ile perfumy przez nich czasem używane, których zapach o straszne mdłości zawsze mnie przyprawiał. Przypominam sobie, że w Lillipucie dobry jeden mój przyjaciel uskarżał się jednego dnia letniego, gdy wiele się gimnastykowałem, na nieznośny odór mojego ciała, lubo na czystość więcej może uważam niż większa część mojej płci. Pochodziło to niezawodnie stąd, że jego węch był w stosunku do mnie jak mój do tego narodu. Muszę jednak wyznać, że Królowa i piastunka moja miały najdelikatniejsze i najpiękniejsze ciała i pachniały jak która z moich rodaczek.

Jestem przekonany, że damy te nie miały w tym złych myśli. Postępowały ze mną bez ogródek, jak ze stworzeniem nic nie rozumiejącym. Rozbierały się przy mnie, nawet koszule w mej przytomności z siebie zdejmowały, nic nie uważając na wstyd i przystojność, a ja tuż przy nich stojąc w gotowni musiałem patrzeć na nie całe nagie, mimo chęci mojej. Mówię: mimo chęci mojej, gdyż w rzeczy samej to widzenie żadnej mi pokusy nie czyniło, żadnego upodobania. Skóra ich zdawała mi się podziurawiona, nierówna, różnych kolorów i gdzieś-niegdzie plamami wielkimi jak talerze popstrzona, zwisały z niej włosy jak najmocniejszy szpagat grube, że nie chcę już mówić o reszcie ich ciała. Nawet nie wstydziły się przede mną uczynić zadość pewnej naturalnej potrzeby, przy czym napełniały co najmniej dwie trzecie

naczynia jak trzy beczki wielkiego. Najprzystojniejsza z tych panienek dworskich, zalotna dziewczyna, mająca lat szesnaście najwyżej, bawiła się ze mną sadzając mnie nagiego okra-kiem na jednej ze swych sutek i inne podobne ze mną wyprawiała sztuczki, o których, czytel-nik wybaczy, nie będę wspominał. Było mi to tak przykre, że prosił Glumdalclitch, aby mnie więcej do tej panny nie nosiła.

Jednego razu młody panicz, kuzyn guwernantki, prosił, abym razem z Glumdalclitch był obecny przy traceniu złooczyńcy, który zamordował jego bliskiego przyjaciela. Piastunka mo-ja, dobrego i czułego serca, z trudnością dała się do tego nakłonić, ja zaś, chociaż nie jestem lubownikiem podobnych widowisk, nie mogłem sobie odmówić, abym tak nadzwyczajnej rzeczy nie oglądał, i zgodziłem się. Przywiązano zbrodniarza do krzesła na szafocie i jednym cięciem miecza, na czterdzieści stóp długiego, głowę mu ucięto. Krew z arterii i wen w tak wielkiej masie i do takiej wysokości wytrysnęła, że fontanna wersalska wcale w porównanie z tym iść nie może, a głowa z tak okropnym trzaskiem na rusztowanie spadła, że struchlał, choć byłem w odległości mili angielskiej od tego miejsca.

Królowa, która miała upodobanie słuchać przypadków, co mi się przytrafiały w podróżach, starała się mnie rozerwać wszelkimi sposobami, gdyż widziała, że byłem smutny. Jednego dnia spytała mnie, czy umiem robić wiosłem i kierować żaglem i czy taka rozrywka nie służyłaby mojemu zdrowiu. Odpowiedziałem, że choć z zatrudnienia byłem chirurgiem, to jest okręto-wym doktorem, jednakże odbywając niekiedy w potrzebie służbę majtka, znam się cokolwiek na tym, lecz wątpię, czy będę mógł w tym kraju żeglować, gdzie najmniejsze czółno równe jest największemu okrętowi, i czy statek, na miarę mego wzrostu i sił, będzie mógł długo na tutejszych rzekach pływać. Królowa Jejmość rzekła mi na to, że jeżeli zechcę, to okrętowy cieśla królewski zrobi mi malutkie czółenka, a ona sama wyszuka dla mnie miejsce, gdzie będę mógł bezpiecznie żeglować. Cieśla podług przepisów moich w przeciągu dni dziesięciu zrobił mi mały stateczek z żaglami i powrozami, mogący unieść ośmiu Europejczyków. Gdy był gotów. Królowa tak się ucieszyła, że wzięwszy go w swój fartuszek zaniósła do Króla; ten kazał, ażeby na próbę wsadzić go do beczki napęłnionej wodą. Niestety, nie mogłem nim tam kierować, bo brak miejsca robieniu wiosłami przeszkadzał. Królowa inny już plan uło-żyła: kazała cieśli zrobić koryto z drzewa, długie na stóp sto, szerokie na pięćdziesiąt i głąbo-kie na stóp osiem, które opatrzywszy dobrze, ażeby nie wyciekała woda, postawiono na po-sadzce pod ścianą jednego z przedpokojów pałacu. U spodu był korek do spuszczenia wody i dwóch ludzi w pół godziny mogło je znowu napęłnić. W tym to korycie żeglowałem dla mej własnej rozrywki, a dla zabawy Królowej i jej dam, które wielkie ukontentowanie miały z oglądania mej sprawności i szybkości. Czasem podniosłem żagiel i tylko brałem się do steru, gdy tymczasem damy wachlarzami swymi dodawały wiatru, a gdy się zmordowały, niektórzy paziowie dmuchali, a ja popisywałem się obrotem raz z prawej, drugi raz z lewej strony stat-ku, wedle własnej chęci. Po zakończonej żegludze Glumdalclitch odnosiła mój statek do swe-go pokoju i zawieszała go na gwoździu dla przesuszenia.

W tej rozrywce trafiło się raz, że o mało życia nie postradał. Gdy paż włożył mój statek w koryto, jedna z kobiet służących do pomocy Glumdalclitch podniosła mnie bardzo uczyn-nię, chcąc wsadzić mnie na statek, ale trafunkiem wyśliznąłem jej się z palców i niechybnie spadłbym na posadzkę z wysokości jakich stóp czterdziestu, gdybym najszcześliwszym w świecie przypadkiem nie zaczepił o haftkę jej stanika, która przeszła mi koszulę i pasek u spodni. Tak wisiałem na pasku, póki Glumdalclitch nie przybiegła mi na ratunek.

Innym razem jeden ze służących, którego powinnością było co trzeci dzień napęłniać świeżą wodą koryto, nie spostrzegł, że żaba z wiadra do koryta skoczyła. Ta żaba skryła się, póki nie wszedłem na statek. Wtedy, upatrzywszy sobie wygodne miejsce do odpoczynku, wlaźła na statek i tak go przechyliła, iż musiałem go z drugiej strony przeważać, żeby się nie wyrócił. Wlaźszy na statek zaczęła skakać po nim nad moją głową – a jeden skok był na pół długości statku – paskudząc mi twarz i całe ciało swą brzydką flegmą. Lubo przejęła mnie

strachem i odrazą ogromna wielkość tego zwierza, prosiłem jednak Glumdalclitch, aby mi w pomoc nie przychodziła, chcąc sam sobie z nią poradzić. Biłem ją tak długo wiosłem, aż wyskoczyła ze statku.

Największe jednak niebezpieczeństwo, na które w tym państwie byłem narażony, spowodowała małpa należąca do pewnego kuchmistrza. Jednego razu Glumdalclitch zamknęła mnie w swoim pokoju na klucz, wyszedłszy dla jakiegoś interesu czy też dla oddania komuś wizyty. Było bardzo gorąco i okna w pokoju, jako też okna i drzwi w moim pudle, były otwarte. Siedząc pogrążony w smutku przy moim stoliku, usłyszałem, że coś przez okno weszło do pokoju i skakało tam i ówdzie. Choć nieco strwożyłem się, miałem jednak odwagę wyjrzeć przez okno i zobaczyłem bestię grymasną, skaczącą na wszystkie strony, która na koniec zbliżywszy się do mego pudła przypatrywała mi się z niejakim ukontentowaniem i ciekawością, zaglądając przez drzwi i przez wszystkie okna. Skryłem się w najdalszy kąt mego pudła, ale ta bestia, patrząc po wszystkich kątach, takiej mnie nabawiła bojaźni, że nie miałem przytomności schować się pod łóżko. Po wielu grymasach i skakaniach na koniec mnie postrzegła. Włożyła przez drzwi łapę jak kot, kiedy z myszą igra, i choć uchodziłem z miejsca na miejsce, złapała mnie z tyłu za fałdy sukni (zrobionej z mocnej krajowej materii) i wyciągnęła z pudła. Wzięła mnie teraz na prawą łapę i trzymała jak mamka dziecko, kiedy mu piersi daje. Widziałem w Europie, że się ten rodzaj zwierząt tak bawi z kotkami młodymi. Gdym się wyrwał, tak mocno mnie przyciskała, że za najrozumniejszy środek osądziłem poddać się jej i zgodzić na wszystko, co by tylko czynić chciała. Mam niejaką przyczynę rozumieć, iż wzięła mnie za młodą małpeczkę, gdyż drugą łapą łagodnie mnie pod brodą głaskała.

Przerwało jej tę zabawę stukanie do drzwi, jak gdyby kto chciał do pokoju wchodzić. Z nagle skoczyła w okno, przez które weszła, a stamtąd po rynnach, idąc na trzech łapach, a czwartą mnie trzymając, wgramoliła się aż na dach sąsiedniego domu. W tym momencie usłyszałem żałośnie płaczącą Glumdalclitch. Biedna dziewczyna była w rozpacz, a w całym pałacu powstało wielkie zamieszanie. Służący pobiegli szukać drabin. Wiele osób patrzyło, jak małpa na samym szczycie dachu trzyma mnie jak lalkę w łapie przedniej, a drugą daje mi jeść, wtykając w usta zgniłą żywność, którą wyciągała z rynny, i bijąc mnie, kiedy jeść nie chciałem, z czego niepocziwi służący śmieli się do rozpuku. Jakoż mieli przyczynę, bo rzecz była arcyzabawna, choć nie dla mnie. Niektórzy zaczęli rzucać kamieniami, spodziewając się tym małpę spędzić, ale zakazano im tak czynić z obawy, aby mnie w głowę nie trafili.

Przystawiono drabiny i wielu na dach weszło. Natychmiast małpa, osaczona niemal ze wszystkich stron i niezdolna do wielkiej szybkości na trzech łapach, uciekła na drugie miejsce, a mnie upuściła na dachówkę. Siedziałem przez pewien czas na wysokości pięciuset łokci, największą trwogą przejęty, aby mnie wiatr nie zdmuchnął lub żebym nie spadł dostawszy zawrotu głowy. Wtenczas jeden z lokajów mojej malutkiej pani, człowiek pocziwy, dostał się do mnie i włożywszy mnie do kieszeni swych spodni zniósł na dół z wszelkim bezpieczeństwem.

Ledwie się nie udusił paskudztwem, którym mi małpa zapchała gębę, ale moja kochana guwernantka wydłubała je z mych ust małą igłą, wtedy napadły mnie wymioty, co mi wielką ulgę sprawiło. Byłem tak słaby i połamany od ściskania tej bestii, że przez piętnaście dni musiałem w łóżku leżeć. Król i cały dwór przysyłali co dzień pytać się o moje zdrowie, a Królowa przychodziła sama razy kilka nawiedzać mnie w tej chorobie. Małpę zabito i wyszedł od tego czasu rozkaz, żeby takiego zwierzęcia nie chowano blisko pałacu. Kiedy przyszedłszy do zdrowia udałem się do Króla dla podziękowania mu za jego dobroć, bardzo żartował z mego przypadku. Pytał się, co myślałem znajdując się w łapach małpy, jaki smak miały potrawy, którymi mię karmiła, i czy świeże powietrze, którego użyłem na dachu, nie zaostrzyło mego apetytu; mocno pragnął wiedzieć, co bym uczynił w podobnym wypadku w moim kraju. Powiedziałem Jego Królewskiej Mości, że nie ma w Europie małp oprócz tych, które nam przywożą z krajów obcych i które są tak małe, że uporałbym się z tuzinem tych zwierząt, gdyby

ośmieliły się mnie napaść. Co się zaś tyczy tej straszliwej bestii, z którą miałem do czynienia (była w rzeczy samej tak wielka jak słoń), to gdybym z wielkiego strachu nie zapomniał wziąć się do broni, gdy wsuwała łapę do mego pokoju (przy tych słowach dumną przyjąłem postawę i uchwyciłem za rękojeść szpady), zadałbym jej tak bolesną ranę, że prędzej by jeszcze łapę wyjęła, niżeli włożyła. Wymówiłem te słowa jak człowiek czuły i dbający o swój honor. Mimo to wszyscy śmiać się zaczęli i nawet obecność Króla nie mogła ich od tego wstrzymać. Przyszła mi natenczas uwaga nad głupotą człowieka, co usiłuje sam sobie chwałę czynić przed takimi, z którymi żadnego porównania mieć nie może. Często widziałem w Anglii, że marny chudopacholek, nie mogący poszczycić się urodzeniem wysokim, postawą, dowcipem czy rozsądkiem, waży się z największymi w królestwie osobami używać tonu pofnego.

Dostarczałem co dzień dworowi pobudek do śmiechu, a Glumdalclitch, choć mnie serdecznie kochała, była jednak tak swawolną dziewczyną, że zawsze opowiadała Królowej, kiedy uczyniłem jakie głupstwo, chcąc jej tym przyjemność sprawić. Razu jednego piastunka moja, cokolwiek słaba, pojechała z guwernantką i ze mną na spacer za miasto dla użycia świeżego powietrza. W godzinę ujechaliśmy ze trzydzieści mil. Wysiedliśmy z karety przy ścieżce polnej i Glumdalclitch postawiła na ziemi moje pudło podróżne. Zachciało mi się przejść piechotą. Idąc, natrafiłem na ścieżce na kupę krowiego gnoju, a chcąc się popisać swoją zręcznością przed damami, chciałem ją przeskoczyć i wpadłem w sam środek, tak że mi się aż po kolana uwalą. Z największą trudnością się wydostałem i służący musiał mnie obe- trzeć chustką z tej brzydkiej nieczystości. Moja piastunka wsadziła mnie z powrotem do pudła, bom był szkaradnie brudny. Zaraz Królowa o tym przypadku wiedziała, lokaje go po całym dworze roztrzęśli, tak że przez kilka dni wszyscy się moim kosztem bawili.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Różne wynalazki Gulliwer dla przypodobania się Królowej i Królowi. Pokazuje on swoją umiejętność w muzyce. Król wypytuje go o stan Europy, o czym mu Gulliwer opowiada. Uwagi Króla w tym przedmiocie.

Miałem zwyczaj, wstawszy z rana, raz lub dwa razy na tydzień chodzić do Króla i zjawiać się często, gdy go cyrulik golił. Z początku drżałem na ten widok, ponieważ brzytwa była dwa razy większa od kosy. Król jegomość podług zwyczaju krajowego golił się tylko dwa razy w tygodniu. Jednego dnia poprosiłem cyrulika o trochę piany, z której wyciągnąłem ze czterdzieści czy pięćdziesiąt najgrubszych włosów z brody królewskiej. Wziąwszy kawałek drewna porobiłem w nim szpilką dziurki w równej od siebie odległości i powbijawszy w nie włosy bardzo kunsztownie, zaostrzywszy ich końce nożem, zrobiłem grzebień, którym wybornie czesać się mogłem. Wielką miałem z tego wygodę, ponieważ mój się połamał i już go nie można było używać, a w całym kraju nie mogłbym znaleźć rzemieślnika dostatecznie delikatnego w rękę, który by mi potrafił go zrobić.

Pamiętam o jednej rozrywce, która mi wypełniła wiele wolnych chwil. Prosiłem jednej z pokojowych, aby mi nazbierała włosów, które spadały z głowy Królowej, kiedy ją czesano, i aby mi je dała. Nazbierałem ich dosyć i naradziwszy się ze stolarzem, który miał rozkaz wykonywać dla mnie wszystkie roboty, które bym mu kazał, powiedziałem mu, żeby zrobił dwa krzesła tej samej wielkości jak te, co były w moim pudle, i żeby porobił dziurki subtelnym szydłem w miejscach, gdzie miało być oparcie i siedzenie. Gdy już nogi, poręcze, wspora z tyłu i wszystko do złożenia krzeseł było gotowe, zrobiłem siedzenia i oparcia z włosów Królowej, przewlekając je przez dziurki i przeplatając, tak że krzesła moje były podobne do krzeseł plecionych z trzciny, jakich pospolicie używamy w Anglii. Miałem honor dać je w podarunku Królowej, która umieściła je w swojej szafce i jako największą osobliwość pokazywała ku wielkiemu wszystkich podziwowi.

Jednego dnia chciała, abym usiadł na jednym z tych krzeseł, ale wymówiłem się, oświadczając, że wolałbym tysiąc razy śmierć ponieść, niżeli tak nieszlachetną część mego ciała na wspaniałych włosach Jej Królewskiej Mości umieścić. A jako miałem wielką sposobność do robót ręcznych, zrobiłem raz z tych włosów sakiewkę na dwa łokcie długą z imieniem królewskim złotymi literami tkanym, którą za pozwoleniem Królowej darowałem mojej Glumdalclitch. Była ona jednak za mała dla większych monet, toteż piastunka moja kładła do niej tylko różne bawidełka, mające tyle powabu dla młodych dziewcząt.

Król, mając wielkie upodobanie w muzyce, częste miewał koncerty, na które mnie zanoszono w pudle moim, lecz huk był tak wielki, iż ledwie mogłem poznawać melodie. Upewniam, że wszystkie trąby i kotły wojska królewskiego, umieszczone tuż przy uszach, nie robiłyby takiego hałasu jak ta muzyka. Kazałem więc pudło moje stawiać w kącie, jak najdalej od orkiestry, zamykałem drzwi i firankami okna zaszuwałem. Takim sposobem muzykę ich nie znajdowałem nieprzyjemną.

Nauczyłem się w młodości mojej grać na klawicymbale. Glumdalclitch miała jeden w swym pokoju, na którym dwa razy na tydzień przychodził ją uczyć metr jeden. Nazywam ten instrument klawicymbalem z powodu jego wyglądu i sposobu, w jaki na nim grano. Pewnego dnia przyszła mi ochota zabawienia Króla i Królowej zagranie na tym instrumencie jednej arii angielskiej. Ale zdało się to być rzeczą arcytrudną, ponieważ klawicymbał był przynajmniej na sześćdziesiąt stóp długi, a klawisze na stopę szerokie, tak dalece, że rozciągnąwszy obydwie ręce nie mogłem dosięgnąć więcej nad pięć klawiszów, a nadto dla dobicia głosu trzeba mi było całą pięścią w klawisze uderzać, co bardzo by mnie zmęczyło i skutku żadnego nie dało. Oto sposób, którego użyłem: zrobiłem dwa kije z jednego końca grubsze i żeby nie czyniły trzasku i nie niszczyły klawiszy, poobwijąłem grube końce w skórki mysie. Kazałem przy klawicymbale umieścić ławę o cztery stopy niższą od klawiatury, na którą wlaższy, zacząłem, jak tylko sobie w myśli wystawić można, prędko biegać po niej i tam i sam po klawiszach bić kijami z całej siły. Tym sposobem potrafiłem wygrać jeden taniec angielski z wielkim Królestwa Ichmościów ukontentowaniem. Ale przyznać muszę, że nigdy jeszcze nie zbiegałem się tak jak wtenczas. Nie mogłem jednak nawet wtedy więcej jak szesnastu klawiszów dosięgnąć, a zatem basu i dyszkantu razem grać nie potrafiłem, przez co gra moja wiele na przyjemności traciła.

Król, który jak powiedziałem, miał wielki rozum, często kazał mnie przynosić w moim pudle i stawiać na stole w swoim pokoju. Wtenczas rozkazywał mi, żebym wyniósłszy jedno krzesło z pudła siadał na jego pulpicie, tak żeby twarz moja była równo z twarzą jego. Na takich posiedzeniach miewałem z nim różne rozmowy. Raz ośmieliłem się powiedzieć, że pogarda, w której Jego Królewska Mość ma Europę i resztę świata, nie odpowiada wcale tak jasnemu rozumowi. Mądrość nie zależy od wielkości ciała i w kraju naszym mieliśmy możliwość stwierdzić, że osoby wielkiego wzrostu pospolicie nie bywają najdowcipniejsze, że między zwierzętami pszczoły i mrówki mają zaszczyt największego dowcipu, sprawności i roztropności i że na koniec, choć tak mało osobę moją poważa, mógłbym mu może, mimo mojej małości, wielkie uczynić przysługi. Król słuchał mnie uważnie i zaczął innym poglądać na mnie okiem.

Wtedy rozkazał, abym mu dokładne o rządzie Anglii uczynił sprawozdanie, bo jakkolwiek monarchowie cenią najbardziej maksymy i obyczaje własnego kraju (co wnosi z moich opowiadań o innych monarchach), on rad by się dowiedzieć, czyby nie było czego w kraju moim, co by mógł naśladować. Wystaw sobie w myśli, mój kochany czytelniku, jak gorąco naówczas pragnąłem mieć dowcip i wymowę Demostenesa i Cyclerona, aby godnie opisać Anglię, ojczyznę moją, i wysokie jej przymioty oraz szczęśliwość odmalować.

Zacząłem od opowiadania, że nasze stany są złożone z dwóch wysp, zawierających trzy potężne królestwa pod jednym monarchą, nie licząc osad, które w Ameryce mamy. Rozwiodłem się mocno nad urodzajem naszej ziemi i nad umiarkowaniem powietrza. Opisałem potem ustanowienie naszego Parlamentu, złożonego po części ze znakomitego ciała, nazwanego Izbą Lordów, osób krwi najszlachetniejszej, dawnych dziedziców i panów najpiękniejszych majątności w kraju. Opowiadałem, jak im najtroskliwszą dają edukację, tak w naukach, jak w sztuce wojennej, aby mogli być urodzonymi króla i królestwa konsyliarzami, prawodawcami państwa, członkami Najwyższej Izby Sprawiedliwości, od której nie ma apelacji, i gorliwymi obrońcami monarchy i ojczyzny przez swoje męstwo, postęпки i wierność; że ci panowie są ozdobą i bezpieczeństwem królestwa, godnymi następcami swoich stawnych przodków, któ-

rych dostojęństwa były nagrodą za znakomite cnoty i których potomstwa odrodzonego nie widziano. Razem z nimi zasiada w tej Izbie wielu mężów świętych, tytułowanych biskupami, których szczególniejszą powinnością jest czuwać nad religią i tymi, co ją opowiadają, że na to wysokie dostojęństwo król i najmędrsi jego doradcy wybierają spośród duchowieństwa ludzi najświętobliwszych i najuczeńszych i że ci biskupi są duchownymi ojcami kleru i narodu.

Przydałem, że drugą część tego Parlamentu stanowi zacne zgromadzenie, nazwane Izba Gmin, złożone z osób szlachejnych, wolnym głosem przez sam lud obranych dla ich rozumu, przymiotów i miłości ojczyzny, ażeby wyobrażali mądrość całego narodu. Powiedziałem, że te dwa ciała czynią najzacniejszą w Europie zgromadzenie, któremu wraz z królem prawodawstwo jest poruczone.

Potem opisałem nasze sądy, gdzie zasiadają mędrzy wielebni, rzetelni prawa tłumacze, którzy wyrokami swymi zaspokajają prywatnych osób klótnie, którzy karzą zbrodnie, a niewinności bronią. Nie zaniedbałem powiedzieć o mądrej ekonomice naszych dochodów, o waleczności i doskonałej dyscyplinie naszych wojsk lądowych i morskich. Wymieniłem liczbę ludu, podając, ile milionów liczy każda sekta religijna i partia polityczna. Nie opuściłem ani naszych zabaw, ani widowisk publicznych, ani żadnych szczegółów, które mogły czynić zaszczyt ojczyźnie mojej. Zakończyłem krótkim opisaniem wypadków i zdarzeń w ciągu ostatnich stu lat w Anglii.

Ta rozmowa ciągnęła się przez pięć audiencji, a każda audyencja trwała po kilka godzin. Król Jegomość słuchał wszystkiego z wielką pilnością, notując w krótkości, co mówiłem, i pytania, które mi zadawać myślał. Gdy zakończyłem moje długie mowy. Król Jegomość na szóstej audiencji, przejrawszy, co sobie z nich zapisał, miał wiele wątpliwości, pytań i zarzutów względem każdego artykułu. Spytał mnie naprzód, jaką otrzymuje edukację młodzież szlacheckiego urodzenia dla wykształcenia ciała i duszy i czym się najwięcej zajmuje w latach do nauki najzdadniejszych. Co się robi, by zapewnić wakujące miejsce w Izbie Lordów, kiedy zgaśnie jaki dom szlachejny, co musi czasem się przytrafiać? Jakie przymioty potrzebne są tym, których na nowych wynoszą lordów? Czy widzisz się monarchy albo suma wręczona damie jakiej lub pierwszemu ministrowi, albo też chęć wzmocnienia partii, dobru publicznemu nieprzyjaznej, nie bywają pobudką do takich promocji? Jaką znajomość praw krajowych posiadają lordowie i w jaki sposób stają się zdolni do ostatecznego rozsądzania praw swych współobywateli? Czy od chciwości, stronnictwa i potrzeb są wolni, tak że przekupstwo lub inne niegodne względy nie mają mieć do nich dostępu? Czy ci święci biskupi, o których mówiłem, do godności swojej zawsze przychodzą przez umiejętności teologiczne i pobożność? Czy nie czynią czasem podłości? Albo czy nie wchodzi w intrygi, będąc jeszcze prostymi kapłanami? Czy nigdy taki święty lord nie był zaprzędany jakiemuś możnemu panu, za którego staraniem przyszedł do biskupstwa? I czyli w takowym razie nie idzie potem zawsze ślepo za zdaniem swego dobrodzieja na zgromadzeniach Izby Lordów?

Chciał wiedzieć, jak lud obiera tych, których do Izby Gmin wysyła dla wyobrażenia mądrości narodu; czy kto nieznan, lecz z pełnym workiem złota nie może za pomocą przekupstwa zyskać większości głosów i zostać wyniesiony nad panów i najzacniejszą w okolicy szlachtę? Dlaczego z taką gwałtownością ubiegają się o to, aby być obranymi na członków Parlamentu, gdy to obranie wielkie za sobą pociąga troski i wydatki, a żadnego nie przynosi zysku, często pociągając za sobą zubożenie całego rodu? Ponieważ twierdziłem, że brak wynagrodzenia dla członków Parlamentu jest próbą najwyższej cnoty i ducha obywatelskiego, Król Jegomość wątpił, by to zawsze szczere było. Pytał, czy te osoby są zupełnie bezinteresowne i czynią to jedynie z wielkiej miłości ojczyzny, czy też spodziewają się kosztu swoje odebrać z lichwą od słabego i złego monarchy i przedajnych ministrów, poświęcając im dobro publiczne? Król Jegomość tyle mi pytań nad tym przedmiotem zadawał, tyle zarzutów czynił, iż roztropność nie pozwala mi ich wszystkich powtarzać.

Co do sądów, chciał także, ażeby mu niektóre dawał objaśnienia, co z wielką dokładnością uczynić mogłem, bo sam zostałem niegdyś prawie zniszczony przez długie prowadzenie sprawy, mimo że ją w końcu ze zwrotem kosztów wygrałem. Spytał mnie, jak wiele pospolicie potrzeba czasu dla wyjaśnienia, co jest słuszne, a co niesłuszne. Czy prawowanie nie kosztuje wiele? Czy adwokaci mają wolność bronięcia spraw oczywiście niesprawiedliwych? Czy religia lub polityka odgrywają jaką rolę w wymiarze sprawiedliwości? Czy adwokaci znają gruntownie ogólne i pierwsze zasady sprawiedliwości, czy też poprzestają na wiadomości praw od mniemania tylko ludzkiego ustanowionych i miejscowych zwyczajów kraju swego? Czy adwokaci i sędziowie mają moc ustanawiania tych praw, które tłumaczą i wykładają, jak się im zda i podoba? Czy ci prawnicy nigdy nie występują jako obrońcy i oskarżyciele tego samego przestępstwa i nie cytują swoich poprzednich opinii, tłumacząc je coraz inaczej? Czy stan ten jest bogaty, czy ubogi? Czy za obronę lub konsultację biorą zapłatę i czy mogą być wybierani do Izby Gmin?

Potem zaczął mówić o sprawowaniu ekonomiki i powiedział mi, że, zdaniem jego, pomyliłem się w tym artykule, ponieważ podałem, że podatki przynoszą tylko pięć lub sześć milionów na rok, a tymczasem rozchód nierównie sięga dalej i dwukrotnie przewyższa dochody. Bardzo dokładnie sobie zanotował przedtem to, co mówiłem w tym względzie, mniemając, że się z naszej ekonomiki czegoś nauczyć może.

– Nie mogę pojąć – mówił – jak królestwo śmie czynić większe wydatki nad intraty i zjadać dobra swoje jak jaki prywatny człowiek.

Pytał mnie, kim są nasi wierzyciele i skąd bierzemy pieniądze, aby im zapłacić. Mocno dziwił się, że podejmujemy tak kosztowne i wyczerpujące wojny.

– Zapewne musi być – mówił – że albo jesteście narodem niespokojnym i kłótliwym, albo też macie bardzo złych sąsiadów, a wasi generałowie muszą być bogatsi od waszych królów. Co wy macie za sprawę do innych państw oprócz wysp waszych, cóż macie z nimi za interesa oprócz handlu i traktatów, czyż musicie myśleć o ich podboju, czyż nie dosyć jest dla was dobrze pilnować portów i brzegów swoich?

A najbardziej temu się dziwił, żeśmy utrzymywali najemne wojska wśród pokoju i wśród narodu wolnego. Mówił mi, że jeżeli nami rządzą wybrani przez nas członkowie Parlamentu, nie może pojąć, kogo się mamy obawiać i przeciw komu wojnę toczyć. Pytał się mnie, czy dom prywatnego człowieka nie lepiej bywa strzeżony przez niego samego, przez jego dzieci i sługi domowe aniżeli przez hultajów przypadkowo najętych, bardzo mizernie płatnych, którzy by zarzynając nas sto razy więcej zyskać mogli.

Śmiał się bardzo z mojej dziwacznej (jak mu się podobało nazywać) arytmetyki, gdy mu wyrachowałem, ile nas jest, a uczyniłem to porównując, wiele mamy sekt religijnych i politycznych.

– Czemu – powiedział – zmusza się ludzi mających przekonania przeciwne publicznemu dobru, aby je zmieniali, zamiast zmuszać ich, aby je ukrywali? Pierwsze jest tyranią, niewykonanie drugiego słabością. Nie można nikomu zabronić, aby trzymał truciznę w swoim domu, ale koniecznie należy zakazać jej publicznej sprzedaży.

Uczynił mi uwagę, że między zabawami naszej szlachty wspomniałem o grze hazardowej. Chciał wiedzieć, od którego wieku pospolicie na tę zabawę sobie pozwalają. Wiele na nią czasu tracą? Czy niekiedy przez nią majątków swoich nie trwonią? Czy ludzie podli i nikczemni nie mogą czasem przez swoją w tym rzemiośle sprawność zgromadzać wielkich bogactw, trzymać lordów naszych w niejakiem rodzaju podległości, przyzwyczajając ich do złego towarzystwa, odrywać ich zupełnie od doskonalenia rozumu i staranności w interesach domowych, a przez straty, które mogą ponosić, nauczać ich, ażeby tejże samej używali bezecnej sprawności, przez którą sami zostali zrujnowani?

Dziwiła go niewypowiedzianie historia naszego ostatniego stulecia. Był to podług niego tylko okropny łańcuch sprzysiężeń, buntów, zabójstw, rzezi, rewolucji, wygnań i najszkarad-

niejszych skutków, które chciwość, partyjniectwo, hipokryzja, zdrada, okrucieństwo, zjadłość, szaleństwo, nienawiść, zazdrość, żądza, złość i ambicja mogły wydać.

Podczas następnej audiencji Jego Królewska Mość powtórzył znowu wszystko, co mu powiadałem. Porównał zapytania swoje, które mi czynił, z odpowiedziami, które mu dawałem, a potem wzięwszy mnie na ręce swoje i łagodnie głaszcząc, wyraził się w tych słowach, których nigdy nie zapomnę, równie jak i sposobu, którym je wymówił:

– Mój malutki przyjacielu, Grildrigu, uczyniłeś niezwykłą swego kraju pochwałę. Dowiodłeś arcydobrze, że niewiedza, lenistwo i występki są właściwymi przymiotami do ubiegania się o miano prawodawcy, że prawa bywają objaśniane, tłumaczone i stosowane przez osoby, których interes i umiejętności skłaniają do zepsucia, zawiąkania i omijania tych praw. Pierwotne zasady instytucji waszego rządu mogłyby jeszcze uchodzić, ale widzę, że je występkami całkiem odmieniły. Z tego nawet, coś mi powiadał, nie widzę, żeby jedna przynajmniej cnota była potrzebna dla dostąpienia urzędu. Nie widzę, żeby ludzie zaliczani byli do szlachty przez swoje cnoty; żeby kapłani wynoszeni byli na dostojeństwa przez świętobliwość i umiejętności, żołnierze przez dobre sprawy i męstwo, sędziowie przez nieposzlakowaną poczciwość, senatorowie przez miłość ojczyzny, ministrowie przez mądrość. Lecz co do ciebie – kończył Król – któryś większą część swego życia w podróżach przepędził, chcę trzymać, iż występkiem swego kraju nie całkiem jesteś zarażony. Ale z tego wszystkiego, coś mi opowiadał, i z odpowiedzi, jakie z największym trudem z ciebie wydobyłem, sędzę, iż większa część współziomków twoich jest najszkodliwszym rodzajem robaków, jakiemu naturą na powierzchni ziemi czołgać się pozwoliła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dbłość Gulliwera o honor swojej ojczyzny. Czyni pożyteczną Królowi propozycję, która jest odrzucona. Nieświadomość Króla w polityce. Nauki narodu tego są niedostateczne i ograniczone. Ich prawa, sprawy wojenne i partie.

Przez miłość jedynie prawdy nie chciałem zataić mojej z Królem rozmowy, lecz nieroztropnością byłoby z mojej strony, gdybym mu dał poznać wielkie oburzenie z powodu zniewagi wyrządzonej mojej ojczyźnie. Śmiech szyderczy byłby niezawodnie takiego postępowania skutkiem, słuchałem więc cierpliwie tych uwag tak mocno obrażających mój kraj rodzinny. Że ja byłem tego przyczyną, bardzo mnie martwiło, ale Król był tak ciekawy, pytania jego były tak liczne i trafne, że nie tylko wdzięczność, ale już nawet sama grzeczność wkładała na mnie obowiązek odpowiadać mu z największą dokładnością. Dla usprawiedliwienia się z tego mogę zapewnić, że starałem się, ile możliwości, wielkiej części jego pytań zręcznie unikać i każdej rzeczy najlepszy i najpochlebniejszy dawać obrót i barwę, gdyż stronność szlachetna dla mojej ojczyzny, którą Dionisius z Halikarnasu dziejopisarzom tak mocno zaleca, była zawsze moim przymiotem. Nic nie opuściłem, co by mogło wady i ułomności mojej ojczyzny ukrywać, a jej cnotę i zasługi w najwdzięczniejszym świetle wystawiać. Lecz niestety usiłowania moje pomyślnym nie zostały uwieńczone skutkiem.

Trzeba atoli wybaczyć Królowi, który żyjąc zupełnie odłączony od reszty świata, nie zna obyczajów i zwyczajów innych narodów. Ten niedostatek wiadomości będzie zawsze przyczyną wielu przesądów i ograniczonego sposobu myślenia, od czego my i bardziej oświecone kraje Europy jesteśmy wolni. Byłoby rzeczą śmieszną, żeby wyobrażenia o cnocie i występku jednego króla obcego, gdzieś tam daleko mieszkającego, miały być brane za prawidła i maksymy dla całej ludzkości do naśladowania.

Dla potwierdzenia tego, co mówię, i pokazania nieszczęśliwych skutków ograniczonej edukacji opiszę rzecz jedną, w którą może trudno będzie uwierzyć. Dla zyskania sobie łaski Króla podałem mu sposób robienia prochu, od jakich trzech – lub czterechset lat wynalezionego, którego największe nawet kupy jedna iskierka zapala, iż może góry w powietrze wysadzać, z trzaskiem i hukiem od piorunowego większym. Powiedziałem mu, że wsypawszy część tego prochu w rurę mosiężną lub żelazną można ciskać kulą ołowianą lub żelazną z taką prędkością i gwałtownością, że nic nie wytrzyma jej siły; że wielkie kule, przez zapalenie tego prochu z rury wypędzone i wyrzucone, łamią, wywracają i wałą całe pułki i rotę, kruszą najmocniejsze mury, obalają najogromniejsze wieże, zatapiają największe okręty z tysiącami majtków; że gęsto puszczane kule przecinają maszty i takielunek, rozbijają zwarte szeregi i

wszystko z ziemią równają; że tenże proch wsypany w kulę żelazną, którą rzuca się jedną machiną, pali i tłucze domy, rzuca na wszystkie strony błyskawice i piorunuje wszystko, co-
kolwiek się nawinie, a używamy tych kul żelaznych przy obleganiu miast. Powiedziałem
Królowi, że umiem robić ten proch cudowny, do którego pospolite tylko i tanie rzeczy wcho-
dzą, i że mógłbym tego sekretu nauczyć poddanych Jego Królewskiej Mości, jeśliby tego
żądał; że za pomocą prochu tego mógłby zburzyć najmocniejsze w królestwie swoim miasto,
jeśliby się kiedy ważyło zbuntować i monarsze swemu sprzeciwić; że mu tę małą czynię
przysługę na znak wdzięczności za wyświadczone mi dobrodziejstwa.

Król był przerażony opisaniem tak okropnych prochu mego skutków i zdawał się nie poj-
mować, w jaki sposób słaby, nędzny, podły, nikczemny, po ziemi czołgający się robak, do
mnie podobny (tak raczył się wyrazić), mógł wymyślić rzecz tak straszną i mówić o niej spo-
sobem tak poufałym, iż zdaje się, że rzeź i spustoszenie, które ten wynalazek dziki powoduje,
ma jedynie za fraszkę.

– Musiał być – rzekł – jakim złym geniuszem, nieprzyjacielem całego stworzenia ten, co
ten proch wynalazł.

Oświadczył mi, że chociaż wiadomość o nowych odkryciach w kunsztach i rzemiosłach
największe mu sprawia ukontentowanie, wolałby utracić pół królestwa niżeli używać tak nie-
szczęsnego sekretu, o którym zakazał mi pod karą śmierci kiedykolwiek wspominać.

Oto nędzny skutek niewiedzy i o g r a n i c z o n y c h n a u k tego monarchy bez eduka-
cji! Ten pan, ozdobiony wszystkimi przymiotami, które jednać mogą uszanowanie i miłość
narodów, zaszczycony rozumem mocnym i bystrym, mądrością wielką, umiejętnościami
gruntownymi, obdarzony przedziwnymi do królowania talentami i prawie od narodu swego
jak bóstwo czczony, odrzuca przez d e l i k a t n e n i e p o t r z e b n e s k r u p u ł y, o któ-
rych w Europie pojęcia nie mamy, najlepszą sposobność zostania absolutnym panem życia,
wolności i dóbr poddanych swoich. Nie czynię ja tego z myślą poniżenia cnót i mądrości tego
monarchy, który przez to w opinii angielskiego czytelnika wiele niezawodnie straci, ale
mniemam, iż wada jego pochodzi tylko z prostoty, ponieważ naród ten jeszcze nie doprowa-
dził polityki do tej sztuki, do jakiej doprowadziły ją wysokie umysły europejskie.

Przypominam sobie, że dnia jednego, rozmawiając z Królem, powiedziałem mu przypad-
kiem o wielkiej liczbie tomów napisanych u nas o sztuce rządzenia, czyli polityce. Król
oświadczył na to (czego nie, mogłem przypuścić), iż bardzo złe myśli powziął o dowcipie
naszym, i przydał, że wszelkimi skrytościami, wybiegami i intrygami w postępках bądź mo-
narchy, bądź jego ministrów, niewypowiedzianie się brzydzi. Nie mógł pojąć, co ja rozumiem
przez „sekret gabinetowy”, kiedy w grę nie wchodzi ani nieprzyjaciół, ani rywalizacja obcego
narodu. Umiejętność rządzenia pojmował Król bardzo ciasno, opierając ją na zdrowym roz-
sądku i rozumie, na sprawiedliwości i łagodności, na prędkim rozstrzyganiu spraw tak cywil-
nych, jako i kryminalnych, i na innych podobnych postępках, które nikomu nie są trudne i o
których nie ma nawet co mówić. Na koniec odezwał się, że gdyby kto dokazał, aby dwa kłosa
albo dwa źdźbła ziela rosły na tym kawałku ziemi, na którym przedtem rosło tylko jedno,
więcej by miał u narodu ludzkiego zasługi i istotniejszą by krajowi swemu uczynił przysługę
aniżeli cała rzesza polityków naszych.

Nauki tego narodu są rzeczą arcybagatelną i dotyczą tylko obyczajów, historii, poezji i
matematyki, ale przyznać trzeba, że w tych czterech gatunkach wielką doskonałość osiągnęły.
Ostatniej z tych czterech umiejętności używają tylko do tego, co ku pożytkowi służy, jak wy-
doskonalenie kunsztów mechanicznych i polepszenie rolnictwa, tak że u nas za nic by była
poczytana. Co zaś do pojęć metafizycznych, abstrakcji i kategorii, żadnym sposobem nie mo-
głem im wytłumaczyć, co by to było.

W tym kraju nie wolno ustanawiać prawa, w którym byłoby więcej słów niż liter w abeca-
dle, a tych jest dwadzieścia i dwie. Mało nawet jest praw takich, co by się do tej długości roz-
ciągały. Wszystkie są wyrażone w słowach jak najjaśniejszych, jak najprostszych, a naród ten

nie jest ani tak dowcipny, ani tak bystry, żeby w nich mógł znajdować rozmaite znaczenia. Nadto pisać komentarze do praw jest u nich gardłowym występkiem. Co się zaś tyczy wyroków w sprawach cywilnych lub kryminalnych, to tak mało ich wydano, że naród ten nie może się poszczycić wielką zręcznością w tej mierze.

Posiadają oni, równie jak Chińczycy, umiejętność drukowania od niepamiętnych czasów, ale biblioteki ich nie są wielkie. Królewska jest najliczniejsza, a nie składa się więcej jak z tysiąca ksiąg, ułożonych na galerii długiej na tysiąc dwieście stóp, gdzie miałem wolność czytania wszystkich książek, jakie mi się tylko podobały.

Stolarz Królowej wybudował dla mnie w jednym z pokoiów Glumdalclitch coś w rodzaju drewnianej maszyny, wysokiej na dwadzieścia pięć stóp i przypominającej drabinę. Każdy stopień miał pięćdziesiąt stóp długości. Były to jak gdyby ruchome schody, których najniższy schodek umieszczony był w odległości dziesięciu stóp od ściany, a książkę, którą chciałem czytać, opierano o ścianę. Właziłem na najwyższy szczebel drabiny i czytałem chodząc z lewej strony na prawą, z góry na dół i tak na powrót, mając zawsze każdy wiersz trochę poniżej oczu. W ten sposób mogłem całe dwie stronicę przeczytać, po czym przewracałem kartę obiema rękami, bo papier był tęgi i twardy jak najgrubsza tektura, a karty miały osiemnaście do dwudziestu stóp długości.

Styl ich jest jasny, męski i przyjemny, ale bez ozdób, bo unikają słów niepożytecznych i coraz innego odmieniania wyrazów. Przeczytałem wiele ich książek, nade wszystko moralnych i historycznych. Między innymi znalazłem jeden starożytny traktat, który leżał zawsze w pokoju Glumdalclitch, a należał do jej guwernantki, starszej i poważnej kobiety, która wiele poświęcała czasu czytaniu ksiąg moralnych oraz pobożności. Książka traktowała o słabości narodu ludzkiego i była w wielkim poważaniu u kobiet i pospółstwa. Ciekawy byłem wiedzieć, co autor w tym kraju mógł napisać w podobnej materii. Autor, podobnie jak moralisci europejscy, usiłował obszernie pokazać, jak słabym i ułomnym jest człowiek stworzeniem, nie mogącym się obronić ani przed srogością powietrza, ani przed zjadłością bestii dzikich. Jak bardzo go przechodzą inne zwierzęta w sile, w szybkości, w przewidywaniu, w dowcipie. Pokazywał, że się natura w późniejszych wiekach wyrodziła i ku schyłkowi miała, że w porównaniu z przeszłością same tylko nędzne stwory wydaje. Ludzie byli pierwsi daleko więksi, o czym nas historia, tradycja i znalezione olbrzymiej wielkości szkielety dostatecznie przekonują.

Nauczał, że same prawa natury wymagały, abyśmy z początku byli wzrostu potężniejszego niż teraz, gdzie najmniejszy przypadek, spadająca z góry dachówka, rzucony ręką dziecka kamień lub niepomyślny przewóz przez rzeczkę o śmierć nas może przyprowadzić. Z takich uwag wiele autor wyprowadzał moralnych wniosków o postępach życia ludzkiego. Co do mnie, myślę, że ludzie wszędzie prawią nauki moralne i mają nieprzewidywaną skłonność żalenia się na naturę, chociaż gruntownie rzecz roztrząsnąwszy, skargi te zarówno u nich, jak i u nas są zupełnie niesłuszne.

Co do ich wojska, mówią, że Król Jegomość ma sto siedemdziesiąt sześć tysięcy piechoty, a trzydzieści dwa tysiące jazdy, jeżeli można dać taką nazwę wojsku, które składa się tylko z samych kupców i rolników, w którym komendantami są panowie i szlachta, bez żadnego żołdu i nagrody. Są oni wprawdzie doskonali w swej sztuce i arcydobrze zachowują karność, czemu nie trzeba się dziwić, ponieważ każdy rolnik ma za komendanta swego własnego pana, a każdy mieszczanin przedniejszych miasta swego obywateli, zwyczajem weneckim obranych przez tajne głosowanie.

Widziałem nieraz, jak pospolite ruszenie z Lorbrulgrudu musztrowano na wielkiej za miastem równinie, mającej dwadzieścia mil kwadratowych obszerności. Liczyło ono blisko dwadzieścia pięć tysięcy piechoty i sześć tysięcy kawalerii, lecz z przyczyny ogromu przez nich zajmowanej przestrzeni ściśle ich liczby oznaczyć nie mogłem. Kawalerzysta na koniu miał wysokość dziewięćdziesięciu stóp. Na jedno słowo komenderującego cała kawaleria wyjęła w

mgnieniu oka swoje szable i machała nimi w powietrzu. Imaginacja nie może sobie nic nad to większego i bardziej uderzającego utworzyć; był to widok, jak gdyby naraz tysiące błyskawic powietrze we wszystkich kierunkach przerzynało.

Byłem ciekawy, dlaczego monarcha, którego państwo jest niedostępne, utrzymuje wojska tak wiele i w tak doskonałej karności. Dowiedziałem się o tym i z rozmów, które w tej mierze miewałem, i z czytania książek historycznych. Przez wiele wieków naród ten cierpiał chorobę, jakiej ludzkość cała podlega, kiedy panowie i szlachta dobijają się mocy, lud wolności, a król samowładztwa. Te rzeczy, chociaż mądrze przez prawa narodowe umiarkowane, były pogwałcone czasem przez który ze stanów i stawały się wtedy przyczyną niezgod, kłótni i wojen domowych. Ostatnią z nich szczęśliwie zakończył przez wzajemny układ dziad monarchy panującego.

Pospolite ruszenie naówczas w królestwie ustanowiono za pozwoleniem wszystkich stanów i służbę swoją dotąd odbywa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Król i Królowa jadą ku granicy. Gulliwer im towarzyszy. Opisanie, jakim sposobem wyszedł z państwa tego i do Anglii się dostał.

Zawsze czułem w sercu jakąś nadzieję, że kiedyś odzyskam wolność, chociaż nie mogłem zgadnąć, jakim sposobem, ani też wymyślić planu, który mógłby się powieść. Statek, na którym się tam dostałem, pierwszy był z okrętów europejskich, o którym wiadano, że się do ich brzegów zbliżył, a Król wyraźny dał rozkaz, aby jak tylko się jaki ukaże, zaraz go na ląd wyciągnięto i z ludźmi, i z całym ładunkiem na furgonie przyprowadzono do Lorbrulgrudu.

Mocno tego pragnął, aby mi wynaleźć żonę podobnego mnie wzrostu, dla rozmnożenia rodzaju mego. Ale wolałbym umrzeć aniżeli płodzić dzieci nieszczęśliwe, przeznaczone, żeby je sadzano jak kanarki w klatkę, a może nawet osobom znacznym w królestwie sprzedawano jak małe zwierzątka. Prawda, że obchodzono się ze mną bardzo dobrze, byłem faworytem wielkiego Króla i Królowej, byłem pieszczochem całego dworu, ale było to na takiej stopie, że uwłaczało godności mojej natury ludzkiej. Nie mogłem także zapomnieć o mojej drogiej rodzinie, którą u siebie w domu zostawiłem. Pragnąłem być wśród ludzi, z którymi mógłbym żyć jak z równymi sobie i przechadzać się po ulicach i polach bez bojaźni, żeby mnie kto nie roztrącił nogą albo jak żabę lub pieska nie rozdeptał. Lecz uwolnienie moje zdarzyło się prędzej, niżelimi się mógł spodziewać, a to sposobem osobliwszym, tak jak go wiernie opiszę ze wszystkimi tego cudownego zdarzenia okolicznościami.

Już się dwa lata skończyło mego mieszkania w tym kraju. Na początku trzeciego znajdowałem się z Glumdalclitch, z dworem Króla i Królowej w podróży do południowych granic państwa. Niesiono mnie, jak zawsze, w moim podróżnym pudle, które było wygodnym, na dwanaście stóp obszernym pokojem. Zawieszano z rozkazu mego hamak na czterech sznurach jedwabnych zamocowanych w czterech rogach mego pudła, ażeby nie czuć trzęsienia, kiedy jeden ze służących wiózł mnie przed sobą na koniu, ilekroć miałem na to chętkę, a wtedy spałem sobie podczas podróży. Kazałem cieśli, by w dachu pudła mego zrobił okienko czworograniaste, abym w gorące dnie miał świeże powietrze w czasie snu, tak że kiedy chciałem, mogłem je deską zamknąć i otworzyć.

Gdyśmy stanęli na miejscu. Król Jegomość umyślił zabawić dni kilka w jednym pałacu wiejskim, blisko miasta Flanflasnic, o osiemnaście mil angielskich od brzegów morskich. Ja i Glumdalclitch mocno byliśmy utrudzeni, jam tylko trochę dostał kataru, ale biedna dziewczyna była tak słaba, że musiała zawsze siedzieć w pokoju. Zachciało mi się widzieć morze, gdyż tylko morzem uciec mogłem, gdyby się to kiedy stać miało; udałem większą słabość, niż była

w rzeczy samej, i prosiłem, żeby mi pozwolono użyć powietrza nadmorskiego z jednym paziem, którego wielce sobie upodobałem i któremu czasem mnie powierzano. Nie zapomnę nigdy, z jaką trudnością na to pozwoliła Glumdalclitch, jak surowo przykazywała paziowi mieć o mnie staranie, ile łez wylała, jakby przeczuwając wypadek, który mi się miał przytrafić. Niósł mnie tedy paż w moim pudelku ku skałom nad brzegiem morza stojącym. O jakie pół mili od pałacu powiedziałem mu, aby mnie na ziemi postawił, i otworzywszy jedno okno zacząłem smutnym okiem poglądać na morze. Rzekłem potem paziowi, że chciałbym trochę na łóżku zasnąć, co mi może ulgę przyniesie. Paż zamknął dobrze okno, żebym się nie przeziębził, a ja, położywszy się, usnąłem. To tylko wnosić mogę, że paż, widząc, iż nie miał się czego o mnie obawiać, oddalił się od pudła dla szukania jaj ptasich, gdyż widziałem go z okna, iż czegoś między skalami nad brzegiem morza szukał, a znalazłszy podnosił i do kieszeni chował. Obudziłem się nagle na gwałtowne mego pudła wstrząśnięcie i uczułem, że było do góry ciągnięte, a potem w powietrze unoszone z niewypowiedzianą szybkością. Pierwsze wstrząśnięcie omal mnie nie zrzuciło z mego wiszącego łóżka, ale potem bardzo lekko ciągniony byłem. Krzyczałem ze wszystkich sił, ale nadaremno. Wyjrzawszy przez okno, same tylko widziałem obłoki, a nad głową słyszałem szum straszny jakby machania skrzydeł. Naówczas zacząłem poznawać, w jak niebezpiecznym znajdowałem się stanie, i domyślać się, że orzeł trzymał w dziobie sznur od pudła mego, chcąc je upuścić na jaką skałę, jak żółwia w skorupie, i tym sposobem stłukłszy, trupa mego wyciągnąć i pożreć, gdyż ptak ten taką ma roztropność i węch, że może z bardzo daleka postrzec swój łup, choćby nawet lepiej był ukryty aniżeli ja pod deskami, które nie były grubsze nad dwa cale.

Po jakimś czasie usłyszałem, że bicie skrzydeł znacznie się powiększyło, i poczułem, że się moje pudło w tę i ową stronę miota jak szyld podczas wielkiego wiatru. Usłyszałem, iż niosący mnie orzeł dostał kilka gwałtownych uderzeń (bo niechybnie orzeł mnie niósł), potem nagle poczułem, że leciał prosto na dół przez dobrą minutę, ale z taką szybkością, że nie mógł złapać oddechu. Spadanie moje zakończyło się strasznym wstrząśnieniem, które mi większy szum w uszach sprawiło niż spadające wody Niagary. Potem pozostawałem w ciemnościach przez drugą minutę, na koniec pudło moje zaczęło się do góry podnosić, tak że zobaczył światłość przez okienko górne.

Poznałem naówczas, iż wpadłem w morze. Moje pudło z powodu ciężaru mego ciała i rzeczy, które w nim były, oraz blach metalowych użytych do wzmocnienia czterech rogów od góry i od dołu, zanurzało się na pięć stóp w wodzie. Zdawało mi się wtenczas i jeszcze teraz jestem tego mniemania, że orzeł, który mnie porwał, musiał zostać napadnięty przez dwa albo trzy inne orły, chcące mu wydrzeć jego połów, i upuścić mnie, aby się lepiej bronić. Blachy żelazne bardzo grube i mocne, u spodu pudła mego przykute, utrzymywały je w równowadze i zapobiegły rozbiciu. Fugi jego były mocne i ścisłe, drzwi zaś nie otwierały się na zawiasach, ale wysuwały się w górę i najmniejsze tylko ilości wody przepuszczały. Wylazłem z hamaka nie bez wielkich trudności i otworzyłem wierzchni otwór pudła dla wpuszczenia świeżego powietrza, bo mi niezmiernie było duszno.

O, jak natenczas pragnąłem, aby kochana Glumdaiclitch mogła mnie poratować, od której tym nagłym przypadkiem tak bardzo zostałem oddalony. Myśląc zaś, w jakim ona smutku z powodu straty mojej i z nieukontentowania Królowej zostaje, rzetelnie mówię, że pośród nieszczęśliwości moich niewypowiedzianie nad nią ubolewałem. Pewny jestem, iż mało komu w podróży trafiło się doznać tak opłakanego stanu, gdyż co moment oczekiwać mogłem, że pudło moje się rozleci albo je pierwszy wiatr wywróci, albo pierwszy wał na dnie pogrąży. Domyślałem się, żeby się jedna szyba w oknie stłukła, już po mnie. Okna moje utrzymywały tylko pręty żelazne, którymi dla przypadków zdarzających się w podróży mocno i gęsto z zewnątrz były okute. Postrzegłem, że przez niektóre małe szpary cisnęła się woda. Starąłem się pozatykać je jak najlepiej. Niestety, nie miałem dość sił do podniesienia dachu mego pudła, co byłbym niewątpliwie zrobił, woląc raczej na wierzchu siedzieć, gdzie przynajmniej mógłbym się

utrzymać parę godzin dłużej, niż pozostawać w zamknięciu jak w kajucie okrętowej. Gdybym nawet przez kilka dni mógł uchodzić tym niebezpieczeństwom, jeszcze okropniejsza śmierć mnie czekała z głodu i pragnienia. Cztery godziny znajdowałem się w tym nie do wyobrażenia okropnym stanie, każdy moment uważając za ostatni w moim życiu, a nawet chwilami życząc sobie tego.

Jak już opisywałem, na jednej ścianie mojego pudła były przymocowane dwie klamry dla przewleczenia skórzanego pasa, którym opasywali się moi opiekunowie, gdy brali mnie na konną przechadzkę.

W tym oplakany stanem usłyszałem niby jakiś szum z tej strony pudła, gdzie były umieszczone owe klamry, a potem zdało mi się, jakby coś ciągnęło, bo czułem mocne przesuwanie się pudła w jednym kierunku, tak że przez to fale aż powyżej mego okna się wznosiły i zostawałem w ciemnościach. Powziąłem wtedy słabą nadzieję ratunku, choć pojąć nie mogłem, w jaki sposób się to stanie. Odśrubowałem krzesło i stanąwszy na nim przyłożyłem wargi do szpary, która była w dachu, i zacząłem z całych sił wołać, prosząc o ratunek we wszystkich językach, którym tylko umiał. Na koniec, przywiązawszy chustkę do kija i wystawiwszy przez okienko górne, ruszałem ją w powietrzu, ażeby w przypadku, jeśliby okręt lub inny jaki statek był blisko, mogli się domyślić żeglarze, iż się w tym pudle znajdował zamknięty człowiek.

Nie postrzegłem, żeby to wszystko jaki skutek sprawiło, ale oczywiście poznałem, że pudło moje ciągnięto. W godzinę poczułem, że się otarło o coś twardego. Z początku rozumiałem, że o skałę, i mocnom się tego przeląkł, bo kołysało mną gorzej niż dotąd, natenczas wyraźnie usłyszałem uderzenie o dach pudła, jakby z rzucenia liny pochodzące, i tarcie o kółko, które się tam znajdowało. Potem zdało mi się, jakbym powoli był podniesiony do góry, najmniej na trzy stopy wyżej, aniżeli byłem pierwaj. Zacząłem chwiać kijem i chustką, wołając ratunku aż do ochrypnienia. Zamiast odpowiedzi usłyszałem głośnie okrzyki po trzykroć powtórzone, które tak wielką we mnie wznieciły radość, iż nikt jej pojąć nie może, chyba że w podobnym znajdował się przypadku. Usłyszałem, iż ktoś szedł po dachu pudła mego i przez okienko zawołał w języku angielskim:

– Jest tu kto?

– Jestem Anglikiem – powiedziałem – którego okrutny los wpędził w takie nieszczęście, jakiego nigdy jeszcze nie doznało żadne stworzenie. Na miłość Boga, uwolnij mnie od tego więzienia.

– Uspokój się – rzekł mi głos – nie masz się czego lękać, pudło twoje przywiązane jest do statku i zaraz idzie cieśła dla wyrąbania w dachu dziury, przez którą cię stamtąd wyciągniemy.

Odpowiedziałem mu, że nie ma potrzeby, a wiele czasu to zabierze. Dosyć jest, żeby kto, wzięwszy palcem za kółko, wyciągnął pudło z morza i przeniósł na statek, a potem je do pokoju kapitana zaniósł. Niektórzy słysząc mnie tak mówiącego myśleli, że jestem jakiś biedny wariat, drudzy się zaś z tego śmieli. Nie myślałem naówczas, że znajdowałem się między ludźmi mego wzrostu i siły. Przyszedł cieśła i prędko zrobiwszy dziurę w dachu pudła, na cztery stopy szeroką, spuścił mi drabinę, po której wlałem na statek, będąc bardzo osłabiony.

Żeglarze, niezmiernie zadziwieni, tysiącnie czynili mi zapytywania, na które nie miałem ochoty odpowiadać. Zdawało mi się, jakbym patrzył na Pigmejczyków, mając przyzwyczajone oczy do tych niezmiernie wielkości ludzi, których tylko co porzuciłem. Kapitan, pan Tomasz Wilcocks, człowiek roztropny i poczciwy, rodem z hrabstwa Shropshire, widząc, że ze słabości mógłbym upaść, wprowadził mnie do swego pokoju, dał mi zażyć kordiału, położył na swoim łóżku i radził, żebym zażył spoczynku, którego wielce potrzebowałem. Nim usnąłem, powiedziałem mu, że w pudle moim miałem sprzęty szacowne, wspaniałe hamaki, wygodne łóżko, dwa krzesła, stół i sekretarzyk, że pudło moje jest wybite albo raczej wysłane bawełnianymi i jedwabnymi materiałami i że gdyby któremu z majtków kazał je przynieść do

swego pokoju, otworzyłbym je w jego przytomności i pokazałbym mu te wszystkie sprzęty. Kapitan, słysząc, że mu tak dziwne rzeczy prawili, uznał mnie za głupiego, ale nie chcąc mi się przeciwzić, przyobiecał, iż rozkaże uczynić, jak żądałem, i wstąpiwszy na pokład posłał ludzi dla obejrzenia pudła mego. Majtkowie, jak się później dowiedziałem, rzeczy z pudła wyjęli, obicie oberwali, meble, mocno do podłogi przyśrubowane, przez niedbałe i spieszne oderwanie zepsuli, a wziawszy kilka tarcic, które im się do czegoś przydały, puścili na morze pudło, które wskutek wybitych dziur wkrótce zatoneło. Mocno byłem kontent, iż nie widziałem zniszczenia mojego domu, bo może bym sobie przypomniawszy rzeczy, o których wolałbym raz na zawsze zapomnieć.

Spałem przez kilka godzin, ale wyobrażenie kraju, który porzuciłem, i niebezpieczeństwo, w jakim się znalazłem, nieustannie we mnie sprawiały niespokojność, wszelako obudziwszy się, poczułem się pokrzepiony na siłach. Była natenczas ósma godzina wieczór i kapitan kazał mi niezwłocznie dać wieczerzę, rozumiejąc, że przez długi czas pościł. Postępował ze mną bardzo ludzko, zwracając mi uwagę, abym nie pozierał tak dziwnie i nie mówił od rzeczy. Gdyśmy zostali sami, prosił mnie, ażebym mu opisał moje podróże i jakim przypadkiem wyrzucony zostałem na morze w tej olbrzymiej skrzyni drewnianej. Powiedział mi, że około południa, gdy patrzył przez lornetę, postrzegł bardzo z daleka coś do statku podobnego i chciał dościsnąć dla kupienia sucharów, ponieważ już mu się zapasy wyczerpywały; że zbliżywszy się, poznał swój błąd i posłał łódź dla zobaczenia co by to było; że ludzie jego powrócili mocno zestraszeni, przysięgając, że widzieli dom pływający, że się z tej ich głupoty mocno uśmieł i sam wsiadł do łodzi, kazawszy majtkom wziąć ze sobą linę mocną; że ponieważ czas był cichy, objechawszy naokoło to wielkie pudło, spostrzegł okno, a potem klamry w jednej ze ścian, że natenczas kazał swoim ludziom przywiązać do nich linę i ciągnąć skrzynię (jak on to nazywał). Potem kazał te liny przywiązać do kółka na dachu dla podniesienia skrzyni do góry, lecz wszyscy jego majtkowie nie mogli jej wyżej nad trzy stopy podźwignąć. Widział mój kij i chustkę na wierzch wystawione i wtenczas poznał, iż wewnątrz jacyś nieśczęśliwi muszą być zamknięci. Spytałem go, czy on albo kto z jego ludzi w momencie, gdy mnie postrzeżono, nie widział ptaków jakich osobliwszej wielkości. Na to mi odpowiedział, iż gdy rozmawiał o tym przypadku z majtkami, wtenczas gdy spałem, jeden powiedział mu, że widział kilka orłów odlatujących ku północy, ale nie zdawało mu się, żeby były większe niż zwyczajne, co, zdaniem moim, trzeba przypisać wielkiej wysokości, na której się znajdowały, a tak nie mógł zgadnąć, dlaczego się o to pytał.

Spytałem się potem tegoż kapitana, jak daleko, sądzi, jesteśmy oddaleni od lądu. Odpowiedział, iż podług najdokładniejszej kalkulacji blisko o sto mil. Upewniłem go, że się bez wątpienia prawie o połowę pomylił, bo nie więcej jak dwie upłynęły godziny, kiedy po opuszczeniu lądu wpadłem w morze. Kapitan zaczął znowu myśleć, że mi się mózg pomieszał, i radził, ażebym poszedł do łóżka w kajucie, którą dla mnie kazał przygotować. Zapewniałem go, że się należycie wieczerzą jego posilił, że kontent z jego kompanii i że mam rozum i zmysły tak doskonale zdrowe jak nigdy. Natenczas użył tonu poważnego i prosił mnie, abym mu otwarcie powiedział, czy nie mam pomieszania w duszy mojej i zgryzot sumienia po jakichś wielkich zbrodniach, za które na rozkaz władzy zostałem ukarany rzuconiem w tym pudle na morze, jak czasem w niektórych krajach bywają złoczyńcy puszczani na łaskę fal, w statku bez żagli i bez żywności; że choć niekontent był z przyjęcia na swój statek takiego zbrodniarza, wszelako upewniał mnie słowem honoru, że w pierwszym porcie, do którego zawinie, wysadzi mnie na ląd z wszelkim bezpieczeństwem. Przydał, że podejrzenia jego bardzo powiększyły niektóre mowy nierozsądne, które miałem z majtkami i z nim samym o moim pudle, czyli mieszkaniu, tudzież oczy obłąkane i dziwaczne zachowanie podczas wieczerzy.

Prosiłem, żeby cierpliwie chciał posłuchać historii mojej, którą od czasu ostatniego mego z Anglii wyjazdu aż do momentu, kiedy mnie znalazł, wiernie opowiedziałem, a jako dla praw-

dy umysły rozsądne zawsze otworem stoją, człowiek ten, poczciwy i zacny, mający rozsądek wielki i cokolwiek nauk posiadający, kontent był z mojej rzetelności i szczerości. Dla potwierdzenia zaś tego wszystkiego, com mu opowiadał, prosiłem, aby rozkazał przynieść mój sekretarzyk, od którego klucz miałem przy sobie (wiedziałem już wtenczas, jaki los spotkał moje pudło). Otworzyłem go w jego przytomności i pokazałem wszystkie rzeczy ciekawe, robione w tym kraju, z którego wyszedłem tak dziwnym sposobem. Między innymi rzeczami był tam grzebień, który zrobiłem z włosów brody królewskiej, a drugi z tegoż samego materiału, którego osada była z kawałka urzniętego paznokcia Jej Królewskiej Mości. Była tam jedna paczka igieł i szpilek długich na półtorej stopy, cztery żądła os, jak stolarskie sztyfty grube, i jeden pierścionek złoty, który darowała mi Królowa, w sposób arcygrzeczny zdejmując go ze swego małego palca i kładąc mi go na szyję jako naszyjnik. Prosiłem kapitana, żeby na znak wdzięczności za jego dobroć i grzeczność przyjął ode mnie ten pierścień, lecz tego żadnym sposobem uczynić nie chciał. Pokazałem mu też nagniotek, który sam z nogi dworskiej damy odjąłem; był on gruby jak największe jabłko i tak stwardniał, że za powrotem do Anglii kazałem go wydrążyć na kubek i w srebro oprawić. Na koniec prosiłem go, żeby się przypatrzył moim pludrom, które były ze skórki mysiej.

Najusilniejszymi tylko prośbami mogłem go nakłonić do przyjęcia ode mnie zęba lokaja, który największą uwagę jego na siebie zwrócił. Dziękował mi za to bardzo i nawet więcej, niż ta bagatelka warta była. Ząb ten został przez nieumiejętnego chirurga jednemu ze służących mojej piastunki wyrwany, chociaż był zupełnie zdrowy; kazałem go oczyścić i schowałem w moim sekretarzyku. Długość jego wynosiła przeszło jedną stopę, a średnica cztery cale.

Kapitan mocno był kontent z tego, co mu opowiedziałem, i rzekł, że się spodziewa, iż za przybyciem naszym do Anglii opiszę te przypadki podróży moich i do druku podam. Jam mu na to odpowiedział, że zdaniem moim już nadto mamy książek podróżniczych, a teraz tylko takie dzieła chcą czytać, które coś nadzwyczajnego zawierają; że wielu pisarzy więcej troszczy się o własną próżność i interes niż o prawdę. Moja książka zawierałaby tylko rzeczy zwyczajne, a nie opisywałaby tak osobliwych roślin, drzew, ptaków i innych zwierząt, obyczajów i bałwochwalstwa dzikich ludów, którymi większa część pisarzy dzieła swoje ozdabia. Podziękowałem mu przy tym za jego radę i przyrzekłem zastanowić się nad nią.

Słyszając, że mówię zawsze głośno, dziwował się temu i spytał mnie, czy Król i Królowa tego kraju nie byli głusi. Odpowiedziałem, że się do tego przyzwyczaił przez dwa lata i że w wielkim miałem podziwieniu głos jego i wszystkich żeglarzy, którzy zdawali mi się mówić po cichu i jakby do ucha, ale z tym wszystkim dosyć dobrze ich słyszałem. Kiedy znajdowałem się w tym kraju, rozmawiałem zawsze jak człowiek, który by chciał przemówić z ulicy do drugiego stojącego na wysokiej wieży, chyba że mnie stawiano na stole albo kto na ręce trzymał.

Powiedziałem mu jeszcze, iż majtkowie wydali mi się z początku najdrobniejszymi, jakim tylko widział, stworzeniami, że podczas mieszkania mego w tym kraju, mając przyzwyczajone oczy do przedmiotów wielkich, nie mogłem przeglądać się w zwierciadle, taką mnie wzgardą napełniało porównanie mojej osoby z innymi.

Kapitan mi rzekł, iż podczas wieczerzy uważał, że na wszystkie rzeczy poglądał z niejakim podziwieniem, i że mu się zdawało, jakoby czasem trudno mi było wstrzymać się od śmiechu, ale nie wiedząc, jakie tego były pobudki, przypisywał to pomieszaniu mego rozumu. Odpowiedziałem, iż właśnie dziwowałem się sam sobie, jak mogłem od śmiechu się wstrzymać widząc półmiski tak małe jak srebrny trojak, łopatkę baranią jak jeden zrazik, kubek mniejszy od skorupy orzechowej, i tak opisałem mu resztę jego sprzętów i potraw; bo choć Królowa do użytku mego kazała wszystkie rzeczy odpowiedniej robić wielkości, wszelako wyobrażenia moje zaprzątnięte były jedynie tym, co wokoło siebie widziałem, i tak czyniłem, jak wszyscy ludzie, którzy patrząc nieustannie na innych, a nie zastanawiając się nigdy nad sobą, nie dają baczności na własną małość. Kapitan zrozumiał mój żart i śmiejąc się odpo-

wiedział starym angielskim przysłowiem, że oczy moje były większe niżeli mój brzuch, gdyż uważał, że nie miałem wielkiego apetytu, chociażem się przez cały dzień przepościł, potem swój żart kończąc, dalej mówił, iż dałby sto funtów szterlingów, żeby mógł widzieć, jak orzeł pudło moje trzymał w dziobie i jak potem leciało z tak wielkiej wysokości w morze, co zaiste byłoby widokiem bardzo dziwnym i wartym podania następnym wiekom. Porównanie z Fatonem było tak bliskie, iż nie omieszkiał go zastosować, choć zdawało mi się, że nie jest bardzo na miejscu.

Kapitan wracając z Tonkinu płynął ku Anglii, ale nawałnica zapędziła go między wschód i północ aż pod czterdziesty stopień szerokości i sto czterdziesty trzeci długości. Dwa dni po moim na statek przybyciu zerwał się wiatr i przez długi czas pędził nas na południe. Ominąwszy Nową Holandię udaliśmy się ku zachodowi, a potem nieco ku południu, aż pókiśmy nie opłynęli Przylądka Dobrej Nadziei. Żegluga nasza była bardzo szczęśliwa, ale nie chcę opisywaniem jej nudzić czytelnika.

Kapitan zawijał do jednego czy dwóch portów i wysyłał szalupy dla kupowania żywności i zaopatrywania się w wodę, ale ja nigdzie nie wysiadałem ze statku, aż stanęliśmy na Dunach. Był, zdaje się, naówczas dzień trzeci czerwca roku 1706, prawie dziewięć miesięcy po moim wyjściu od Brobdingnagów. Ofiarowałem dla zabezpieczenia zapłaty za przewóz zostawienie moich sprzętów, ale kapitan oświadczył, że żadnym sposobem nic ode mnie wziąć nie chce. Pożegnaliśmy się serdecznie i zobowiązałem go, że mnie odwiedzi w Redriff. Nająłem konia i przewodnika za talara, którego pożyczyłem u kapitana. W podróży, widząc szczupłość domów, drzew, bydła i ludzi, rozumiałem, że się znowu znalazł w Lillipucie. Obawiałem się, żebym którego z podróżnych nie nadeptał i nie roztratował, i dlatego często wołałem, ażeby uciekali z drogi, tak że o mało mnie nie pobito raz czy dwa za moje grubiańskie postępowanie.

Gdy przybyłem do mego domu, który zaledwie poznałem, a jeden ze służących drzwi otworzył, schyliłem się z obawy, abym nie uderzył w nie głową. Żona moja wybiegła dla ucałowania mnie, a ja schyliłem się niżej jej kolan, myśląc, że inaczej nie dosięgnie ust moich. Córką moja uklękła przede mną, prosząc mnie o błogosławieństwo, a ja nie mogłem jej dojrzeć, będąc od dawna przyzwyczajony mieć głowę i oczy obrócone do góry, aż kiedy wstała, i wtedy chciałem ją podnieść, jedną ręką objąwszy ją w pasie. Patrzałem z góry na moich służących i na jednego czy dwóch przyjaciół, jakby oni wszyscy byli karłami, a ja olbrzymem. Powiedziałem żonie, że musiała żyć nazbyt oszczędnie, gdyż wydało mi się, że ona i córka zagłodziły się zupełnie. Zgoła tak dziko postępowałem, że wszyscy byli tegoż zdania co kapitan, kiedy mnie pierwszy raz zobaczył, rozumiejąc, że rozum stracił. Wymieniam te fraszki, aby pokazać, jak wielką moc ma przesąd i nałóg.

W krótkim czasie przyzwyczałem się do żony, do dzieci i do przyjaciół. Żona moja po-przysięgła, iż nigdy więcej nie puści mnie na morze. Złe przeznaczenie moje inaczej rozporządziło, a ona nie zdołała mnie zatrzymać, jak w dalszym ciągu zobaczy mój czytelnik. Jednak na tym miejscu kończę nieszczęśliwych podróży moich część drugą.

CZEŚĆ TRZECIA

**Podróż do Laputy
Do Balnibarbów
Do Luggnaggu
Do Glubbdubdribu
I do Japonii**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gulliwer rozpoczyna trzecią podróż. Złapany przez rozbójników morskich. Złośliwość jednego Holandczyka. Dostaje się do Laputy.

Ledwie dni dziesięć zabawiłem w domu, gdy odwiedził mnie kapitan William Robinson z Kornwalii, dowódca statku „Dobra Nadzieja”, o ładunku trzystu beczek. Byłem ja kiedyś chirurgiem na innym statku, który w czwartej części ładunku do niego należał, i odprawiłem z nim podróż do Lewantu. Obchodził się ze mną nie jak z podwładnym, ale jak z własnym bratem. Dowiedziawszy się o moim przybyciu przyszedł do mnie jedynie dla okazania mi, jakem się domyślał, swojej życzliwości, gdyż mówił tylko o rzeczach po długim niewidzeniu przyjaciela zwyczajnych. Lecz później odwiedzał mnie bardzo często, cieszył się mocno z pomysłnego stanu mego zdrowia i pytał, czylim na zawsze postanowił zostać w domu. Powiedział, że myślał jechać do Indii Wschodnich i że się spodziewał we dwa miesiące ruszyć w tę podróż. Wmówił przy tym we mnie, że miałby za wielkie ukontentowanie, gdybym chciał zostać chirurgiem na jego statku, że miałbym pod sobą innego chirurga i dwóch chłopców, że mi wyznaczy podwójną płacę i że doświadczywszy, iż się prawie równie jak i on znam na morzu, przyrzeka obchodzić się ze mną, jakbym był współdowódcą statku.

Na koniec tyle mi naświadczył grzeczności i tak mi się zdał człowiekiem pocziwym, że mając, mimo doznanych nieszczęśliwości, ciągle wielką ochotę oglądania świata, dałem się namówić. Jedyna trudność była dostać zezwolenie mojej żony, lecz ona w końcu na to przystała, zapewne mając przed oczyma pożytki, które stąd dla dzieci mogły wyniknąć.

Wyszliśmy pod żagle dnia piątego sierpnia roku 1706 i przybyliśmy do fortecy Świętego Jerzego dnia jedenastego kwietnia roku 1707. Tam bawiliśmy przez trzy tygodnie dla poratowania zdrowia naszych ludzi, z których większa część chorowała. Stamtąd udaliśmy się ku Tonkinowi, gdzie kapitan nasz myślał zatrzymać się czas niejaki, ponieważ towary, których nakupić pragnął, nie mogły mu być dostarczone prędzej jak w kilka miesięcy. Ażeby sobie koszt tego opóźnienia wynagrodzić, kupił jeden statek naładowany różnymi towarami, którymi pospolicie mieszkańcy Tonkinu z pobliskimi wyspami handlują, i wsadziwszy na ten mały statek ludzi czternastu, między którymi trzech było tamtejszych rodaków, postawił mnie nad nimi kapitanem, dając mi moc na czas, przez który sam interesa swoje w Tonkinie miał sprawiać.

Nie minęły trzy dni od naszego puszczenia się na morze, jak za powstaniem wielkiej nawałnicy pędzeni byliśmy przez dni pięć między wschód i północ, a potem na wschód. Czas nieco się wypogodził, ale wiatr zachodni zawsze wiał mocno. Dnia dziesiątego dwóch roz-

bójników morskich na nas napadło i wkrótce nas złapali, gdyż statek nasz był tak obciążony, że niepodobna nam było ani uciekać, ani też się bronić.

Rozbójnicy i ich majtkowie z zapalczywością wpadli na nasz statek, lecz znalazłszy nas wszystkich pokornie na ziemi leżących (co ja pierwaj jeszcze rozkazałem), poprzestali na powiązaniu nas i przydaniu nam straży, a potem zaczęli plądrować nasz statek. Postrzegłem między nimi jednego Holandczyka, który zdał się mieć jakąś władzę, choć nie był kometantem żadnego z ich statków. Poznał po naszych twarzach, żeśmy Anglicy, i zapowiedział, szwargocąc w swoim języku, że nas wszystkich powiążą plecami do siebie i w morze wrzucą. Znając dość dobrze język holenderski powiedziałem mu, kim byliśmy, i błagałem, ażeby za nas, jako chrześcijan i protestantów, swoich sąsiadów i sprzymierzeńców, raczył wstawić się do kapitanów. Moje słowa bardziej go jeszcze rozjątrzyły, podwoił swoje groźby i obróciwszy się do swych towarzyszy mówił do nich językiem japońskim, często powtarzając słowo *christianos*.

Większy tych rozbójników statek był pod komendą jednego kapitana Japończyka, który trochę mówił po holendersku. Przystąpiwszy do mnie po różnych zapytaniach, na które mu z największą odpowiedziałem pokorą, upewnił mnie, że nam nie będzie odebrane życie. Uczyniłem mu jak najuniżeńszy ukłon i – obróciwszy się natenczas do Holandczyka – rzekłem mu, iż przykro mi bardzo więcej widzieć ludzkości w bałwochwalcy niżeli w chrześcijaninie. Ale wkrótce żałowałem tych słów nieroztropnych, ponieważ ten nędzny potępieniec, gdy nie mógł namówić dwóch kapitanów do wrzucenia mnie w morze (na co oni przystać nie chcieli z przyczyny danego słowa), wymógł na nich, że srożej jeszcze ze mną postąpiono, niż gdyby mi życie odebrali. Rozdzielili moich ludzi na dwa statki pirackie, żadnego nie zostawiwszy na pokładzie, na który przysłali swoich ludzi. Co do mnie, uchwalili puścić mnie na los szczęścia w czółnie małym o dwóch wiosłach i jednym żaglu, z żywnością na dni cztery. Kapitan Japończyk podwoił ją dla mnie z własnych zapasów i nie pozwolił mnie oszukać. Wstąpiłem więc w czółno, gdy tymczasem dziki Holandczyk, stojąc na pokładzie, okładał mnie obelżywościami i przekleństwami, jakich tylko jego język mógł mu dostarczyć.

Godzinę pierwaj, nim nas rozbójnicy napadli, znalazłem z mojej kalkulacji, żeśmy się znajdowali pod czterdziestym szóstym stopniem szerokości południowej, a sto osiemdziesiątym trzecim – długości. Oddaliwszy się nieco, postrzegłem przez lunetę wiele wysp między południem i zachodem. Wtenczas, mając wiatr pomyślny, podniosłem żagiel, chcąc do najbliższej zawinąć, czego w trzy godziny z wielką trudnością dokazałem. Wyspa ta była całkiem skalista. Znalazłszy jednak wiele jaj ptasich, skrzesałem ognia i roznieciłem go z wrzosu i z sitowia morskiego, ugotowałem jaja, które tego dnia były moim pokarmem, ponieważ ile możliwości, wszelkimi sposobami chciałem żywność moją oszczędzać. Przepędziłem tę noc pod skałą, gdzie nasławszy wrzosu spałem dosyć dobrze.

Nazajutrz udałem się do drugiej wyspy, stamtąd do trzeciej i do czwartej, czasem używając wiosła, czasem żagla. Lecz żebym mego czytelnika nie nudził, powiem mu tylko, iż dnia piątego zawinałem do ostatniej wyspy, która leżała na południowy wschód od poprzedniej.

Była ona dalej, niż mi się zdawało, i ledwie mogłem do niej w pięć godzin dopłynąć. Musiałem ją naokoło objechać, nim znalazłem miejsce, w którym by można zawinąć do lądu. Wysiadłszy w małej zatoce, trzy razy od mego czoła szerszej, znalazłem, że cała wyspa była skałą, tylko gdzieniegdzie znajdowały się miejsca, na których rosła trawa i zioła arcywonne. Wziąłem trochę żywności i nieco posiliwszy się, resztę złożyłem w jednej z jaskiń, których tam było dosyć. Nazbierałem jaj, narwałem sitowia morskiego i ziół suchych, aby nazajutrz roznieciwszy ogień ugotować jaja, gdyż miałem przy sobie krzesiwo, hubkę i szkło palące. Przepędziłem noc całą w jaskini, gdzie złożyłem moją żywność, i spałem na tych ziołach, które na ogień były przygotowane. Mało spałem, będąc bardziej jeszcze niespokojny niż utrudzony. Uważałem, że niepodobna było nie umrzeć w tak nędznym miejscu i że najnędzniejszy koniec mnie czeka. Tak zostałem tymi myślami skołatany, że mi nawet wstawać było

ciężko; nim przyszedłszy do sił wyszedłem z jaskini, już było blisko południa. Czas był piękny, a słońce tak dogrzewało, że musiałem twarz odwrócić.

Ale nagle zachmurzyło się, innym jednak sposobem, niż kiedy słońce za chmurę zajdzie. Spojrzałem na słońce i zobaczyłem jakąś wielką machinę nieprzezroczystą między mną i słońcem, która, zdało mi się, w tę i ową stronę się ruszała. Machina ta, zawieszona na jakieś mil dwie w górze, zasłaniała mi słońce przez sześć lub siedem minut. Nie spostrzegłem jednak, ażeby powietrze było zimniejsze i niebo ciemniejsze, niż gdybym się znajdował w cieniu wielkiej góry. Gdy ta machina spuściła się bliżej ku miejscu, gdzie stałem, zdała mi się być z materii twardej, z gładkim i płaskim spodem, który przez odbijające od niego z morza promienie słoneczne przepysznie się świecił. Zatrzymałem się na jednym wzgórku, o jakie dwieście kroków od brzegu, i widziałem, że się ta machina równolegle do mnie spuszczała i jakby na milę zbliżyła. Naówczas wzięwszy teleskop postrzegłem mnóstwo ludzi uwijających się po jej spadzistych brzegach, nie mogłem jednak dostrzec, co by robili.

Przyrodzona miłość życia wzniciła w sercu moim niejaki uczucia radości i nadziei, że przypadek ten wyratuje mnie może z tak smutnego położenia. Ale trudno, żeby czytelnik pojął, w jakie wpadłem podziwianie widząc wyspę napowietrzną, zamieszkaną przez ludzi, którzy (jak się zdawało) mogą nią w górę lub na dół kierować i podług upodobania swego jeździć nią w powietrzu. Lecz nie znajdując się naówczas w stanie filozofowania nad tym tak dziwnym przypadkiem, uważałem tylko, w którą stronę obróci się ta wyspa, ponieważ zdało mi się, że się w biegu przez niejaki czas zatrzymała.

Niedługo potem zaczęła się zbliżać ku mnie, że już dobrze widziałem na niej ganki i gdzieś tam schody dla komunikacji jednych z drugimi. Na najniższym ganku widziałem wielu ludzi łowiących wędką ptaki, drugich zaś, co się na to patrzyli. Dawałem im znaki czapką (kapelusz mój już dawno był zużyty), powiewałem chustką, a gdy się jeszcze bardziej zbliżyli, wołałem ze wszystkich sił i postrzegłem, że na brzeg naprzeciwko mnie mnóstwo ludu wyległo. Poznałem po nich, że mnie postrzegli, chociaż nic mi nie odpowiadali. Ujrzałem naówczas pięciu lub sześciu ludzi szybko idących ku wierzchołkowi wyspy i pomyślałem, że wysłano ich do jakiejś osoby mającej zwierzchność, dla wzięcia od niej rozkazu, co w tej okoliczności uczynić.

Powiększał się tłum ludu, a w mniej jak pół godziny wyspa tak się zbliżyła, że najniższy ganek był nie dalej ode mnie nad sto kroków. Wtenczas zacząłem w różnych postaciach okazywać najwyższe prośby z największą uniżonością i pokorą, ale żadnej odpowiedzi nie odebrałem. Ci, co byli najbliżej mnie, sądząc z ich odzienia, zdawali się być osobami znakomitymi. Rozmawiali ze sobą poważnie, często na mnie spoglądając.

Na koniec jeden z nich odezwał się do mnie językiem gładkim, jasnym i bardzo przyjemnym, którego brzmienie było do włoskiego podobne. Ja też odpowiedziałem po włosku, myśląc, że głos i ton języka tego miłszy ich uszom będzie niż jakikolwiek inny.

Chociaż to wszystko było daremne, bo zrozumieć się wcale nie mogliśmy, poznano jednak, że w nieszczęśliwym znajduję się położeniu, i dano mi znak, żebym zstąpił ze skały i szedł ku brzegowi, co natychmiast uczyniłem, a wtenczas gdy się wyspa zniżyła do odpowiedniej wysokości, z najniższego ganku spuszczano łańcuch z przywiązany na końcu krzeselkiem, na którym usiadłszy, w jednej chwili za pomocą kafara zostałem na wyspę wyciągnięty.

ROZDZIAŁ DRUGI

Charakter Lapucjanów. Ich wiadomości. Król i dwór jego. Przyjęcie Gulliwera. Bojaźń i niespokojność mieszkańców. Charakter Lapucjanek.

Zaraz po moim przybyciu na wyspę – która zwała się Laputa – tłum ludu otoczył mnie naokoło (ci, co stali bliżej, zdali mi się wyższego stanu), przypatrując mi się z podziwieniem, które i ja razem z nimi dzieliłem, bo nigdy jeszcze nie widziałem ludzi tak osobliwych w swojej postaci, odzieniu i obyczajach. Głowy mieli zwieszone raz na prawą, drugi raz na lewą stronę. Jednym okiem patrzyli w niebo, drugim ku ziemi. Suknie ich były upstrzone niezliczonymi figurami słońca, gwiazd, księżyca, pomiędzy którymi znajdowały się skrzypce, flety, arfy, gitary, lutnie i wiele innych instrumentów muzycznych nie znanych w Europie. Widziałem naokoło nich wiele sług trzymających w rękach przywiązane do krótkich kijów pęcherze, w których było nieco grochu i kamyków małych, jak się później dowiedziałem. Coraz tymi pęcherzami bili po uszach i po ustach tych, przy których stali, i nie mogłem z początku przyczyny tego zgadnąć. Mieszkańcy tej wyspy zdali mi się być tak roztargnieni i pogrążeni w tak głębokim zamyśleniu, iż nie mogli ani mówić, ani uważać, co drudzy do nich mówią, bez pomocy tych trzaskających pęcherzy, którymi ich dla ocucenia bito albo po ustach, albo po uszach. Dlatego osoby majątniejsze utrzymywały człowieka, który im służył za budziciela, w ich języku zwanego *climenole*, bez którego z domu nie wychodziły. Do powinności takiego budziciela należało, gdy się dwie lub trzy osoby znajdowały razem, uderzać zręcznie po ustach tego, który miał mówić, a potem po uszach tych, co mają słyszeć. On zawsze, kiedykolwiek jego pan wychodził, szedł przy nim i lekko go uderzał po oczach, bo inaczej przez swoje głębokie zamyślenie chlebodawca jego mógłby wpaść w jakąś przepaść, uderzyć o słup głową, roztrącać na ulicy przechodzących lub przez tychże zostać wtrącony w rynsztok.

Te uwagi były niezbędnie potrzebne, aby nie zostawić czytelnika w zdumieniu, w jakim ja się z przyczyny dziwnego postępowania tych ludzi znalazłem. Kiedy mnie na szczyt wyspy do pałacu królewskiego prowadzono, przewodnicy moi zapominali często, co mieli czynić, i zostawiali mnie samemu sobie, aż ich budziciel obudził; ani postać moja, ani krzyki mniej roztargnionego od nich ludu nie sprawiały na nich najmniejszego wrażenia.

Nareszcie wprowadzono mnie do królewskiego pałacu, gdzie widziałem Jego Królewską Mość na tronie, w otoczeniu osób pierwszej godności. Przed tronem stał wielki stół zastawiony globami, sferami i różnymi innymi instrumentami matematycznymi. Król nie postrzegł mnie, gdy wszedłem, chociaż tłum przybyły ze mną wielkiego hałasu narobił. Był zajęty wówczas dochodzeniem do rozwiązania jakiegoś problemu i musieliśmy stać przed nim całą

godzinę, nim swoją operację skończył. Miał przy sobie dwóch paziów trzymających w ręku pęcherze. Jeden z paziów, gdy Jego Królewska Mość zakończył robotę, uderzył go pęcherzem łagodnie i uniżenie po ustach, a drugi po uchu prawym. Naówczas Król porwał się jakby ze snu i spojrzawszy na mnie i na otaczających mnie ludzi, przypomniał sobie, co mu niedawno powiedziano o moim przybyciu. Rzekł do mnie słów kilka i natychmiast młody człowiek uzbrojony pęcherzem zbliżył się do mnie i po prawym uchu uderzył. Aleja dałem poznać, że fatyga ta względem mnie nie była potrzebna, przez co Król i dwór jego najgorsze o moim rozumie powzięli mniemanie. Król różne czynił zapytania, na które odpowiadałem we wszystkich, jakie tylko umiałem, językach, lecz gdy widziano, że ani zrozumieć, ani zrozumiany być nie mogę, zaprowadzono mnie do jednego pokoju w pałacu i dwóch służących dano mi do usług, gdyż monarcha ten odznaczał się wielką gościnnością. Cztery osoby znaczne, które widziałem blisko osoby królewskiej, uczyniły mi honor usiadłszy do stołu wraz ze mną. Mielśmy każdy z nas dwa dania, po trzy potrawy. Pierwsze danie składało się z łopatki skopowej wyróżnionej w równoboczny trójkąt, ze sztuki mięsa w kształcie romboïdu i z puddingu w kształcie cykloïdu. Na drugie dano dwie kaczki podobne dwóm skrzypcom, kiszki i kielbasy, które się wydawały jak flety i oboje, i mostek cielecy, mający kształt arfy. Chleb, który nam dawano do stołu, był pokrojony w stożki, cylindry, równoległoboki i inne matematyczne figury. Podczas obiadu pozwoliłem sobie spytać się o nazwy wielu rzeczy w języku krajowym i znakomici moi towarzysze byli łaskawi odpowiadać mi przy pomocy swoich budzicieli, w mniemaniu zapewne, że będę podziwiał ich zdolności i talenta nadzwyczajne, jeżeli potrafię rozmawiać z nimi. Niedługo potem byłem w stanie żądać chleba, wina i innych rzeczy potrzebnych.

Po obiedzie towarzysze moi odeszli; przyszedł do mnie jeden człowiek od Króla z piórem, inkaustem, papierem i trzema lub czterema księgami, dając mi poznać, iż miał rozkaz nauczania mnie języka. Bawiłem z nim prawie cztery godziny, przez które na jednej kolumnie napisałem wiele słów, a na drugiej, naprzeciwnie, ich tłumaczenie. Nauczył mnie też na pamięć wielu krótkich zwrotów, których sens dał mi poznać każąc czynić przede mną swojemu służącemu to, co one znaczyły, a więc siadać, wstawać, kłaniać się, chodzić i tak dalej, a ja zapisywałem każdy zwrot. Potem mój nauczyciel pokazał mi w książce wyobrażenia słońca, księżyca, gwiazd, zodiaku, równika i kół biegunowych, mówiąc mi ich nazwy, a także wszystkie gatunki instrumentów muzycznych, powiadając, jak się który właściwie nazywa, i grając na nich po kolei, abym ich sztukę wyrozumiał. Gdy swoją lekcję skończył, ułożyłem ze słów, których się nauczyłem, bardzo piękny mały dykjonarz i w krótkim czasie, dzięki szczęśliwej mojej pamięci, nauczyłem się jako tako lapucejańskiego języka.

Wyraz, który jako latająca lub unosząca się wyspa tłumaczę, brzmi w oryginale Laputa. Prawdziwej etymologii tego wyrazu dojść nie mogłem. *Lap* znaczyło w dawnym i wysłym już z użycia języku – wysoko, a *untuch* – rządca, z tych dwóch więc wyrazów zrobiło się przez fałszywe wymawianie: Laputa zamiast Lapuntuch. To wywodzenie, jako zbyt naciągane, nie bardzo mi się podobało. Ośmieliłem się więc przedłożyć uczonym inne przeze mnie wynalezione, to jest, że Laputa pochodzi z *lap outed*; *lap* znaczy – lśnienie się promieni słonecznych na morzu, *outed* – skrzydło. Nie chcę nikomu mojego wywodzenia narzucać, podaję je tylko pod sąd rozumnego czytelnika.

Ci, którym mnie Król powierzył, widząc, że bardzo źle jestem ubrany, przysłali mi krawca dla wzięcia miary do nowego stroju. Krawcy w tym kraju inaczej sprawują kunszt swój niżeli w Europie. Ten naprzód zmierzył wysokość moją kwadrantem, potem wziął miarę mojej obszerności linią i cyrklem tudzież proporcje wszystkich moich członków i na papierze pokalkulowawszy przyniósł mi po sześciu dniach suknie bardzo źle zrobione. Ekskuzował mi się, że nieszczęściem pomylił się w rachowaniu. Ku mojemu pocieszeniu widziałem, że takie przypadki często się zdarzały i nikt na to nie zważał.

Dla braku przyzwoitej odzieży i z powodu małej słabości nie mogłem przez kilka dni wychodzić. Powiększył się przez to mój dykcjonarz i jakim znowu pierwszy raz udał się do dworu, potrafiłem już odpowiadać na niektóre zapytania królewskie.

Król Jegomość kazał ruszyć wyspą swoją na północny wschód, a potem na wschód, i zatrzymać się w górze ponad miastem Lagado, które jest stolicą całego królestwa na lądzie stałym. Była ona odległa o jakieś dziewięćdziesiąt mil, a podróż nasza trwała cztery i pół dnia. Ruch wyspy w powietrzu nie sprawił mi najmniejszej przykrości. Następnego dnia, koło jedenastej w południe. Król w otoczeniu szlachty, dworzan i znaczniejszych osób grał przez trzy godziny bez przerwy na przygotowanych dla nich umyślnie instrumentach muzycznych. Byłem zupełnie ogłuszony hałasem i nie mogłem odgadnąć, w jakim to dzieje się celu, aż dowiedziałem się wszystkiego od mego nauczyciela. Powiedział mi, że mieszkańcy tej wyspy mają uszy dostosowane do muzyki sfer, która gra w określonym czasie, a dwór był obowiązany w niej uczestniczyć, każdy na instrumencie, na jakim gra najlepiej.

W czasie naszej podróży do Lagado Król Jegomość rozkazał, aby wyspa zatrzymywała się ponad wieloma miastami i miasteczkami dla przyjmowania próśb od jego poddanych. W tym celu spuszczone wiele sznurków z uwiązaniem na końcu ołowiem, ażeby lud do tych sznurków przywiązywał swoje supliki, które potem ciągnięte i które na powietrzu wyglądały jak skrawki papieru przywiązane przez uczniów do ogona latawca. Podobnym sposobem otrzymywaliśmy z dołu wino i żywność.

Wiadomości, które miałem w nauce matematycznej, wielce mi dopomogły do pojęcia ich sposobu mówienia i rozumienia wyrazów, których najwięcej brali z matematyki i muzyki, a ja trochę i na muzyce się znam. Wszystko wyrażają w liniach i figurach, nawet grzeczności ich są geometryczne. Jeżeli na przykład chcieli chwalić piękność którejś panienki lub jakiegoś zwierzęcia, porównywali je do równoległoboków, cyrkułów, półglobów, elips i innych figur geometrycznych, lub też posługiwali się słownictwem muzycznym, które zbędnie byłoby tu przytaczać. Widziałem w kuchniach królewskich różne rodzaje instrumentów matematycznych i muzycznych; podług ich figur krają mięsiwa na stół królewski przeznaczone.

Domy u nich są bardzo źle pobudowane, ściany nie są nigdy stawiane pod kątem prostym, a to z tej przyczyny, że w tym kraju geometrię praktyczną mają w pogardzie jako rzecz mechaniczną i podłą. U nich matematyk jest dla głębokiego myślenia, a nie dla publicznego pożytku. Projekty, które dają rzemieślnikom, są zbyt zawile i niezrozumiałe, aby mogły być dokładnie wykonywane, stąd pochodzą niezliczone błędy, lubo w używaniu linii, ołówka i cyrkla są bardzo biegli. Nie widziałem nigdy narodu tak durnego, tak głupiego, tak nieroztropnego we wszystkich czynnościach zwyczajnych, poza matematyką i muzyką. Są to jeszcze prócz tego najgorsi na świecie mędrkowicie, zawsze gotowi przeczyć, lubo nie wtedy, kiedy przypadkiem myślą dobrze, ale to im się rzadko przytrafia. Nie znają, co to jest imaginacja, wynalazek, dowcip, i nawet nie mają słów w swoim języku, które by te rzeczy wyobrażały, bo wszystkie myśli zajęte mają dwiema naukami, o których wspomniałem.

Wielu z nich, osobiście zatapiających się w astronomii, wpada w astrologię, choć z tym się publicznie ogłasza nie śmie, a co dziwniejsza rzecz, postrzegłem w nich skłonność do polityki i wielką ciekawość do gazet. Nieustannie rozmawiali o sprawach publicznych i bez ogródek wyrażali swoje zdania o interesach stanu, klóćąc się namiętnie o każdy szczegół różnych opinii politycznych. Postrzegłem ten sam charakter i w naszych matematykach europejskich, chociaż nigdy nie mogłem znaleźć najmniejszego związku między matematyką i polityką; myślą może, że jako najmniejsze koło ma tyleż gradusów, ile i największe, tak ten, kto umie poruszać globem, może równie łatwo i rządzić światem. Ale czyż nie jest to przywarą raczej wrodzoną wszystkim ludziom, którzy pospolicie lubią mówić i zdania swoje dawać o tym, co najmniej rozumieją?

Naród ten zawsze zostawał w niespokojności i bojaźni, a co innych ludzi nigdy nie niepokoi, u nich jest pobudką do nieustannej trwogi i strachu. Niespokojność ta bierze się stąd, że

lękają się odmiany ciał niebieskich, na przykład żeby ziemia przez ustawiczne zbliżanie się słońca nie została na koniec jego płomieniem pochłonięta, żeby to światło natury powoli nie zasklepiło się swoją pianą i nagle nie zgasło dla ludzi. Boją się, że jeśli ziemia ledwie uszła szczęśliwie pierwszej komecie, która ją niezawodnie mogła zniszczyć, nie ujdzie przed drugą, która ma się pokazać podług ich rachuby za lat trzydzieści i jeden, i w zbliżeniu swym do słońca przyjmie od niego gorącość dziesięć tysięcy razy większą niżeli rozpalone do czerwoności żelazo, a oddalając się od słońca rozpostrze płomienisty ogon sto tysięcy i czternaście mil mający, przez który gdyby ziemia przeszła nawet w odległości stu tysięcy mil od jądra, czyli ciała komety, zostanie spalona i obrócona w perzynę. Boją się jeszcze, żeby słońce, ustawicznie rozpraszając promienie swoje na wszystkie strony i nie mając znikąd zasilenia, nie wyniszczyło się na koniec i całej swej istoty nie utraciło, co oznaczałoby koniec życia na ziemi i innych planetach pobierających światło ze słońca. Oto są zwyczajne bojaźnie i strachy, które im spać nie dają i wszystkich ich uciech pozbawiają, a dlatego, skoro się tylko z rana z sobą spotkają, zaraz jedni od drugich dowiadują się o słońcu, jak się ma i w jakim stanie zaszło i weszło, oraz jakie są nadzieje uniknięcia zbliżającej się komety. W rozmowy takie wdają się z tym samym zapalem co chłopcy, którzy słuchają łapczywie okropnych opowiadań o duchach i potem boją się położyć do łóżka.

Kobiety na tej wyspie są arcyżywe, za nic mają swoich mężów, a bardzo lubią cudzoziemców, których zawsze znaczna liczba przybywa na dwór z kontynentu dla załatwiania interesów własnych jako też różnych korporacji z miast stałego lądu. Lapucjanie nie poważają ich wcale, bo nie posiadają żadnych znamienitych zdolności umysłowych. Zwyczaj jest także, że damy znamienitsze obierają sobie gachów między cudzoziemcami, a co gorsza, że się z nimi bawią bez żadnej przeszkody, z wszelkim bezpieczeństwem, bo ich mężowie tak są zatopieni w swoich myślach geometrycznych, że się drudzy pieszczą z ich żonami w ich przytomności, a oni tego nie postrzegają, jeżeli tylko mają przed sobą papier i instrument w rękę, a budziciel z pęcherzem przypadkiem się oddali.

Kobiety i panny bardzo są niekontente, że na tej wyspie jak na wygnaniu zostają, chociaż to jest miejsce najrozkoszniejsze na świecie i choć żyją tam w bogactwach i wspaniałości. Mogą wszędy, gdzie tylko chcą, bywać na wyspie, ale rade by z duszy włączyć się po świecie, bywać w mieście stołecznym, dokąd nie wolno im iść bez królewskiego pozwolenia, które niełatwo otrzymują, ponieważ nieraz doświadczyli mężowie, że trudno je stamtąd wyciągnąć. Słyszałem, iż jedna wielka pani ode dworu, poszedłszy za pierwszego ministra, człowieka urodziwego i w całym królestwie najbogatszego, który ją pasjami kochał i w najwspanialszym pałacu na wyspie trzymał, gdy się dostała do Lagado pod pozorem ratowania swego zdrowia, zostawała tam skrycie przez wiele miesięcy, aż Król posłał jej szukać. Znaleziono ją w stanie opłakanym w jednej lichej karczmie. Pozostawiała wszystkie swoje suknie na utrzymanie jednego brzydkiego i starego lokaja, który ją bił co dzień. Wzięto ją od niego mimo jej chęci. I chociaż mąż przyjął ją ze wszelką dobrocią, nie wyrzucił jej tego postępu, owszem, wszelkimi ją ujmował grzecznościami, jednakowoż znowu wkrótce uciekła, zabrawszy wszystkie swoje klejnoty, i poszła szukać zacnego swego gacha; od tego czasu żadnej już o niej wiadomości nie było. Może czytelnik weźmie to za historię europejską albo za angielską, ale ja go proszę, żeby zważył, iż dziwactwa kobiece nie są ograniczone do jednego tylko kraju albo klimatu, ale wszędy są też same.

Po jakimś miesiącu znaczne zrobiłem postępy w języku krajowym i mogłem odpowiadać na pytania Króla, kiedy przypuszczony zostałem do audiencji. Jego Królewska Mość nie był wcale ciekaw poznać praw, historii, form rządów, religii i obyczajów tych krajów, które widziałem; wszystkie jego pytania ograniczały się do matematyki. Moich odpowiedzi słuchał z największą obojętnością i wzgardą, chociaż budziciele ciągle go uderzali pęcherzami.

ROZDZIAŁ TRZECI

Fenomen przez nowszą filozofię i astronomię rozwiązany. Lapucjanie są wielcy astronomowie. Jakim sposobem Król poskramia bunt.

Prosiłem Jego Królewską Mość o pozwolenie obejrzenia osobliwości wyspy jego. Pozwolił i dał jednego z dworzan, aby był mi przewodnikiem. Chciałem najbardziej wiedzieć, jaki to sekret, naturalny czy też przez dowcip ludzki wynaleziony, był zasadą poruszania się wyspy w różne strony, o czym czytelnikowi memu dokładne i filozoficzne zdam sprawozdanie. Wyspa latająca jest zupełnie okrągła. Jej średnica wynosi cztery tysiące czterysta osiemnaście prętów, to jest około czterech i pół mili, a zatem zawiera w sobie prawie dziesięć tysięcy morgów. Głębokości ma prętów sto pięćdziesiąt. Grunt tej wyspy, czyli spód jaki się wydaje patrzącym z dołu, ma kształt szerokiego diamentu, płasko i równo szlifowanego, wznoszącego się ku górze na wysokość stu prętów. Powyżej niego znajduje się wiele kruszców podług zwyczajnego porządku ułożonych, a na samym wierzchu jest ziemia urodzajna grubości na stóp dziesięć lub dwanaście. Pochyłość części okólnych ku środkowi wyspy jest naturalną przyczyną, że wszystkie spadające deszcze i rosy ściekają małymi strumykami ku środkowi w cztery wielkie doły, po pół mili okręgu mające, a o dwieście kroków od samego środka wyspy odległe. Woda zbierająca się w nich paruje przez upały słońca, co zapobiega wylewom. Nadto, jako jest w mocy monarchy wznieść się wyspą swoją ponad chmury, gdy chce, może przeszkodzić padaniu deszczów i rosy, zwłaszcza, że obłoki nie mogą, podług mniemania wszystkich naturalistów, wznieść się wyżej nad dwie mile od ziemi; przynajmniej w tym kraju takie zrobiono postrzeżenia. W samym środku wyspy jest dziura o średnicy prawie dwudziestu pięciu prętów, przez którą astronomowie spuszczałą się do obszernej jaskini, z tej przyczyny Flandona Gagnole, czyli Jaskinią Astronomów zwanej. Znajduje się ona na głębokości pięćdziesięciu prętów. W tej jaskini pali się nieustannie dwadzieścia lamp, których płomienie, odbijając się od diamentu, wielkim wszystkie strony napęlniają światłem. Miejsce to ozdobione jest sekstantami, kwadrantami, teleskopami, astrolabiami i innymi astronomicznymi instrumentami, ale największą osobliwością, od której los całej wyspy zależy, jest niezmierniej wielkości magnesowy kamień w kształcie czółenka tkackiego zrobiony. Długości ma prętów trzy, a grubości, gdzie jest największa, ma półtora pręta. Ten magnes osadzony jest na osi diamentowej, przechodzącej przez jego środek w tak ścisłej równowadze, że najslabsza ręka może go bardzo łatwo obracać. Otacza go cylinder diamentowy na cztery stopy głęboki i na tyleż gruby, we środku wydrążony, mający średnicy prętów sześć, położony horyzontalnie na ośmiu słupach diamentowych, każdy o trzech prętach wysokości. W środku tego cylindra są

duże dziury czopowe, głębokie na dwanaście cali, w które wchodzi końce osi i obracają się jak potrzeba.

Żadna siła nie zdoła tej maszyny poruszyć, gdyż cylinder i słupy, na których leży, są jedną całością z diamentem, który stanowi grunt całej wyspy. Przez ten oto magnes wyspa idzie do góry, na dół, i jak tylko potrzeba, z jednego miejsca na drugie. Względem bowiem tej części ziemi, na której monarcha panuje, magnes ma jedną stronę, która zawiera moc odpychania. Jeśli magnes obrócić prosto ku ziemi stroną przyciągającą, wyspa spuszcza się na dół, gdy obrócić stroną odpychającą ku tejże ziemi, wyspa idzie do góry, gdy zaś kamień obrócić ukośno, wyspa idzie ukośno, ponieważ w tym magnesie moc sprawuje swój skutek linią równoległą do swego położenia. Przez ukośne położenie magnesu wyspa dociera do różnych części państwa monarchy tego.

Dla jaśniejszego wyobrażenia sobie tego, niech A-B będzie linią przez cały kraj Balnibarbi prowadzoną, C-D magnesem, którego przyciągający koniec jest w C, odpychający – w D. Skoro magnes ustawiony jest w kierunku C-D, odpychającym końcem na dół, natenczas wyspa porusza się do D. Znajdując się w D magnesowi dają kierunek, ażeby przyciągający koniec był w E, i wyspa udaje się tamże. Jeżeli magnes jest w linii E-F z odpychającym końcem w dół, wyspa podnosi się do F, a obróciwszy koniec przyciągający do G wyspa porusza się do G i od G do H, jeżeli odpychający koniec na dół się obraca. Tym sposobem odmieniając położenie magnesu można w kierunku ukośnym spuszczać i podnosić wyspę (ukośność położenia jest nieznaczna), i do wszystkich części państwa ją transportować.

Trzeba wiedzieć, że ta wyspa nie może się za obręb królestwa, położonego pod nią, oddalić ani podnosić wyżej nad cztery mile. Astronomowie, którzy mnóstwo ksiąg o tym magnesie pisali, objaśniają to takim sposobem: siła magnesowa rozciąga się tylko na cztery mile, minerał zaś, działający na magnes i leżący w łonie ziemi i w morzu nie dalej jak trzy mile od brzegu, nie znajduje się na całej ziemi, ale tylko w tym państwie, dlatego było bardzo łatwą rzeczą podbić każdy kraj w obrębie magnesu leżący.

Jeżeli magnes w równoległej z horyzontem znajduje się linii, natenczas wyspa staje, bo jeden koniec ciągnie na dół, drugi odpycha, więc siły znoszą się i żadne nie może nastąpić poruszenie.

Kamienia magnesowego pilnują niektórzy astronomowie i kierują nim podług rozkazów królewskich. Największą część życia swego przepędzają na obserwacji nieba i mają teleskopy nierównie lepsze od naszych. Lubo ich teleskopy tylko na trzy stopy są długie, powiększają jednak więcej aniżeli nasze, sto stóp długości mające, i daleko wyraziściej pokazują gwiazdy. Przez to zrobili odkrycia daleko ważniejsze niżeli nasi europejscy astronomowie. Odkryli dziesięć tysięcy gwiazd nieruchomych, gdy tymczasem my znamy zaledwie trzecią część tej liczby. Odkryli dwa trabynty Marsa, z których bliższy odległy jest od swej planety o trzy jego średnice, a dalszy o pięć średnic. Pierwszy obraca się w przeciągu dziesięciu, drugi w przeciągu dwudziestu jednej i pół godziny koło Marsa, tak że kwadraty ich periodycznych obrotów mają się do siebie jak sześciany ich odległości od Marsa, z czego wnosić trzeba, że podlegają tym samym prawom ciężkości jak inne ciała niebieskie. Są oni także szczęśliwi, że postrzegli komet różnych dziewięćdziesiąt trzy i pokalkulowali ich obrót z dokładnością zaźdrości godną. Jeżeli to jest prawda, a utrzymują to z największą pewnością, należałoby sobie życzyć, aby ich postrzeżenia podane zostały do wiadomości publicznej, przez co teoria o kometach, która wielce jest niedostateczna i ułomna, do równej by przyszła doskonałości jak inne działy astronomii.

Król byłby najbardziej absolutnym na świecie monarchą, gdyby do poddania się zupełnie swojej woli mógł ministrów nakłonić, ale ci mają swoje dobra na ziemi i uważając, że królów łaska jest niestała, strzegą się szkodzić sobie samym, uciskając swoich ziomków. Jeżeli które miasto zbuntuje się, podzieli się na walczące stronnictwa polityczne lub nie chce płacić podatków, Król ma dwa sposoby poskromienia. Pierwszym i bardziej umiarkowanym jest za-

trzymanie wyspy nad miastem zbuntowanym i jego okolicą, przez co kraj pozbawiony zostaje słońca i rosy, co mieszkańców o głód i chorobę przyprawia. Jeżeli zbrodnia mieszkańców na surowszą zasługuje karę. Król każe ze swej wyspy rzucać na nich kamienie wielkie, przed którymi muszą kryć się w lochach i piwnicach, a domy ich zostają potłuczone i zburzone. Jeżeli trwają w swojej zaciętości i rokoszu, naówczas Król używa ostatniego środka: każe spuścić na nich z góry wyspę i tym sposobem całe miasto i wszyscy mieszkańcy zgruchotani zostają. Wszelako rzadko kiedy Król chwytą się tego strasznego środka, którego nie śmieją doradzać ministrowie z obawy, że takowy gwałtowny postępek podałby ich w nienawiść narodu i szkodziłby im samym, którzy mają dobra na ziemi.. Wyspa bowiem do samego Króla należy.

Jest jeszcze ważniejsza przyczyna, dla której królowie tego państwa rzadko kiedy chcą używać tego ostatniego ukarania, wyjąwszy tylko przypadek nieuchronnej potrzeby. Jeżeli miasto zbuntowane stało przy jakich wysokich skałach (gdyż w tym kraju wiele jest skał przy wielkich miastach, które umyślnie między skałami budowano dla uchronienia się przed gniewem królów) albo gdyby miało wiele wież i piramid kamiennych, wyspa królewska, mimo że na jednym diamencie grubości stu prętów położona, przez swoje spadnienie mogłaby się skruszyć albo pęknąć od ognia i rozbijanych domów, jak to się często naszym kominom zdarza, chociaż są z żelaza i kamieni zrobione. Lud zna to wszystko i wie, jak daleko może posunąć swój opór, kiedy wolność i majątek są zagrożone. A tak, choć Jego Królewska Mość w największym jest gniewie, każe powoli spuszczać wyspę swoją, pod pozorem, jak mówi, żeby nie ucisnąć ludu swego; w gruncie jednak boi się, żeby o wieże wyspa się jego nie roztrąciła. W takowym przypadku filozofowie sądzą, że magnes nie mógłby jej więcej utrzymywać i musiałaby upaść.

Według prawa obowiązującego w państwie Królowi i jego dwóm starszym synom wzbronione jest opuszczać wyspę; tyczy to także i Królowej, jak długo jeszcze dzieci rodzić może.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gulliwer opuszcza wyspę Laputę i zstępuje do kraju Balnibarbów. Jego przybycie do stołecznego miasta. Opisanie tegoż miasta i okolicy. Jeden wielki pan przyjmuje z dobrocią Gulliwera. Rozmowa Gulliwera z tym panem.

Chociaż nie mogę powiedzieć, że się ze mną źle na tej wyspie obchodzono, przy tym wszystkim zdawało mi się, że nieco był zaniedbany i wzgardzony. Monarcha i naród byli tylko ciekawi matematyki i muzyki, a ja w tym gatunku umiejętności daleko byłem po nich i prawdę mówiąc, słuszną mieli przyczynę niewiele dbać o mnie. Z drugiej strony, zobaczywszy na tej wyspie wszystkie ciekawości, miałem wielką chęć wyjścia z niej, przykrząc sobie niewypowiedzianie żyć między tymi obywatelami powietrznymi.

To prawda, że oni celują w umiejętnościach, które ja wielce szanuję i jakiegokolwiek ich mam początki, ale tak są zanurzeni w swoich myślach, że nigdy mi się nie przytrafiło znajdować się w towarzystwie tak smutnym. Bawiłem się jedynie z ich żonami, z rzemieślnikami, z budzicielami i z paziami królewskimi, co jeszcze bardziej powiększyło ich ku mnie wzgardę. Lecz w rzeczy samej mogłemże postępować inaczej? Z tymi tylko mogłem obcować, byli to jedyni, od których można było dostać rozsądną odpowiedź.

Przez pilne uczenie się dosięgnąłem swej doskonałości w języku krajowym, lecz nudziło mnie zostawać dłużej w miejscu, gdzie tak mało się mną zajmowano. Postanowiłem więc opuścić je przy pierwszej sposobności.

Znajdował się na dworze pan jeden wielki, krewny królewski, i przez to jedynie szanowany, bo ogólnie miano go za człowieka nieuka i głupiego. Wielkie krajowi wyświadczył usługi, miał znakomite zdolności wrodzone, był bardzo wykształcony, poczciwy i kochający swój honor, ale wcale nie miał ucha do muzyki i bardzo fałszywie brał klawisze. W dodatku najłatwiejszych wzorów matematycznych nigdy nie mógł pojąć. Ten pan okazał mi tysiączne dowody dobroci. Często mnie odwiedzał, chcąc dowiedzieć się o interesach Europy i nauczyć się obyczajów, zwyczajów, praw, umiejętności różnych narodów, między którymi bawiłem. Słuchał mnie zawsze z wielką pilnością i bardzo piękne na to wszystko, co mu opowiadałem, dawał uwagi. Dwóch budzicieli trzymał tylko dla zwyczaju, ale ich nigdy nie zatrudniał, prócz na dworze i na wizytach ceremonialnych, a gdyśmy byli sam na sam, zawsze kazał im wychodzić.

Prosiłem pana tego, żeby się wstawił za mną do Króla Jegomości o pozwolenie opuszczenia wyspy, na co zezwolił z wielkim żalem, jak mi sam przez dobroć swoją wyznał. Wiele mi

też bardzo korzystnych robił propozycji, których nie przyjąłem, oświadczając mu za jego łaskawe serce najżyczliwszą wdzięczność.

Szesnastego lutego pożegnałem Króla, który dał mi prezent wartości dwustu funtów szterlingów, mój protektor równie tyle mi podarował, wraz z listem polecającym do jednego pana, swego przyjaciela mieszkającego w Lagado, stolicy Balnibarbów. Natenczas, gdy wyspa zatrzymała się nad jedną górą, o dwie mile odległą, spuściłem się z ostatniego ganku wyspy tymże samym sposobem, jakim mnie na nią wciągniono.

Ziemia pozostająca pod panowaniem Króla Wyspy Latającej nazywa się Balnibarbi, a stolica jej, jak powiedziałem, zowie się Lagado. Naprzód uczułem wielkie ukontentowanie, że nie znajdowałem w powietrzu, ale na ziemi; szedłem do miasta bez wszelkiej bojaźni i niepokojności, będąc odziany jak tamtejsi mieszkańcy i umiając dosyć język krajowy. Znalazłem zaraz mieszkanie osoby, której byłem polecony, oddałem list od owego wielkiego pana i bardzo dobrze byłem przyjęty. Był to jeden z najznacześniejszych obywateli Balnibarbów, a nazywał się Munodi. Dał mi u siebie pokój piękny, gdzie przez całe moje w tym kraju bawienie mieszkalem ze wszelkimi wygodami.

Nazajutrz rano po moim przybyciu Munodi wziął mnie do swojej karety, abym się przypatrzył miastu, które wielkie jest jak połowa Londynu, choć domy są dziwnie budowane i po większej części się wałą. Lud, w łachmanach, chodzi po ulicach krokiem szybkim, z twarzą dziką i oczami wytrzeszczonymi. Przejechawszy przez jedną bramę miejską, wyjechaliśmy w pole o mil trzy, gdzie zobaczyłem wielką liczbę rolników, uprawiających ziemię różnymi narzędziami, ale nie mogłem się domyślić, co oni robili, ponieważ nigdzie nie widziałem ani zbóż, ani trawy, choć grunt zdawał się wyborny. Prosiłem mego przewodnika, żeby mnie chciał objaśnić, czym się tyle głów i rąk w mieście i na polu trudni, kiedy nie widać żadnego ich roboty skutku. Nigdzie bowiem nie widziałem ani ziemi tak źle uprawnej, ani domów w tak złym stanie i tak wniwecz obróconych, ani ludu tak ubogiego i nędznego.

Pan Munodi przez wiele lat był gubernatorem w Lagado, lecz przez podstępny ministrów został złożony z urzędu z powodu niezdatności. Z tym wszystkim uważał go Król jako człowieka mającego chęci dobre, choć mocno ograniczonego. Gdy tak śmiało przyganiałem krajowi i mieszkańcom, on mi na to odpowiedział, że zbyt krótko bawiłem między nimi, abym mógł o nich sądzić, i że różne na świecie narody różne obyczaje mają. Przytaczał mi i inne podobne przykłady. Lecz gdyśmy wrócili do niego, spytał się, co sądziłem o jego pałacu, jakie w nim znajdowałem nieporządki i co upatrywałem naganego w odzieniu i postępkach jego domowników. Łatwo mógł takie mi czynić pytanie, bo u niego wszędy było wspaniale, porządnie i czysto. Odpowiedziałem, że jego wielkość, roztropność i bogactwa uchroniły go od tych wszystkich przywar, które innych czyniły nędzarzami i głupimi. Rzekł mi na to, że jeślibym chciał pojechać z nim do jego dóbr, od miasta o dwadzieścia mil odległych, miałby więcej czasu o tym ze mną pomówić. Zgodziłem się na wszystko, co by mu tylko odpowiadało. Zatem wyjechaliśmy nazajutrz rano.

W podróży opowiadał mi o różnych sposobach zasiewania gruntu, wszelako wyjąwszy niektóre miejsca nie widziałem w całym kraju ani nadziei na żniwa, ani znaku uprawy roli. Ale dalej, jeszcze po trzech godzinach podróży widok się całkiem odmienił. Mieszkania kmieci były jedne od drugich nieco oddalone i bardzo dobrze pobudowane. Pola ogrodzone, z winnicami i łąkami. Nie pamiętam, żebym kiedy co miłszego widział. Ten pan, zauważywszy że nic nie mówiłem, westchnął i rzekł do mnie:

– Moje to zaczynają się dobra, ale mimo tego lud wyśmiewa mnie i wzgardzą mną, że niedobrze się rządę, że zły przykład daję, choć tylko starzy, uparci i słabi w moje idą ślady.

Przybyliśmy na koniec do jego zamku, znalazłem go przedziwnej wspaniałości i podług najlepszych zasad starej architektury zbudowanym. Fontanny, ogrody, ścieżki, aleje, laski - wszystko rozsądnie i gustownie urządzone. Każdą rzecz wychwalałem, na co Munodi zdawał

się nie dawać baczości. Dopiero po wieczery, kiedy zostało nas tylko dwóch, rzekł do mnie tonem arcysmutnym:

– Nie wiem, czy nie przyjdzie mi wkrótce poobalać te domy na wsi i w mieście, a pobudować inne podług mody, i czy nie będę musiał gospodarstwa swego popsuć, żeby go przekształcić podług teraźniejszego gustu, wydawszy podobne rozkazy moim dzierżawcom, bo inaczej będę uznany za ambitnego, nieroztropnego dziwaka i nieuka, a może też narażę się na większą niełaskę Króla. Przestałbyś się dziwować – przydał – skoro ci opowiem rzeczy, o których u dworu dowiedzieć się nie mogłeś, bo ludzie mieszkający na górze tak są zatopieni w swoich spekulacjach, że nie myślą wcale, co się tu na dole dzieje.

Mówił mi potem tak:

– Przed czterdziestu laty niektóre osoby, czy dla interesów jakich, czy dla rozrywki, udały się do Laputy i po pięciu miesiącach powróciły, liznąwszy nieco matematyki i tak przejąwszy się lekkomyślnym duchem, którego nachwytały się w tym powietrznym kraju, że za powrotem swoim zaczęły wszystko ganić, co się działo w kraju ziemnym, i ułożyły projekt postawienia umiejętności i rzemiosł na inakszym stopniu doskonałości. W końcu otrzymali oni przywilej na założenie akademii wynalazców, to jest ludzi systematycznych, i ta nowość tak się w krótkim czasie rozszerzyła, że we wszystkich wielkich miastach znajduje się jedna takowa akademie. Profesorowie w tych akademiach powynajdywali nowe sposoby rolnictwa i budowl, nowe narzędzia do wszystkich rzemiosł i manufaktur, którymi by jeden człowiek mógł tyle zrobić co dziesięciu; pałac ma być zbudowany w jednym tygodniu z materiałów tak mocnych, iżby trwał wieczyście, nie potrzebując żadnej reperacji; wszystkie owoce ziemne powinny się rodzić w każdej porze roku sto razy większe niż teraz i inne podobnie zbawienne projekta. Szkoda, że żaden z tych projektów dotychczas nie został udoskonalony, że w krótkim czasie wszystkie wsie opustoszały, że po większej części domy się wałą i że lud wszystek umiera z zimna, pragnienia i głodu. Nic to ich nie odstrasza, owszem, z jeszcze większą gorliwością biegają za swymi planami, do czego ich na przemiany raz nadzieja, drugi raz rozpacz podżega. Co do mnie – przydał – nie będąc człowiekiem zdolnym do przedsięwzięcia rzeczy osobliwszych, postępuję sposobem dawnym, żyję w domach od przodków moich pobudowanych i nic nie wznawiając, czynię, co oni czynili. Niektóre znaczne osoby poszły za moim przykładem, ale popadły w pogardę i stały się nawet znienawidzone, jako nieprzyjaciele kunsztów, nieuki i źli obywatele, przenoszący własną wygodę i lenistwo nad dobro publiczne. Lecz nie chcę długim opowiadaniem uprzedzać ukontentowania, jakie mieć możesz oglądając Akademię Systematyków, do której koniecznie pójść musisz. Chciałbym tylko, abyś się przypatrzył temu obalonemu budynkowi, co go widzisz pod górą, stąd o trzy mile. Miałem młyn wodny, o pół mili odległy, na jednej wielkiej rzece, który i na potrzeby domowe, i dla wielu dzierżawców wystarczał. Lat temu siedem Towarzystwo Wynalazców przyszło do mnie, ażeby ten młyn obalił, a na miejsce jego postawił inny, pod samą górą, na której wierzchu można by zrobić sadzawkę, a do niej łatwo pompami sprowadzać wodę, że wiatry i powietrze, poruszając wodę na wierzchołku góry, przyspieszyłyby jej przepływanie, a spadając z takiej wysokości połowa wody rzecznej, co na dawny młyn wychodziła, na nowy dostatecznie wystarczy. Nie byłem wtedy dobrze widziany u dworu i z namowy wielu moich przyjaciół chwyciłem się ich rady. Lecz po dwuletniej pracy robota nie udała się, majstrowie uciekli. Stu ludzi pracowało i dzieło nie udało się wcale, projektanci oddalili się wcześniej, kpiąc i zwalając całą winę na mnie. Jeszcze wielu innych przywiedli do podobnych przedsięwzięć z równymi obietnicami i z równą bezskutecznością.

Po kilku dniach chciałem widzieć Akademię Systematyków, a że pan Munodi nie był dobrze widziany w Akademii, zarekomendował mnie jednemu ze swoich przyjaciół, aby mnie tam zaprowadził. Był tak łaskaw, że przedstawił mnie jako człowieka, co wszelkie nowości ma w podziwieniu, co ma ducha ciekawego i łatwowiernego. W rzeczy samej byłem w młodości chętny do projektów i systematyki, więc daleko od prawdy nie odbiegał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gulliwer zwiedza Akademię i opisuje ją. Nauki, którymi zajmują się profesorowie.

Akademia nie jest to dom jeden, ale różne budynki z jednej i drugiej strony ulicy ustawione, które że nie zamieszkane były i zapadłe, w tym celu zostały zakupione. Bardzo mnie grzecznie dozorca przyjął i przez kilka dni nieprzerwanie zwiedzałem Akademię. W każdym pokoju jest jeden lub kilku wynalazców i jeżeli się nie mylę, to byłem co najmniej w pięciuset pokojach.

Pierwszy akademik, którego zobaczyłem, zdał się być bardzo wyschły. Miał ręce i twarz sadzą zwalane, włosy i brodę długie, zmierzwiłone i w wielu miejscach osmolone, odzienie podarte, koszulę tegoż koloru co i ciało. Pracował on przez lat osiem nad jednym ciekawym projektem wyciągnięcia z ogórków promieni słonecznych, żeby je, zamknawszy w butlach i mocno zatkawszy, użyć na ogrzewanie powietrza latem w dniach chłodnych i niepogodnych. Powiedział mi, że po nowych ośmiu latach będzie mógł dostarczać do ogrodów promieni słonecznych za pomierną cenę. Ale żalił się, że ma dochody małe, i prosił, żebym mu co dał dla zachęcenia w tak pożytecznym wynalazku, bo w tym roku ogórki były bardzo drogie. Dałem mu mały podarunek, gospodarz mój bowiem opatrzył mnie pieniędzmi, wiedząc, że ci uczeni mają zwyczaj wypraszać sobie cokolwiek u zwiedzających Akademię.

Poszedłem do drugiej stancji, ale cofnąłem się szybko, nie mogąc znieść smrodu. Mój przewodnik popchnął mnie i prosił po cichu, żebym się strzegł urazić akademika, nie śmiałem więc nawet nosa zatknąć. Wynalazca, który w tej stancji mieszkał, był najdawniejszy w Akademii. Twarz jego i broda były bladożółte, a ręce i odzienie zawałane bezecnym plugastwem. Gdym mu był prezentowany, oblał mnie i mocno do siebie przycisnął, grzeczność, bez której mogłem się obejść. Bawił się od wejścia swego do Akademii usiłowaniem przywrócenia gnoju ludzkiego do natury pokarmów, z których się utworzył, a to odłączając różne części, oczyszczając z żółci, oddzielając smród i zbierając z wierzchu pianę. Każdego tygodnia Towarzystwo dostarczało mu pełne naczynie tego materiału, wielkości beczki.

Zobaczyłem drugiego, co tłukł lód dla wyciągnięcia z niego przedniej saletry i robienia dobrego prochu. Pokazał mi jedno pismo dotyczące się kowalności ognia, które miał chęć podać do druku. Widziałem potem jednego arcydowcipnego architekta, który wynalazł przedziwny sposób budowania domów, zaczynając od dachu, a kończąc na fundamentach, projekt, który mi łatwo usprawiedliwił dając za przykład dwa najroztropniejsze owady: pajaka i pszczołę.

Był tam jeden człowiek ślepy od narodzenia, który miał pod sobą wielu uczniów tak samo ślepych jak i on. Bawili się oni robieniem farb dla malarzy. Nauczyciel ten uczył ich rozpo-

znawać farby przez dotykanie i węch. Byłem tak nieszczęśliwy, że ich znalazłem nie bardzo w tej umiejętności doskonałych, i sam ich nauczyciel, jak można sądzić, nie był doskonalszy od nich. Ten artysta jest najbardziej zachwalany i ceniony przez całe bractwo.

Wstąpiłem do jednego pokoju, gdzie mieszkał wielki człowiek, co wynalazł sposób uprawiania roli przy użyciu wieprza, a tym samym oszczędzania kosztu na konie, woły, pług i oraczy. Oto jaki ten sposób: na jednym łanie ziemi zakopuje się w odstępach sześciu cali i na głębokości ośmiu żółędzie, daktyle, kasztany i tym podobne owoce, które wieprze lubią. Wtenczas wypuszcza się na pole sześćset lub więcej tych zwierząt, które nogami i pyskiem tak ziemię rozkopują, że na niej wybornie siać można, a co większa, że ją zarazem gnoją, zwracając to, co z niej wydobyły. Nieszczęściem zrobiono doświadczenie i prócz tego, że wynalazek okazał się kosztowny i uciążliwy, rola nie prawie z siebie nie wydała. Nie wątpiono jednak, że ten wynalazek da się jeszcze udoskonalić.

Poszedłem potem do innej stacji, która tak była pełna pajęczyny, że zaledwie mała drożyna zostawała dla uczonego. Skoro mnie ujrzał, krzyknął: „Strzeż się, żebyś mi pajęczyn nie porwał”. Wdałem się z nim w rozmowę.

– Oplakanaż to rzecz – mówił – z jakim zaślepieniem ludzie hodują jedwabne robaczki! Mają u siebie robaczki domowe, których do niczego nie używają, choć niektóre nad robaczki jedwabne są pożyteczniejsze, ponieważ tamte umieją tylko prząść, a zaś pajak i prząść, i tkać umie. Używanie pajęczyny – przydał – mogłoby jeszcze oszczędzić kosztu farbowania, co łatwo byś pojął, gdybym ci pokazał mnóstwo much różnych kolorów przedziwnie pięknych, którymi karmię moje pajaki. Pewny jestem, że pajęczyna niechybnie koloru much nabędzie, a mam je wszelakiego rodzaju. Spodziewam się, że dla osobliwości kolorów dogodzę rozmaitym gustom ludzkim, skoro tylko będę mógł wynaleźć pod dostatkiem pokarmu kleistego, ażeby stąd nici pajęcze nabrały więcej mocy i tęgości.

Widziałem potem jednego sławnego astronoma, który przedsięwziął na samym kurku wieży ratuszowej ustanowić zegar słoneczny, wskazującyienne i roczne obroty Ziemi koło Słońca w taki sposób, żeby się mogły godzić z wszystkimi przypadkowymi odmianami wiatrów.

Zacząłem nieco czuć kolki właśnie natenczas, gdy mnie przewodnik mój wprowadził do jednego doktora, który się wślawił przez sekret leczenia kolek wcale dziwnym sposobem. Miał on wielki masek z kanką słoniową, którą, włożywszy w zad, dawał enemę wietrzną; mówił, iż takową enemą wyprowadza z wnętrza wszystkie wiatry, co rozdymając wnętrzności sprawiają kolkę. Jeżeli zaś choroba była mocniejsza i uporczywsza, natenczas napełniał pierwszej miech powietrzem i wsadziwszy rurkę do otworu wpuszczał je do wnętrzności chorego, potem wyciągał ją dla napełnienia znowu powietrzem, zapchawszy jednak pierwszej otwór u chorego palcem. Przez powtarzanie kilka razy tej operacji wiatr wpuszczany musiał gwałtownie wybuchnąć i porwać ze sobą powietrze szkodliwe, a chory powracał do zdrowia. Widziałem, jak uczynił te doświadczenia na jednym psie: przy pierwszym żadnego nie postrzegłem skutku, przy drugim zaś pies o mało nie pękł i taki nareszcie zrobił wybuch, iż prawdziwie mnie i mojemu przewodnikowi źle się zrobiło. Pies zdechł na miejscu, a doktor zabrał się do przywracania mu życia tym samym sposobem.

Zwiedziłem jeszcze wiele innych pokoi, ale nie chcę nudzić czytelnika opisywaniem wszystkich ciekawych rzeczy, które tam widziałem, bo życzę sobie o ile można, opowiadać zwięźle i krótko.

Dotąd widziałem tylko jedną stronę Akademii, poświęconą wynalazkom mechanicznym, druga strona przeznaczona jest dla zajmujących się wiadomościami spekulacyjnymi, lecz nim do opisanja jej przystąpię, chcę pierwszej w krótkości wspomnieć jednego bardzo sławnego akademika, znanego pod nazwiskiem sztukmistrza uniwersalnego. Powiedział nam, że już trzydzieści lat rozmyśla nad polepszeniem życia człowieka. Miał dwa wielkie pokoje napełnione osobliwościami, a pięćdziesięciu robotników pracowało pod jego dozorem. Jedni za-

trudniali się zgęszczaniem powietrza, wydzielając saletroród i parując części płynne dla zrobienia z niego substancji dotykanej, drudzy zmiękczały marmur na poduszki, inni skamieniali kopyta żywych koni dla uchronienia ich od łamania się. On sam zajmował się dwoma wielkimi projektami. Jeden, żeby zasiewać pole plewami, które podług niego prawdziwą siłą życiową zawierają, czego dowodził różnymi swoimi doświadczeniami, których przez nieznośność rzeczy zrozumieć nie mogłem. Drugi projekt polegał na tym, by za pomocą pewnej kompozycji z gumy, minerałów i roślin przeszkadzać rośnięciu wełny na dwóch młodych jagniętach. Utrzymywał, że w krótkim czasie będzie w stanie rozszerzyć po całym kraju rasę nagich owiec.

Potem udaliśmy się na drugą stronę Akademii, przez projektantów wiadomości spekulacyjnych zajmowaną.

Pierwszy profesor, którego ujrzałem, znajdował się w wielkim pokoju, otoczony przez czterdziestu uczniów. Po przywitaniu się, gdy spostrzegł, że bardzo uważnie oglądam wielką maszynę zabierającą większą część pokoju, zapytał, czy nie budzi we mnie zdziwienia, że trudni się udoskonaleniem wiadomości spekulacyjnych za pomocą operacji mechanicznych. Pochlebia sobie, że świat uzna ważność jego wynalazku i że wznioślejsza myśl nigdy w głowie człowieka nie powstała. Wiadomo, jak trudno przychodzi każdemu człowiekowi nauczyć się kunsztów i umiejętności, lecz dzięki jego wynalazkowi człowiek najbardziej nawet niewykształcony potrafi niewielkim kosztem i po lekkim ćwiczeniu ciała pisać książki filozoficzne, poetyczne, rozprawy o polityce, teologii i matematyce bez najmniejszej pomocy naturalnych zdolności lub nauk. Zaprowadził mnie do warsztatu, przy którym uczniowie stali ustawieni w szeregach.

Była to wielka rama, mająca dwadzieścia stóp kwadratowych; powierzchnia jej składała się z małych kawałków drzewa w kształcie kostki; niektóre z nich były większe od drugich, a wszystkie połączone ze sobą przez cienkie druty. Na powierzchni sześciątów przyklejone były kawałki papieru, na których napisano wszystkie wyrazy języka krajowego w różnych odmianach, koniugacjach, deklinacjach, ale bez żadnego porządku. Profesor prosił mnie, ażeby uważał, bo chce maszynę poruszyć. Na jego rozkaz uczeń ujął jedną z czterdziestu antab w ramie będących i obróciwszy je odmienił rozkład wyrazów. Rozkazał potem trzydziestu sześciu chłopcom, ażeby wiersze powoli czytali. Kiedy znajdowali ciąg kilku wyrazów mogących stanowić część zdania, dyktowali je czterem innym chłopcom, którzy to pisali. Ta operacja powtórzona została kilka razy, za każdym obrotem sześciątki naokoło się obracały i wyrazy coraz inne zajmowały miejsca.

Sześć godzin dziennie pracowali uczniowie przy tej nauce; profesor pokazał mi wiele foliów powstałych z ułamków zdań, obejmujących, jak zapewniał, skarb wszystkich kunsztów i umiejętności, które ułożyć i wydać zamyśla. Lecz zamiar ten wtedy dopiero może przyjść do skutku, a dzieło do wielkiego stopnia doskonałości, jeżeli społeczeństwo zechce dostarczyć potrzebnych funduszy na założenie pięciuset takich maszyn i jeżeli dyrektorowie ich obowiązani zostaną przykładąć się wspólnie do wydania tak wielkiego i powszechnie użytecznego dzieła. Zapewnił mnie, że ten wynalazek był owocem wszystkich jego myśli od wczesnej młodości, że użył całego dykcjonarza do tych ram i obliczył ściśle proporcje, jakie są w księgach między rodzajnikami, imionami, czasownikami i innymi rodzajami mowy.

Podziękowałem sławnemu profesorowi za łaskawe pokazanie i objaśnienie mi tego wszystkiego i zapewniłem, że jeżeli wrócił kiedy do mej ojczyzny, to uznam go za pierwszego i jedyne go wynalazcę cudownej maszyny, której kształt dla lepszej pamięci na papier przeniosłem i na dowód tutaj załączam. Powiedziałem mu także, że zwyczajem jest u uczonych w Europie przywłaszczać sobie wzajemnie cudze wynalazki i dlatego będzie miał przynajmniej tę korzyść, że gdyby powstał spór, kto istotnie jest pierwszym wynalazcą, ja swoim świadectwem sprawię, że jemu jednemu zostanie przyznany honor pierwszeństwa.

Weszliśmy do szkoły języków, gdzie trzech akademików naradzało się ze sobą nad sposobami doskonalenia języka. Jeden z nich był zdania, że dla skrócenia mowy potrzeba wszystkie wyrazy wielozgłoskowe zamienić na jednosylabowe, a wszystkie czasowniki i imiesłowy wyrzucić, bo wszystkie rzeczy możemy wyrażać przez imiona. Drugi sięgał dalej i doradzał zniesienie wszystkich wyrazów, tak żeby rozumować nic nie mówiąc, co byłoby korzystne dla prędkości porozumienia się i arcydobre na piersi, ponieważ rzecz jasna, że od mówienia psują się płuca i nadwęża zdrowie. Sposób na to znajdował taki: żeby wszystkie rzeczy, o których by chciano rozmawiać, nosić ze sobą.

Ten nowy wynalazek zostałby niezawodnie przyjęty, gdyby mu się nie oparło pospólstwo i kobiety, które zagroziły rewolucją, gdyby chciano pozbawić je wolności mówienia za przykładem ich przodków; tak pospólstwo jest zawsze największym nieprzyjacielem oświaty. Jednakowoż wiele wyższych w tej Akademii umysłów nie zaniechało stosować się do nowego sposobu wyrażania rzeczy przez rzeczy same, w czym natrafiali na trudność tylko wtenczas, kiedy im trzeba było mówić o różnych materiałach. W takim przypadku musieli dźwigać niezmiernie ciężary, osobliwie jeżeli nie mieli jednego lub dwóch sług silnych dla ulżenia sobie w pracy. Nieraz widziałem takich mędrców, uginających się jak nasi kramarze pod ciężarem rzeczy, które dźwigać im przyszło. Kiedy się spotkali na ulicy, składali paki na ziemię, otwierali worki i całogodzinne prowadzili rozmowy, potem pakowali znowu swoje rzeczy, a wzięwszy ciężar na siebie żegnali się.

Dla zwyczajnych i krótkich rozmów można potrzebne rzeczy nosić w kieszeni i pod pachą, w domu zaś nikomu tego nie brakuje, i pokoje, gdzie gromadzili się mówiący tym językiem, zaopatrzone były we wszystkie rzeczy potrzebne do tych kunsztownych rozmów. Daleko większa jeszcze korzyść wynika z tego wynalazku, że przez niego język powszechny zaprowadzony zostaje, bo wszystkie rzeczy i instrumenty są u wszystkich narodów cywilizowanych jedne i też same; praca więc, jako też wielkie koszta dla nauczania się języków obcych byłyby przez to oszczędzone. Tym sposobem ambasadorowie mogliby rozmawiać z monarchami i ministrami nie rozumiejąc wcale ich języka.

Stamtąd weszliśmy do szkoły matematycznej, gdzie profesor nauczał swych uczniów sposobem, który Europejczykom trudno sobie nawet w myśli wystawić. Każdą propozycję i demonstrację pisano inkaustem na opłatku z lekarstwem na zaburzenia rozumu zrobionym. Uczeń powinien był, połknąwszy na czczo ten opłatek, wstrzymać się od picia i jedzenia przez trzy dni, tak aby po strawieniu opłatka lekarstwo mogło pójść do mózgu i zanieść tam ze sobą propozycję i demonstrację. Prawda, że ten sposób niewielkie dał dotychczas skutki, ale to dlatego, że albo mylono się w ilości i kompozycji lekarstwa, albo źli i nieposłuszni studenci udawali tylko, jakoby opłatek połknęli, albo prędko szli na stolec i przez te trzy dni po kryjomu jadali.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dalsze opisanie Akademii. Gulliwer przedkłada niektóre ulepszenia, które zaszczytnie przyjęte zostają.

Nie miałem ukontentowania ze szkoły polityki, którą potem zwiedziłem. Nauczyciele zdali mi się całkiem rozumu pozbawieni, a widok takich osób zawsze mnie o melancholię przyprowadza. Ci nieszczęśliwcy utrzymywali, że monarchowie powinni sobie za faworytów tych wybierać, w których najwięcej upatrują mądrości, zdatności i cnoty, chcieli nauczyć ministrów troski o dobro publiczne i nagradzania zasług, umiejętności i zdolności. Pouczali władców, że ich i ludu interes jest jeden i ten sam i że powinni urzędy publiczne rozdawać tylko osobom najzdolniejszym i najdoświadczeńszym. Prócz tego wymyślali jeszcze wiele innych głupstw, o stosowaniu których żaden człowiek nigdy nie pomyślał, co mnie utwierdziło w starej prawdzie, że nie ma nic tak dzikiego, czego by który z filozofów twierdzić i nauczać nie przedsięwziął.

Ale nie wszyscy członkowie Akademii podobni byli do tych oryginałów dopiero wymienionych. Widziałem jednego medyka wysokiego dowcipu, który z gruntu posiadał umiejętność panowania. Poświęcał on wszystkie swoje dotychczasowe prace na wynalezienie sposobu uleczenia licznych chorób, którym wszystkie gałęzie administracji publicznej podlegać zwykły, tak przez niezdatność i słabość rządzących, jak i nieposłuszeństwo rządzonych.

– Wszyscy się – mówił – na to zgadzają, że ciało naturalne i ciało polityczne doskonałe mają do siebie podobieństwo. Zatem jedno i drugie jednakowym można leczyć sposobem. Wiadomo, że senaty i wielkie zgromadzenia miewają następujące choroby: bywają pełne gadatliwości, swarów i innych grzesznych humorów, które osłabiają ich głowę i serce, a czasem sprawiają konwulsje, skurczenie w ręce prawej, żółć, wzdęcie, zawroty głowy i pomieszanie zmysłów, skrofuliczne wrzody pełne ropiejącej materii, odbijanie kwaskowe, głód zwierzęcy, niestrawność i inne dolegliwości, których tu wyliczać nie potrzeba.

Dla leczenia tych chorób wielki nasz doktor radził, żeby tym, co sprawują interesa publiczne, macać puls przez pierwsze trzy dni debat, a to pod koniec każdego dnia, i tym sposobem dochodzić gatunku choroby, żeby czwartego dnia sesji posyłać do nich aptekarzy z lekarstwami ściągającymi, uśmierzającymi, laksującymi, głównymi, usznymi, serdecznymi etc., podług różnicy chorób, a te lekarstwa żeby na każdą sesję powtarzać, zmieniać lub ich zaniechać, zależnie od tego, jak działają.

Wykonanie tego projektu niewiele by potrzebowało kosztu, a podług mego zdania byłoby arcypożyteczne w kraju, gdzie parlamenty mają udział w prawodawstwie, bo zapewne spra-

wiłoby jednomyślność i uspokajało niezgody, niemym by otwierało usta, a wielomówców oniemiało, hamowałoby porywczosć młodych senatorów, zagrzewało oziębłość starców, obudzało zamyślonych, wstrzymywało wrzeszczących.

A że się pospolicie na to żalą, że faworyci monarchów krótką i nieszczęśliwą mają pamięć, tenże sam doktor radził, ażeby po przełożeniu interesu w słowach jak najkrótszych każdy miał wolność dać panu pierwszemu ministrowi szcztka w nos, nogą w brzuch, szpilką w spodnie, przydeptać mu nagniotek, uszczypnąć mocno w ramię lub za uszy pociągnąć, ażeby lepiej pamiętał sprawę, którą mu opowiedziano. Tenże eksperyment należy dopóty powtarzać, aż póki rzecz albo nie nastąpi, albo zupełnie odmówioną zostanie.

Chciał on także, żeby każdy senator, otworzywszy zdanie swoje i powiedziawszy, co miał powiedzieć, zakończył wnioskiem temu wszystkiemu przeciwnym; tym sposobem uchwały takowych zgromadzeń byłyby bez wątpienia pożyteczniejsze dla publicznego dobra.

Jeżeli partie polityczne w jakim kraju są zanadto zacięte, wtedy dla uspokojenia ich i pogodzenia następującego należy używać sposobu. Trzeba wziąć stu naczelników różnych partii, ustawić ich koło siebie podług podobieństwa ich czaszek i polecić biegłemu operatorowi, ażeby w jednym czasie przerznął im czaszki, tak aby mózg na dwie równe części został podzielony, po czym zmienia się połowy mózgów, tak ażeby każdy dostał połowę mózgu przeciwnika, i na odwrót. Operacja jest wprawdzie bardzo subtelna, ale profesor zapewniał, że skoro z należytą zręcznością uskutecznioma będzie, wyzdrowienie niezawodnie nastąpi.

– Ponieważ – dowodził – obydwie połowy mózgu, załatwiając w jednej czaszce całą rzecz między sobą, musiałyby się wkrótce zgodzić, stąd wyniknęłyby powściągliwość i regularność w myśleniu, tak potrzebne głowom tych ludzi, którzy mniemają, że przyszli na świat, aby go strzec i nim rządzić.

Co się tyczy różnicy w ilości i własności mózgów między naczelnikami partii, doktor zapewniał, że to nic nie znaczy.

Widziałem dwóch akademików żwawo dyskutujących nad takim sposobem wybierania podatków, żeby na nie nikt nie utyskiwał. Jeden utrzymywał, że najlepszy sposób jest nałożyć podatki na występki i głupstwa ludzkie i każdego taksować podług uznania jego sąsiadów. Drugi akademik był zdania wcale przeciwnego, utrzymując, że trzeba, by te przymioty ciała i duszy podatkiem nałożyć, którymi się każdy sam szczyci, wysokość zaś podatku uzależnić od stopnia, w jakim dany przymiot posiadamy, i każdy ma być w tym względzie swoim własnym sędzią. Największe zaś podatki potrzeba by nałożyć na pieszczoszków Wenery i na faworytów płci pięknej w miarę łask, których od niej doznają, i w tym artykule należy zdać się na ich własne uznanie. Trzeba by także pod wielkie podatki poddać dowcip i męstwo podług ogłoszenia, jakie każdy sam uczyni o tych swoich przymiotach, a zaś honor, sprawiedliwość, mądrość i biegłość w naukach wyłączyć od wszelkiego opodatkowania, ponieważ cnoty te tak szczególnej są natury, iż nikt nie chce przyznać, że je widzi w swym sąsiedzie, i nikt też nie ceni ich u siebie.

Damy powinny podatki płacić od swej piękności, przyjemnego wyglądu i zręczności w ubiorze na równi z mężczyznami, czyli podług ich własnego o sobie rozumienia, ale w zamian żadnej od wierności, czystości obyczajów, rozsądku i dobrej natury opłaty wyciągać nie należy, bo wszystek dochód, który by stamtąd mieć można, nie wystarczyłby nawet na poborców.

Inny akademik, aby senatorów obchodziła osoba monarchy, taki znajdował środek: kazał o wszystkie wielkie urzędy grać w kości, w ten jednak sposób, iżby każdy senator pierwszej, nim kości rzuci, poprzysiągł i zaręczył, że bądź wygra, bądź przegra, zawsze przychyłać się będzie zdaniem swoim do chęci dworu; ci, którzy przegrają, winni mieć jednak prawo grania o urzędy, jak tylko który zawakuje. Tym sposobem byłiby zawsze pełni nadziei, nie uskarżałoby się na obietnice fałszywe, które się im czynić zwykło, i na samą by się tylko żalili fortunę, której ramię zawsze jest silniejsze niżeli ramię ministra.

Jeszcze jeden akademik pokazał mi ciekawe pismo, zawierające sposób dochodzenia spisków i podstępów. Radził dowiadywać się, jakim pokarmem żywią się osoby podejrzone, postrzegać czas, w którym jadają, dowiadywać się, na którym boku sypiają, którą ręką uciekają sobie tył, patrzeć, jakie mają ekskrementy, i z ich zapachu, koloru, smaku, gęstości, twardości i sposobu przetrawienia sądzić o zamysłach człowieka, gdyż nigdy myśl nie bywa bardziej natężona i poważna, a umysł tak zamyślony i zatrudniony samym sobą, jak kiedy się siedzi na stolcu, czego swoim własnym doświadczeniem dowodził. Przydawał, że kiedy raz dla doświadczenia tylko pomyślał o zabiciu króla, ekskrementy jego pokazały się bardzo zielone, a kiedy zamyślił tylko podnieść bunt i stolicę spalić, znalazł je koloru całkiem innego.

Cała rozprawa napisana była z wielką przenikliwością i zawierała wiele pożytecznych uwag dla polityków, lecz zdawała mi się jeszcze niekompletna. Ośmieliłem się nieco przydać do projektu tego polityka, co przyjął z większą chęcią niżeli inni pisarze, a osobliwie teoretycy czynić zwykli, i oświadczył mi, iż z wdzięcznością przyjmuje moje nauki.

Opowiedziałem mu, że w królestwie Tribnia, przez krajowców Langden zwanym, gdzie przez długi czas bawiłem, lud składa się po większej części z denuncjantów, świadków, szpiegów, oskarżycieli i przysięgających, jako też innych płatnych służalców ministrów i ich zastępców. Spiski w tym królestwie są zwyczajnie dziełem ludzi chcących zjednać sobie sławę wielkich polityków, wzmacniać zwariowany rząd, przytłumić lub odwrócić w inną stronę powszechne nieukontentowanie, zbogacić się skonfiskowanymi dobrami, podwyższać lub obniżać kredyt publiczny stosownie do własnych korzyści. Ci układają pierwszej między sobą, które osoby mają być oskarżone o spisek, potem rozkazują zabierać im papiery, listy i wtrącając do więzienia. Papiery oddane zostają towarzystwu sztukmistrzów umiających odkrywać tajemne znaczenia wyrazów, sylab i liter. Tak na przykład odgadują, że: stolec oznacza tajną radę; stado gęsi – senat; kulawy pies oznacza napad nieprzyjacielski; zaraza – stałą armię; chrabąszcz – ministra; podagra – wielkiego kapłana; szubienica oznacza sekretarza stanu; uryna – komitet lordów; sito – damę dworską; miotła – rewolucję; łapka na myszy oznacza urząd publiczny; studnia bez dna – skarb państwa; kanał odchodowy – dwór; czapka błazeńska oznacza faworyta; złamana trzcina – sąd; próżna beczka – generała; ropiejąca rana oznacza administrację kraju.

Jeżeli ta metoda jest niedostateczna, wtedy używają sposobów daleko skuteczniejszych, które uczeni akrostychami i anagramami nazywają. Wszystkie wielkie litery mają u nich znaczenie polityczne.

Na przykład: N znaczy spisek polityczny; B – pułk kawalerii; L – flotę. Albo przestawiają litery i odkrywają najtajniejsze plany niespokojnej partii. Jeżeli na przykład piszesz do przyjaciela:

„Mój brat Tomasz K. miał hemoroidy”, biegły odcyfrowujący umie znaleźć w tym period znaczący: „Trójmaszt Bohemia – omyłka i mord”. To jest metoda anagramatyczna.

Podziękował mi ten szanowny akademik za udzielone mu uwagi i przyobiecał chwalebą o mnie uczynić wzmiankę w traktacie, który w tej materii miał podać do druku.

Nie widziałem nic w tym kraju, co by mnie zachęcało do dłuższego w nim przebywania, a przeto zacząłem mocno myśleć o moim do Anglii powrocie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gulliwer porzuca Lagado i dostaje się do Maldonady, skąd na czas krótki wyjeżdża do Glubbdubdribu. Jak go tam gubernator przyjął.

Ziemia, której to królestwo jest częścią, rozciąga się, ile mogłem sądzić, na wschód ku nieznanym krainom Ameryki, leżącej na zachód od Kalifornii, na północ od Oceanu Spokojnego, który nie więcej stamtąd jest odległy jak mil sto pięćdziesiąt. To państwo ma jeden port sławny i wielki i prowadzi handel z wyspą Luggnagg, leżącą na północno--zachodniej stronie, prawie pod dwudziestym dziewiątym stopniem szerokości północnej i sto czterdziestym długości. Wyspa Luggnagg leży od południa i wschodu Japonii na jakieś mil sto. Cesarz japoński i Król Luggnaggu mają ze sobą ściśle powiązania, przez co częste bywają okazje przedostania się z jednej wyspy na drugą. Dla tej przyczyny postanowiłem udać się do Japonii, skąd bym łatwiej mógł powrócić do Europy. Nająłem dwa muły pod moje sprzęty i przewodnika dla pokazania mi drogi. Pożegnałem zadowolonego mego protektora, który mi tyle okazał dobroci i na odjeździe obdarzył mnie wspaniałym upominkiem.

Nie przytrafił mi się w podróży żaden przypadek godny opisanie. Za przybyciem do portu Maldonady nie zastałem żadnego statku, który by miał wprędce płynąć do Luggnaggu. Miałoby Maldonada być prawie tak wielka jak Portsmouth. Zawarłem znajomości i byłem bardzo gościnnie przyjęty. Jeden znaczny szlachcic powiedział mi, że ponieważ żaden statek nie popłynie do Luggnaggu, aż chyba za miesiąc, nieźle bym zrobił, abym dla rozrywki odprawił małą podróż do wyspy Glubbdubdrib, ku południowi leżącej nie dalej jak mil pięć. Ofiarował mi się z jednym ze swych przyjaciół towarzyszyć w tej podróży i o mały statek się wystarać.

Glubbdubdrib oznacza w tym języku Wyspę Czarowników, czyli Czarnoksiężników. Jest prawie tak wielka jak jedna trzecia wyspy Wight i bardzo urodzajna. Rządzi nią naczelnik pokolenia składającego się z samych tylko czarowników, z nikim prócz siebie nie łączących się i zawsze obierających sobie za monarchę najsędziwszego. Monarcha ten, czyli rządcą, ma wspaniały pałac i ogród rozciągający się na trzy tysiące staj naokoło, opasany murem z kamienia ciosowego na dwadzieścia stóp wysokim. W ogrodzie tym jest mnóstwo małych zakątków dla bydła, zboża i ogrodnictwa. On sam i cała rodzina używają do swej usługi bardzo osobliwych służących. Przez umiejętność czarnoksiężstwa ma rządcą moc wywołania umarłych i przymuszenia ich, aby mu służyli przez dwadzieścia cztery godziny, ale nie więcej; nie może też powtórzyć przyzwania jednego i tego samego z umarłych, aż po upływie trzech miesięcy, chyba że mu się coś nadzwyczajnego wydarzy.

Była prawie jedenasta rano, gdyśmy zawinęli do wyspy. Jeden z moich towarzyszków poszedł do rządcy i powiedział mu, iż pewien cudzoziemiec pragnie mieć honor oddać mu uniżoność swoją. Komplement ten był dobrze przyjęty. Weszliśmy na dziedziniec pałacowy i przechodziliśmy między dwoma rzędami gwardii, po staroświecku ubranej i uzbrojonej, której widok nabawił mnie niewypowiedzianego strachu. Przeszliśmy przez wiele pokojów i napotkaliśmy wielką gromadę służących tego samego rodzaju, nim weszliśmy do pokoju rządcy. Gdyśmy się po trzykroć bardzo nisko skłonili, rozkazał nam usiąść na małych taboretach przy najniższym stopniu tronu swego. Rozumiał język Balnibarbów, choć różni się od języka tej wyspy. Prosił, abym mu opisał moje podróże, i chcąc pokazać, że pragnie ze mną postępować bez żadnych ceremonii, dał ręką znak służącym, aby wyszli, i w tym momencie (co mnie mocno zadziwiło) wszyscy jak dym zniknęli. Nie mogłem przez niejaki czas przyjść do siebie, aż mi gubernator powiedział, że nie mam się czego lękać. Widząc, że towarzysze moi bynajmniej się tym zdarzeniem nie trwożą, będąc już do podobnych widoków przyzwyczajeni, zacząłem nabierać serca i opowiedziałem różne przypadki moich podróży. Coraz się jednak przez głupią moją imaginację mieszałem, coraz oglądałem w prawo i w lewo, coraz rzucałem oko na miejsce, gdzie te straszidła zniknęły.

Miałem honor z gubernatorem jeść obiad, podczas którego usługiwała nam nowa kupa tychże straszidła. Nie trwożyłem się tak mocno jak pierwej. Bawiliśmy u stołu aż do zachodu słońca. Prosiłem gubernatora o wybaczenie, że w jego pałacu nie będę nocował, i poszliśmy szukać łóżka w mieście pobliskim, będącym stolicą całej wyspy.

Nazajutrz rano powróciliśmy do gubernatora, czyniąc winną mu uwagę. Przez dziesięć dni zostawania mego na wyspie spędzałem większą część dnia z rządcą, a w nocy powracałem do miasta. Tak się spoufalilem z duchami, że się ich więcej nie lękałem, a jeżeli co pozostało jeszcze bojaźni, ta ustępowała ciekawości, której wkrótce miałem okoliczność zupełnie dogodzić.

Jednego dnia gubernator powiedział mi, żebym mu wymienił imiona umarłych, których by mi się tylko podobało, a on każe im stanąć i na wszystkie moje pytania odpowiadać, bylebym tylko o to pytał, co się stało za ich czasów. Upewnił mnie, że powiedzą zawsze prawdę, ponieważ kłamstwo na nic się umarłym nie przyda.

Wyraziłem jak najuniżeńsze podziękowanie gubernatorowi. Znajdowaliśmy się w pokoju, skąd piękny był widok na cały park, i ponieważ najbardziej pragnąłem oglądać widowiska pełne przepychu i okazałości, powiedziałem, że życzylbym sobie widzieć Aleksandra Wielkiego na czele jego wojska po bitwie pod Arbella, który też na znak gubernatora zjawił się z całą swoją armią na obszernym polu pod naszymi oknami.

Aleksander został przywołany do pokoju. Z największą trudnością mogłem zrozumieć jego język grecki, lecz również i on mojego wcale nie rozumiał. Zapewnił mnie na swój honor, że go nie otruto, ale śmierć jego była skutkiem febry wynikłej ze zbytku w napojach.

Potem widziałem Hannibala przechodzącego przez Alpy. Powiedział mi, że ani kropli octu nie miał w całym swoim obozie.

Przyzwani potem zostali Cezar i Pompejusz na czele swych wojsk, gotujących się do starcia, i widziałem Cezara tryumfującego po walce. Życzyłem sobie widzieć w jednej wielkiej sali rzymski senat, a w drugiej dla porównania jakieś zgromadzenie prawodawcze z naszych czasów. Senat wydał mi się jak zgromadzenie bohaterów i półbogów, drugie zaś jak zbiór kramarzy, łotrów, rzezimieszków i rajfurów. Na moje życzenie dał gubernator znak Brutusowi i Cezarowi, żeby się do nas zbliżyli. Widok Brutusa napełnił mnie największym uszanowaniem i podziwieniem, z rysów jego twarzy mogłem wyczytać najsurowszą cnotę, największą odwagę, stałość umysłu, miłość ojczyzny połączone z serdeczną życzliwością dla całej ludzkości.

Z wielką przyjemnością spostrzegłem, że te dwie osoby w największej ze sobą zostają zgodzie, i Cezar wyznał mi otwarcie, że Brutus postępkiem swoim wszystkie jego piękne czyny zgasił, kiedy odebrał mu życie dla uwolnienia Rzymu od tyranii.

Miałem szczęście dosyć długo rozmawiać z Brutusem, który mi powiedział, że jego przodek Junius oraz Sokrates, Epaminondas, Kato Młodszy, Tomasz More i on zawsze są w towarzystwie ze sobą; jest to zjednoczenie sześciu mężów, do którego wszystkie wieki świata nie są w stanie dodać siódmego.

Nudziłbym może czytelnika, gdybym wszystkie znakomite opisywał osoby, które przez gubernatora przyzywane zostały dla zadośćuczynienia mojej nienasyconej chęci widzenia świata w każdym okresie starożytności. Z największym upodobaniem patrzyłem na bohaterów, którzy zwrócili wolność skrzywdzonym i uciemżonym narodom, lecz żadnym sposobem nie jestem w stanie opisać rozkoszy stąd doznanej, ażeby dać czytelnikowi o tym odpowiednie wyobrażenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dalsze opisanie Glubbudribu. Historia starożytna i nowoczesna zostają sprostowane

Dla zadośćuczynienia chęci mojej, aby widzieć przede wszystkim tych ze starożytności, którzy się rozumem i nauką wsławili, przeznaczyłem osobno dzień cały. Żądałem, aby Homer i Arystoteles zjawili się na czele wszystkich swoich komentatorów, lecz było ich tak wielu, że kilkuset na dworze i w przyległych pokojach czekać musiało. Na pierwszy rzut oka poznałem tych dwóch wielkich mężów i nie tylko mogłem ich łatwo odróżnić od otaczającej ich masy, ale nawet jednego od drugiego. Homer był większy i piękniejszej powierzchowności od Arystoteles, lubo w latach podeszły, miał postawę prostą, nadzwyczaj przenikliwie i żywe oczy. Arystoteles zaś schylony był i chodził o jednej kuli. Twarz miał chudą, włosy krótkie i rzadkie, głos bardzo słaby. Postrzegłem, że obydwaj wcale obcymi byli swoim towarzyszom i że nigdy nic o nich nie słyszeli.

Jeden z duchów, którego nie chcę wymieniać, powiedział mi do ucha, że wszyscy ci wykładacze trzymają się zawsze w największym oddaleniu od swoich autorów, wstydzą się bowiem niepomiernie, że tak fałszywie wytłumaczyli myśli tych wielkich pisarzy i podali je potomności. Przedstawiłem Homerowi Dydymusa i Eustachiusa i wymogłem na nim, aby się lepiej z nimi obchodził, niż może zasłużyli, poznał bowiem zaraz, że nie mieli dostatecznego rozumu do pojęcia tak wielkiego poety. Arystoteles zaś rozgniewał się mocno, gdy mu opowiadałem o pracach Dunsza Szkota i Ramusa, przedstawiając tych dwóch uczonych. Pytał, czy wszyscy do tej klasy należący są tak głupi i ograniczeni jak oni.

Prosiłem potem gubernatora, ażeby przyzywał Kartezjusza i Gassendiego, i namówiłem ich, żeby system swój przedłożyli Arystotelesowi. Sławny ten filozof wyznał otwarcie, że wielkie popełnił w fizyce błędy opierając się przy wielu rzeczach na własnych domysłach, co każdy człowiek czynić musi. Podług jego mniemania system Gassendiego, który naukę Epikura ile możliwości ozdobił i jako godną przyjęcia wystawił, równie jak i zasady Kartezjusza odrzucić trzeba. Ten sam los przepowiedział systemowi o sile przyciągającej, którego teraz uczeni bronią z tak wielką gorliwością.

– Nowe systema natury – mówił dalej – są jak nowe mody, które z każdym wiekiem się zmieniają, a nawet te, które udowadnia się zasadami matematycznymi, niedługo się utrzymają i po jakimś czasie pójdą w zapomnienie.

Pięć dni przepędziłem rozmawiając z innymi jeszcze uczonymi ze starożytności. Widziałem prawie wszystkich cesarzy rzymskich. Namówiłem gubernatora, ażeby przyzywał kucharza Heliogabala dla przysposobienia nam porządnego obiadu, lecz nie mogli się swoją biegło-

ścią popisać z powodu braku potrzebnych do tego materiałów. Niewolnik Agezylausa przygotował nam miskę zupy spartańskiej, lecz nie byłem w stanie więcej nad jedną łyżkę jej przełknąć.

Ci dwaj panowie, którzy przybyli ze mną na tę wyspę, musieli za dwa dni wracać do domu dla załatwienia potrzebnych interesów. Obróciłem te parę dni na oglądanie kilku sławnych umarłych, którzy w ostatnich trzech wiekach tak w Anglii, jak i innych krajach Europy wielką grali rolę. Ponieważ zawsze byłem wielkim wielbicielem jasnie oświeconych rodzin, prosiłem przeto gubernatora, aby przyzwał parę tuzinów królów z ich poprzednikami aż do ósmego lub dziewiątego pokolenia. Jakże mocno zostałem w moich oczekiwaniach omylony, gdy zamiast długiego rzędu osób z diademami widziałem w jednej rodzinie dwóch skrzypków, trzech wesołych dworaków i włoskiego prałata, w drugiej zaś golibrodę, opata i dwóch kardynałów.

Miałem zbyt duże uszanowanie dla głów koronowanych, ażebym miał dłużej przy tak delikatnym przedmiocie zabawić, lecz względem innych wielkich rodzin nie byłem tak skrupulatny. Jak wielką rozkosz miałem w poznaniu początku większej części naszych książąt, margrabiów, hrabiów, szlachty dzisiejszej i wszystkich osób, w których krew tamtych płynęła! Mogłem poznać, dlaczego jedna rodzina ma spiczaste podbródki, dlaczego w innej jest tylu łotrów od dwu pokoleń, a tylu głupców od czterech, dlaczego w trzeciej wszyscy są półgłówkami, a w czwartej szalbierzami. Pojąłem przyczynę, dla której Polidor Wirgili powiedział: „*Nec vir fortis, nec femina casta*”⁴.

Widziałem, jak okrucieństwo, fałsz i bojaźń stały się znamionami niejednej rodziny, po których ją równie łatwo jak po herbie odróżnić można.

Poznałem, kto pierwszy zaraził pewną wielką rodzinę francuską chorobą, która wybucha wrzodami skrofalicznymi w całym potomstwie. I nie zdziwiło mnie to wcale, kiedy w rodowodzie wielu panów ujrzałem hajduków, paziów, kamerdynerów, lokai, tancmistrzów, graczy, komedianów, obieżyświatów i złodziejasków.

Najbardziej obmierziłem sobie historię nowoczesną; kiedy poznałem bowiem najsławniejsze osoby, które się od stu lat na dworach monarchów pojawiały, znalazłem, że świat oszukany został przez kupnych dziejopisów, którzy tchórzów przekształcili w wielkich wodzów, głupich i szalonych w mądrych mężów stanu, pochlebców w ludzi poczciwych, zdrajców ojczyzny w obywateli cnotliwych jak Rzymianie, bezbożników w osoby pełne pobożności, zboczeńców w ludzi skromnych i czystych, donosicieli w rzetelnych obywateli. Dowiedziałem się, ilu niewinnych zostało skazanych na śmierć albo na wygnanie przez intrygi faworyta przekupującego sądy oraz przez złośliwość frakcji politycznych. Jak się to stało, że nikczemnicy zostali wyniesieni do najwyższych godności, obdarzeni zaufaniem, władzą, tytułami i majątkiem. Dowiedziałem się, jaką rolę w poczynaniach dworów i rad królewskich oraz senatów odegrali: rajfurzy, podwiki, pieczeniarze i błazny. Zobaczywszy źródło wszystkich na świecie oszustw, sromotne pobudki najznakomitszych czynów, sprężyny albo raczej przypadki nieprzewidziane, które do skutecznego przedsięwzięcia ludzkiego wiele pomagają, zobaczywszy, mówię, to wszystko, jakże mądrość i cnotę ludzką poczytałem za rzecz nikczemną!

Odkryłem nieświadomość i zuchwałość dziejopisów, piszących anegdoty, czyli historie sekretne, którzy niektórych królów jakby trucizną zgubionych opisują, którzy śmieją powtarzać rozmowy sekretne monarchy z pierwszym ministrem, a nikt przy nich nie był przytomny, wytrychem, że tak powiem, dobierają się do gabinetów i myśli ambasadorów i ministrów, a zawsze na swoje nieszczęście się myślą.

⁴ Ani męża dzielnego, ani kobiety czystej (łac.).

W tym to miejscu dowiedziałem się o tajemnych przyczynach niektórych przypadków, co zadziwiły świat cały, jak jedna podwika rządziła buduar, buduar rządził radą sekretną, a rada sekretna całym Parlamentem.

Przyznał mi się jeden wódz, że odniósł raz zwycięstwo przez swoją bojaźń i podłość, a pewien admirał powiedział mi, iż z braku ścisłych wiadomości zniósł nieprzyjacielską flotę wtenczas, kiedy życzył sobie, żeby jego flotę zbito. Trzech królów wyznało, iż przez cały czas panowania swego żadnego pocziwego i zasłużonego człowieka na żaden nie wynieśli urząd, wyjąwszy wypadki, gdy ich oszukał minister, któremu ufali, i nie postępowaliby inaczej, gdyby znowu żyli, ponieważ, jak z wielką siłą rozumu dowodzili, tron nie utrzymałby się bez przekupstwa, a ufność i rozwaga, które są nieodłączne od cnoty, były ustawiczną zawadą w sprawach publicznych.

Byłem ciekawy, jakim sposobem tak wiele osób przyszło do tak zaszczytnych tytułów i tak wysokiej fortuny. Przestałem na czasach niedawnych, terażniejszość zaś najtroskliwiej pomyślałem z obawy, ażebym nawet cudzoziemców nie obraził. Nie ma bowiem chyba potrzeby uświadamiać czytelnika, iż cokolwiek mówię, bynajmniej się nie odnosi do mej kochanej ojczyzny. Wielu się zjawilo i po kilku pytaniach rozwinęli przede mną taki obraz hańby, że zmuszany byłem poważnie się zastanowić. Pomiedzy sposobami tymi krzywoprzysięstwa, uciemiężenia, podstęp, zdrady, oszustwa, kradzieże i inne „słabostki” były po prostu fraszkami niewartymi uwagi i miałem dla nich należytą wyrozumiałość, ale wielu wyznało, iż wywyższenie swoje zawdzięczało łatwości podawania żon i córek na najokropniejsze rozpusty, sodomii i kazirodztwu, zdradzie ojczyzny i monarchy, używaniu trucizny albo gwałceniu sprawiedliwości dla zniszczenia niewinnych. Po takowych odkryciach trzeba mi darować, jeżeli od owego czasu zacząłem mniej cenić wielkość, którą naturalnie szanuję i poważam, jak wszyscy niżsi powinni szanować tych, których natura lub szczęście posadziły w wyższym rzędzie.

Czytałem w niektórych książkach, że niektórzy poddani wielkie monarchom i ojczyźnie swojej uczynili przysługi, chciałem ich widzieć, ale mi odpowiedziano, że zapomniano ich imion, i tylko tych pamiętano, o których dziejopisowie uczynili wzmiankę, podając ich za zdrajców i oszustów. I ci ludzie pocziwi, co o nich zapomniano, stanęli przede mną; ale bardzo upokorzeni, w mizernym stanie. Powiedzieli, że większość poumierala w ubóstwie i w nieszczęściu, a niektórzy z nich nawet na rusztowaniu lub szubienicy.

Miedzy nimi ujrzalem jednego człowieka, którego przypadek zdał mi się osobliwy. Miał przy sobie młodziana z osiemnaście lat mającego. Powiedział mi, iż przez wiele lat był kapitanem na jednym okręcie, że w potyczce wodnej pod Akcjum uderzył na pierwszą linię, zatopił trzy pierwszego rzędu okręty i zabrał czwarty, co było jedyną przyczyną ucieczki Antoniusza i rozbicia całej jego floty; że młodzian znajdujący się przy nim jest jego jedynym synem, który w tej potyczce został zabity. Przydał, iż po skończonej wojnie przyszedł do Rzymu prosić w nagrodę o komendę nad większym okrętem, którego kapitan w potyczce zginął, ale oddano ten urząd jednemu młodzikowi, który jeszcze nie widział morza, lecz był synem wyzwolonej niewolnicy, będącej na usługach jednej z kochanek cesarza. Kiedy powrócił do swej kwatery, oskarżano go, że nie uczynił zadość swojej powinności, a komendę nad jego okrętem oddano jednemu paziowi, faworytowi wiceadmirala Publikoli; naówczas powrócił on do swego szczupłego folwarku, daleko od Rzymu, i tam dni swoje zakończył. Chcąc się dowiedzieć, czy ta historia była prawdziwa, pytałem o Agryppę, który naówczas był admirałem floty zwycięskiej. Stanął i potwierdził mi prawdę, dodając jeszcze okoliczności, a których kapitan przez swoją skromność zamilczał.

Zdumiewałem się widząc, jak niedawno wprowadzony zbytek zepsuł obyczaje w tym państwie, co zadziwienie moje znacznie zmniejszyło nad podobnymi zdarzeniami w innych krajach, gdzie zbytek i występki od niepamiętnych czasów panują i gdzie całą sławę i wszystką

zdobycz przywłaszczają sobie generałowie, lubo nieraz mniej do nich mają prawa od ostatniego ze swych żołnierzy.

A jako wszystkie osoby, które dla mnie wywoływano, pokazywały się takimi, jakimi były na świecie, patrzyłem z żalem, jak od stu lat zwyrodniał naród ludzki, jak bardzo francuska choroba ze wszystkimi swymi skutkami popsuła wdzięki twarzy, zmniejszyła ciała, ściągnęła żyły, zwolniła mięśnie, zgasła kolory, zgubiła płę Anglików.

Chciałem na koniec widzieć niektórych z naszych dawnych wieśniaków, co tak bardzo ich sławią z prostoty, z trzeźwości i sprawiedliwości, ducha wolności, męstwa i miłości ojczyzny. Widziałem ich i nie mogłem nie porównać z teraźniejszymi, którzy, sprzedając za pieniądze kreski swoje w obieraniu deputowanych do Parlamentu, mają w tym punkcie wszelką przewrotność i chytrąść osób dworskich.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powrót Gulliwer do Maldonady. Stamtąd płynie do królestwa Luggnaggu. Za przybyciem swoim zatrzymany i zaprowadzony do dworu. Jak na nim był przyjęty. Łagodność Króla dla swych poddanych.

Z nadejściem dnia naszego odjazdu pożegnałem gubernatora Glubbudribu i powróciłem z dwoma moimi towarzyszami do Maldonady, gdzie zabawiwszy dni piętnaście siadłem na statek, który płynął do królestwa Luggnaggu. Obaj panowie i niektóre inne osoby opatrzyli mnie przez grzeczność w żywność na tę podróż i odprowadzili aż do brzegu. Miesiąc cały trwała ta podróż. Wytrzymałszy jedną gwałtowną burzę i musieliśmy zawrócić na zachód, aby płynąć z wiatrem, który w tym miejscu przez mil sześćdziesiąt wieje. Dnia dwudziestego pierwszego kwietnia roku 1708 weszliśmy na znaczną rzekę, nad którą leżało miasto Klumengnig, które jest portem królestwa Luggnaggu ze strony południowo-wschodniej. Rzuciliśmy kotwicę o milę od miasta i daliśmy znać, żeby do nas przyjechał sternik. W pół godziny przybyło dwóch sterników i przeprowadzili nas pomiędzy bardzo na tym przybrzeżu niebezpiecznymi skalami do jednego kanału o długość kotwicznej liny oddalonego od miasta.

Niektórzy z naszych majtków przez podstęp czy przez nieroztropność powiedzieli sternikom, że jestem cudzoziemiec i wielki podróżnik. Ci o tym przestrzegli przełożonego komory, który poddał mnie ścisłej inkwizycji, skoro tylko na ląd wysiadłem. Mówił ze mną językiem Balnibarbów, który rozumieją w tym mieście żeglarze i celnicy z powodu znacznego z tym krajem handlu. Odpowiedziałem w krótkich słowach, mówiąc mu historię, jak tylko to było możliwe, do prawdy podobną. Osądziłem jednakże za rzecz potrzebną zamilczeć o mojej ojczyźnie. Powiedziałem mu, że jestem Holandczyk, udający się do Japonii, gdzie, jak wiedziałem, nikogo prócz Holandczyków nie przyjmują. Rzekłem więc przełożonemu, iż rozbiwszy się przy brzegach Balnibarbi, byłem na wyspie latającej Lapucie, o której często słyszał, i teraz chciałbym dostać się do Japonii, skąd mógłbym powrócić do kraju. Przełożony mi na to odpowiedział, że musi mnie zatrzymać, póki nie odbierze rozkazów od dworu, dokąd natychmiast miał pisać i spodziewał się za piętnaście dni odebrać respons. Dano mi stancję przyzwoitą i postawiono straż u drzwi. Miałem wielki ogród do przechadzki i wszelkie wygody opłacone ze skarbu królewskiego. Wiele osób przychodziło do mnie z ciekawości widzenia człowieka przybyłego z dalekich krajów, o których nigdy nie słyszeli.

Zgodziłem jednego wyrostka z naszego statku, żeby mi był za tłumacza; był on rodem z Luggnaggu, ale przepędziwszy lat wiele w Maldonadzie obydwa języki doskonale umiał. Za

jego pomocą mogłem bawić wszystkich, którzy mi czynili honor składając wizytę, to jest mogłem rozumieć ich zapytania i tłumaczyć im moje odpowiedzi.

Respons od dworu przyszedł w dni piętnaście, jak się spodziewano, zawierał zaś w sobie rozkaz, aby mnie i mój orszak w asyście dziesięciu kawalerzystów zaprowadzono do Traldragdubbu, czyli Trildrogribu, gdyż, o ile spałmętać mogę, dwojako tę nazwę wymawiano. Cały mój orszak składał się tylko z biednego chłopaka - tłumacza, którego do posług moich przyjąłem. Na moją prośbę dano nam dwa muły do drogi. Wysłano przed nami kuriera, który półtora dnia pierwsi stanął, aby dać znać o moim bliskim przybyciu i prosić o „dzień i godzinę, kiedy bym miał honor i ukontentowanie lizać proch z podnóżka Jego Królewskiej Mości”. Taki jest styl dworski tego kraju i nie jest to tylko formalnością, bo gdy w dwa dni po moim przybyciu miałem audiencję, zaraz mi kazano położyć się, czołgać na brzuchu i zamiatać językiem posadzkę przy posuwaniu się do tronu królewskiego. Ale żem był cudzoziemiec, umieciono łaskawie podłogę, tak że proch nie mógł mi wiele sprawić przykrości. Była to szczególniejsza łaska, której nie pozwalano dostąpić nikomu oprócz najpierwszej godności osobom, kiedy się im zdarza honor audyencji u Jego Królewskiej Mości. Czasem nawet umyślnie zostawiają posadzkę brudną i kurzem okrytą, kiedy ci, co przychodzą na audiencję, mają nieprzyjaciół u dworu.

Widziałem raz jednego pana, który tak pełne miał usta prochu i paskudztwa, którego nazywał na posadzce językiem swoim, że kiedy przypełził do tronu, nie mógł wymówić jednego słowa. Na to nieszczęście nie ma rady, ponieważ pod karą śmierci zabronione jest spluwać lub usta ocierać w przytomności królewskiej. Jest także na tym dworze zwyczaj, którego wcale pochwalić nie mogę. Gdy Król chce jakiego pana lub dworzanina stracić sposobem honorowym i łagodnym, każe posypać posadzkę jadowitym proszkiem brunatnym, od którego niechybnie z wolna i bez hałasu musi rozpęknąć się we dwadzieścia cztery godziny. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość wielkiej łagodności i troskliwości władcy tego o życie swych poddanych (w czym bardzo by się przydało, aby go naśladowali monarchowie europejscy), gdyż zawsze po takowych egzekucjach jak najdokładniej przykazuje zamiatać posadzkę i jeśliby tego służący zapomnieli, byłiby w niebezpieczeństwie popadnięcia w jego niełaskę. Widziałem jednego razu, że kazał dobrze oćwiczyć jednego małego paza, iż złośliwie zaniebdał przestrzec, aby posadzkę zamieciono po takowym przypadku, co było przyczyną, że się struł jeden młody pan rokujący wielkie nadzieje, chociaż Król nie miał natenczas zamiaru pozbawienia go życia. Lecz monarcha okazał i w tym zdarzeniu dobroć swoją, darując paziowi i od plag go uwalniając pod warunkiem, że więcej tak nie postąpi bez specjalnego przykazu.

Wracam jednak do rzeczy. Gdy się przyczółgałem o cztery kroki od tronu Jego Królewskiej Mości, powstałem na kolana i uderzywszy siedem razy czołem o ziemię, wymówiłem słowa następujące, których mnie dzień pierwszy na pamięć nauczono:

– *Ickpling gloffthrobb squutserumm blhiop mlashnalt zwinnodbalkguffh slhiophad gurdlubh asht.*

Jest to formuła prawami tego królestwa przepisana dla wszystkich, którzy miewają audiencję, i można ją tak przetłumaczyć: „Oby Wasz Niebieski Majestat przeżył słońce o jedenaście i pół księżyców”.

Król Jegomość dał mi odpowiedź, której nie zrozumiałem, ale jednak powiedziałem słowa, których mnie nauczono:

– *Fluft drin yalerick dwuldum prastrad mirplush*, co znaczy: „Język mój jest w ustach mego przyjaciela”.

Dałem przez to poznać, żem chciał użyć mego tłumacza; natenczas wprowadzono wyrostka, o którym nadmieniałem, i za jego pomocą odpowiadałem na wszystkie pytania, które mi czynił Król Jegomość przez godzinę. Ja mówiłem językiem Balnibarbów, a tłumacz mój przekładał słowa moje na język Luggnaggu. Bardzo był Król kontent z mojej rozmowy i

przykazał swemu *bliffmarklubowi*, czyli szambelanowi, ażeby dla mnie i dla tłumacza mego przygotowano pokoje w jego pałacu i żeby mi na pożywienie co dzień dawano pieniądze, a także worek pełen złota na drobniejsze wydatki.

Mieszkałem przez trzy miesiące na dworze będąc posłuszny Królowi Jegomości, który mnie obdarzył swymi łaskami i wielkie czynił obietnice dla zobowiązania mnie, abym w jego państwie osiadł. Ale zdało mi się rzeczą rozsądniejszą i sprawiedliwszą powrócić do mojej ojczyzny dla zakończenia w niej życia przy ukochanej żonie, która od dawnego czasu pozbawiona była słodczy mej przytomności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pochwała Lugganggów. Opis Struldbuggów, czyli Nieśmiertelnych. Rozmowy Gulliwera z kilkoma znakomitymi osobami.

Luggnaggowie są narodem światłym i mężnym. Chociaż mają nieco pychy, wszystkim narodom wschodnim pospolitej, są jednak uczciwi i ludzcy względem cudzoziemców, zwłaszcza tych, którzy są dobrze u dworu przyjęci. Zawarłem znajomości i poczyniłem związki z osobami wielkiego świata, a przez pośrednictwo mego tłumacza miewałem z nimi często rozmowy zabawne i pożyteczne.

Jeden z nich spytał się mnie jednego razu, czy widziałem kiedy Struldbuggów, czyli Nieśmiertelnych. Odpowiedziałem, że nie i że jestem bardzo ciekawy, jak można było dać taką nazwę ludziom. Powiedział mi na to, iż czasem (lubo rzadko) rodzi się w rodzie dziecię z plamą czerwoną prosto nad brwią lewą i że to szczęśliwe znamię uwalnia je od śmierci, że plama ta z początku jest wielkości srebrnej trzypensówki, że potem rośnie i kolor odmienia, że w lat dwanaście staje się zieloną, w lat dwadzieścia pięć – błękitną, w lat czterdzieści pięć – zupełnie czarna i tak wielka jak szyling i już się więcej nie odmienia. Przydał, że tak się mało rodzi tych dzieci na czołeznaczonych, iż zaledwie tysiąc sto Nieśmiertelnych obojej płci liczono w całym królestwie, a około pięćdziesięciu w stolicy, między którymi jedna trzyletnia dziewczynka. Narodzenie Nieśmiertelnego nie jest przywiązane do żadnej rodziny, jest to szczerzy dar natury, czyli przypadku, i nawet dzieci Struldbuggów rodzą się jak dzieci innych ludzi bez żadnego przywileju. Ucieszyłem się niewypowiedzianie z tej wiadomości, a że osoba, która mi to opowiadała, znała język Balnibarbów, którym mogłem mówić z łatwością, oświadczyłem moje podziwienie i radość w słowach jak najżywszych. Zawołałem, w wielkim będąc zachwyceniu:

– Szczęśliwy naród, którego wszystkie mające się rodzić dzieci mogą przynajmniej się spodziewać nieśmiertelności! Szczęśliwy kraj, gdzie starożytnych czasów przykłady zawsze trwają, gdzie pierwszych wieków cnota nie zaginęła, gdzie pierwsi jeszcze ludzie żyją i żyć będą wiecznie, ażeby nauczali mądrości wszystkich swych potomków! Szczęśliwi ci zacni Struldbuggowie, co mają przywilej nieumierania nigdy, których wyobrażenie śmierci nie zastrasza, nie osłabia, nie zasmuca!

Oświadczyłem potem moje podziwienie, że dotychczas nie widziałem jeszcze na dworze żadnego z tych Nieśmiertelnych, bo jeśliby się który na nim znajdował, chwalebne znamię, na czołe jego wypiętnowane, zapewne wpadłoby mi w oczy.

– Co za przyczyna – przydałem – że Król tak rozsądny nie używa ich za ministrów i nie darzy wszelkim zaufaniem? Być może, surowa cnota tych starców przykrzyłaby się oczom dworu, gdzie panuje przedajność i rozpusta. Wiemy z doświadczenia, że młodzież, lekko-myślna i zadufana w sobie, wzbrania się iść za radą starszych. Będę o tym mówić Królowi za pierwszą, jaka się tylko nadarzy, okolicznością, i czy rad moich usłucha, czy nie, przyjmę na zawsze mieszkanie, które mi przez dobroć swoją Król Jegomość ofiarował w swoim państwie, aby dokończyć reszty dni moich w przezacnym towarzystwie ludzi Nieśmiertelnych, byle mnie do społeczeństwa swego przyjąć zechcieli.

Ten, do którego mówiłem, spojrzawszy naówczas na mnie z uśmiechem oznaczającym moją nieświadomość godną politowania, odpowiedział, iż bardzo był kontent, że przedsiębrałem zamieszkać w tym kraju, i prosił, abym mu pozwolił wytłumaczyć kompanii, co mu powiadałem. Wytłumaczył i przez niejaki czas rozmawiali ze sobą językiem, którego nie rozumiałem. Nie mogłem nawet z ich oczu wyczytać, jaki skutek mowa moja sprawiła. Na koniec ten sam, co ze mną rozmawiał dotychczas, rzekł do mnie z grzecznością, że przyjaciele jego i moi (tak się łaskawie wyraził) byli bardzo kontenci z moich rozsądnych uwag nad szczęśliwością i korzyścią nieśmiertelności, ale chcieli wiedzieć, jaki bym układ życia uczynił i jakie by były moje zabawy i zamiary, gdyby natura pozwoliła mi urodzić się Struldbrugiem.

Na tak ważne zapytanie odpowiedziałem, iż z radością dogodzę natychmiast ich ciekawości, że projekty mało mnie kosztują, że przyzwyczajony jestem myśleć, co bym uczynił, gdybym był królem, wodzem albo możnym panem, że co się tyczy nawet nieśmiertelności, rozmyślałem niekiedy, jak bym się miał sprawować, gdybym miał żyć wiecznie, i że ponieważ tego chciano, zaraz natężę moją myśl i rozum.

Powiedziałem więc, iż gdybym miał szczęście urodzenia się Struldbrugiem, jak tylko mógłbym poznać radość moją, widząc różnicę między śmiercią a życiem, tak zaraz starałbym się zbierać wszelkimi sposobami wielkie bogactwa, aby przez roztropność i oszczędność stać się po upływie dwustu lat najbogatszym człowiekiem w całym królestwie. Po wtóre, przykładalbym się usilnie od pierwszej młodości do nauk, abym sobie mógł obiecywać, iż zostanę kiedyś najmędrszym człowiekiem na świecie. Uważałbym troskliwie i zapisywał wszystkie ważne przypadki, postrzegałbym bezstronnie wszystkich monarchów i ministrów i czyniłbym w tej mierze własne uwagi. Pisałbym wierny i dokładny pamiętnik wszystkich rewolucji mody i języka, wszystkich odmian zachodzących w zwyczajach, prawach, obyczajach, a nawet w jedzeniu i w rozkoszach. Przez te nauki i uwagi stałbym się na koniec żyjącym skarbem mądrości i wiedzy, ustawicznym współziomków moich doradcą.

– W takowym stanie – mówiłem dalej – nigdy bym się nie żenił po sześćdziesiątce, prowadziłbym życie jak młodzian, wesoło, wolno, ale z oszczędnością. Bawiłbym się kształceniem umysłu młodzieży, udzielając jej mego światła i długiego doświadczenia, popartego przykładami użyteczności cnoty w sprawach publicznych i osobistych. Moimi prawdziwymi i poufałymi przyjaciółmi byłiby zacni Struldbrugowie, między którymi wybrałbym ze dwustu od najdawniejszych do mych rówieśników, aby się z nimi jak najściślej zjednoczyć. Gdyby niektórym niedostatek dokuczył, ofiarowałbym im mieszkanie u siebie i kilku miałbym zawsze przy stole. Nie zaniedbałbym także odwiedzać godnych śmiertelnych, do których śmierci przyzwyczaiłbym się bez smutku i żalu, ciesząc się po zejściu ich z tego świata ich potomstwem. Mogłoby to być nawet dla mnie widokiem przyjemnym, tak jak ogrodnik ma rozkosz patrzeć, kiedy w jego ogrodzie tulipany i gwoździki rodzą się, umierają i odradzają.

My, Struldbrugowie, przekazywalibyśmy sobie wzajemne uwagi nasze nad przyczynami zepsucia narodu ludzkiego. Ułożylibyśmy księgę moralną pełną nauk pożytecznych i pozwalających zmienić naturę ludzką, żeby się więcej nie wyradzała, jak się co dzień wyradza i co jej od dwóch tysięcy lat przyganiają. Jakże głęboką budziłby zadumę widok schyłku i upadku królestw, odmiany postaci ziemi, pysznych miast w liche miasteczka przekształconych albo

pogrzebanych smutnie w swych rozwalinach, wiosek nikczemnych zamienionych w siedziby monarchów i ich dworów, sławnych rzek obróconych w małe strumyki, oceanów obmywających inne brzegi, nowo odkrytych krajów wychodzących na świat nowy z ciemności, barbarzyństwa i prostactwa istniejącego w narodach najoświecieńszych i najobyczajniejszych, oświecenia przenikającego do narodów barbarzyńskich. Mógłbym się doczekać odkrycia perpetuum mobile, leku uniwersalnego i innych ważnych wynalazków największej doskonałości. Ileż nadzwyczajnych odkryć można by zrobić w astronomii, mając możliwość doczekania i sprawdzenia przepowiadanych przez nas zdarzeń, oglądania ruchu i powrotów komet i wszelkich odmian w poruszeniach słońca, księżyca i gwiazd.

Jeszcze długo mówiłem o innych różnych przedmiotach, które mi nasunęła chęć wiecznego życia i szczęścia bez końca na ziemi. Gdy skończyłem, ten, co mnie rozumiał, obróciwszy się do kompanii przełożył im moją mowę w krótkości w ich języku. Potem zaczęli wszyscy przez niejaki czas ze sobą rozmawiać, śmiejąc się trochę z tego, co ode mnie słyszeli. Nareszcie tegoż samego, który był moim tłumaczem, prosiła kompania, by mi otworzył oczy i odkrył moje błędy, w które popadłem przez zwykłą głupotę ludzką, co je nieco mniejszymi czyni.

Rzekł mi naprzód, że Nieśmiertelni tylko w ich kraju się rodzą, iż nie tylko ja sam z podziwieniem i zazdrością patrzę na stan Struldbuggów, gdyż takie prawie zdanie zdarzało mu się znajdować u Balnibarbów i Japończyków, że chęć życia jest przyrodzona człowiekowi, że ten, co nogą jedną stoi w grobie, usiłuje mocno trzymać się na drugiej, że aż do ziemi schyłony starzec wystawia sobie w myśli dzień jutrzejszy i czas przyszły, a na śmierć patrzy jak na zło dalekie, od którego uciec można. Lecz na wyspie Luggnaggu inaczej myślą, bo przykład i ustawiczny widok Struldbuggów zachowuje jej mieszkańców od nierozsądnej miłości życia.

– Układ życia – mówił dalej – którego byś się trzymał będąc nieśmiertelnym i któryś nam dopiero przedstawił, jest śmieszny i wcale rozumowi przeciwny. Rozumiałeś, że w takowym stanie cieszyłbyś się zawsze młodością, mocą i zdrowiem bez żadnego pomieszania, czego największy szaleńiec spodziewać się nie może. Ale nie pytaliśmy ciebie, co byś czynił, gdybyś miał żyć zawsze młody, zdrowy i bogaty, tylko jak byś przeżył wieczność, osaczony przez zwykłe troski starczego wieku.

Mówił, że choć mało kto pragnąłby nieśmiertelności tak gorzko okupionej, przecież zaobserwował u Balnibarbów i Japończyków, o których już wspominał, że nawet zgrzybiali starcy chcą odłożyć śmierć na później, a rzadko zdarzyło mu się słyszeć o człowieku chętnie umierającym, chyba że nadmiarem bóleści i cierpień był przybity. Pytał, czy w moich podróżach i własnym kraju nie poczyniłem podobnych spostrzeżeń.

Potem odmalował mi obraz Struldbuggów i rzekł, że podobni są do śmiertelnych i żyją jak oni do lat trzydziestu, że potem wpadają stopniowo w coraz większy smutek, aż póki nie dożyją lat osiemdziesięciu; wiedział to od nich samych, bo trudno ich obserwować, kiedy zaledwie dwoje lub troje na stulecie się rodzi. Dożywszy lat osiemdziesięciu, co jest granicą życia ludzkiego w tym kraju, nie tylko są podlegli wstrętnym chorobom, nędzy i słabościom starości, ale nadto tak ich dręczy trapiące wyobrażenie trwałości wiecznej, nędznej zgrzybłości, że się niczym ucieszyć nie mogą. Nie tylko są, jak wszyscy inni starcy, uparci, nieużyteczni, łakomi, wielomówni, próżni, gniewliwi, ale też kochają tylko siebie; wyrzekają się słodczy przyjaźni, a nawet do dzieci swoich żadnego nie mają przywiązania, a po trzecim pokoleniu nie poznają nawet swojego potomstwa; bezsilne pragnienie i zawiść zżera ich bez ustanku, a na widok rozkoszy zmysłowych, miłostek, rozrywek, których używa młodzież śmiertelna, niejako co moment konają, śmierć czyjaś, nawet starców, składających hołd naturze, wznieca w nich zazdrość i w rozpacz pogrąża. Z tej przyczyny, ile razy się im zdarzy patrzeć na pogrzeb, zawsze przeklinają swój los i gorzko się żalą na przyrodzenie, które im odmówiło słodczy umierania, zakończenia nudnego życia i wniknięcia w odpoczynek wieczny. Nie mogą już nadal doskonalić swego rozumu i wzbogacać pamięci i to tylko pamiętają, co widzieli i czego

się nauczyli w młodości i w latach średnich, a i to nawet bardzo niedokładnie. Co się tyczy prawdziwości lub szczegółów jakiego zdarzenia, lepiej zawsze polegać na tradycji niż na ich wspomnieniach. Najmniej nędzni i nieszczęśliwi są spośród nich ci, którzy zupełnie stracili pamięć i powrócili do stanu dzieciństwa; przynajmniej wtedy więcej nad ich opłakanym losem ma się politowania i daje się im pomoc, ponieważ nie mają ułomności właściwych innym.

Gdy się który Struldbugg ożeni z którą Struldbuggą, małżeństwo podług praw narodowych ustaje, jak tylko młodsze z nich dożyje lat osiemdziesięciu. Sprawiedliwą jest rzeczą, żeby ci nieszczęśliwi ludzie, na wieczne życie bez swej winy skazani, uwolnieni zostali od straszego ciężaru i nieszczęścia wiecznie żyjącej żony. A co smutniejsze, że gdy do tego opłakanego przyjdą wieki, mają ich za cywilnie umarłych. Dziedzice zabierają ich majątek, a oni, ze wszystkiego ogołoceni, na samym prostym wyżywieniu zostają. Ubogich utrzymuje się kosztem publicznym. Nieśmiertelny osiemdziesięcioletni nie może dłużej posiadać żadnej godności ani żadnego urzędu, nie może handlować ani w kontrakty wchodzić, ani kupować, ani sprzedawać, nawet świadectwa jego w sądzie nie przyjmują.

Lecz gdy przychodzą do lat dziewięćdziesięciu, natenczas jeszcze gorzej dla nich. Wszystkie im wypadają zęby, wszystkie włosy spadają, tracą smak pokarmów, jedzą i piją bez żadnej przyjemności. Choroby, co ich żarły, dalej ich trapią, nie zwiększając się ani zmniejszając. Wszystkiego zapominają, nawet nazwiska swych przyjaciół, a czasem i swego własnego; z tej przyczyny na nic się im nie przyda czytanie, bo jeżeli chcą czytać słów cztery, nim przeczytają dwa ostatnie, zapominają dwóch pierwszych. Dla tej przyczyny pozbawieni są jedynej zabawy, której by się oddawać mogli. Nadto, ponieważ język tego kraju częstym podlega odmianom, Struldbuggowie urodzeni w jednym wieku mają wielką trudność rozumienia języka ludzi urodzonych w wieku drugim, i tak zawsze są jakby cudzoziemcami w swej ojczyźnie.

Takie było objaśnianie stanu nieszczęśliwych Nieśmiertelnych kraju tego, które niewypowiedzianie mnie zadziwiło. Pokazano mi potem pięciu czy sześciu z różnych wieków, z których najmłodszy nie miał mniej jak dwieście lat, i lubo im powiedziano, że jestem wielkim podróżnym, który cały świat widział, nie okazali najmniejszej ciekawości zadaniem mi jakiego pytania. Prosił mnie, abym im dał *slumskudask*, czyli podarunek na pamiątkę. Jest to skromny sposób zebrania, które jest im surowo zabronione przez krajowe prawa, gdyż są kosztem kraju żywieni, choć przyznać trzeba, że bardzo skromnie.

Są oni wzgardzeni i nienawidzeni przez wszelkie klasy ludu; urodzenie się Struldbugga uważane jest za nieszczęśliwą wróżbę. Można się dowiedzieć ich wieku z rejestrów, w których urodzenie każdego jest zanotowane, lecz te nie sięgają nawet tysiąca lat, bo, jak mówią, przez niepokoje w kraju zostały zniweczone. Najlepszym i najpospolitszym sposobem dochodzenia ich wieku jest proste pytanie, jakich monarchów lub znaczne osoby przypomnieć sobie mogą, i jeżeli je wymienia, natenczas z historii dochodzi się, kiedy żyli. Ten sposób jest niezawodny, bo król, którego sobie przypominają, panował, nim doszli do osiemdziesiątego roku życia.

Straszny widok przedstawiali Struldbuggowie mężczyźni, lecz kobiety jeszcze okropniej wyglądały. Oprócz zwyczajnych oszpeceń starości twarz ich miała błądź śmiertelną, której opisać nie jestem w stanie; spośród sześciu lub siedmiu poznałem natychmiast najstarsze, lubo różnica w ich wieku wynosiła najwięcej lat dwieście.

Czytelnik łatwo mi uwierzy, że natenczas zupełnie straciłem chęć zostania takim Nieśmiertelnym. Wstydziłem się mocno wszystkich moich głupich myśli o wiecznym na tym świecie życiu i osądziłem, że największy tyran nie może tak okropnej śmierci wymyślić, której bym nie przeniósł nad stan Struldbuggów.

Kiedy Król dowiedział się o rozmowie, którą miałem z moimi przyjaciółmi, bardzo się śmiał z mych myśli o nieśmiertelności. Spytał mnie potem poważnie, czy dla uleczenia mych

ziomków od chęci wiecznego życia i bojaźni śmierci nie chciałbym ze dwóch lub trzech wyprowadzić do kraju mego. W rzeczy samej byłbym arcykontent, gdyby mi był uczynił ten prezent, ale kardynalnym królestwa prawem tego zabraniano Nieśmiertelnym stamtąd wychodzić. Inaczej byłbym gotów przyjąć na siebie pracę i koszty transportu. Prawa krajowe względem Struldbuggów zdają mi się równie roztropne jak koniecznie potrzebne i każdy inny kraj w podobnych okolicznościach byłby zmuszony tak postępować. Ponieważ łakomstwo jest zwyczajnym towarzyszem starości, więc Nieśmiertelni staliby się z czasem właścicielami własnego narodu, a może i władzy krajowej, a że dla braku zdolności nie mogliby jej należycie sprawować, przeto stan ten niezawodnie pociągnąłby za sobą upadek całego kraju.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gulliwer opuszcza wyspę Luggnaggu i udaje się do Japonii, gdzie wsiada na statek holenderski. Przybywa do Amsterdamu, stamtąd powraca do Anglii.

Zdaje mi się, że to, co piszę o Struldbuggach, nie znudzi czytelnika. Nie są to, zdaniem moim, rzeczy pospolite, wytarte i oklepane, jakich pełno we wszystkich opisach podróży; przynajmniej mogę upewnić, że w żadnych, które mi się czytać zdarzyło, nic podobnego nie znalazłem. Wszelako, jeśli to są rzeczy powtórzone i już znane, proszę uważać, iż podróżujący, nie przepisując jedni od drugich, mogą bardzo dobrze toż samo opowiadać, gdy w jednych byli krajach.

Ponieważ między królestwem Luggnaggu i cesarstwem Japonii wielki odprawia się handel, wnosić stąd trzeba, że autorowie japońscy nie zapomnieli w księgach swoich uczynić wzmianki o Struldbuggach, ale żem w Japonii bardzo krótko bawił, a do tego nie rozumiałem tamtejszego języka, nie mogę wiedzieć, co w tej mierze w innych książkach pisano. Może nas kiedy o tym objaśni który Holandczyk.

Król Luggnaggu po niemałych usiłowaniach namówienia mnie, ażebym został w jego państwie, widząc stałość mego przedsięwzięcia, pozwolił na koniec na mój odjazd i przez dobroć swoją zaszczyił mnie listem, własną ręką pisanym, wstawiając się za mną do Cesarza japońskiego. Darował mi także czterysta czterdzieści cztery sztuki złota (naród ten ma wielkie upodobanie w parzystych liczbach) i czerwony diament, który za tysiąc sto funtów szterlingów sprzedałem w Anglii.

Dnia szóstego maja roku 1709 pożegnałem uroczyście Króla Jegomości i przyjaciół, których miałem na dworze. Ten monarcha rozkazał, aby mnie pułk jego gwardii odprowadził aż do portu Glanguenstald, leżącego na południowo-zachodniej stronie wyspy. Po sześciu dniach znalazłem statek gotowy zawieźć mnie do Japonii. Wszedłem na ten statek i po piętnastu dniach żeglugi zawinęliśmy do jednego małego portu, nazwanego Xamoschi, na wschodnio-południowym wybrzeżu Japonii. Samo miasto znajduje się na zachodnim krańcu, gdzie wąska cieśnina prowadzi od północy do zatoki, po której północno-zachodniej stronie wzniesione jest miasto stołeczne Yedo. Okazałem natychmiast urzędnikom celnym list od Króla Luggnaggu do Cesarza Jegomości japońskiego. Poznali zaraz pieczęć królewską, wielkości mojej dłoni, wyobrażającą Króla, który podnosi kulawego i iść mu pomaga. Magistrat miasta widząc, że miałem ten list prześwietny, przyjmował mnie jak ministra i zaraz opatrzył powozem, abym jechał do Yedo, stolicy cesarstwa. Tam miałem honor mieć audiencję u Cesarza Jegomości i oddać mu list, który otworzono publicznie z wielkimi uroczystościami. Zaraz go sobie tłumaczowi swemu Cesarz kazał przełożyć. Natenczas Jego Cesarska Mość kazał mi przez tegoż tłumacza powiedzieć, iż jeżeli jakiej łaski od niego potrzebuję, przez szacunek dla najukochańszego brata swego. Króla Luggnaggu, natychmiast mi ją uczyni.

Tłumacz, który pospolicie używany był w interesach handlowych z Holendrami, łatwo z mojej miny poznał, że jestem Europejczyk, i z tej przyczyny wytłumaczył mi słowa cesarskie językiem holenderskim. Odpowiedziałem, że jestem holenderskim kupcem i na dalekim morzu uległem rozbiciu, że potem odprawiłem wiele dróg morzem i lądem, nim dostałem się do Luggnaggu, a stamtąd do Japonii, a wiedząc, że Holendrzy prowadzą z Japonią handel, spodziewałem się znaleźć sposobność powrócenia do Europy. Prosiłem Jego Cesarską Mość, aby mnie z bezpieczeństwem kazał zaprowadzić do Nagasaki. Ośmieliłem się prosić go jeszcze o inną łaskę, aby przez wzgląd na protekcję Króla Luggnaggu chciano mnie uwolnić od obrządku, który ziomkowie moi zachowywać zwykli, i nie przymuszać mnie do deptania nogami krucyfiksu, gdyż przybyłem do Japonii nie dla handlu, ale tylko aby powrócić stąd do Europy.

Gdy tłumacz przełożył Cesarzowi japońskiemu tę ostatnią prośbę, zadziwił się niepomiernie i rzekł, że pierwszego człowieka widzi z kraju innego, któremu taki skrupuł do głowy przyszedł, że przeto wątpić musi, czy jestem Holandczykiem, jakem go upewnił, i wnosi, że jestem chrześcijanin. Z tym wszystkim uznając przytoczoną przeze mnie przyczynę za ważną, a nade wszystko mając uwagę na list Króla Luggnaggu, skłania się dobrotliwie do politowania nad moją osobliwszą ułomnością, bylebym tylko użył środków dla zachowania ostrożności. Powiedział mi, że przykaze urzędnikom pilnującym zachowania tego zwyczaju, aby mnie przepuścili mimo krucyfiksu jak gdyby przez zapomnienie. Przydał, że w moim własnym interesie było mieć to w sekrecie, ponieważ Holandczycy, moi współziomkowie, dowiedziawszy się o otrzymanej dyspensie, niechybnie by mnie w drodze zamordowali, poczytując sobie za krzywdę, że miałem skrupuł, by ich naśladować.

Uczyliłem jak najpokorniejsze podziękowanie Jego Cesarskiej Mości za tę szczególniejszą łaskę, a że właśnie wojska maszerowały wtenczas do Nagasaki, komendant odebrał rozkaz, aby mnie do tego miasta zaprowadził z sekretną instrukcją, co się do krucyfiksu odnosiła.

Dnia dziewiątego czerwca roku 1709 po długiej i przykrej podróży stanąłem w Nagasaki i napotkałem jedną kompanię Holandczyków, którzy przyjechawszy z Amsterdamu z towarami gotowali się do powrotu na „Amboynie”, mocnej budowy statku, o ładunku czterystu pięćdziesięciu beczek. Bawiąc długo w Holandii, gdym chodził do szkół w Lejdzie, umiałem bardzo dobrze język tego kraju. Pytano się mnie o moje podróże, na co odpowiedziałem, jak mi się podobało, i wśród nich uszedłem za Holandczyka. Udałem, jakoby miał przyjaciół i krewnych w Prowincjach Zjednoczonych i był rodem z Guelderlandu.

Gotów byłem dać komendantowi statku, którym był niejaki pan Teodor Van Gult, wszystko, co by tylko chciał, za mój przewóz, ale on, dowiedziawszy się, że byłem chirurgiem, poprzestał na połowie opłaty zwyczajnej pod warunkiem, że będę sprawował urząd chirurga na jego statku. Nimeśmy odplynęli, jeden z towarzystwa często się mnie pytał, czy już odbyłem ceremonię deptania krucyfiksu, na co mu odpowiadałem w wyrazach ogólnych, że uczyniłem wszystko, co należało. Tymczasem jednemu z nich, zapamiętałem hultajowi, przyszło do głowy pokazać mnie urzędnikowi i powiedzieć: „On nie deptał nogami krucyfiksu”.

Urzędnik, mający potajemny rozkaz nieczynienia mi trudności, odpowiedział na to dwudziestu razami łaski wyliczonymi na jego grzbiecie, tak że potem nikogo nie brała ochota pytania się mnie o tę ceremonię.

Nic się nam nie przytrafiło w podróży godnego opisanie. Płynęliśmy z pomyślnym wiatrem aż do Przylądka Dobrej Nadziei, gdzieśmy się zatrzymali dla nabrania wody.

Dnia dziesiątego kwietnia 1710 roku przybyliśmy szczęśliwie do Amsterdamu, straciwszy w drodze trzech ludzi przez choroby, a jednego, który spadł z wielkiego masztu. Z Amsterdamu odplynałem wkrótce do Anglii na małym statku należącym do tego miasta. Szesnastego kwietnia rzuciliśmy kotwicę przy Dunach. Nazajutrz wysiadłem na ląd. Co za radość była odwiedzić kochaną ojczyznę po półszosta roku mojej w niej nieobecności! Poszedłem prosto do Redriff, gdzie tegoż samego dnia o godzinie drugiej po południu przybyłem i zastałem moją żonę i całą rodzinę w dobrym zdrowiu.

CZEŚĆ CZWARTA

Podróż do Houyhnhnmów

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gulliwer wyrusza jako kapitan statku. Jego ludzie buntują się, wiążą go i na nieznanym brzeg wysadzają. Udaje się w głąb kraju. Opisanie Jahusów, osobliwszych zwierząt. Spotyka dwóch Houyhnhnmów.

Przepędziłem pięć miesięcy z żoną i dziećmi i rzekłbym, że przez ten czas byłem szczęśliwy, gdybym tę szczęśliwość moją umiał być poznać. Ale miałem pokusę puścić się jeszcze na morze, zwłaszcza gdy mi ofiarowano pochlebny tytuł kapitana na statku kupieckim „Przygoda”, o ładunku trzystu pięćdziesięciu beczek. Rozumiałem się dobrze na żegludze, a do tego już mi się przykrzyło być na urzędzie chirurga i zawsze komuś podlegać. Wziąłem przeto młodego człowieka, bardzo biegłego w tej profesji, nazwiskiem Robert Purefoy; pożegnałem biedną żonę moją, która była w ciąży, i wsiadłszy na statek w Portsmouth wyszedłem pod żagle dnia siódmego września roku 1710, a czternastego tegoż miesiąca spotkałem się przy wyspie Teneryfie z kapitanem Pocockiem z Bristolu, udającym się do Hondurasu dla ścinania drzewa masztowego. Dnia szesnastego wielka burza nas rozłączyła i później dowiedziałem się, że jego statek rozbił się i że wszyscy majtkowie i podróżni na statku potonęli, wyjąwszy jednego kuchcika. Kapitan ten był człowiekiem bardzo godnym i biegłym w swojej sztuce, ale zanadto uporczywym w raz powziętych mniemaniach, i to, zdaje mi się, było powodem jego nieszczęścia i zguby dla tylu ludzi. Gdyby był poszedł za moją radą, siedziałby teraz spokojnie i bezpiecznie jak ja przy swojej rodzinie.

Gorączka tropikalna zabrała mi przez drogę część moich majtków, do tego stopnia, że musiałem rekrutować innych w Barbados i na Wyspach Leewardskich, do których właściciele statku zlecili mi zawinąć. Ale wkrótce musiałem żałować tego przekłętego rekrutowania, większa bowiem część nowych majtków to byli korsarze. Miałem pięćdziesięciu ludzi pod moimi rozkazami i zlecenie, abym prowadził handel z Indianami Morza Południowego i robił jak najwięcej nowych odkryć. Ci hultaje zbuntowali resztę moich żeglarzy i zmówili się na opanowanie mojej osoby i statku. Jednego poranku weszli do mej kajuty, rzucili się na mnie, związali i zagrozili wrzuceniem w morze, jeśli bym się im opierał. Odpowiedziałem, iż los mój jest w ich ręku i że zawczasu na wszystko zezwalam, cokolwiek by ze mną uczynić chcieli. Przymusili, żem to im przysięgą potwierdził, a potem rozwiązali, przestając na przykuciu mnie łańcuchem jedną nogą do koi i na postawieniu warty u drzwi z zaleceniem, żeby mnie natychmiast zabić, skoro tylko pokusiłbym się o próbę odzyskania wolności. Zamierzali moim statkiem rozbijać się po morzu i uganiać za Hiszpanami, ale do tego nie mieli dosyć ludzi. Postanowili więc natychmiast sprzedać cały fracht i udać się do Madagaskaru dla po-

większenia załogi, bo wielu z nich zmarło po moim uwięzieniu. Przysyłali mi żywność i napoje do mego więzienia, a sami objęli dowództwo statku. Przez kilka tygodni żeglowali i prowadzili handel z Indianami, ale nie wiedziałem, jaki obrali kierunek, bo jako więzień zamknięty byłem w kajucie, w ciągłej zostając obawie, żeby mnie nie zamordowali, jak to nie raz grozili.

Dnia dziewiątego maja 1711 roku niejaki Jakub Welch wszedł do mnie i rzekł, iż ma rozkaz od jegomości pana kapitana wysadzić mnie na ląd. Chciałem się z nim rozmówić, ale darmo, nie chciał mi nawet powiedzieć nazwiska tego, którego on nazywał „imć panem kapitanem”. Kazali mi spuścić się do szalupy, pozwolili wdziać najlepszy i niedawno sprawiony ubiór, wziąć trochę bielizny, ale żadnej innej broni prócz kordelasa. Byli nawet tak grzeczni, że nie plądrowali moich kieszeni, w których miałem pieniądze i trochę drobiazgów. Ujechawszy szalupą prawie milę, wysadzili mnie na ląd. Spytałem tych, co mnie do lądu odprowadzili, w jakim kraju jestem. Wszyscy mnie zapewnili, że sami tego nie wiedzą i że kapitan (tak go nazywali) postanowił był, jak tylko sprzedaż ładunku uskuteczniła została, wysadzić mnie jak najprędzej za pierwszym ukazaniem się lądu. Życzliwie odpowiedzieli mi: „Strzeż się, żeby cię przypływ nie wciągnął, bądź zdrow” i natychmiast łódź się oddaliła.

Porzuciwszy piaski wstąpiłem na jeden wzgórek i usiadłem dla namyslenia się, co bym dalej miał uczynić. Nieco odpocząwszy puściłem się w głąb kraju, gotów poddać się najpierwszemu dzikiemu człowiekowi, którego bym napotkał, i okupić życie moje, jeśli by było można, jakimi szklanymi paciorkami, bransoletkami lub innymi fraszkami, w które podróżujący nigdy nie zaniedbują zaopatrywać się i których miałem kilka w kieszeniach.

Postrzegłem wielkie drzewa, dziko rosnące, obszerne pastwiska i pola, na których wszędy był owies. Szedłem z ostrożnością, żeby mnie nie schwytano albo strzałą nie zabito. Dostałem się nareszcie na wielki gościniec, gdzie postrzegłem wiele śladów ludzkich, nieco krowich, a najwięcej końskich. Ujrzałem także wiele zwierząt na jednym polu i jedno czy dwoje tegoż rodzaju siedzące na drzewach. Bardzo mnie zdziwiła ich postać niekształtna i gdy niektóre zbliżyły się do mnie, schowałem się za krzak, aby się im lepiej przypatrzeć.

Długie włosy wisiały im na twarzy i piersi, grzbiet i przednie łapy okryte były gęstą sierścią, brodę miały jak kozły, ale resztę ciała gołą, tak że mogłem postrzec ich skórę ciemnobrunatną. Były bez ogonów, nie miały żadnych włosów na tyłkach poza odbytnicą; myślę, że sama przyroda je tam umieściła, aby je chronić przy siadaniu na ziemi. Czasem na trawie siedziały, czasem leżały, a czasem na dwóch łapach stały, inne skakały i po drzewach łąziły, szybko jak wiewiórki, mając pazury u łap przednich i tylnych. Samice były nieco mniejsze niż samce, włosy miały bardzo długie i proste, a na ciele puch tylko, poza sromem i odbytnicą. Cyce ich wisiały między łapami przednimi i niekiedy aż do ziemi dotykały, kiedy szły na czterech łapach. Skóra jednych i drugich była różnych kolorów, brunatna, czerwona, czarna i żółta. We wszystkich moich podróżach nie widziałem zwierzęcia tak brzydkiego i nieprzyjemnego lub do którego tak naturalną czułbym niechęć.

Przypatrzwszy się im dostatecznie, pełen pogardy i obrzydzenia, szedłem gościńcem, spodziewając się, że mnie zaprowadzi do chaty jakiego Indianina. Nieco uszedłszy spotkałem jedno z tych zwierząt, idące prosto na mnie. Obrzydliwe monstrum zobaczywszy mnie zatrzymało się, czyniąc tysiąc grymasów, i pokazało, że ma mnie za nieznanego sobie stworzenie, potem zbliżywszy się podniosło na mnie przednią łapę swoją. Dobyłem kordelasa i uderzyłem je płazem, nie chcąc ranić, żebym nie uraził tych, do których te zwierzęta mogły należeć. Zwierzę poczuwszy boleść zaczęło uciekać i tak mocno krzyczeć, że się ich zbiegło do mnie że czterdzieścioro, czyniąc okropne grymasy. Skoczyłem do jednego drzewa i oparłszy się o nie grzbietem, trzymałem kordelas przed sobą. Niektóre z tych przeklętych zwierząt uchwyciły za gałęzie, skoczyły na drzewo i zaczynały wypróżniać się na moją głowę. Chroniłem się, ile mogłem, przyciskając się mocno do drzewa, lecz ledwo nie zostałem zaduszony smrodem plugastwa, które na mnie ze wszystkich stron padało.

W tym okropnym położeniu spostrzegłem, że nagle wszystkie uciekać zaczęły. Natenczas opuściwszy drzewo szedłem dalej gościńcem, nie mogąc się nadziwić, że nagły strach tak je do ucieczki pobudził. Ale spojrzawszy w prawo ujrzałem konia, poważnie przechadzającego się na polu. Na jego widok kupa tych zwierząt nacierać na mnie przestała i w rozsypkę poszła. Koń zbliżył się do mnie, zatrzymał, cofnął się, a potem, przypatrując mi się pilnie, pokazywał po sobie podziwienie. Obejrzał mnie ze wszystkich stron, obszedłszy mnie naokoło razy kilka. Chciałem postąpić dalej, lecz on zastąpił mi drogę, poglądając łagodnie i żadnej mi nie czyniąc gwałtowności. Staliśmy tak przez dobrą chwilę, oglądając się wzajemnie, potem ośmieliłem się położyć mu rękę na karku, głaszcząc go, świszcząc i gadając jak masztalerz, gdy chce uspokoić konia. Lecz pyszne zwierzę pogardziło moją ludzkością i grzecznością, zmarszczywszy czoło podniosło hardo jedną przednią nogę, jakby żądając, bym cofnął rękę nadto poufałą. W tymże czasie zarżało trzy czy cztery razy, ale głosem tak rozmaitym, że mi się zdawało, iż mówi jakimś sobie właściwym językiem i że w tym jego różnym rzeniu zawiera się jakieś znaczenie.

Gdy się to działo, przybył jakiś drugi koń i uklonił się bardzo grzecznie pierwszemu. Witały się uderzając łagodnie prawymi kopytami i zaczęły rzeć rozlicznymi sposobami, jakby jakieś wymawiając słowa. Uczyniły potem kroków kilka, jakby chcąc się ze sobą naradzić. Przechadzały się poważnie jeden obok drugiego, udając osoby, które wielkiej wagi interes roztrząsają, ale zawsze mnie trzymały na oku, jakby pilnując, żebym im nie uciekł.

Zadziwiony, że tak do siebie odnoszą się zwierzęta, pomyślałem sobie, iż jeżeli w tym kraju bestie mają tyle rozumu, mieszkańcy muszą być najmądrzszymi na ziemi. Ta myśl tyle mi dodała serca, iż postanowiłem iść dalej, aż póki nie znajdę jakiej wioski albo domu i nie napotkam jakiegoś mieszkańca, a te dwa konie zostawić, żeby sobie rozmawiały, póki by się im podobało. Lecz pierwszy koń, siwo-jabłkowity, widząc, że odchodzę, zaczął za mną rzeć sposobem tak znaczącym, iż mi się zdało, jakbym zrozumiał, czego on chciał, wróciłem więc i zbliżyłem się do niego, ukrywając ile możliwości moje pomieszenie, gdyż nie wiedziałem, co z tego wszystkiego wyniknie, jak łatwo może wnosić czytelnik.

Dwa konie dostąpiły do mnie i z bliska zaczęły oglądać twarz moją i ręce. Siwy rumak zaczął pocierać mój kapelusz przednim kopytem i tak go potar mosił, że musiałem go zdjąć z głowy i wygładzić, po czym znowu włożyłem. Zdumiało to bardzo oba konie. Drugi, który był cisawy, zaczął pocierać poły mej sukni: widząc, że odstają od mego ciała, oba konie wielkie okazały zdziwienie. Siwo-jabłkowity zaczął głaskać rękę moją prawą, pokazując się być kontent z miękkości i koloru mej skóry, ale ją tak ścisnął między kopytem i pięcą, że nie mogłem się wstrzymać od krzyku. Wielką im czyniły niespokojność moje trzewiki i pończochy, dotykały ich i macały po wiele razy, i z tej okoliczności rżały, i czyniły ruchy podobne ruchom filozofa, kiedy jakiego fenomenu chce dociec.

Całe postępowanie ze mną tych dwóch koni tak mi się zdało rozumne i uporządkowane, tak dowcipne i rozsądne, żem mniemał, iż to być musieli czarownicy, którzy przemienili się w konie dla jakiegoś zamysłu i napotkawszy cudzoziemca na drodze chcieli sobie z niego uczynić nieco rozrywki, albo też może zadziwiała ich moja osoba, odzienie i ułożenie. Ta myśl dodała mi odwagi, że do nich przemówiłem w te słowa:

– Mości panowie, jeżeli jesteście czarownikami, jak mam przyczynę mniemać, rozumiecie wszystkie języki, przeto mam honor powiedzieć wam językiem moim, że jestem biednym i nieszczęśliwym Anglikiem, który przy tych brzegach uległ rozbiciu. Proszę przeto, abym na którego z was mógł sięś, jak gdyby był prawdziwym koniem, i poszukać sobie jakiej wioski lub chaty, gdzie bym znalazł przytulenie, a w zamian za tę grzeczność ofiaruję wam ten nożyk i tę bransoletkę. – Obie te rzeczy wyjąłem z kieszeni.

Dwa konie zdały się pilnie słuchać mowy mojej, a gdy mówić przestałem, zaczęły rzeć kolejno, obróciwszy się jeden do drugiego. Pojąłem natenczas wyraźnie, że ich rzenie było

znaczące i zawierało w sobie słowa, z których może ułożyć można było abecadło daleko łatwiejsze i prostsze od chińskiego.

Słyszałem, że często powtarzały słowo „Jahu”, którego głos rozeznałem, ale znaczenia nie rozumiałem, chociaż gdy te dwa konie ze sobą rozmawiały, po kilka razy usiłowałem dociec, co by ich mowa znaczyła. Gdy mówić przestały, zacząłem z całej mocy wołać: Jahu, Jahu, usiłując ich naśladować. To ich niewypowiedzianie zadziwiło i naówczas siwo-jabłkowity powtórzył dwa razy toż samo słowo, zdając się niby chcieć mnie nauczyć, jak je wymawiać należy. Powtarzałem po nim, jakem mógł najlepiej, a on mi dawał poznać, że choć daleki jeszcze byłem od doskonałości, wszelako już lepiej wymawiałem to słowo niż pierwej. Cisa-wy, zdawało mi się, chciał mnie nauczyć wymawiania słowa znacznie trudniejszego, które literami angielskimi można tak napisać: Houyhnhnm. Nie potrafiłem z początku wymówić tego słowa, ale po kilku powtórzeniach wprawiłem się i te dwa konie uznały mnie za stworzenie pojętne.

Zabawiwszy jeszcze nieco ze sobą, zapewne z okazji mojej, pożegnały się z taką samą obyczajnością, z jaką się witały, wdzięcznym dotykaniem prawych kopyt. Siwo-jabłkowity dał mi znak, żebym szedł przed nim. Osądziłem za rzecz potrzebną być mu posłuszny, aż póki nie znajdę innego przewodnika. Że zaś szedłem zbyt wolno, zaczął rzeć: hhuun, hhuun! Zrozumiałem jego myśl i jak mogłem, dałem mu poznać, żem bardzo strudzony i przykro mi iść prędko, na co on dobrotliwie zatrzymał się, dając mi wypocząć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Houyhnhnm prowadzi Gulliwer'a do swego domu. Jak tam był przyjęty. Co za pokarm mieli ci Houyhnhnmowie. Trudność, którą miał Gulliwer z obraniem sobie pokarmu.

Uszedłszy blisko mil trzech przyszedłem na miejsce, gdzie był dom jeden drewniany, bardzo niski, pokryty słomą. Zacząłem zaraz dobywać z kieszeni małe podarunki, które podróżnicy ofiarują dzikim, żeby ich uczciwie przyjęli. Koń przez grzeczność chciał, żebym ja pierwszy wszedł do wielkiej, bardzo ochłodzonej sali, gdzie za wszystkie sprzęty był tylko żłób i drabina. Zobaczyłem tam trzy koniki i dwie klacze, które nie jadły, ale siedziały na zadach, co mnie bardzo zadziwiło. Jeszcze bardziej zdumiałem się, widząc, że niektóre zajęte były gospodarstwem. Ten widok wzmocnił mnie w mniemaniu, że naród, który potrafił ucywilizować tak bezrozumne zwierzęta, musi być najmądrzy na ziemi. Wtem przybył siwo-jabłkowity i wchodząc zapobiegł złemu traktowaniu, które mogło mnie spotkać: zaczął rzeć jak ktoś, kto ma władzę, na co inne konie odpowiadały rzeniem. Przeszedłem z nim przez długie dwie sale bez progów i w ostatniej dał mi znak, żebym się zatrzymał, a sam poszedł do izby przyległej. Przygotowałem podarunki dla pana i pani domu; były to dwa noże, trzy bransoletki z fałszywych pereł, małe zwierciadelko i naszyjnik ze szklanych paciorków. Koń rżał dwa lub trzy razy i spodziewałem się, że usłyszę głos ludzki, lecz odpowiedź nastąpiła w tym samym dialekcie, tylko dwukrotnie ostrzejsza niż pierwsze rzenie. Przyszło mi wtenczas na myśli, że pan tego domu musi być jakąś osobą znaczną, ponieważ tak ceremonialnie kazano mi zatrzymać się w przedpokoju, ale nie mogłem pojąć, żeby człowiek znakomity miał konie za swoich pokojowych. Lękałem się wtedy, czy nie oszalałem i czyli nieszczęścia moje nie pomieszały mi z gruntu rozumu. Oglądałem się pilnie na wszystkie strony i patrzyłem po sali, która była urządzona jak pierwsza, tylko trochę ładniej. Wytrzeszczałem oczy, przypatrywałem się jak najuważniej wszystkiemu, co mnie otaczało, i zawsze widziałem toż samo. Szczy-pałem się za ramiona, gryzłem wargi, biłem się po bokach, żeby się obudzić, myśląc, że śnię, ale że zawsze też same przedmioty stały mi w oczach, wniosłem, iż to musiały być jakieś diabelne czary.

Gdy się takimi bawiłem uwagami, siwo-jabłkowity powrócił do mnie i dał mi znak, żebym wszedł do izby, gdzie zobaczyłem na matach, bardzo przystojnych i delikatnych, piękną klacz z pięknym żrebkiem i ze żrebiczką, skromnie na swoich udach wsparte. Klacz na moje przybycie wstała i przypatrując się pilnie mej twarzy i ręką, odwróciła się ze wzgardą i zaczęła rzeć, powtarzając często słowo: Jahu, którego jeszcze nie rozumiałem, chociaż było to pierwsze, jakiegom się nauczył. Wkrótce zrozumiałem je ku mojemu stałemu utrapieniu.

Koń, który mnie wprowadził, dawszy znak głową i powtórzywszy razy kilka: hhuun, hhuun, zaprowadził mnie niby na folwark, gdzie był inny budynek, nieco od tego domu odległy. Pierwszą rzeczą, która mi wpadła w oczy, były te przekłete zwierzęta, które najpierwej zobaczyłem na polu i które opisałem wyżej. Było ich troje, wszystkie przywiązane za szyję grubymi powrozami do wbitych w ziemię słupów. Jadły korzenie, ścierwo ośle, psie i zdechłe krowy (jak potem dowiedziałem się), trzymając je w pazurach i zębami szarpiąc.

Koń–gospodarz rozkazał natenczas jednemu żmudziakowi lisowatemu, który był jego lokajem, ażeby odwiązał największe z tych zwierząt i wyprowadził na podwórze. Postawiono nas obok, żeby lepiej ze mną uczynić porównanie, i wtedy, po wiele razy powtórzono to słowo: Jahu, przez co domyśliłem się, że te zwierzęta nazywają się Jahu. Nie mogę wyrazić mego zdziwienia i obrzydliwości, gdy zobaczywszy to szkaradne zwierzę z bliska, postrzegłem w nim kształt osoby ludzkiej. Twarz miało płaską i szeroką, nos przytłuczony, wargi grube i usta bardzo wielkie, ale są to rysy zwyczajne wszystkim narodom dzikim, gdzie matki kładą swe dzieci twarzą ku ziemi i nosząc je na plecach tłuką im nosy swymi ramionami. Ten Jahu miał łapy przednie podobne do rąk moich, tyle tylko że uzbrojone wielkimi pazurami. Skóra na nich była brunatna, twarda, okryta włosami. Nogi jego także podobne były do nóg moich. Wszelako moje trzewiki i pończochy były przyczyną, że panowie konie znajdowali różnicę daleko większą. Co do reszty ciała też sama była proporcja prócz koloru tylko i włosów.

Ichmoście konie tego podobieństwa nie uznali, ponieważ ciało moje było okryte odzieniem, które brali za skórę i część mnie samego. Lokaj żmudziak, trzymając między pięciną i kopytem jakiś korzeń, dał mi go jeść. Wziąłem go i powąchawszy zaraz oddałem. Natychmiast poszedł szukać w żłobie Jahusów kawałka ścierwa oślego i dał mi go. Ta potrawa tak mi się zdała obrzydliwa, że nie chciałem się nawet jej dotknąć i dałem poznać, że mnie mierzi. Żmudziak rzucił ten kawałek ścierwa jednemu Jahu, który go natychmiast pożarł z wielkim smakiem. Widząc, że pokarmy Jahusów nie służą mi, przyszło mu na myśl dać mi potraw swoich, to jest siana i owsa, ale ja, potrząsając głową, dałem znać, że nie mogło to być pokarmem dla mnie. Już zacząłem się trwożyć, że z głodu niechybnie umrę, jeśli nie spotkam stworzenia mego własnego gatunku, bo co się tyczy tych obrzydliwych Jahusów, muszę wyznać, że wydawały mi się najobmierzlejszymi stworzeniami, jakim tylko widział, chociaż nikt wtedy nie kochał ludzkości więcej ode mnie. Im bliżej je poznawałem, tym bardziej brzydziłem się nimi; zauważył to mój pan koń i odesłał Jahusa do stajni. Natenczas podniósłszy nogę jedną przed swoje usta w sposób bardzo dziwny, a wszelako arcynaturalny, dawał mi do zrozumienia, iż nie wiedział, czym mnie karmić, i pragnie, żebym go nauczył, czym by mnie można żywić. Ale ja nie mogłem mu przez znaki wytłumaczyć moich myśli, a do tego nic nie widziałem, co by się do jedzenia zdało.

Wtem nadeszła krowa; pokazałem ją palcem i zacząłem jak najwyraźniejsze dawać znaki, iż chciałbym ją doić. Zrozumiano mnie i zaraz wprowadziwszy do domu, kazano jednej służącej, to jest jednej kłaczce, otworzyć izbę, gdzie znalazłem bardzo wiele garnków pełnych mleka, porządnie ustawionych i utrzymanych w największej czystości. Napilem się go do woli i posiliłem należycie. Około południa ujrzałem, że przyszedł powóz, który ciągnęły Jahusy. Na tym wozie przyjechał jeden stary koń, który zdawał się być jakaś znaczną osobą. Wysiadł tylnymi nogami, bo lewe przednie kopyto miał nieszczęściem zranione. Przyjechał on z wizytą do mych gospodarzy i miał z nimi jeść obiad. Przyjmowali go bardzo ludzko i z wielkimi względami. Jedli obiad razem w najpiękniejszej sali i prócz siana i słomy, które im dano z początku, mieli na drugie danie owies gotowany w mleku. Stary koń jadł tę potrawę ciepłą, drudzy zaś zimną. Żłoby ich były na środku sali ustawione w koło i podzielone na wiele przegródek, wokół których wszyscy usiedli na zadach, wspierając się na wiązkach słomy. Każda przegroda miała naprzeciw siebie swoją drabinę, tak że każdy koń i każda kłacz miały porcję swoją ze wszelką przyzwoitością i uczciwością; żrebiec i żrebiczka, dzieci gospodarzy, były także na tej uczcie, zachowując się bardzo skromnie, a ich ojciec i matka we-

soło zabawiali gościa. Siwo–jabłkowity wezwał mnie do siebie i zdawało mi się, że rozmawiał o mnie długo ze swoim przyjacielem, który coraz na mnie poglądał i często powtarzał słowo Jahu.

Nieco pierwej wdziałem na ręce rękawiczki. Gospodarz, siwo-jabłkowity, spostrzegłszy to, a nie widząc rąk moich takich jak pierwej, okazał wiele znaków podziwienia. Dotknął ich dwa czy trzy razy kopytem, dając mi do zrozumienia, iż chciałby, żeby ręce moje przybrały kształt pierwszy. Zdjąłem natychmiast rękawiczki, co dało okazję całej kompanii do długiej rozmowy o mnie i zjednało mi niejaką przychylność. Wkrótce skutki tego uczułem. Rozkazano, abym wymówił kilka, które umiałem, wyrazów, i nauczono nazw owsa, mleka, ognia, wody i innych rzeczy. Powtarzałem te wszystkie słowa, mając od młodości wielką łatwość w uczeniu się języków.

Po skończonym obiedzie koń–gospodarz wziął mnie na stronę i przez znaki z niektórymi związane słowami dał mi poznać, iż przykro mu widzieć, że nic nie jadłem i nic mi nie przypadło do smaku. Hlunnh – znaczy w ich języku owies. Wymówiłem to słowo razy kilka, bo choć z początku odrzuciłem owies, którym mnie częstowano, jednak, namyśliwszy się lepiej, osądziłem, iż mogę sobie z niego zrobić jaką potrawę, mieszając z mlekiem, i tak żyć, póki bym nie znalazł sposobności do ucieczki albo nie napotkał stworzenia mego rodzaju. Zaraz koń rozkazał jednej służącej, którą była śliczna biała klaczka, ażeby przyniosła dla mnie owsa na półmisku drewnianym. Ususzyłem ten owies, jak mogłem, potem go tarłem w rękę, aż póki z niego łuska nie zlazła, potem starałem się go wywiać, nareszcie kamieniem na kamieniu rozcierałem. To wszystko zrobiwszy zagniotłem z wodą, upiekłem placek i zjadłem go na ciepło, maczając w mleku.

Była to dla mnie potrawa z początku bardzo niesmaczna, choć pospolita jest w Europie w wielu miejscach, z czasem jednak przyzwyczałem się do niej. Często w życiu moim znajdując się w stanie nędznym, nie pierwszy to raz doświadczyłem, że dla dogodzenia potrzebom człowieka niewiele potrzeba i że ciało jego do wszystkiego jest zdolne. Muszę dodać, że póki zostawałem w tym kraju końskim, nie doznawałem żadnej słabości. Prawda, że czasem chodziłem na łowy na króliki i na ptaszki, które łapałem siecią z włosów Jahusów zrobioną. Czasem zbierałem ziele i albo gotowałem, albo jadłem zamiast sałaty, niekiedy także ubiłem trochę masła i piłem maślanekę. Największą mi z początku sprawiało przykrość, że nie miałem soli, ale przywykłem obchodzić się bez niej, skąd wnoszę, iż używanie soli jest skutkiem naszej niewstrzeźliwości i dlatego w zwyczaj wprowadzone, żeby pić więcej, okrom wypadków zasolenia mięsiwa, by je tym sposobem uchronić od zepsucia w dalekich podróżach i miejscowościach od jarmarków daleko położonych. Zauważmy bowiem, że spomiędzy wszystkich zwierząt jeden tylko człowiek do pokarmów swoich sól miesza. Co do mnie, opuściwszy ten kraj, miałem znowu trudność w przyzwyczajeniu się do niej.

Dosyć już powiedziałem o pokarmie moim, chociaż po większej części podróżujący zapełniają tym swoje dzieła, jakby wiele na tym zależało czytelnikowi, czy oni dobrego używali bytu, czy nie. Jednakże sądziłem za potrzebne krótkie pokarmów moich opisanie, żeby się komu nie zdało, iż niepodobna w takim kraju i między takimi mieszkańcami żyć przez trzy lata.

Ku wieczorowi koń–gospodarz kazał mi dać stancję o kroków sześć od domu, ale oddzielną od budynku Jahusów. Rozesłałem kilka wiązek słomy i okrywając się suknią spałem bardzo spokojnie i smacznie. Potem daleko mi było lepiej, jak się czytelnik dowie, kiedy mówić będę o sposobie życia mojego w tym kraju.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gulliwer usiłuje nauczyć się dobrze języka, a Houyhnhnm, jego pan, jest jego nauczycielem. Wielu znakomitych Houyhnhnmów przybywa widzieć Gulliwera przez ciekawość. Opowiada panu swemu krótko swoje podróże.

Staralem się z niewypowiedzianą usilnością nauczyć języka, w czym mój pan (tak go od-
tąd nazywać będę), jego dzieci i domownicy wszelkim sposobem mi dopomagali. Mieli mnie
za niejaki cud i wydziwić się nie mogli, że zwierzę bezrozumne okazywało wszystkie natu-
ralne znaki stworzenia rozumnego.

Pokazywałem każdą rzecz palcem, pytałem o jej nazwę i zapamiętywałem, a będąc na
osobności pisałem na papierze, który miałem na *regestra* podróże.

Co do wymawiania, starałem się go pojąć słuchając z uwagą, w czym najwięcej mi dopo-
magał żmudziak lisowaty. Potrzeba przyznać, że wymawianie tego języka zdawało mi się
bardzo trudne. Houyhnhnmowie mówią razem i gardłem, i nosem, a język ich nosowy i gar-
dłowy wiele jest podobny do niemieckiego lub holandzkiego, ale daleko miłszy i wyraźniej-
szy. Cesarz Karol V uczynił tę uwagę i mówił, że jeśliby miał gadać do koni, toby gadał języ-
kiem holandzkim. Pan mój taką miał niecierpliwość usłyszenia mnie mówiącego jego języ-
kiem, że wszystkie wolne godziny obracał na nauczanie mnie nazw, składu wyrazów i deli-
katności języka tego. Był przekonany, jak mi się potem przyznał, że był Jahu, ale go zadzi-
wiało moje ochędństwo, przystojność, obyczajność i łatwość w naukach, cechy zupełnie nie-
właściwe tym zwierzętom. Odzienie moje wielką mu sprawiło niespokojność, gdyż mniemał,
że jest częścią ciała mojego, nigdy bowiem idąc spać nie rozbierałem się, aż póki wszyscy w
domu nie usnęli, i ubierałem się pierwej, nimby się kto obudził. Chciał mój pan wiedzieć,
gdzie i jakim sposobem nabyłem pozoru tego rozumu, który się objawia we wszystkich moich
postępkach, chciał znać moją historię.

Pochlebiał sobie, że się o tym wszystkim wkrótce ode mnie dowie, widząc, jaki postęp
czynilem co dzień w pojmowaniu języka. Dla wsparcia pamięci napisałem dykcjonarz słów,
których się nauczyłem, alfabetem angielskim wraz z tłumaczeniem. Po pewnym czasie nie
wyrzekałem się pisać w przytomności pana mego, ale on nie mógł pojąć, co ja robiłem,
gdyż Houyhnhnmowie nie mają żadnego wyobrażenia pisma.

Na koniec, po dziesięciu tygodniach, mogłem rozumieć większą część jego pytań, a w trzy
miesiące potem mogłem jako tako odpowiadać. Najpierw, widząc, że mu odpowiadać mogę,
spytał się, z jakiego przyszedłem kraju i jakim sposobem nauczyłem się udawać stworzenie
rozumne, ponieważ Jahusy, do których znajdował mnie podobnym z twarzy i łap, tak przed-

nich jak i tylnych, mają wprawdzie niejaki gatunek poznania, z chytrą i wielką złością złączony, ale zdały mu się najbardziej niepojętne ze wszystkich zwierząt bezrozumnych. Jam mu odpowiedział, że przybyłem z bardzo dalekich krajów, że przepłynąłem wiele morza na statku drewnianym w towarzystwie wielu innych mego rodzaju, że ci towarzysze moi wysadzili mnie na ziemię i opuścili. Potrzeba mi było naówczas do mowy wiele przydawać znaków, żebym się dał zrozumieć. Pan mój rzekł mi na to, iż się myślę i powiedziałem rzecz, której nie ma (bo ci Houyhnhnmowie nie mają słów do wyrażenia kłamstwa lub fałszu). Nie mogłem pojąć, żeby były ziemie za wodami morskimi i żeby licha trzoda bydła potrafiła pływać na morzu statkiem drewnianym i kierować nim podług upodobania swego. Żaden Houyhnhnm nie mógłby takiej rzeczy dokazać, żeby statek zbudował, i na pewno by statku tego nie powierzał w rękę Jahusów.

Słowo „Houyhnhnm” w ich języku znaczy koń, a podług pochodzenia słów – doskonałość natury. Odpowiedziałem memu panu, że mi wyrazów zabrakło, ale że po jakimś czasie będę w stanie powiadać rzeczy, które go niewypowiedzianie zadziwią.

Pobudzony tym większą ciekawością, zachęcał panią klacz, małżonkę swoją, dzieci swoje, źrebka i źrebiczkę, a także wszystkich swoich służących, ażeby usilnie przykładali się do doskonalenia mnie w języku, a sam dwie lub trzy godziny codziennie na to punktualnie odkładał.

Wiele koni i klaczy znacznych przychodziło do pana mego z wizytą, pobudzonych ciekawością widzenia tak dziwnego Jahu, który, jak im powiadano, mówił jak Houyhnhnm i objawiał w słowach i postępkach swoich światło rozumu. Miały wielkie upodobanie rozmawiania ze mną, a ja odpowiadałem im, jak mogłem. Wszystko to pomagało mi w używaniu języka, tak że przy końcu piątego miesiąca rozumiałem wszystko, co do mnie mówiono, i mogłem się tłumaczyć dosyć dobrze.

Niektórzy Houyhnhnmowie, co przychodzili dla widzenia mnie i rozmawiania, nie mogli temu dać wiary, żebym był prawdziwym Jahu, ponieważ, mówili, miałem skórę inakszą niż te zwierzęta, a jeżeli cokolwiek skóra moja – przydawali – podobna jest na twarzy i łapach przednich do skóry Jahusów, wszelako nie jest okryta włosami. Mój pan wiedział dobrze, jak się ta rzecz ma, ponieważ jednak okoliczność przymusiła mnie odkryć mu tajemnicę, którą do tego czasu, bojąc się, żeby mnie za prawdziwego Jahu nie uznano, z wielką troskliwością ukrywałem.

Powiedziałem już czytelnikowi, że co wieczór miałem zwyczaj rozbierać się i przykrywać moimi sukniami, kiedy już cały dom zasypiał. Jednego dnia pan mój przysłał do mnie swego lokaja, żmudziaka lisowatego, bardzo rano. Gdy wszedł do mej izby, spałem bardzo twardo. Suknie moje ze mnie spadły, a koszula się podkasła. Postrzegłem, że mówi do mnie z wielkim pomieszanem. Powróciwszy do pana zaraz mu opowiedział, co widział. Ja, wstawszy, poszedłem niezwłocznie powiedzieć Jego Czci dzień dobry. Spytał mnie zaraz, co ma znać wiadomość, którą mu tego poranka przekazał lokaj, jakoby spałem był inakszy niżeli innych czasów i miał inną skórę, niżeli gdy chodzę.

Kryłem aż do tego czasu tę tajemnicę, obawiając się, żeby mnie między przekłętą i bezecny rodzaj Jahusów nie wmieszano, ale niestety, musiałem wtedy mimo mej woli wyjawiać tajemnicę. Nadto, ponieważ odzienie moje i obuwie zaczęło ze mnie spadać i potrzeba mi było na ich miejsce zrobić inne ze skóry Jahusa lub innego zwierzęcia, przewidywałem, że się mój sekret długo nie ukryje. Powiedziałem więc panu memu, że w kraju, z którego przybyłem, wszyscy mego rodzaju mają zwyczaj przyodziewać ciało swoje włosami pewnych zwierząt, już to dla przyzwoitości i uczciwości, już dla ochrony od upału i zimna, że gotów jestem przekonać go o tym, jeżeli mi to uczynić rozkaże, i pokazać mu wszystko, wyjawwszy tylko to, czego natura odkrywać nie pozwala. Mowa moja zdała się go zadziwiać. Najbardziej nie mogłem pojąć, czemu natura rozkazuje nam kryć, co nam dała sama.

– Co do nas – przydał – my się nie wstydzimy jej darów i nie znajdujemy żadnej przyczyny, aby je ukrywać przed światem. Wszelako – rzeki – nie chcę cię do tego przymuszać.

Rozebrałem się więc ze wszelką przyzwoitością, opasawszy się koszulą w miejscu wstydlwym, dla dogodzenia ciekawości mego pana, który nie przestawał dziwić się widząc zupełnie podobieństwo wszystkich moich członków do dała Jahusów. Podniósł wszystką mą odzież, biorąc między pęcinę i kopyto, i pilnie się każdej przypatrywał, głaskał mnie, pieścił i razy kilka naokoło mnie obejrzał. Potem poważnie rzekł:

– Oczywiście, żeś prawdziwy Jahu i różnisz się od tego rodzaju zwierząt tylko tym, że skóra twoja delikatniejsza i ciało bielsze, że na wielu częściach nie masz włosów, że krótsze masz pazury i nieco innego kształtu i że usiłujesz zawsze chodzić na dwóch tylnych łapach. – Więcej mu nie potrzeba było, zostawił mnie, żebym się ubierał, z czego byłem kontent, ponieważ zacząłem czuć zimno.

Oświadczyłem Jego Czci, jak mocno mnie martwiło, że mi dawano nazwisko bezecnego i obrzydliwego zwierzęcia. Zaklinałem go, żeby raczył przestać nazywania mnie tak obelżywie i zalecił to samo swej familii, służącym i przyjaciółom, którym dozwalał mnie widzieć. Prosiłem go także, aby nie opowiadał sekretu, który mu odkryłem, dopóki nie będę miał potrzeby odmienienia ubioru, a co się tyczy lokaja żmudziaka. Jego Cześć może mu przykazać, żeby nikomu tego nie powiadał, co widział.

Przyrzekł mi sekret i rzecz była ukryta, aż póki się moje suknie nie rozpadły i nie byłem przymuszony szukać, czym bym się odział, jak to opiszę potem. Upominał mnie, abym się coraz lepiej doskonalił w języku, gdyż go nierównie więcej zastanawiało, że mnie słyszał mówiącego i rozumującego, aniżeli że skóra moja była biała i włosami nieporosta, a do tego niewypowiedzianą miał ciekawość dowiedzenia się o rzeczach dziwnych, które mu powiedziałem obiecałem. Od tego czasu jeszcze się bardziej do uczenia mnie przykładał. Wszędy mnie ze sobą prowadził do kompanii i starał się, żeby uczciwie i ze wszelkimi względami ze mną postępowano, a to dlatego, jak powiadał na stronie, abym był wesołego humoru, a przez to się miłszym i zabawniejszym wydawał.

Co dzień, gdy się z nim razem znajdowałem, prócz trudu, który podejmował w uczeniu, zadawał mi różne pytania, na które, jak mogłem najlepiej, odpowiadałem, co dało mu już niejaki ogólne i niedoskonałe wyobrażenie o tym, co miałem mu później w szczególności opowiedzieć. Próżną byłoby rzeczą wyklądać na tym miejscu, jak przyszedłem do rozmowy z nim długiej i poważnej, powiem tylko, że pierwsza, którą z nim miałem, mowa obszerna taka była, jak to opiszę.

Rzekłem Jego Czci, iż byłem z kraju dalekiego, że dostałem się w tę stronę z pięćdziesięciu towarzyszami do mnie podobnymi na jednym okręcie, to jest na statku z drzewa zrobionym, a większym niż dom, w którym mieszkał, przepłynąwszy wiele morza. Opisałem mu ile możliwości kształt statku i rozwinięty chustkę tłumaczyłem, jak wiatr, nadymając żagle, statek porusza. Powiedziałem, iż wskutek wszczętej między nimi kłótni wyrzucony zostałem na brzeg tej wyspy, że z początku w wielkiej zostawałem niespokojności, aż póki Jego Cześć przez dobroć swoją nie uwolnił mnie od natarczywości bezecznych Jahusów. Natenczas pytał się mnie, kto zrobił ten statek i jak to być mogło, żeby Houyhnhnmowie kraju mego powie-rzyli go nierozumnym bydłom. Rzekłem na to, iż niepodobna mi na to pytanie odpowiedzieć i dalej rozmowę moją prowadzić, jeśli mi nie przyrzeknie na honor i sumienie swoje, że się nie urazi tym wszystkim, co mu mam powiedzieć. Pod tym jednym warunkiem mógłbym dalej kończyć mowę moją i przedłożyć mu ze szczerością rzeczy dziwne, które opowiedzieć obiecałem.

Upewnił mnie, że się niczym bynajmniej nie urazi. Natenczas rzekłem, że statek zbudowały stworzenia do mnie podobne, które we wszystkich częściach świata, gdzie tylko bywał, są panujące i rozumne, że za przybyciem moim do tego kraju zdziwiłem się niewypowiedzianie, widząc, że Houyhnhnmowie postępują jak stworzenia obdarzone rozumem, po-

dobnie jak on i jego wszyscy przyjaciele dziwowali się widząc znaki tegoż rozumu w stworzeniu, które podobano się im nazywać Jahu i które wprowadzić podobne jest do tych podłych zwierząt ze swego kształtu, ale nie z przymiotów duszy. Przydałem, że jeśli kiedy pozwoli mi Niebo powrócić do kraju mego i opisać historię mych podróży, a mianowicie mego mieszkania w Houyhnhnm, wszyscy by rozumieli, że opisałem rzecz, której nie było, i uznaliby tę historię za bajeczną i przez swawolę wymyśloną. Na koniec, mimo uszanowania, które winien jestem jemu, jego zacnej familii i wszystkim jego przyjaciółom, śmiem twierdzić, iżby nigdy nie uwierzono w kraju moim, żeby Houyhnhnm był stworzeniem rozumnym, a Jahu bezrozumnym bydlęciem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wyobrażenie Houyhnhnmów dotyczące się prawdy i kłamstwa. Mowa Gulliweru zganiona przez jego pana. Gulliwer opowiada swojemu panu z największą dokładnością szczegóły dotyczące się tak jego osoby, jak przypadków, które mu się w podróży zdarzyły.

Gdy wymawiałem te ostatnie słowa, pan mój zdawał mi się być niespokojny i jakby nie-swój. Wątpić i nie wierzyć temu, co się słyszy – jest to u Houyhnhnmów czynność umysłu, do której nie są przyzwyczajeni i nie wiedzą, co mają czynić. Pamiętam nawet, że kiedy jednego razu rozmawiałem z panem moim o właściwościach ludzkiej natury w innych częściach świata i gdym mu wspomniał o kłamstwie i oszukaniu, trudno mu było pojąć, co to miało znaczyć. On bowiem tak rozumował: „Na to nam jest dane używanie mowy, żebyśmy się wzajem rozumieli i przekazywali sobie wiadomości o rzeczach, które są. Owóż jeśli się mówi rzecz jaką, której nie ma, nie osiąga się tego celu, bowiem ja nie rozumiem tego, co ty mówisz, i nie wyprowadzasz mnie z mej niewiadomości, lecz ją powiększasz. Musiałbym tedy wierzyć, że czarne jest białe, a krótkie – długie”. Takie jest wyobrażenie Houyhnhnmów o mocy kłamania, którą my, ludzie, posiadamy w najwyższym stopniu doskonałości.

Wracam teraz do mojej rozmowy. Kiedy upewniłem Jego Cześć, że Jahusy w moim kraju są zwierzętami panującymi, spytał mnie, czy mamy Houyhnhnmów, jaki ich stan i do czego są używani. Odpowiedziałem, iż mamy ich wielką liczbę, że przez lato chodzą po łąkach, a przez zimę zostają w swoich domach, gdzie mają do usług swoich Jahusów, którzy im czeszą włosy, chędożą i ocierają skórę, myją nogi i jeść dają.

– Rozumiem cię – odezwał się – chociaż wasze Jahusy szczył się, że nieco mają rozumu, jednak Houyhnhnmowie zawsze, tak tu jak wszędzie są panami; dałyby tylko Nieba, aby nasze Jahusy były tak powolne i dobre do usług jak te, które są w waszym kraju, ale proszę, mów dalej.

Poprzysiągłem Jego Czci, ażeby mnie raczył uwolnić od dalszego w tej mierze mówienia, ponieważ podług prawideł roztropności, obyczajności i polityki nie mogłem mu tłumaczyć reszty.

– Chcę – rzekł – wiedzieć wszystko, mów dalej i nie bój się, żebyś mi miał jaką przez to uczynić przykrość.

– Dobrze – odpowiedziałem – ponieważ tego koniecznie chcesz, będę ci posłuszny. Houyhnhnmowie, których my nazywamy końmi, są u nas najpiękniejszymi i najkształtniejszymi zwierzętami, równie są silne, jak do biegu lekkie. Gdy zostają u jakich osób znacznych, używają ich do podróży, do jeżdżenia wierzchem, do ciągnięcia powozów i mają o nich wiel-

kie staranie, póki są młode i zdrowe, ale skoro podstarzeją albo zapadną na nogi, to natychmiast się ich pozbywają i sprzedają innym Jahusom, którzy ich obracają do prac przykrych, ciężkich i podłych, aż póki na nich śmierć nie przyjdzie. Natenczas, skórę z nich zdarłszy, sprzedają, a trupa zostawiają drapieżnemu ptactwu, psom i wilkom. Taki jest stan w kraju moim najpiękniejszych i najszlachetniejszych Houyhnhnmów, ale nie wszystkim się tak dobrze powodzi jak tym, o których dopiero powiedziałem. Są niektórzy, co od młodości mieszkają u rolników, furmanów i innych tym podobnych, u których muszą pracować wiele, a pożywienie mają bardzo liche.

Opisałem mu w tym miejscu nasz sposób jeżdżenia wierzchem i ubiór jeźdźca.

Odmalowałem, jak mogłem najlepiej, uzdeczkę, siodło, ostrogi, bicz, szory i koła, nie zominając potem wszystkich ubiorów końskich do ciągnięcia karety, karów, pługa. Przydałem, że wszystkim Houyhnhnmom przybijają pod spód nóg niejaką blachę z pewnej bardzo twardej materii, którą nazywamy żelazem, a to dla ochrony ich kopyt, aby się na kamiennych drogach nie pokruszyły.

Mój pan zdał mi się być rozgniewany na ten dziki sposób, w jaki postępujemy z Houyhnhnmami naszego kraju.

– Bardzo się dziwuję – rzekł – że macie odwagę i zuchwałość wsiadać na ich grzbiety. Gdyby najsilniejszy z naszych Jahusów śmiał to kiedy uczynić najmniejszemu Houyhnhnmowi ze służących moich, upewniam cię, że natychmiast byłby o ziemię rzucony, kopytami zdeptany, skopany, roztratowany.

Odpowiedziałem mu, iż naszych Houyhnhnmów pospolicie poskramiają i ujeżdżają od trzeciego lub czwartego roku, a jeżeli który jest nieposłuszny, krnąbrny, uparty, obracają go do ciągnięcia wozu, do orania ziemi i dobrze biczem ćwiczą. Nadto samców, przeznaczonych do karety albo pod siodło, we dwa lata po ich narodzeniu wałaszą, ażeby były łagodniejsze i powolniejsze. Są one czułe na kary i nagrody, a do tego nie mają rozumu, podobnie jak Jahu-sowie w jego kraju.

Wiele miałem trudności w wytłumaczeniu tego wszystkiego panu memu. Dla wyrażenia moich myśli musiałem wiele krążyć słowami, ponieważ język Houyhnhnmów nie jest tak bogaty i jak mało mają namiętności, tak i słów niewiele.

Trudno opisać wzburzenie, jakie mowa moja uczyniła w umyśle mego pana i jak szlachetnym zapalił się gniewem na sposób, w jaki postępujemy z Houyhnhnmami, a zwłaszcza na nasz zwyczaj wałaszenia ich, żeby były powolniejsze i do płodu niesposobne. Zgadzał się, że jeżeli jest kraj, gdzie same tylko Jahusy są zwierzętami rozumnymi, aby one panowały, a inne były podległe ich prawom, bo rozum powinien mieć władzę nad siłą. Ale zapatrując się na osobę moją przydał, iż stworzenie takie jak ja bardzo jest źle dostosowane do używania rozumu w zwyczajnych potrzebach życia. Spytał się mnie:

– Czy wszystkie Jahusy kraju twego są podobne do ciebie?

– Wszyscy – odpowiedziałem. – Mamy prawie jednakowy kształt i uchodzimy za piękność, młode samce i samice mają skórę delikatniejszą, zwłaszcza samice w kraju moim – białą jak mleko.

Odezwał się na to:

– Prawdziwie jest niejaką różnica między tobą i moimi folwarcznymi Jahu, jesteś bowiem czystszy od nich i nie tak zniekształcony, ale co do właściwości gruntownych, zdaniem moim, oni cię przewyższają. Nogi twoje, przednie i tylne, zbyt słabe mają pazury. Co się tyczy twoich nóg przednich, nie są to, mówiąc właściwie, nogi, bo nigdy na nich nie chodzisz, zbyt delikatne są do tego celu. Dlatego przednie nogi trzymasz zawsze nagie, a rzecz, którą je czasem okrywasz, nie jest tak mocna ani tak twarda jak ta, którą okrywasz nogi tylne. Chód twój nie jest bezpieczny, bo jeśliby jedna z twoich nóg tylnych pośliznęła się albo potknęła, konieczne byłoby musiał upaść.

Zaczął potem całemu składowi ciała mojego przyganiać: płaskość mej twarzy, wydatności nosa, położeniu oczu zbyt blisko jedno od drugiego, tak że ani w prawo, ani w lewo patrzeć nie mogę nie obróciwszy głowy. Rzekł dalej:

– Nie możesz jeść bez pomocy nóg przednich, które do ust podnosisz, i dla nagrodzenia zapewne tej niedoskonałości tyle ci w nich natura utworzyła członków. Co zaś do małych członków pooddzielanych od siebie u nóg tylnych, nie wiem, do jakiego by użycia mogły służyć. Zapewne będąc słabe i miękkie łatwo się o lada co mogą zranić i przeto dla zapobieżenia temu złemu musisz je pokrywać skórą jakiego zwierzęcia. Twoje nagie i włosami nie pokryte ciało wystawione jest na zimno, od którego przymuszony jesteś chronić się włosami cudzymi, to jest co dzień ubierać się i rozbierać, co podług mnie jest rzeczą na świecie najnudniejszą i najbardziej uprzykrzoną. Uważam na koniec, że wszystkie zwierzęta w moim kraju mają przyrodzony wstręt do Jahusów, słabsze od nich uciekają, silniejsze odpędzają od siebie. Jeżeli nawet odebraliście od natury dar rozumu, nie widzę jednak, jakim sposobem mogliście uleczyć wrodzony wstręt, który wszystkie zwierzęta mają do was, i uczynić je swoimi służebnymi. Nie chcę – przydał – w tej materii dalej sprzeczać się z tobą, kwituję cię ze wszystkich odpowiedzi, na które byś mógł się zdobyć, i proszę cię tylko, żebyś mi opowiedział historię życia twego i opisał kraj, w którymś się urodził.

Odpowiedziałem memu panu, iż gotów byłem dogodzić mu we wszystkim, co interesowało jego ciekawość, ale wątpię, abym mógł się wytłumaczyć jasno w tych materiach, o których Jego Cześć nie może mieć żadnego wyobrażenia, ponieważ nic podobnego w kraju jego nie widziałem. Z tym wszystkim, przydałem, starać się będę usilnie tłumaczyć, ile możliwości przez podobieństwa, prosząc, aby mi darował, jeślibym niewłaściwych używał wyrazów.

Rzekłem mu więc, że się urodziłem z rodziców uczciwych, na wyspie zwanej Anglia, która jest tak daleko, że najsilniejszy Houyhnhnm przez cały roczny obrót słońca ledwo tę drogę odbyć zdoła, że ćwiczyłem się naprzód w chirurgii, to jest sztuce leczenia ran otrzymanych w nieszczęśliwym wypadku lub gwałtem zadanych, że krajem moim rządzi jedna samica–mąż, którą my zwiemy Królową, że opuściłem kraj mój, starając się wzbogacić, aby po powrocie żonę i dzieci moje do lepszego przyprowadzić stanu; że w ostatniej mojej podróży byłem kapitanem statku, mając pod sobą około pięćdziesięciu Jahusów, których mi w drodze połowa wymarła, że musiałem na ich miejsce przybrać innych, z różnych narodów pochodzących, że statek nasz znalazł się dwa razy w niebezpieczeństwie rozbicia się, raz w gwałtownej nawałności, drugi raz wpadłszy na skałę.

W tym miejscu przerwał mi pan mój, pytając, jak po takich stratach i niebezpieczeństwach mogłem namówić obcych Jahusów z różnych krajów, aby się puścili ze mną na morze. Odpowiedziałem, iż to byli nieszczęśliwi, którzy na świecie nie mieli się gdzie przytulić, opuściwszy kraje swoje albo dla złego stanu swych interesów, albo dla popełnionych przez siebie zbrodni, że niektórzy z nich przyszli do nędzy przez prawo, drudzy przez grę, inni przez rozpustę, że po większej części byli to zdrajcy, łotrzy, zabójcy, złodzieje, truciele, rabusie, krzywoprzysięzcy, fałszerze pieniędzy, gwałciciele albo sodomici, dezterterzy i zbiegowie z więzień, że na koniec żaden z nich nie śmiał powracać do własnej ojczyzny, bojąc się, żeby nie został powieszony albo niegnił w więzieniu.

Podczas tej przemowy pan mój razy kilka musiał mi przerywać. Używałem wielu porównań, aby dać mu wyobrażenie tych zbrodni, które większą część moich ludzi przymusiły do opuszczenia swych krajów. Zajęło mi to wiele dni, zanim dobrze mnie zrozumiał. Nie mógł pojąć, w jakim celu popełniali te występki, co było do nich powodem. Dla objaśnienia tego usiłowałem dać mu niejaki wyobrażenie nienasyconego pragnienia honorów i bogactw i nieszczęśliwych skutków zbytku, niepowściągliwości, złości i zawiści. Ale musiałem mu to objaśnić przez przykłady i podobieństwa, ponieważ nie mógł pojąć, żeby te występki znajdowały się na świecie. Zdawał mi się być jak osoba, której wyobrażenia wstrząśnięta jest opo-

wieścią o rzeczach ani widzianych, ani słyszanych i która podnosi oczy, nie znajdując słów do wyrażenia swego podziwienia i gniewu.

Wyobrażenia władzy, rządu, wojny, prawa, kary i wielu innych podobnych nie da się wyrazić w języku Houyhnhnmów, chyba przez obszerne opisywanie. Lecz ponieważ pan mój posiadał bystry i przez głębokie rozmyślenia ukształcony rozum, doszedł w końcu do wystarczającej znajomości tego, co rodzaj ludzki w naszej części ziemi wyprawiać zdoła, i prosił, abym mu opowiedział, co się dzieje w kraju, który nazywamy Europą, a osobliwie w Anglii, ojczyźnie mojej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gulliwer na rozkaz swego pana opisuje mu stan Anglii i tłumaczy, co rozpala wojnę między monarchiami europejskimi. Opis konstytucji angielskiej.

Czytelnik raczy uważać, iż to, co ma czytać, jest krótkim zbiorem różnych rozmów, które przez przeciąg dwuletni miewałem z Houyhnhnmem, panem moim. Im bardziej postępowałem w umiejętności języka i wprawiałem się w łatwość mówienia, tym częstsze pan mój ze mną miewał rozmowy, obligując, abym mu wszystko jak najdokładniej opowiadał. Przełożyłem mu jak najlepiej stan Europy. Mówiłem z nim o rzemiosłach, rękodzielach, handlu, naukach, a odpowiedzi moje na jego zapytania były niewyczerpaną rozmów materią. Ale tutaj samą tylko wyrażę istotę rozmowy, którąśmy o ojczyźnie mojej mieli, i zachowując ile możliwości porządek, na czas i okoliczności poboczne nie będę miał względu, trzymając się tylko jak najściślej prawdy. To mnie tylko niespokojnym czyni, iż trudno mi będzie rozmowy i istotę rozumowania mego pana wyrażać z należyłą przyjemnością i mocą. Ale proszę czytelnika mego, aby słabości i nieudolności mojej darować raczył, przypisując to nieco także barbarzyństwu języka angielskiego, w którym się teraz muszę tłumaczyć.

Czyniąc tedy zadość rozkazom mego pana, przedstawiłem mu dnia jednego ostatnią rewolucję zaszłą w Anglii przez wkroczenie księcia Orańskiego i wojnę, którą ten ambitny książę miał potem z królem francuskim. Przydałem, że obecnie nam panująca Królowa ciągnęła tę wojnę, w którą wdały się największe mocarstwa chrześcijańskie. Rzekłem mu, że ta nieszczęśliwa wojna, która jeszcze trwa, mogła zgubić dotąd około miliona Jahusów, że podczas niej więcej niż sto miast było oblężonych i zdobytych i więcej niż pięćset okrętów spalonych lub w morzu zatopionych.

Spytał mnie naówczas, jakie pospolicie bywają przyczyny i pobudki naszych niezgod i tego, co ja nazywałem wojną. Odpowiedziałem, że przyczyny są niezliczone, ale podam mu tylko główniejsze. Częstokroć przyczyną wojny bywa ambicja niektórych monarchów, którym się zdaje, że nie dosyć posiadają ziemi i poddanych. Czasem polityka ministrów, którzy chcą, żeby niekontente poddaństwo miało się czym zabawiać i zapomniało o ich nikczemnych rządach. Rozmaitość poglądów pozbawiła życia miliony ludzi. Jeden na przykład mniema, że ciało jest chlebem, drugi – że chleb ciałem; jeden, że sok pewnego owocu jest krwią, drugi – że winem; jednemu się zdaje, że gwizdać jest uczynkiem dobrym, drugiemu, że jest zbrodnią; jeden pragnie całować kawałek drzewa, drugi wrzucić go w ogień; jeden mówi, że trzeba nosić odzież białą, drugi – że czarną, czerwoną, szarą; sprzeczą się, jak się ubierać: czy suknia ma być długa, czy krótka, ciasna czy szeroka, brudna czy czysta. Przydałem, iż wojny nasze

nigdy nie bywają dłuższe i krwawsze jak te, które powstają przez rozmaitość zdań, szczególnie kiedy przedmioty, o które zaczął się spór, najmniejszej nie mają wagi.

Czasem dwóch monarchów miewa ze sobą wojnę przez to, że obydwa chcą z państwa wyzuć trzeciego, choć żaden do tego nie ma prawa. Czasem jeden monarcha bije drugiego z bojaźni, żeby tamten na niego nie uderzył. Wszczyna się przeciw sąsiadowi swemu wojnę raz dlatego, że jest zbyt mocny, drugi raz, że zbyt słaby. Często ten sąsiad ma to, na czym nam nie zbywa, a my to mamy, czego jemu brakuje; natenczas bijemy się, dopóki nie zabiorą nam naszego lub nie oddadzą swego. Usprawiedliwioną jest rzeczą nieść wojnę w kraj, gdy się go widzi spustoszoną przez głód, powietrze albo niezgody wewnętrzne. Ma który pan miasto, które otacza mała jaka prowincja – otóż materia do wojny, aby ją zagarnąć i zaokrąglić swoje posiadłości. Jest naród jaki prosty i słaby, trzeba go zawojować i wymordowawszy jego połowę, drugą wziąć w kajdany, a to dla przyprowadzenia go do obyczajności. Najchwalebniejszą wojnę toczy monarcha będąc od narodu jakiego o posiłek proszony; przychodzi wtedy na odsiecz i wypędziwszy najeźdźcę sam obejmuje państwo, które obronił, a monarchę, który go na pomoc wezwał, zabija, bierze w kajdany albo na wygnanie wysyła. Bliskość krwi, związki małżeństwa są także przyczyną wojny między monarchami. Im bliżsi krewni, tym prędzej stają się nieprzyjaciółmi. Narody ubogie są zgłodniałe, bogate – ambitne. Głód z ambicją będą zawsze i wiecznie w niezgodzie. Z tych przyczyn rzemiosło wojskowe jest u nas najzaszczytniejsze. Człowiek wojskowy jest to jeden Jahu płatny, aby z zimną krwią zabijał sobie podobnych, którzy mu najmniejszego zła nie uczynili. W północnej Europie jest wielu ubogich monarchów, którzy, nie będąc w stanie sami wojny prowadzić, wynajmują swoje wojska innym bogatszym narodom; trzy czwarte żołdu zatrzymują dla siebie, co jest ich najlepszym dochodem.

– To, co mi powiadasz o przyczynach waszych wojen - rzekł mi mój pan Houyhnhnm – daje mi wysokie wyobrażenie o waszym rozumie. Szczęściem dla was, że będąc tak złośliwi, nie jesteście w stanie wyrządzać wiele złego, przez co hańba jest większa od niebezpieczeństwa. Przyrodzenie dało wam usta płaskie na twarzy płaskiej, przeto nie widzę, jak byście się ze sobą gryźć mogli, chyba za wzajemnym pozwoleniem. A co do pazurów, które macie u nóg przednich i tylnych, są one tak słabe i krótkie, że nasz Jahu mógłby sam jeden takich jak ty dwunastu rozszarpać. Więc cokolwiek mi mówisz o strasznych skutkach waszych okrutnych wojen, na których tyle ginie ludzi, muszę myśleć, że mi powiadasz rzecz, której nie ma.

Nie mogłem się wstrzymać od trząśnięcia głową i uśmiechu z prostoty mego pana. Umiejąc nieco sztukę wojenną, opisałem mu obszernie nasze armaty, karabiny, proch, kule, bagnety, pałasze. Odmalowałem mu oblężenia, odwroty, wycieczki, miny, kontrminy, szturm i zasypywanie gradem kul, wytłumaczyłem mu nasze bitwy wodne. Wystawiłem mu przed oczy ogromne okręty, z tysiącem majtków pogrążone na dno morskie, bitwy, w których każda strona traci po dwadzieścia tysięcy ludzi; jęki ranionych, krzyk bijących się, członki w powietrzu latające, ogień, dym, ciemności, zamieszanie. Opisałem mu potem nasze potyczki na ziemi, śmierć pod kopytami końskimi, ucieczkę, pościg, zwycięstwo, pola zasłane trupami dla pożywienia psów, wilków i ptaków na padlinie żerujących, grabież, łupiestwo, gwałcenie niewiast, pożary i zniszczenie. Dla poszczycenia się nieco męstwem i odwagą moich współziomków dodałem, że widział, jak podczas jednego oblężenia wysadzili oni jakich stu nieprzyjaciół w powietrze, a tyleż podczas potyczki wodnej, tak że rozproszone członki żołnierzy zdawały się z chmur padać, co niewypowiedzianie miły widok sprawiało naszym oczom.

Chciałem mówić dalej i jeszcze coś pięknie opisać, gdy Jego Cześć rozkazał, abym zamilkł.

– Natura Jahu – rzekł mi – tak jest zła, że mogę wszystkiemu wierzyć, co opowiadałeś, skoro mu przypisujesz moc i sposobność równą jego złości. Dotychczas, choć miałem złe myśli o tym zwierzęciu, nigdy jednak nie były podobne do tych, których mnie teraz nabawiłeś. Zwiększyłeś mój wstręt do Jahusów, a twoja mowa pomieszała mi umysł i w taki mnie

stan wprowadziła, w jakim nie znajdowałem się nigdy. Boję się, aby zmysły moje, przerażone strasznymi wyobrażeniami, któreś w nie wraził, nie zaczęły się do nich przyzwyczajać. Nienawidzę wszystkich Jahusów mego kraju, ale nie ganię ich więcej za nienawistne własności jak *gnnayha* (drapieżnego ptaka) za jego okrucieństwa, albo ostry kamień, że kopyta kaleczy. Ale żeby stworzenie, które się szczyci, iż ma w dziale swym rozum, miało tak obrzydliwe uczynki popełniać i na tak straszne puszczać się zbrodnie, tego ja pojąć nie mogę i mniemać muszę, że rozum zepsuty gorszy jest od okrucieństwa samego. Lecz mówiąc szczerze, czy rozum wasz jest rozumem prawdziwym? Czy nie jest on tylko talentem udzielonym wam od natury, abyście przezeń pogorszyli wasze naturalne przywary, podobnie jak niespokojna powierzchnia wody, odbijając obraz niekształtny, czyni go nie tylko większym, ale i szpetniejszym?

Ale – przydał – dosyć już mówiłeś mi o tym, co nazywasz wojną. Jest jeszcze inna rzecz, która mnie ciekawi. Powiedziałeś mi, że na statku miałeś ze sobą nieszczęśliwych, którzy musieli opuścić swoją ojczyznę, że zrujnowani zostali przez procesy i że prawo ich do tego oplakanego stanu przywiodło. Jak prawo, którego przeznaczeniem jest być dla każdego obrońcą, może stać się powodem do czyjejś zguby? Nadto, cóż to jest prawo i czym są jego wykonawcy? Alboż wasza natura i rozum nie są zdolne wskazywać jasno, co powinniście czynić, a czego się chronić?

Odpowiedziałem Jego Czci, że nie bardzo biegły w prawie, a tę małą, którą o prawnictwie mam wiadomość, zaczerpnąłem od patronów, których niegdyś radziłem się w sprawach moich. Wszelako gotowy jestem mu opowiedzieć, co w tej mierze wiedziałem.

– Mamy takich – mówiłem – co się udają na prawnictwo i tłumaczenie prawa. Uczą się od pierwszych lat przedziwnej sztuki dowodzenia wykrętną mową, że czarne jest białe, a białe – czarne, a to w zależności od tego, za co im płacą. Im cały naród jest podległy.

Dajmy na to, że sąsiad mój chce mieć moją krowę, więc zaraz idzie do patrona, to jest do uczonego tłumacza prawa, i obiecuje mu nagrodę, jeżeliby mógł dowieść, że ta krowa nie należy do mnie. Ja także muszę uciekać się do jakiego patrona tego samego kunsztu, aby sprawy mojej bronił, bo mi prawo nie pozwala bronić się samemu. Owóż ja, co mam oczywistą za sobą sprawiedliwość, znajduję się w dwojakim kłopotcie. Pierwszy, że patron, którego uprosiłem do bronięcia mej sprawy, jest podług stanu i ducha swojej profesji przyzwyczajony od młodości do fałszu, tak że kiedy mu dają do bronięcia sprawę czystą i jasną, nie wie, jak się ma wtedy obrócić i co począć. Drugi kłopot, iż ten sam patron, mimo oczywistości interesu ode mnie poruczonego, dla stosowania się do zwyczaju swoich współbraci i dla uczynienia jak najdłuższej zwłoki musi go zawikłać, inaczej byłby od swoich zganiony, że psuje rzemiosło i zły przykład daje. Gdy się tak dzieje, są tylko dwa sposoby uwolnienia się od napaści. Pierwszym sposobem jest udać się do patrona przeciwnej strony i przekupić go, dając mu we dwójnasób więcej, niż się spodziewa od swego klienta, a zdradzi go przedstawiając jego sprawę jako niesprawiedliwą. Drugim sposobem jest zalecić memu patronowi, aby sprawę moją bronił nieco pokrętnie i dał niejako do zrozumienia sędziom, że krowa moja może w rzeczy samej nie do mnie, ale do mego sąsiada należy. Taka obrona przeprowadzona z należyłą zręcznością najlepiej zapewni mi przychyłność sędziów. Trzeba bowiem wiedzieć, że sędziowie są to osoby upoważnione do rozstrzygania we wszystkich sprawach dotyczących się własności obywateli, jako też w sprawach kryminalnych. Wybierają ich z najbieglejszych prawników, którzy przez starość lub lenistwo nie są zdolni więcej do swego rzemiosła.

Gdy więc przez całe swoje życie walczyli przeciwko prawdzie i sprawiedliwości, czują w sobie nieprzewyciężoną skłonność do sprzyjania oszustwu, krzywoprzysięstwu i uciemiężeniu, tak że sam znałem niektórych, co woleli nie przyjąć ofiarowanej sobie nagrody od strony mającej sprawiedliwość za sobą niż obrazić swój stan działając przeciwko naturze swojej i duchowi swego urzędu.

Jest to maksymą u sędziów, że cokolwiek osądzono przedtem, osądzono dobrze. Dlatego z wielką starannością chowają wszystkie dawniejsze dekrety, nawet te, które dyktowała niewiedomość i które są przeciwne słuszości i zdrowemu rozumowi. Nazywają je precedensami, czyli zbiorem zasad prawnych. Przywodzi się je jako mające powagę dla usprawiedliwienia najniesprawiedliwszych zdań i sędziowie zawsze się do nich stosują i sądzą podług tych przykładów.

Wreszcie sędziowie zawsze z premedytacją uchylają się od wglądu w istotę sprawy, lecz namiętnie i długo roztrząsają okoliczności nic wspólnego ze sprawą nie mające. Na przykład w przypadku mojej krowy nie będą się starali odkryć, jakie mój przeciwnik ma do niej prawo, lecz czy jest czerwona, czy czarna, czy ma rogi długie, czy krótkie, czy pole, na którym się pasie, jest okrągłe, czy czworograniaste, czy w oborze, czy na łące ją doją, na co chorowała i tak dalej. Potem udają się po radę do dawnych dekretów. Sprawę do czasu zwlekają i w dzie sięć, dwadzieścia lub trzydzieści lat do końca doprowadzają.

Ludzie prawni mają swój język osobny, mają słowa sobie tylko właściwe, mają wyrazy, których drudzy nie rozumieją. W tym to pięknym języku pisane są prawa. Są one rozmnożone bez końca i mają niezliczone odmiany. Widzisz, że w takowym labiryncie zupełnie pomieszali istotę prawdy i fałszu, sprawiedliwości i krzywdy, i że gdyby który cudzoziemiec, o trzysta mil od kraju mego urodzony, zechciał się ze mną prawować o moje dziedzictwo, w imieniu moim od trzechset lat pozostające, może by potrzeba lat trzydziestu dla zakończenia i zupełnego rozstrzygnięcia tej trudnej sprawy.

Metoda stosowana w procesach osób oskarżonych o zbrodnię stanu jest daleko krótsza i godniejsza zalecenia. Sędzia stara się wybadać sposób myślenia rządu i poznawszy go może uratować lub kazać powiesić zbrodniarza, zachowując przy tym jak najściślej wszystkie formalności prawnicze.

– To szkoda – przerwał mój pan – że osoby mające tak wielki dowcip i przymioty nie używają ich dla dobra. Czyżby nie było lepiej, żeby nauczali innych mądrości i cnoty i żeby światła swojego udzielali powszechności? Gdyż ci uczeni ludzie bez wątpienia posiadają wszystkie umiejętności.

– Bynajmniej – odezwał się – oni znają tylko swoje rzemiosło, a więcej nic zgoła. Są to najprostszy ludźmi na świecie we wszystkich innych materiach. Nienawidzą literatury i innych umiejętności, a w zwyczajnym towarzyskim życiu są przykrzy, nudni, prostacy, grubiańscy. Zawsze i wszędzie gotowi są do przeinaczenia zdrowego rozsądku i przekręcania każdej rzeczy, o której się mówi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dalsze opisanie stanu Anglii za Królowej Anny. Charakter pierwszego ministra na niektórych europejskich dworach.

Pan mój nie mógł pojąć, dlaczego ten cały rodzaj prawników tak się głowi, tyle zachodu i trudu sobie zadaje jedynie po to, by sprzymierzając się z niesprawiedliwością krzywdzić zwierzęta własnego gatunku.

– Co ty rozumiesz – mówił – przez tę nagrodę, którą się obiecuje patronowi, gdy mu się jaką sprawę powierza?

– Są to pieniądze – odpowiedziałem, lubo trudno mi było wytłumaczyć, co to są pieniądze. Przedłożyłem mu różne gatunki naszych monet i metali, w których są bite. Dałem mu poznać wielki ich pożytek, mówiąc, że kiedy Jahu ma wiele pieniędzy, naówczas może mieć piękne odzienie, piękne domy, piękne dobra, wyśmienite stoły i do wyboru swego wszystkie najpiękniejsze kobiety; że ponieważ pieniądze jedynie dają dostęp do tych wszystkich rzeczy, więc dla tej przyczyny nigdy nie możemy mieć dosyć pieniędzy, by je wydawać lub gromadzić, będąc z natury skłonni do nieumiarkowania albo sknerstwa; że bogaty próżniak żyje z pracy ubogiego, który poci się od rana do wieczora, nie mając jednego momentu odpoczynku. Są tysiące biednych na jednego bogacza. Masa naszego ludu przymuszona jest pracować co dzień za nędzną zapłatę, aby kilku w największym zbytku żyć mogło. Długo jeszcze o tych sprawach szczegółowo mówiłem, ale Jego Cześć nie był kontent z mych wypowiedzi.

– Ech! – odezwał się pan mój – azaliż wszystkie zwierzęta nie mają równego prawa do owoców, które ziemia wydaje dla ich wyżywienia, a szczególnie te, które innym przewodzą? Ale cóż ty rozumiesz – rzekł mi – przez stół wyśmienity? Gdyś mi napomknął, że mając pieniądze, można go mieć w twoim kraju?

Wtedy zacząłem mu tłumaczyć najwyborniejsze potrawy, którymi pospolicie bywają zastawiane stoły bogaczy. Przedłożyłem różne sposoby, jakimi gotują mięsiwa. Rzekłem, iż dla zaprawienia tych potraw, a osobliwie dla sprowadzenia napojów, sosów i wielu innych smakołyków, budujemy okręty i puszczamy się w długie podróże do czterech części świata, tak dalece, że dla jednego śniadania dystygowanej samicy potrzeba pierwszej całej glob ziemski ze trzy razy dokoła objechać.

– Kraj wasz – przerwał – musi być bardzo nędzny, jeśli nie ma czym wyżywić swoich mieszkańców. Dziwi mnie niepomieranie, że tak rozległy kraj, jaki mi opisałeś, nie ma świeżej wody i abyście mieli co pić, musicie napoje zza morza sprowadzać.

– Anglia, ojczyzna moja – odpowiedziałem – wydaje żywności trzy razy więcej, niżeli jej mieszkańcy mogą potrzebować, wyborne napoje robimy z soków niektórych owoców lub

wyciągamy z niektórych zbóż, słowem, niczego nam nie brakuje co do przyrodzonych potrzeb. Ale dla dogodzenia zbytowi i niepowściągliwości samców oraz próżności naszych samic wysyłamy do cudzych krajów większą część potrzebnych nam płodów, a stamtąd w zamian przywozimy choroby, szaleństwo i występki. Tym się tłumaczy, że wielka rzesza ludzi przymuszona jest szukać utrzymania chwytając się żebrani, rozbojów, złodziejstwa, oszustwa, podstępu, potwarzy, pochlebstwa, przekupstwa, fałszerstwa, hazardu, kłamstwa; zmuszona jest płaszczyć się albo rozbijać, sprzedawać głosy, uciekać się do trucicielstwa, nierządu, obłudy, oszczerstwa, krzywoprzysięstwa i temu podobnych sposobów. (Niem mało kosztowało mnie trudu wytłumaczyć panu memu znaczenie tych słów).

Nie dlatego podejmujemy trud sprowadzania win z cudzych krajów, abyśmy w kraju nie mieli wody i innych bardzo dobrych napojów, ale dlatego, iż wino sprawuje wesołość odbierając nam rozsądek, wypędza z umysłu naszego myśli poważne, napęnia nam głowę tysiącnymi głupstwami, wzbudza w nas nadzieje, rozprasza bojaźń, uwalnia nas na niejaki czas od tyranii rozumu, odejmuje nam możliwość używania naszych członków i wpędza w głęboki sen. Budzimy się z tego snu chorzy i smutni i używanie tego napoju staje się przyczyną chorób, które życie nasze czynią nieprzyjemnym i krótkim.

Lud ubogi – mówiłem dalej – utrzymuje się dostarczając bogatym wszystkich rzeczy, których oni potrzebują, i wytwarzając wszystko dla własnego użytku. Na przykład, gdy jestem w moim kraju i odzieję się jak należy, noszę na sobie dzieło stu rzemieślników. Jeszcze raz tyle rąk musi się przykładąć do wybudowania i przyozdobienia mego domu, a jeszcze pięć razy więcej potrzeba dla ubrania mej żony.

Potem opisałem mu inny rodzaj ludzi, utrzymujących się z leczenia chorych. Już przedtem powiedziałem Jego Czci, że znaczna część towarzyszy moich poumierła w podróży z chorobą, lecz wielką miałem trudność do przezwyciężenia, nim mógł to zrozumieć. Pojmował, że Houyhnhnm może na kilka dni przed śmiercią czuć się słaby i ocieężały albo skaleczyć sobie przypadkiem nogę. Nie mógł natomiast zrozumieć, że natura, która we wszystkich swoich dziełach jest arcydoskonała, może dopuścić, aby w ciałach tworzyły się choroby. Sądził, że to żadnym sposobem być nie może, i prosił, abym mu wytłumaczył przyczynę tego nienaturalnego nieszczęścia. Musiałem mu więc tłumaczyć naturę i przyczyny różnych naszych chorób. Mówiłem, iż jadamy, choć się nam jeść nie chce, pijemy nie mając pragnienia, przepędzamy noce na łykaniu trunków mocnych, nie przy tym nie jedząc, które palą nasze wnętrzości, rujną żołądek i po wszystkich członkach rozpraszają niemoc i słabość śmiertelną, że wiele u nas jest samic z nierządu żyjących, co mają pewien jad, którego udzielają swoim gachom, że z tą nieszczęśliwą chorobą, równie jak i z innymi, rodzimy się i odbieramy ją od naszych rodziców razem z krwią. Na koniec, że nie skończyłbym mówić, gdybym mu chciał opisać wszystkie nasze choroby, ponieważ będzie ich przynajmniej pięćset lub sześćset, rozciągających się na wszystkie członki naszego ciała, a każda jego część bądź zewnętrzna, bądź wewnętrzna ma znowu sobie właściwe choroby. Dla uleczenia, przydałem, tego wszystkiego są niektórzy Jahusowie, co się poświęcają uczeniu ciała ludzkiego i rozumieją, że przez skuteczne lekarstwa mogą wykorzenić choroby, walczyć z samą naturą i życie nasze przedłużać. Będąc sam tegoż kunsztu, przedłożyłem z ukontentowaniem Jego Czci sposoby naszych doktorów i tajemnice umiejętności lekarskiej.

– Wszystkie nasze choroby – rzekłem – pochodzą z pełności żołądka, skąd doktorowie nasi rozumnie wnoszą, że potrzebne jest wypróżnienie bądź przez womity, bądź przez stolec. Do tego potrzeba ziół, minerałów, gum, olejków, skorup, soli, soków, traw morskich, ekskrementów, kory z drzew, węży, gadzin, ryb, żab, pajaków, ciała i kości trupów i z tego wszystkiego robią oni napój tak przykry i obrzydliwy, że po skosztowaniu go wzrusza się cała natura człowieka. To lekarstwo każą nam doktorowie nasi pić na wypróżnienie, jak oni nazywają, górą przez womity. Na wypróżnienie dołem dobierają oni z magazynów swoich innych lekarstw i albo je nam każą pić jak tamte, albo też wpuszczają w nas one przez tył.

Takowe lekarstwo czyści wnętrzności i wypróżnia je z wielkim natężeniem ze wszystkiego, co tylko w nich się znajduje. Nazywają to purgacją albo lewatywą.

Przyrodzenie, mówią arcydowcipnisie, dało nam otwór górny, widomy, dla nabierania w siebie pokarmów, otwór zaś sekretny, dolny, dla wyrzucania tychże. Choroba odmienienia przyrodzony porządek ciała i dlatego, aby lekarstwo ten porządek przywróciło, trzeba odmienić użycie tych otworów, to jest połykać spodnim, a wypróżniać się górnym. Mamy także choroby, które nie mają w sobie nic z istoty, tylko samo urojenie; dla tych chorób lekarze wymyślili urojone sposoby leczenia. Mają one osobne nazwy i osobne lekarstwa. Na te choroby cierpią prawie bezustannie nasze samice.

Najbardziej odznaczają się ludzie tego stanu w prognozowaniu i rzadko się w tym myślą. W chorobach prawdziwych, mających złośliwy charakter, przepowiadają zwyczajnie śmierć, która jest zawsze w ich mocy, co się zaś tyczy polepszenia, nigdy z pewnością przepowiedzieć tego nie mogą. W przypadku zaś, kiedy wbrew temu, co mówią, stan chorego zaczyna się polepszać, umieją odpowiednią dawką tak to urządzić, aby nie uważano ich za fałszywych proroków.

Osobliwie stają się pożyteczni mężom i żonom nie mogącym żyć ze sobą w zgodzie, starszym synom, ministrom stanu, a często władcom.

Już nieraz rozmawiałem z moim panem o naturze rządzenia w ogólności, a osobliwie o naszej wybornej konstytucji, słusznie wzbudzającej podziwienie i zazdrość całego świata. Gdym wspomniał teraz przypadkiem o ministrze, rozkazał mi, abym mu powiedział, jaki to gatunek Jahusów nazwisko to ma oznaczać.

– Pierwszy minister – odpowiedziałem mu – jest to istota bez radości i smutku, bez miłości i nienawiści, bez litości i gniewu, nie mająca żadnych innych namiętności poza pragnieniem bogactw, władzy i tytułów. Używa on do wszystkiego swej mowy, wyjąwszy do wynurzenia swych myśli; nigdy nie mówi prawdy, jak tylko w zamiarze, ażeby ją trzymano za kłamstwo, nigdy kłamstwa, jak tylko, żeby je za prawdę uważano. Ci, o których źle mówi, mogą być pewni swego wywyższenia, ci, których chwali – niezawodnej zguby; przyrzeczenie zaś ministra, osobliwie wzmocnione przysięgą, jest najgorszą oznaką. Każdy roztropny usuwa się wtedy i traci wszelkie nadzieje.

Są trzy metody, przez które Jahu może się stać ministrem: pierwsza, iż umie rozporządzać z roztropnością żoną, córką lub siostrą swoją, druga – zdradzić i zniszczyć swego poprzednika, trzecia – powstawać z zapalczywością we wszystkich publicznych zgromadzeniach na zepsucie dworu. Roztropny monarcha wybiera osobliwie tych, którzy używają ostatniej metody, bo ci fanatycy stają się ministrami najposłuszniejszymi woli i namiętnościom swego pana. Mając wszystkie urzędy do swej dyspozycji, łatwo im jest utrzymać się przy swoich miejscach, przekupując urzędami większą część senatu lub Wielkiej Rady. Na koniec, aby nie zdawać rachunku, zaopatrują się w akt zabezpieczający (tu opisałem mu znaczenie jego) i z bogaceni łupem, usuwają się od urzędów.

Pałac pierwszego ministra jest szkołą tego rzemiosła: pazie, lokaje i odźwierni, naśladowując pilnie swego pana, stają się ministrami w swoich funkcjach i nabywają wielkiej biegłości w trzech głównych przymiotach: w bezwstydzie, kłamstwie i przekupstwie. Przez to podchlebiają się im osoby pierwszej rangi i często zdarza się, iż przez chytryść i bezwstyd, przechodząc przez różne stopnie, stają się następcami swego pana.

Pierwszym ministrem rządzi zazwyczaj stara lubieżnica lub lokaj-faworyt i są to jakby kanały, przez które rozchodzą się wszystkie łaski, można ich też słusznie nazywać rządcami kraju w ostatniej instancji.

Jednego dnia pan mój uczynił mi komplement, na który nie zasłużyłem. Gdy rozmawiałem z nim o osobach znacznych w Anglii, rzekł, iż pewno pochodzę ze szlachetnej jakiej rodziny, bo w kształcie, kolorze i czystości przewyższam wszystkie Jahusy jego kraju, chociaż w sile i szybkości nie mogę się z nimi równać.

– To bez wątpienia pochodzi – mówił – z różności sposobu życia i stąd nie tylko masz władzę mowy, ale też niejakię początki rozumu, dzięki czemu przyjaciele moi poczytują cię za dziw natury.

Uważaj tylko – mówił dalej – że między Houyhnhnmami szpakowate i białe nie są tak piękne jak gniade, siwo–jabłkowite i kare. Nie rodzą się z tymi samymi przymiotami co tamte i dla tej przyczyny zostają przez całe życie w stanie sług, nie myśląc nigdy o wyniesieniu się do stanu panów, co byłoby uważane w kraju za rzecz szkodliwą i przeciwną naturze.

Podziękowałem Jego Czci jak najuniżeniej za dobre o mnie rozumienie, ale upewniłem go o pochodzeniu moim bardzo niskim, ponieważ narodziłem się tylko z prostych uczciwych rodziców, którzy mi dosyć dobre dali wychowanie. Rzekłem, że nasza szlachta wcale nie odpowiada wyobrażeniom, które o niej Jego Cześć powziął. Nasza młodź szlachecka chowa się od dzieciństwa w próżniactwie i zbytkach, skoro zaś wiek po temu, wyniszcza się z samicami rozpustnymi i zepsutymi i dostaje od nich nienawistnych chorób. Potem, straciwszy swój majątek i widząc bliską ruinę, żeni się. Z kim? Z samicą podłego urodzenia, brzydką, chorowitą, ale bogatą, którą darzy nienawiścią i wżgardą. Takowe ciała nie uchybią w rodzeniu dzieci niedołężnych, brzydkich, chorowitych, a ród taki rzadko dociąga do czwartego pokolenia, chyba że żona zapobieży temu poszukawszy wśród sąsiadów lub służby zdrowego ojca dla swych dzieci, aby w ten sposób polepszyć krew i przedłużyć ród. Ciało suche, szczupłe, słabe, chorowite tak poszło w nieomylny znak szlacheckiego pochodzenia, że skoro tylko urodzi się syn silny i zdrowy, zaraz wnoszą, że pani matka jego przypuściła do łask swoich stajennego lub woźnicę. Wady duszy odpowiadają niedołężności ciała: melancholia, głupota, ignorancja, kaprysy, lubieżność i pycha są zwyczajnymi przymiotami charakteru tej klasy.

Bez przyzwolenia tych szlachetnych osób żadne prawo nie może zostać ustanowione ani zniesione lub odmienione i zarazem stanowią one sąd najwyższy, od którego nie ma żadnej apelacji.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gulliwera miłość ojczyzny. Uwagi jego pana nad konstytucją i rządem angielskim. Postrzeżenia tegoż nad naturą ludzką.

Czytelnik będzie może skłonny do zdziwienia, że tak szczerze mówiłem o rodzaju moim, przebywając wśród stworzeń, które już i tak złe rozumienie miały o rodzaju ludzkim widząc zupełne podobieństwo między mną i Jahusami, ale wyznaję rzetelnie, że charakter Houyhnhnmów i wyborne tych czworonogich przymioty, w przeciwieństwie do zepsucia ludzkiego, otworzyły mi oczy; ujrzałem tedy poczynania i namiętności człowiecze w odmiennym zgoła świetle i począłem uważać, że nie warto oszczędzać honoru mojego rodzaju. Nadto niewiele bym wskórał, bo pan mój miał rozum tak przenikliwy, że co dzień w osobie mojej straszne postrzegał przywary, o których ja sam nie wiedziałem, a których wśród ludzi nie poczytano by nawet za bardzo lekkie niedoskonałości. Jego przykład natchnął mnie obrzydzeniem do kłamstwa i obłudy, a prawda tak lubą mi się zdała, że postanowiłem wszystko dla niej poświęcić.

Ale wyznam szczerze inną jeszcze pobudkę mej rzetelności. Przeżywszy rok cały z Houyhnhnmami, powziąłem ku nim tyle przywiązania, miłości i szacunku, że postanowiłem nie myśleć już o powrocie do rodzaju ludzkiego, ale kończyć dni moje wśród tych zachwycających stworzeń, abym się doskonalił w cnocie, w oddaleniu od wszelkich ponęt do występków. Szczęśliwy bym był, gdyby postanowienie moje było stateczne. Ale fortuna, która mnie zawsze prześladowała, nie pozwoliła mi zażywać tego szczęścia. Jednakże teraz, gdy powróciłem do Anglii, kontent jestem, że markowałem przywary moich ziomków, w stopniu na jaki pozwalała surowość mego sędziego, i każdy występki przedstawiałem w świetle tak łagodnym, jak to tylko było możliwe. Czyż mogłem postąpić inaczej? Któż się taki znajdzie, co by nie był stronny, gdy idzie o jego kochaną ojczyznę?

Opisałem do tego miejsca istotę rozmów, które miewałem z panem moim przez czas, kiedy miałem zaszczyt mu służyć, ale opuściłem wiele tematów, nie chcąc się nazbyt rozwlekać.

Jednego dnia przysłał po mnie bardzo rano i rozkazawszy mi w niejakiej odległości od siebie usiąść (zaszczytu tego ni razu dotąd nie dostąpiłem), tak do mnie mówił:

– Przetrzaskałem wszystko, cokolwiek mówiłeś, i widzę, że ty i twoi ziomkowie macie iskierkę rozumu, choć nie wiem, dlaczego ten wam przypadł w udziale. Ale tego światła rozumu używacie na powiększenie waszych przywar wrodzonych i na nabycie tych, których wam natura nie dała. Zatracacie zdolności przyrodzone, mnożycie swe potrzeby i całe życie spędzacie na nieudolnych poczynaniach, by je zaspokoić własną przemyślnością. Co się cie-

bie tyczy, nie posiadasz ani siły, ani zręczności zwyczajnego Jahusa, chodzisz niepewnie na tylnych nogach, wynalazłeś sposób, by twe pazury stały się niezdolne do użytku lub obrony, i sposób usuwania włosów z brody, które służą do ochrony przed słońcem i powietrzem. Nie umiesz biec z taką prędkością ani drapać się na drzewa, jak twoi współbracia (tak ich zawsze nazywałem), Jahusy tego kraju.

Wasze instytucje rządu i prawa pochodzą z braku rozumu, a tym samym i cnoty, bo sam rozum wystarcza do rządzenia rozsądnym stworzeniem, nie macie przeto najmniejszego prawa takimi się mienić. Wynika to nawet z tego, co mi sam o swoich ziomkach powiadałeś, a obserwowałem, że chcąc ich w lepszym świetle przedstawić, ukrywałeś wiele szczegółów i często mówiłeś to, czego nie ma.

Ta pewna, że z kształtu jesteście podobni do Jahusów mego kraju; nie dostaje wam jeno mocy, szybkości i długich pazurów, a macie też cechy nie przez naturę dane, abyście byli zupełnie tacy jak one. Wszelako ze strony obyczajów podobieństwo jest całe. One śmiertelnie jedne drugich nienawidzą, więcej nawet jeszcze niżli inne zwierzęta, a przyczynę tego znajduję w tym, że patrzą wzajemnie na swą brzydką i niezdolną postać, którą u drugich swojej rasy widzą, ale nie u siebie. Wy, mając nieco rozumu i poznając, że wzajemny widok ciał waszych byłby rzeczą niezdolną, wymyśliliście przez roztropność i miłość własną odzienia, mimo jednak tego zabiegu nie mniej się macie w nienawiści jak inne Jahusy. Jeżeli na przykład rzucimy dla pięciu Jahusów tyle mięsa, ile by mogło nasycić pięćdziesiąt, te łakome i żarłoczne zwierzęta zamiast spokojnie jeść to, czego mają pod dostatkiem, rzucają się jedne na drugie, szarpią, każde chce zjeść wszystko, tak dalece, że sługa musi pilnować tych, co się pasą na dworze, a przywiązywać te, które są pod dachem, aby się nie rzucały na te, co jeszcze są głodne. Jeżeli w sąsiedztwie umrze krowa ze starości lub przypadku, nasze Jahusy, jak tylko się o tej przyjemnej dowiedzą nowinie, zaraz ruszają w pole, trzoda przeciw trzodzie, folwark przeciw folwarkowi i – kto silniejszy, tego krowa. Biją się, szarpią, aż póki jedna strona nie zwycięży drugiej, a jeżeli się nie zabijają na śmierć, to dlatego, że nie mają rozumu, jak europejskie Jahusy, dla wynalezienia zabójczych maszyn i morderczego oręża. Czasem znów Jahusy z wielu folwarków staczają bitwy bez widocznej przyczyny, a tylko patrzą, jak by jedne drugich zaskoczyć mogły. Kiedy im się to nie uda, wracają do domu i z braku wrogów wdają się w wojnę domową.

Mamy w kraju naszym w niektórych miejscach pewne świecące się różnych kolorów kamienie, na które Jahusy niezmiennie są chciwe. Znalazłszy je, używają wszelkich sposobów do wydobywania ich z ziemi, gdzie zazwyczaj nieco są zakopane. Kopią pazurami przez całe dnie, po czym zabierają je z sobą, chowają troskliwie w swoich stajniach i nieustannie strzegą, aby im który z towarzyszy ich nie wykradł. Nie mogliśmy jeszcze dociec, skąd pochodzi ta ich gwałtowna skłonność do świecących się kamyków i jaki z tego mają pożytek. Ale teraz rozumiem, że chciwość rodzaju ludzkiego, o której mi powiadałeś, znajduje się także w Jahusach, ona to ciągnie ich tak gwałtownie do jasných kamyków. Chciałem raz jednemu Jahusowi zabrać jego kupę kamieni. Zwierz, widząc, że mu skarb zabrano, zaczął wyć z całej mocy, ściągnął całe stado, wpadł w złość, gryząc i kopiąc innych Jahusów, a potem w słabość; nie jadł, nie spał, nie pracował, aż póki nie rozkazałem jednemu ze służących, aby kamienie na powrót położył. Natenczas Jahu przyszedł do siebie, zaczął być wesoły i nie omieszkiał przenieść na inne miejsce swych klejnotów. Tam gdzie najwięcej jest tych jasných kamieni – dośłał mój pan – toczą się najzawziętsze bitwy, spowodowane wyprawami Jahusów z innych folwarków.

Gdy jeden Jahu znajdzie na polu jakiś z tych kamieni, bywa często, że drugi, nadbiegłszy, wydziera mu go z rąk. A gdy biją się ci dwaj, trzeci przypada, porywa kamień i już po sprawie. W waszym zaś kraju – przydał – podług tego, coś mi powiadał, podobnie się ma rzecz ze sprawami sądowymi.

Nie chciałem, by nie uchybić naszemu honorowi, wyprowadzać go z błędu, bowiem takie zakończenie sprawy, o jakim mówił, było o wiele sprawiedliwsze niż niejeden wyrok u nas. Tutaj jedna i druga strona traciła tylko kamień, o który się kłóciły, u nas zaś sprawiedliwe sądy nie zakończyłyby sprawy, dopóki obie prawujące się strony wszystkiego by do nitki nie potraciły.

– Nic - mówił dalej mój pan – nie wzbudza takiej wzdargy ku Jahusom jak nieograniczona ich chciwość pożerania wszystkiego, co tylko napotkają. Połykają zioła, korzenie, owoce, zgniłe mięso i inne rzeczy lub wszystko razem zmieszane. Daleko chętniej wolą jeść, co przez kradzież lub łupiestwo dostać mogą, niżli dużo lepsze jado, które mają u siebie w domu. Jeżeli zrabowany pokarm wystarcza, jedzą tak długo, aż ledwo nie pękną, potem przez instynkt naturalny połykają korzeń sprawiający całkowite wypróżnienie. Oprócz tego jest jeszcze inny korzeń, bardzo soczysty, który nasze Jahusy – mówił dalej mój pan – pasjami lubią. Szukają go chciwie, a znalazłszy wysysają z niewypowiedzianą chciwością i ukontentowaniem, tak że się oderwać od niego nie mogą. Natenczas widzimy, że się ze sobą to pieszczą, to kłócą i biją, to wrzeszczą, to się wykrzywiają, to tańczą, to się zataczają, to się o ziemię tłuką i w błocie zasypiają.

Zrobiłem w rzeczy samej to postrzeżenie, iż Jahusy są jedynymi zwierzętami w tym kraju podlegającymi chorobom. Nie były one jednak tak liczne jak u nas choroby koni i nie pochodziły ze złego obchodzenia się z nimi, ale z wielkiej nieczystości i niezmiernego żarłocstwa tego obrzydliwego zwierza. W języku Houyhnhnmów jest tylko jedna ogólna nazwa tych chorób, wzięta z nazwiska tego zwierzęcia, to jest *hnea-Jahu*, co znaczy: choroba Jahusa. Lekarstwem na tę chorobę jest mieszanina z ich gnoju i uryny, którą w pysk im wpychają. Sam widziałem pomyślny skutek tego lekarstwa i mogę je sumiennie zalecić moim współbraciom, dla ich dobra powszechnego, jako wyśmienity środek przeciwko chorobom pochodzącym z przepelnienia.

Co się tyczy naukowości, rządu, kunsztów, rzemiosł i innych podobnych rzeczy, nie widzi, wyznał mi mój pan, żadnego podobieństwa Jahusów jego kraju do naszych. Słyszał od kilku ciekawych Houyhnhnmów, iż większa część stad tych zwierząt ma panującego Jahusa (tak jak w naszych parkach znajduje się zawsze przewodzący jelen), który zwyczajnie jest brzydszy i złośliwszy od innych. Ten naczelnik wybiera sobie faworyta, który jest we wszystkim najpodobniejszy do niego; obowiązkiem tego ulubieńca jest oblizywać nogi i tyłek swego pana, jako też wpędzać samice do jego stajni, za co dostaje czasem w nagrodę kawał oślego mięsa. Ten faworyt bardzo jest znienawidzony i nigdy nie odważa się oddalać od swego pana. Zostaje zwyczajnie przy swoim urzędzie, dopóki nie znajdzie się gorszy jeszcze od niego, lecz skoro tylko złożony jest z urzędu, natychmiast przybiega następca jego na czele wszystkich Jahusów, młodych i starych, samców i samic, które wypróżniają swoje ekskrementy na jego głowę, aż go całkiem zawalają.

– Nie wiem – mówił mój pan do mnie – czy jest w tym jakieś podobieństwo do waszych dworów, faworytów i ministrów, i sądzę, że ty najlepiej o tym powinienes wiedzieć.

Nie śmiałem odpowiedzieć na tę obrażającą uwagę, która poniża rozum ludzki i kładzie go poniżej pojętności zwyczajnego psa gończego, umiejącego zawsze rozróżnić szczekanie najdoświadczeńszego w całej zgrai i biec za jego śladem, nigdy się nie myśląc.

Mój pan mówił mi dalej, że Jahusy mają niektóre bardzo osobliwe przymioty, o których tylko kilku słowami w opisie rodzaju ludzkiego wspomniałem. Jahusy mają, jak inne zwierzęta, samice swoje wspólnie, ale tym się różnią, że nawet ciężarne samice wdają się z samcami, samce zaś kłócą się i biją z samcami tak zajadle jak ze sobą. Dwie te okoliczności wykazują haniebną brutalność, która się nie zdarza u żadnego stworzenia obdarzonego czuciem.

Dziwił się też bardzo nad skłonnością Jahusów do nieczystości, gdy wszystkie inne zwierzęta wrodzoną mają miłość do ochędóstwa. Co się tyczy dwóch pierwszych zarzutów, zostawiłem je bez odpowiedzi, nie mogąc uniewinnić mojego rodzaju, lubo mi chęci do tego nie

brakowało, lecz co do ostatniego, łatwo mógłbym go zbić i oczyścić rodzaj ludzki z uczynionego zarzutu, gdyby były świnie w tym kraju, ale nieszczęściem ani jednej nie było. Być może wprawdzie, iż świnia jest łagodniejszym od Jahusa zwierzęciem, ale nikt nie może utrzymywać bez największej niesprawiedliwości, iż jest czystsza od Jahusa, i mój pan nawet przyznałby to niezawodnie, gdyby widział brzydki sposób żywienia się tych zwierząt, ich zwyczaj tarzania się i spania w błocie.

– Często – mówił dalej mój pan – naszym Jahusom przychodzi do głowy jakieś dziwactwo, którego przyczyny nie możemy dociec. Mając co jeść, mając gdzie spać, mając wszelkie od panów swoich względy, zdrowe, silne i opasione, wpadają nagle w niesmak, w nieukontentowanie, w smutek ciężki, stają się posępne i ponure. W takim stanie uciekają od towarzystwa, nic nie jedzą, nigdzie nie wychodzą i tylko wzdychają w kącie swej przegrody i zdają się być zanurzone w smutnych myślach. Dla uleczenia ich z tej choroby jedno tylko mamy lekarstwo, to jest postępujemy z nimi ostrzej i używamy do robót cięższych. Natenczas, mając zabawę i pracę, odzyskują wrodzoną żywość.

Gdy mój pan opowiadał tę rzecz, nie mogłem nie przypomnieć sobie kraju mego, gdzie widzimy, że ludzie leniwi, w dostatkach, honorach i rozkoszach opływający, wpadają niespodzianie w smutek, stają się nieznośni sobie samym, niszczą się przez swoje przywidzenia, trapią się, dręczą i do niczego nie używają swego umysłu pogrążonego w melancholii. Jestem pewien, że najlepsze lekarstwo na tę chorobę jest to, które dają Jahusom.

– Kiedy która z samiczek – opowiadał dalej mój pan – widzi w jakimś ustronnym miejscu Jahusa, młodego i urodziwego, zaraz chowa się za krzak albo za drzewo, wykrzywiając się niemiłosiernie i obrzydliwe zapachy wydając, tym jednak sposobem, aby ją młody Jahu dostrzegł i do niej się zbliżył. Na zbliżenie się jego znowu ucieka, ale oglądając się często i strach udając, tak dobrze miarkuje swoje kroki, aby samiec dogonił ją na miejscu ich żądźm przychylnym.

Jeżeli obca samica przybywa do towarzystwa innych samic, natenczas otaczają ją, wytrzeszczają na nią oczy, gadają między sobą, robią grymasy i wachają ze wszystkich stron, po czym oddalają się od niej z oznakami największej odrazy i pogardy.

Może pan mój zbyt delikatnie wyrażał się w tej materii, ale ja stwierdziłem ze zdziwieniem i żalem, że ród niewieści od przyrodzenia ma instynkt lubieżności, kokieterii, przygany i obmowy.

Czekałem tylko, jak Jego Cześć będzie dalej mówić o obyczajach Jahusów i odmaluje występkę, w których natura nie wystarcza wyuzdanym pożądliwościom obojga płci, co jest u nas rzeczą tak powszechną. Ale zdaje się, że natura nie była w tym biegłą nauczycielką i że te wymyślone rozkosze są wyłącznie płodem kunsztu i rozumu na naszej stronie kuli ziemskiej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gulliwer opisuje niektóre właściwości Jahusów. Wielkie cnoty Houyhnhnmów. Wychowanie i ćwiczenie młodzieży. Powszechne ich zgromadzenia.

Rozumiejąc naturę ludzką lepiej, niż to możliwe było dla mego pana, mogłem z łatwością zastosować opisane przez niego właściwości Jahusów do mnie samego i ziomków moich, a mając niejaki nadzieje, że będę mógł poczynić dalsze spostrzeżenia, prosiłem czasem pana mego, aby mi pozwolił widzieć z bliska stada Jahusów, chcąc sam się przypatrzeć ich postępkom i skłonnościom. Przeświadczony o mojej ku nim nienawiści nie lękał się, aby zepsuło mnie widzenie i przestawanie z nimi, chciał jednak, aby rosły skarogniady, jeden z wiernych jego sług, bardzo dobrej natury, zawsze się przy mnie znajdował. Bez tej obrony, muszę wyznać, nie odważyłbym się na podobną wyprawę. Opowiedziałem już czytelnikowi, jakie przykrości miałem od tych zwierząt zaraz po przybyciu moim do tego kraju, a i potem kilka razy bardzo mało brakowało, abym nie wpadł w ich pazury, przechadzając się bez kordelasa w niejakej od mego mieszkania odległości.

Jahusy pooglądały na mnie jak na podobnego sobie, zwłaszcza gdy za rozchyleniem się koszuli zobaczyły moje piersi i ręce bez rękawiczek, które często obnażałem, kiedy mój obrońca był ze mną. Natenczas do mnie się przybliżały tak blisko, jak im odwagi starczyło, i zaczynały mnie naśladować na sposób małpi, okazywały jednak wstręt do mnie, jak czynią zawsze małpy leśne, gdy widzą jedną z siebie ugłaskaną, w odzieniu i kapelusz ubraną.

Od dzieciństwa Jahusy są bardzo zręczne. Raz udało mi się złapać trzyletniego samczyka, którego wszelkimi pieszczotami usiłowałem uspokoić, ale ten mały potwór zaczął okropnie krzyczeć, kąsać mnie i drapać z taką zawziętością, iż musiałem go puścić. Był też wielki czas po temu, bo na krzyk jego przybiegło całe stado młodych i starych Jahusów, ale widząc, że mały jest wolny i zdrowy (gdyż biegł do nich z największą szybkością) i że skarogniady znajduje się w bliskości, żaden z nich nie odważył się do mnie przybliżyć. Dostrzegłem, że ciało tego małego zwierza niezmiernie śmierdziało, podobnie do odoru lisa pomieszanego z odorem łasicy, nawet daleko jeszcze obrzydliwie). Zapomniałem o jednej okoliczności (i czytelnik przebaczyłby mi z chęcią, gdybym o niej całkiem zamilczał): gdym trzymał tego małego potwora na rękach, wypróżnił się na mój ubiór, zalewając mnie żółtymi ekskrementami rzadkiej konsystencji; szczęściem, był w bliskości strumień, gdzie się czysto obmył; nie ośmieliłem się jednak stanąć przed moim panem, aż się należycie przewietrzyłem.

Podług wszystkich, które robiłem, spostrzeżeń Jahusy zdają się być najniepojętniejszymi zwierzętami, nie potrafią nic innego robić poza ciągnięciem i noszeniem ciężarów. Zdaje mi

się jednak, że wada ta pochodzi jedynie z przewrotnego i krnąbrnego ich charakteru. Są niezmienne chytre, złośliwe, podstępne i chciwe zemsty. Są bardzo silne i mocne, ale zarazem bojaźliwe, skutkiem czego są bezczelne, podłe i okrutne. Rude obojga płci są daleko lubieźniejsze i złośliwsze od drugich, przewyższają je jednak w sile i pracowitości.

Houyhnhnmowie trzymają te zwierzęta, używane do roboty, w stajniach nie bardzo od domu odległych, resztę zaś wypędzają na pewne pola, gdzie Jahusy wykopują korzenie, jedzą różne zioła, szukają padliny, a czasem łapią łasice i *luhimuhy* (gatunek dzikich szczurów), które z wielką chciwością pożerają. Natura uczy je wydrążyć pazurami głębokie jamy na spadzistej stronie pagórków, gdzie robią sobie legowiska; samice sporządzają daleko obszerniejsze, żeby się w nich kilka młodych pomieścić mogło.

Od dzieciństwa pływają jak żaby i mogą zostawać bardzo długo pod wodą, gdzie łapią ryby, które samice do domu dla swych młodych zabierają. Przy tej sposobności niech mi czytelnik pozwoli opowiedzieć dziwną bardzo awanturę.

Raz, gdy znajdowałem się w polu z moim obrońcą skarogniadym, poprosiłem go, by mi pozwolił wykapać się w pobliskiej rzece, bo było bardzo gorąco. Przyzwolił, a ja natychmiast, rozebrawszy się do naga, wszedłem do wody. Młoda samica Jahu, zobaczywszy mnie, zapłonęła żądzą, zbliżyła się i skoczyła w wodę na jakie dwa i pół pręta od miejsca, gdzie się kąpałem. Nigdy w życiu nie zaznałem podobnego strachu. Skarogniady spokojnie szczypał trawę w niejakej odległości, nic złego nie podejrzewając. Zaczęła mnie ścisnąć z całej mocy. Krzyczałem, ile sił, na co przybiegł skarogniady, a ona wypuściła mnie z największym żalem z objęć i zaraz uciekła na przeciwny brzeg, gdzie stała przez cały czas, jak się ubierałem, i wyła żałośnie.

Ten śmieszny przypadek, rozpowiadany w domu, mocno rozbawił mego pana i całą jego rodzinę, ale mnie nabawił niewypowiedzianego wstydu, nie mogłem bowiem dłużej zaprzeczać, iż jestem prawdziwym Jahusem w każdym członku ciała, jako też w rysach twarzy, gdyż samice czuły do mnie skłonność jak do stworzenia swego rodzaju. Nie była nawet ruda, przez co mógłbym się uniewinnić, że to z nienaturalnej pochodziło skłonności, lecz czarna jak kruk, i nie tak paskudna jak wszystkie inne, które mi się widzieć zdarzyło, tak iż zdaje mi się, że więcej jak jedenaście lat mieć nie mogła.

Ponieważ mieszkałem tam przez całe trzy lata, bez wątpienia czytelnik mój ode mnie czeka, abym na wzór wszystkich podróżujących obszernie mu opisał obyczaje, poglądy i sposoby życia mieszkańców tego kraju.

Szlachetni Houyhnhnmowie rodzą się z wielką do cnoty skłonnością i nie mają nawet wyobrażenia, czym jest zło u rozumnych stworzeń, stąd pierwszą u nich zasadą jest doskonalić swój rozum i mieć go za przewodnika we wszystkich sprawach. U nich rozum nigdy nie wydaje nauk nowych, osobliwszych jak u nas, nigdy nie układa dowodów, równie utrzymujących rzeczy sobie przeciwne. Nie wiedzą oni, co to jest podawać wszystko w wątpliwość, co utrzymywać poglądy dzikie, nauki nieuczciwe i szkodliwe. Cokolwiek mówią, wszystko w sobie zawiera przekonanie umysłu, bo nic nie mówią ciemnego, nic wątpliwego, nic, co by namiętności lub korzyść w fałszywą postać przyodziewały.

Pamiętam, jak ciężko było wytłumaczyć memu panu, co ja rozumiałem przez mniemanie i jak to być może, iż my często sprzeczamy się i rzadko kiedy bywamy jednego zdania.

– Rozsądek – powiedział mój pan – uczy nas zaprzeczać lub twierdzić tam tylko, gdzie mamy pewność, bez dokładnej zaś znajomości rzeczy jedno i drugie jest niepodobieństwem.

Dysputy więc, sprzeczki i kontrowersje są złem nie znanym u Houyhnhnmów. Wyśmiał mnie, jakem mu opowiedział różne systema naszej filozofii natury, dziwiąc się, że stworzenie, co się rozumnym mieni, może opierać mniemanie o sobie na dociekaniach innych ludzi, a także rozmyślać o materiach, w których wiedza, choćby i pewna, na nic się nie zda.

Piękna była filozofia konia tego. Sokrates nigdy rozsądniej od niego nie rozumował, jak to wiemy od Platona, tego księcia filozofów. Często myślałem, jakie byłyby skutki, gdybyśmy

szli za jego zdaniem. Ale naówczas co by się stało z bibliotekami Europy, w co by się obróciła sława naszych mędrców? Przyjaźń i uczynność są głównymi cnotami Houyhnhnmów, a nie są to przymioty jednostek, lecz całej tej rasy. Obcy, z najodleglejszej okolicy kraju przybywający, doznaje tak dobrego przyjęcia jak najbliższy sąsiad, wszędzie, gdzie tylko przychodzi, postępuje sobie, jakby był u siebie w domu. Houyhnhnmowie zachowują jak najcisłej przystojność i grzeczność, ale nie znają wcale komplementów.

Ku swoim źrebiętom nie mają ślepej miłości, troskliwość wszelako, z jaką im jak najlepsze dają wychowanie, pochodzi z przepisów rozumu. Dostrzegłem, iż pan mój miał równą przychylność ku dzieciom sąsiada jak ku własnym; utrzymują, że natura wymaga, aby kochano cały rodzaj bez wyjątku, i że tych tylko najbardziej szanować i kochać należy, którzy się niezwykłą cnotą odznaczają.

Jeżeli samica Houyhnhnmów wydała na świat po jednym źrebięciu z obu płci, nie przypuszcza więcej do siebie samca swego, wyjąwszy kiedy im to źrebię przez nieszczęśliwy przypadek umiera, co się jednak bardzo rzadko zdarza. Jeżeli takie nieszczęście spotyka Houyhnhnma, którego samica nie jest już w wieku zdatnym do rodzenia, natenczas inna para daje mu swoje źrebię i potem żyje ze sobą, aż narodzi inne. Ta okoliczność jest potrzebna, ażeby kraj zanadto się nie zaludniał. Niższa rasa Houyhnhnmów, do posług kształcona, nie jest w tym tak ściśle ograniczona, mogą mieć po troje źrebiąt z każdej płci, które potem przyjmują służbę u znakomitszych familii.

Małżeństwa są u nich dobierane z wielką starannością, aby uniknąć niemiłej mieszaniny maści. U samców cenią najwyżej siłę, u samic nadobność, a to nie przez wzgląd na miłość, lecz by rasę od wyrodzenia uchronić. Jeżeli która samica odznacza się siłą, szukają jej męża, który by wyróżniał się pięknnością.

Galanteria, miłostki, podarki, zapisy i dożywocia nie są im znane i nawet słów nie mają na to. Młoda para łączy się za wolą rodziców i przyjaciół. Tak bywa zawsze i uważają to za jedynie zgodne z rozumem. Rozerwanie małżeństwa i każdą inną niemoralność mają za rzecz niesłychaną i młoda para przepędza razem całe swoje życie, przejęta równą ku sobie życzliwością i przyjaźnią, jaką mają dla wszystkich swoich współbraci. Zazdrość, pieszczoty, kłótnie, nieukontentowanie lub niespokojność są im równie nieznajome.

Metoda Houyhnhnmów wychowywania młodzieży płci obojga godna jest podziwu i naśladowania. Nie wolno źrebiętom tknąć ani ziarenka owsa okrom pewnych dni, póki osiemnastego roku nie dosięgły, również mleko dostają bardzo rzadko. W lecie pasą się przez dwie godziny rano i wieczór, co też czynią ich rodzice. Służący używają tylko połowy tego czasu, i część trawy, z której się żywią, przynoszą sobie do domu, ażeby mogli zjeść w czasie wolnym od roboty.

Umiarkowanie, pilność, ćwiczenie ciała i ochędóstwo są bez przerwy młodzieży obojga płci wpajane. Pan mój uważał za szkaradne takie postępowanie, iż dajemy niewieście naszej płci różne od męskiej wychowanie, wyjąwszy kilka punktów tyczących się gospodarstwa. Przez to, mówił, połowa mieszkańców naszego kraju do niczego więcej nie jest zdatna, jak do wydawania dzieci, a to, że ich wychowanie powierzamy tak nieużytecznym stworzeniom, jest jeszcze jednym dowodem okrucieństwa.

Houyhnhnmowie kształcą w swojej młodzieży siłę, zręczność i odwagę, ćwicząc ją w bieganiu po spadzistych pagórkach i kamienistej ziemi. Skoro się mocno spocą, muszą się nurzać aż po szyję w stawie lub rzece. Cztery razy w roku zgromadza się młodzież pewnych kantonów dla pokazywania swych postępów w bieganiu, skakaniu i innych dowodach siły i zręczności; zwycięzcy nagradzani są pieśnią, układaną na ich cześć. W czasie uroczystości służba pędzi w pole gromady Jahusów, obławowane sianem, owsem i mlekiem na ucztę dla zgromadzonych Houyhnhnmów. Lecz przed zaczęciem uroczystości odpędzają je stamtąd, aby nie budziły odrazy i nie zakłócały spokojności zgromadzenia.

Co czwarty rok w czasie wiosennego porównania dnia z nocą odprawiają zgromadzenie całego narodu na wielkiej równinie o dwadzieścia mil od naszego domu odległej i trwa ono pięć lub sześć dni. Wypytyują wtedy o stan różnych kantonów, czy mają pod dostatkiem siana, owsa, krów i Jahusów, czy też cierpią w tym niedostatek. W takim wypadku (a nader rzadko się to zdarza) niedostatek zniesiony zostaje przez wspomóżenie jednomyślne i dobrowolne całego zgromadzenia. Zajmują się też rozporządzeniami tyczącymi się dzieci, na przykład, jeżeli Houyhnhnm ma dwoje dzieci płci męskiej, mienia się z jednym ze swoich współbraci mającym dwoje płci żeńskiej; jeżeli jedno dziecko przez przygodę zginęło, a matka nie jest już w wieku płodności, postanawiają, która familia kantonu ma spłodzić inne dziecko, aby uzupełnić stratę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wielka rozprawa na zgromadzeniu powszechnym Houyhnhnmów i co na nim zostaje uchwalone. Uczoność Houyhnhnmów. Ich sposób budowania. Pogrzeby. Ułomność ich języka.

Podczas mojego mieszkania w kraju Houyhnhnmów, na prawie trzy miesiące przed moim stamtąd odjazdem, było powszechne całego narodu zgromadzenie, czyli niejaki gatunek parlamentu, na który pan mój był z kantonu swego jakoby deputowanym. Na tym zgromadzeniu wszczęła się na nowo rozprawa, niezliczone już razy powtarzana i będąca jedyną kwestią dwojącą umysły Houyhnhnmów. Pan mój za powrotem swoim opowiedział mi, co się na zgromadzeniu wydarzyło.

Szło o zdecydowanie, czy potrzeba wygubić rodzaj Jahusów. Jeden z członków twierdził, że trzeba, i opierał zdanie swoje na dowodach bardzo gruntownych i mocnych. Utrzymywał, że Jahu jest stworzeniem najbrudniejszym, najhańsliwszym i najbrzydszym, jakie tylko natura mogła wydać, złośliwym i krnąbrnym; że wysysa ukradkiem mleko z wymion krów należących do Houyhnhnmów, zabija i pożera ich koty, rozdeptuje owies i trawę, jeśli się go najściślej nie pilnuje, i dopuszcza się niezliczonych innych rozwiązłości. Przypomniał dawne podanie, podług którego Jahusy nie były od czasów dawnych, ale dopiero w pewnym wieku ukazało się ich dwoje na jednej górze. Nie jest pewne, czy uformowały się z gliny klejowatej przez siłę słonecznych promieni, czy się wylęgły w jakim błocie, czy powstały z nieczystej piany morskiej. Z tych dwóch Jahusów narodziło się wiele innych i tak się ich gniazdo rozmnożyło w krótkim czasie, że poczęło zagrażać całej nacji. Dla uwolnienia kraju od tej plagi uchwalili niegdyś Houyhnhnmowie powszechne na nich polowanie; złapawszy całe stado, starych wytracili, a z młodych każdy Houyhnhnm wziął sobie po dwoje do swej stajni i oswoiwszy je, o ile tylko można oswoić zwierzę tak złośliwe, używał do wożenia i dźwigania ciężarów. Dodał, że podanie to zdaje mu się prawdziwe, gdyż Jahusy nie mogą być *yinh-niamshy* (pierwotni mieszkańcy) kraju, bo w tym razie nie mogłyby być tak znienawidzone przez Houyhnhnmów i wszystkie inne stworzenia, a ta gwałtowna nienawiść, dostatecznie usprawiedliwiona przez ich złe przymioty, już by dawno doprowadziła do wygubienia Jahusów, gdyby tu pierwsi mieszkali. Mieszkańcy tego kraju bardzo nieroztropną myśl do głowy przypuścili, kiedy przedsięwzięli używać do pracy Jahusów, a zaniedbali osły, bydłęta ładne, spokojne, nie śmierdzące, zdadne do pracy, łatwe do wyżywienia, choć ustępujące Jahusom w zręczności ciała. Nie mają one innej przywary prócz nieco nieprzyjemnego głosu, który wszelako miłszy jest niżeli straszliwe wycie Jahusów.

Gdy także wielu innych senatorów powiedziało różnie a bardzo wymownie w tej samej materii, pan mój podał arcyrozsądny sposób, którego myśl ja mu poddałem w rozmowach moich. Z początku potwierdził podanie pospólstwa i umocnił, co „zacny członek” o historii tej mądrze przed nim powiedział. Ale przydał, że zdaniem jego, dwoje Jahusów, o których uczyło podanie, przybyło z jakiegoś kraju zamorskiego, wyszło na ląd, a widząc się opuszczonymi przez swoich towarzyszy, schroniło się między góry i lasy, potem natura ich się odmieniła, stały się dzikimi, srogimi i wcale odmiennymi od tych, co mieszkają w krajach odległych. Dla mocniejszego wsparcia swego zdania rzekł, iż miał u siebie od niejakiego czasu jednego osobliwszego Jahusa (miał mnie na myśli), o którym członkowie zgromadzenia zapewne słyszeli, a niektórzy go widzieli własnymi oczami. Opowiedział natenczas, jak mnie znalazł i jak ciało moje było okryte sztucznymi włosami i skórą różnych zwierząt, że miał mój język właściwy i że się ich języka doskonale wyuczył, że opowiadałem mu, jakem się dostał do ich kraju, że mnie widział obnażonego i uważał, że ze wszystkim byłem prawdziwym Jahusem, tylko że skórę mam bielszą, mniej włosów i zbyt krótkie pazury.

– Ten cudzoziemski Jahu – przydał – chciał we mnie wmówić, że w jego kraju i w wielu innych, w których się znajdował, Jahusy są zwierzętami panującymi, a Houyhnhnmowie żyją w nędzy i niewoli. Ma on wprawdzie wszystkie własności naszych Jahusów, ale potrzeba przyznać, że jest nieco obyczajniejszy, a to przez niejakie światelko rozumu. Nie rozumuje on zupełnie tak jak Houyhnhnmowie, lecz przynajmniej ma poznanie i oświecenie daleko większe od naszych Jahusów. Ale oto jest, panowie moi, coś, co was zadziwi i na co, proszę, miejcie pilną uwagę. Dacież temu wiarę? Upewnił mnie, że w jego kraju kastrują Houyhnhnmów od lat młodych, co ich czyni spokojniejszymi i powolniejszymi, i że ta operacja łatwa jest i bez wszelkiego niebezpieczeństwa. Będzie to hańba, panowie moi, że niektóre weźmiemy od zwierząt nauki i za pożytecznym ich pójdziemy przykładem? Czyliż nie uczy nas mrówka dowcipu i przezorności, a jaskółka (tak tłumaczę słowo *lyhannh*, chociaż ptak ten jest daleko większy) nie dałaż nam pierwszych początków budowania domów? Wnoszę zatem, że bardzo przyzwoicie możemy wprowadzić zwyczaj kastrowania młodych Jahusów. Jahusy, tym sposobem rzezane, będą łagodniejsze, pokorniejsze, powolniejsze, a tym samym powoli wygubimy cały ten rodzaj. Zdałoby się teraz zachęcić wszystkich, aby z wszelką usilnością starali się chować osiołki, które ze wszech miar są bez porównania lepsze od Jahusów, a nadto można nimi pracować od lat pięciu, gdy tymczasem Jahusy do niczego się nie nadają do lat dwunastu.

To było wszystko, czego się od pana mego dowiedziałem z rady parlamentowej, ale nie powiedział mi jednej okoliczności, która się mnie osobiście tyczyła i której wkrótce opłakanych doznałem skutków, jak to czytelnik w stosownym miejscu wyczyta. Z tego zdarzenia wypływają wszystkie następne nieszczęścia mojego życia, ale nim to opiszę, trzeba mi jeszcze nieco powiedzieć o charakterze i zwyczajach Houyhnhnmów.

Houyhnhnmowie nie mają książek, nie umieją ani czytać, ani pisać, a zatem całą ich umiejętnością jest ustne podanie. A że naród ten jest spokojny, zjednoczony, cnotliwy, rozumny i żadnej z narodami obcymi nie ma styczności, przypadki wyjątkowe są w tym kraju rzadkie i wszystkie ich historie mogą się łatwo w podaniu bez obciążenia pamięci zachować.

Wspomniałem już, że nie znają chorób, i dlatego u nich nie ma doktorów. Kiedy kaleczą sobie kopyta na ostrych kamieniach lub ciało sobie potłuką, umieją sami się leczyć, znając doskonale lekarskie krzewy i zioła.

Lata obliczają podług obrotów Księżyca i Słońca, podziału zaś na tygodnie nie używają. Są dokładnie obznajomieni z poruszaniem się tych dwóch ciał niebieskich i znają przyczyny ich zaćmień; do tego ogranicza się cała ich znajomość astronomii.

Ich poezja jest arcypiękna, a prześcignęli w niej innych śmiertelnych. Przyjemność i stosowność podobieństw, obfitość i dokładność opisanego, związek i żywość wyobrażeń są nieporównane w ich poezji. Ich wiersze zawierają szczytne myśli o przyjaźni i życzliwości albo chwałę zwycięzców w wyścigach i innych ćwiczeniach ciała.

Ich budowle, choć proste i niekształtne, są jednak bardzo wygodne i tak urządzone, iż najlepiej ochraniają przed gorącem i zimnem. Mają w swoim kraju gatunek drzewa, które doszedłszy czterdziestego roku traci moc w korzeniu i przy najmniejszej burzy obala się, pień jego jest bardzo prosty i Houyhnhnmowie robią go spiczastym za pomocą ostrych kamieni, gdyż użytek żelaza jest im nie znany. Takie pnie wbijają w ziemię w odległości dziesięciu cali od siebie i przestrzenie między nimi zapełniają plecioną słomą lub wikliną. W ten sposób robią sobie dach i drzwi do domów swoich.

Houyhnhnmowie używają wklęsłej części swej nogi między pięcą i kopytem jak my rąk naszych, a to z trudną do uwierzenia zręcznością. Widziałem, jak młoda klacz z naszej rodziny nawlekała tym stawem igłę, którą jej w tym celu pożyczyłem. Mogą doić swoje krowy, zbierać z pola owies i wszystkie ręczne odbywać czynności. Mają gatunek twardego kamienia, który przez tarcie o inne kamienie ostrzą i robią sobie z niego różne instrumenty, służące im za siekiery, kliny i młoty; z tych kamieni sporządzają też sierpy do żęcia owsa i siana, rosnących na ich polach, po czym ładują snopy na wozy, które Jahusy ciągną do domu. Tam służący depczą je w wystawionych do tego budynkach tak długo, aż się oddzieli ziarno, które chowają w osobnych magazynach. Sporządzają też prosty gatunek drewnianych i glinianych naczyń i te ostatnie suszą na słońcu.

Wyjawszy nieszczęśliwe wypadki, umierają tylko ze starości i grzebani są w najdalszych zakątkach. Gdy który Houyhnhnm umiera, nikogo to ani nie smuci, ani cieszy. Najbliżsi jego krewni, najlepsi przyjaciele suchym i obojętnym okiem patrzą na jego pogrzeb. Umierający nie żałuje, że świat opuszcza, zdaje się, jakby kończył wizytę i jakby żegnał kompanię, z którą się przez długi czas bawił.

Pamiętam, że raz pan mój zaprosił jednego z przyjaciół z całą rodziną dla jakowegoś ważnego interesu. Dziwowaliśmy się nie widząc kompanii na czas umówiony, na koniec przychodzi sąsiadka z dwoma swymi synami. „Proszę – mówi – darować mi to opóźnienie, ponieważ dziś rano nieprzewidzianym przypadkiem mąż mój *chnuwnh* (bardzo dobitne wyrażenie w ich języku, które nie da się dobrze na angielski przetłumaczyć. Oznacza ono mniej więcej „powrócić do pierwszej swej matki”). Tłumaczyła się, że wcześniej przybyć nie mogła, gdyż straciwszy rano męża, naradzała się ze służbą, jak dobrej żonie przystało, co do miejsca, gdzie go pochować należy. Była wesoła przez cały ten czas, gdy bawiła w domu pana mego, jak i reszta kompanii. Po trzech miesiącach sama umarła.

Houyhnhnmowie pospolicie siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć, a niektórzy osiemdziesiąt lat żyją. Na kilka tygodni przed śmiercią prawie wszyscy przewidują swój koniec i bynajmniej się tym nie trwożą. Natenczas przyjmują wizyty i powinszowania od wszystkich swoich przyjaciół, którzy im życzą dobrej podróży. Dziesięć dni przed skonaniem, którego czas prawie zawsze umieją trafnie wykalkulować, odwiedzają swoich sąsiadów, niesieni w wygodnym krześle przez Jahusów. Takich krzeseł używają nie tylko przy podobnej okazji, ale na starość, w dalekich podróżach albo gdy wypadkiem okuleją. Houyhnhnmowie składając te wizyty żegnają ceremonialnie wszystkich przyjaciół, jakby udawali się w odległą część kraju dla przepędzenia tam reszty życia.

Muszę w tym miejscu nadmienić, że Houyhnhnmowie nie mają w swym języku słów, którymi by wyrażali złość, a tylko używają podobieństw, wziętych od brzydoty i złych cech Jahusów. Tak gdy chcą wyrazić głupstwo którego ze służących, wykroczenie którego ze swych dzieci, kamień, o który się przytrafi potknąć, zły czas i inne rzeczy podobne, wymieniają tylko rzecz samą i dodają przymiotnik Jahu. Na przykład dla wyrażenia tych wszystkich uczuć powiedzieliby: *hnum Jahu*, *whnaholm Jahu*, *ynihmnadwihma Jahu*, dla wyrażenia jakiego domu źle zbudowanego powiedzieliby *ynholmhnmrohnnw Jahu*.

Jeżeli kto o zwyczajach i obyczajach Houyhnhnmów zechce wiedzieć więcej, proszę, niech zaczeka, aż wyjdzie księga, którą w tej materii gotuję. Nim to nastąpi, upraszam *publicum* przestać na tym krótkim opisanu i pozwolić, abym kończył resztę przypadków moich.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gospodarstwo domowe Gulliwera w kraju Houyhnhnmów. Ukontentowanie, którego w ich towarzystwie doznaje. Jego wielkie postępy w cnocie przez obcowanie z tym narodem. Ich rozmowy. Gulliwier powiadomiony zostaje przez swego pana, że musi kraj opuścić. Wpada z boleści w wielkie zemdlenie, poddaje się jednak swemu nieszczęściu. Przy pomocy jednego ze służących sporządza sobie małe czółno i na ślepy los puszcza się nim na morze.

Zawszem się kochałem w porządku i ekonomii, a w jakimkolwiek znajdowałem się stanie, zawszem sobie z namysłem układał sposób życia. Pan mój wyznaczył mi na pomieszczenie miejsce o sześć kroków od swego domu. Wyszukałem glinę, z której ulepiłem cztery ściany i podłogę, i pokryłem chatę moją sitowiem, które sam splotłem. Nazbierałem także konopi na polu, te wytlukłszy uprzadłem nici, zrobiłem z nich wór i wypchawszy go pierzem ptaków, które złapałem w sidła sporządzone z włosów Jahusów, miałem miękką i wygodną pościel, nadto znakomite z tych ptaków pożywienie. Z pomocą skarogniadego zrobiłem stół i krzesło, używając do tego mego noża. Gdy się odzienie moje do szczytu zdarło, zrobiłem sobie nowe ze skórek królików i innych zwierzątek, nazwanych w tym kraju *nnuhnoh*, które są arcypiękne, takiej prawie wielkości jak króliki, a sierść mają bardzo delikatną. Z tychże zwierzątek zrobiłem sobie pończochy dosyć przyzwoite. Naprawiłem trzewiki, podkładając korę z pewnego drzewa pod podeszwy, a gdy się podeszwy zdarty, zrobiłem nowe ze skóry Jahusów, suszonej na słońcu. Zbierałem czasem miód w dziuplach i jadłem go z moich chlebem owsianym. Nikt nigdy ode mnie lepiej nie doświadczył, że natura niewiele potrzebuje i że potrzeba jest matką wynalazku.

Zdrowie mi służyło doskonale. Nic mi nie mieszało spokojności umysłu. Nie martwiłem się niestatecznością lub zdradą przyjaciół albo krzywdą jawnych i ukrytych wrogów. Nie trzeba mi było nadskakiwać, przekupywać lub rajfurzyć jakiemu wielkiemu panu lub jego kochance dla zjednania sobie jego protekcji i łaski. Nie miałem potrzeby bronić się przeciw oszustwu i uciemżeniu. Nie było w tym kraju ani doktorów, którzy by mnie struli, ani prawników, którzy by mnie zniszczyli, ani szpiegów, którzy by czatowali na moje słowa lub wymyślali na mnie skargi za pieniądze. Nie byłem tam otoczony przez szyderców, obmówców, potwarców, włamywaczy, oszustów, graczy, adwokatów, wielomówców, polityków, samochwałów, mędrków, rajfurów, gwałcicieli, zuchwalców, złośników. Nie było przywódców ni zwolenników partii lub stronnictw politycznych. Nikt nie zachęcał mnie do zła namową lub przykładem. Nie ma tam więzień, toporów, szubienic, słupka i pręgierza, nie ma tam kupców i rzemieślników oszukujących, nie ma pychy, próżności i afektacji, nie ma hultai,

łotrów, złodziei, filutów, nie ma galantów, niewieściuchów, zalotników, nie ma głupców, grubianów i zuchwalców, nie ma gnuśnych próżniaków, fircyków i fanfaronów, nudnych świegotów, obmierzłych pijaków, nie ma dziewczek i kiły, kłótliwych, niewiernych i kosztownych żon, głupich i dumnych pedantów ani natrętnych, krzykliwych, zarozumiałych towarzyszy. Nie było łotrów, którzy wyszli z rynsztoka przez swoje występki, ani szlachetnych ginących przez swoje cnoty, nie było lordów, skrzypków, sędziów i tancmistrzów.

Miałem honor bawić często z ichmość panami Houyhnhnmami przychodzącymi do domu pana mego, który przez dobroć swoją zawsze pozwalał, żebym się i ja znajdował na sali dla korzystania z ich rozmów. Czasem łaskawa kompania zadawała mi pytania, na które odpowiadałem. Asystowałem także panu, kiedy szedł z wizytą, ale zawsze milczałem, przynajmniej jeśli mnie o co nie zapytano, a odpowiadając czułem żal wewnętrzny, że czas tracę, w którym mógłbym się doskonalić. Słuchałem wszystkiego z wielkim ukontentowaniem, i cokolwiek słyszałem, wszystko było miłe i pożyteczne, powiedziane w krótkich a pełnych znaczenia słowach. Najdokładniejszą przyzwoitość zachowywano bez ceremonii. Każdy mówił i słuchał, co mu się podobało, nie przerywano sobie mowy, nie nudzono rozwlekłym opowiadaniem, nie sprzeciwiano się, nie przymawiano sobie.

Mieli za maksymę, że w posiedzeniu dobra rzecz jest, żeby niekiedy panowało milczenie, i słusznie. Przez ten bowiem czas umysł napełnia się nowymi wyobrażeniami i staje się potem rozmowa gruntowniejsza i żywsza. Rozmowy ich pospolicie bywały o pożytkach i przyjemności przyjaźni, o porządku i gospodarstwie, niekiedy o widocznych działaniach natury, o dawnych podaniach, o własnościach i granicach cnoty, o nieodmiennych rozumu prawidłach, czasem o radach parlamentowych, często o chwale swych poetów i o istocie dobrej poezji.

Mogę się bez próżności poszczycić, że i ja niekiedy bywałem materią ich arcypięknego rozumowania. Pan mój bowiem bawił towarzystwo opowiadaniem moich przypadków i dziejów kraju mego, przy czym czynili uwagi nie najprzychylniejsze narodowi ludzkiemu, i dla tej przyczyny o nich zamilczę. Powiem tylko, że mój pan zdawał się lepiej poznawać naturę Jahusów w innych częściach świata, aniżeli ich ja znać mogę. Odkrywał źródło wszystkich naszych zdrożności, dochodził przyczyn naszych głupstw i występków, zgadywał nieskończoną liczbę rzeczy, o których nigdy mu nie powiadałem. To nie powinno zadziwiać. Znał z gruntu Jahusów swego kraju, wnosząc więc, jak by się zmieniła ich natura, gdyby miały nieco rozumu, wykazywał, jak wgardliwe i nikczemne musi być takie stworzenie.

Wyznam otwarcie, że to małe światelko i nieco filozofii, które teraz posiadam, zaczerpnąłem z nauk mądrych tego nieoszacowanego pana, a także z rozmów jego rozsądnych przyjaciół, z rozmów daleko szacowniejszych, aniżeli są uczone konferencje europejskich akademii. Podziwiałem siłę, piękno i chyżość mieszkańców tego kraju. Miałem dla ich cnót wszelakich najwyższe uszanowanie. Z początku nie czułem wobec nich przyrodzonego respektu, jaki żywią Jahusy i inne zwierzęta, ale rychło obudził się we mnie. Byłem przenikniony wdzięcznością za ich dobroć, że mnie między swych Jahusów nie policzyli i mniej mi przypisywali niedoskonałości niż wszystkim moim ziomkom.

Gdym sobie na pamięć przywodził moje rodzeństwo, przyjaciół, współobywateli i cały w ogólności ród ludzki, wszyscy z kształtu i charakteru zdawali mi się być prawdziwymi Jahusami, tyle tylko, że nieco więcej mieli obyczajności i posiadali dar mowy, nie używali jednak rozumu do niczego krom zwiększania zła, które ich bracia w tym kraju posiadali tylko w stopniu danym im przez naturę. Kiedy w wodzie czystej, w strumyku, zobaczyłem moją figurę, odwracałem natychmiast oczy z przerażeniem i wstrętem, nie mogąc patrzeć na siebie, i łatwiej znośłem widok pospolitego Jahusa niż mój własny. Oczy moje, przywykłe do szlachetnej postaci Houyhnhnmów, znajdowały piękność zwierzęcą tylko w nich samych. Ustawicznie na nich patrząc, często z nimi obcując, nabrałem nieco ich układności, trzymania się, chodu; i teraz, gdy się znajduję w Anglii, czasem przyjaciele moi powiadają, że jak koń stępa

chodzę, co mi się wielkim komplementem zdaje. Gdy mówię albo się śmieję, zdaje im się, że rżę. Co dzień w tej mierze ze mnie żartują, ale mnie to bynajmniej nie obchodzi.

W tym szczęśliwym stanie, gdy kosztowałem słodczy spokoju i myślałem, że zostanę na zawsze w tym kraju, przysłał po mnie mój pan raniej niż zazwyczaj. Przyszedłszy zastałem go zamyślonego i pomieszanego; chciał do mnie mówić i nie mógł ust otworzyć. Na koniec smutne milczenie przerwał tymi słowy:

– Nie wiem, jak przyjmiesz to, co ci powiem. Wiedz, iż na ostatnim parlamentowym zgromadzeniu, gdy roztrząsano rzecz o Jahusach, jeden z deputowanych przedłożył zgromadzonemu stanom, iż jest to rzecz niegodziwa i haniebna, że trzymam u siebie jednego Jahusa i postępuję z nim jak z Houyhnhnmem; że rozmawiam z nim często z ukontentowaniem, jakie mieć można tylko z obcowania z podobnymi sobie. Dowodził, że postępek ten przeciwny jest rozumowi i naturze i że nigdy jeszcze o podobnej rzeczy nie słyszano. Zatem zgromadzenie zaleciło mi, abym uczynił jedno z dwojga: albo żebym cię posłał między innych Jahusów, albo żebym cię odesłał do kraju, z któregoś przybył. Większa część członków, co cię znają i co cię widzieli u mnie, odrzucili ten dwoisty środek i utrzymywali, że przyprowadzić cię do stanu Jahusów byłoby rzeczą niesprawiedliwą i niebezpieczną, ponieważ w takim razie należałoby się obawiać, abyś im światelka rozumu swego nie udzielił, przez co może by się jeszcze gorsi stali. Nadto, policzony między Jahusów, mógłbyś ich zbuntować, wyprowadzić wszystkich w lasy lub na góry, a potem, stawszy się hersztem, spaść na Houyhnhnmów, zabijać ich bydło i gubić, gdyż należysz do rodzaju żarłocznego z natury i nienawidzącego pracy. Za tym zdaniem poszła większość głosów i zalecono mi, żebym cię niezwłocznie z kraju oddalił. Owóż dziś nalegają na mnie, abym tę uchwałę do skutku przywiódł, i już dłużej nie mogę zwłóczyć. Wątpię, żebyś mógł dopłynąć do innego kraju, przeto radzę ci zbudować mały statek, podobny do tego, jaki mi opisałeś, i takim sposobem, jakim się tu dostałeś, do swego kraju powrócisz. Wszyscy moi i sąsiadów moich służący dopomogą ci w tej robocie. Gdyby zależało ode mnie, trzymałbym cię do usług moich przez całe twoje życie, ponieważ masz dosyć dobre skłonności, poprawiłeś się z wielu przywar i złych nałogów i wszelkiego użyłeś starania, w granicach twojej niższej natury, dla przystosowania się do natury Houyhnhnmów.

Powinienem być już pierwiej nadmienić, iż dekret powszechnego zgromadzenia w tym kraju oznacza się wyrazem: *hnhioayn*, znaczącym podług najściślejszego tłumaczenia: napomnienie. Houyhnhnmowie nie mogą sobie wyobrazić, aby trzeba było przymuszać rozumne stworzenia i aby rada lub napomnienie nie były dostateczne. Żadne stworzenie nie może być nieposłuszne rozumowi bez stracenia do niego prawa.

Tą mową zostałem rażony jak piorunem. Wpadłem zaraz w smutek i rozpacz, a nie mogąc znieść uczucia żalu, zemdlałem u nóg mego pana, który zrozumiał, żem umarł, w tym kraju bowiem nikt takim błazeństwom natury nie podlega. Gdy nieco przyszedłem do siebie, rzekłem słabym i smutnym głosem:

– Śmierć zdałaby mi się wielkim szczęściem. Aczkolwiek nie mogę ganić ani uchwały zgromadzenia, ani nalegania twoich przyjaciół, wszelako podług słabego mego zrozumienia zdałoby mi się, iż można było inną jaką dla mnie obmyślić karę. Niepodobna mi Wpław puszczać się, kiedy nie przepłynę więcej niż jedną milę, a ziemia najbliższa jest może o sto mil odległa. Co się tyczy zbudowania statku, nie mógłbym potrzebnych do niego rzeczy mieć w tym kraju. Z tym wszystkim, mimo niepodobieństwa wykonania tego, co mi radzisz, chcę być posłuszny. Mam się za stworzenie na śmierć skazane. Widok śmierci nie trwoży mnie, czekam jej jak najmniejszego zła. Ale dajmy na to, że przypadkiem jakim niespodzianym przepłynę morza i do mego kraju powrócę; miałbym naówczas nieszczęście dostania się między Jahusów, musiałbym z nimi przepędzić resztę dni moich i wpadłbym znowu we wszystkie złe nałogi z braku przykładów, które by mnie utrzymały na drodze cnoty. Ale znam nadto gruntowność przyczyn, które powodowały ichmość panów Houyhnhnmów do takowej

względem mnie uchwały. Nie śmiem wytaczać przeciwko nim racji nędznego Jahu, przeto z wdzięcznością przyjmuję łaskawie obiecaną pomoc twoich i sąsiedzkich sług do zbudowania statku, proszę tylko, żebyś mi raczył pozwolić tyle czasu, ile potrzeba na dokończenie tak trudnego dzieła, które przeznaczone jest na zachowanie mego nieszczęśliwego życia. Jeżeli kiedy powrócę do Anglii, będę usiłował być pożyteczny ziomkom moim, rysując im obraz i cnoty zacnych Houyhnhnmów i podając ich za wzór całemu narodowi ludzkiemu.

Pan mój odpowiedział w krótkich słowach, iż mi pozwala dwa miesiące pracować nad zbudowaniem statku, i zalecił skarogniademu, memu kamratowi (gdyż wolno mi w Anglii dać mu to nazwisko), żeby przy robocie siedł we wszystkim za moim zarządzeniem. Powiedziałem bowiem mojemu panu, wiedząc, że skarogniady jest mi bardzo przychylny, iż dosyć mi będzie jednego służącego.

Naprzód poszedłem z nim w tę stronę, z której dostałem się do tego kraju. Wstąpiłem na górę i rzuciwszy okiem na obszerną rozległość morza, zdało mi się, jakbym między północą i wschodem widział wyspę małą. Przez teleskop dojrzałem ją należycie, o jakie pięć mil odległą. Pocziwy skarogniady mówił z początku, iż to chmura, bo nie widziawszy nigdy innej ziemi prócz tej, w której się urodził, nie mógł rozpoznać przedmiotów odległych, tak jak ja, który na morzu przepędziłem życie. Do tej wyspy udać się postanowiłem, gdy czółno będzie gotowe.

Powróciłem do domu z kamratem moim i naradziwszy się nieco, udaliśmy się do lasu, gdzie ja nożem, a on ostrym krzemieniem, bardzo sprawnie przymocowanym do drewnianego kija, wycinaliśmy pręty dębowe wielkości zwyczajnej laski. Aby nie nudził opisywaniem naszej pracy, dosyć powiedzieć, że w przeciągu niedziel sześciu zrobiliśmy czółno sposobem Indian, ale obszerniejsze, które przykryłem skórami Jahusów, pozszywanymi nicią konopną mego własnego wyrobu. Żagiel zrobiłem z takichże skór, ale wybierałem do tego skórki z młodych Jahusów, ponieważ ze starych byłyby grube i zbyt twarde. Opatrzyłem się także w cztery wiosła. Przystosowałem dosyć mięsa z królików i ptaków i dwa naczynia pełne, jedno wody, drugie mleka.

Spróbowałem czółna mego na jednym wielkim stawie i starałem się wszystkie jego wady poprawić zatykając szpary łojem Jahusów, aby mnie mogło z moim małym ładunkiem unosić. Natenczas włożyłem je na wóz, zaprząłem Jahusów i pod dozorem skarogniadego z drugim służącym zawiozłem na brzeg morski.

Gdy już wszystko było w pogotowiu i nadszedł dzień mego odjazdu, pożegnałem pana mego, imć panią małżonkę i dom cały, mając oczy zalane łzami, a serce napętnione żalem. Jego Cześć, bądź przez ciekawość, bądź przez przyjaźń, chciał widzieć mnie w czółnie i odprowadził z licznymi przyjaciółmi aż do brzegu. Musiałem czekać z godzinę na odstąpienie morza, a potem, widząc wiatr pomyślny ku wyspie, pożegnałem pana mego raz ostatni. Padłem mu do nóg pragnąc je ucałować, ale on uczynił mi honor podnosząc łagodnie swoją prawą nogę aż do ust moich. Nie dla chluby tę okoliczność wymieniam. Wiem, jak mnie za to zganiono. Oszczercy uznają to za rzecz całkiem nieprawdopodobną, by osobistość tak wspańska zniżyła się do wyróżnienia tak małego stworzenia; wiem też, że niektórzy podróżujący nigdy nie omieszkują wspomnieć o honorach, kiedy się im gdzie jakie zdarzą. Ale gdyby moi krytycy znali lepiej szlachetne i uprzejme usposobienie Houyhnhnmów, zmieniliby zdanie. Skłoniłem się z głęboką uniżonością całej kompanii i wstąpiwszy w czółno oddaliłem się od brzegu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Niebezpieczna podróż Gulliwera. Przybywa do Nowej Holandii i zamierza tam osiąść. Zraniony zostaje strzałą przez dzikiego człowieka. Zostaje złapany przez Portugalczyków i siłą załadowany na ich statek. Wielka uprzejmość kapitana. Gulliwer dostaje się do Anglii.

Zacząłem tę nieszczęśliwą podróż dnia piętnastego lutego 1715 roku o godzinie dziewiątej z rana. Choć miałem wiatr dobry z początku, jednak samych tylko wiosła użyłem. Lecz uważając, iżbym się wkrótce zmordował, a wiatr by się mógł odmienić, odważyłem się podnieść żagle i tym sposobem płynąłem prawie półtorej mili na godzinę. Pan mój ze wszystkimi Houyhnhnmami swojej kompanii stał na brzegu, póki mnie tylko mógł dojrzeć, a razy kilka usłyszałem, że mój kochany przyjaciel skarogniady wołał: „Hnuy illa nyha majan Jahu”, to jest: „Pilnuj się dobrze, szlachetny Jahu”.

Zamysłem moim było odkryć jaką wyspę pustą i bezludną, gdzie bym znalazł pożywienie i odzież. Miałbym to za większe daleko szczęście niżeli stan pierwszego ministra na jakimś dworze europejskim. Niewypowiedziany miałem wstręt powracać do Europy, gdzie musiałbym żyć w towarzystwie i pod rządem Jahusów. W tej szczęśliwej odludności spodziewałem się mile przepędzić resztę dni moich, zatapiając się w mojej filozofii, ciesząc się moimi myślami, nie będąc wystawiony na zarazę okropnych zbrodni, które Houyhnhnmowie dali mi postrzec w moim obrzydliwym rodzaju.

Może sobie przypomni czytelnik, że marynarze statku mego, zbuntowawszy się, zamknęli mnie w jednej kabinie i w tym więzieniu trzymali przez kilka niedziel, że nie wiedziałem, dokąd płynę, i że na koniec, wysadziwszy mnie na brzeg, nie powiedzieli, w jakim mnie zostawiają kraju. Sądziłem jednak naówczas, żeśmy byli o dziesięć stopni na południe od Przyładka Dobrej Nadziei, czyli pod czterdziestym piątym stopniem szerokości południowej. Wniosłem z niektórych rozmów, które na statku słyszałem, że miano myśl udania się do Madagaskaru. Choć to był tylko domysł, przedsięwziąłem kierować się ku wschodowi, spodziewając się dostać do brzegów Nowej Holandii, a potem obrócić na zachód i udać się na jedną z wysp, które się w tamtej okolicy znajdują. Wiatr był prosto ku zachodowi i około szóstej godziny wieczór mogłem wnosić, że ułynął na wschód mil blisko osiemnaście.

Postrzegłszy naówczas małą wyspę o pół mili odległą, wkrótce zawinąłem do niej. Była to szczerza skała z małą zatoką, którą zrobiły nawałnice. Przywiązałem czółno i wygramoliwszy się z jednej strony na skałę, postrzegłem od wschodu ziemię, która się ciągnęła z południa na północ. Przepędziłem noc w czółnie, a bardzo rano wzięłem się do wiosła i w siedem godzin przypłynąłem do południowo-zachodniego brzegu Nowej Holandii. To wszystko utwierdziło

mnie w mniemaniu moim, w którym od dawnego czasu zostaje, że mapy kładą kraj ten przynajmniej o trzy stopnie dalej ku wschodowi, niżeli jest w rzeczy samej. Przed wielu laty odkryłem to zdanie zacnemu przyjacielowi mojemu, panu Hermanowi Moll, ale on wolał pójść za tłumem autorów.

Nie postrzegłem mieszkańców z tej strony, gdzie wysiadłem na ląd, a nie mając przy sobie broni, nie chciałem udawać się w głąb kraju. Zebrałem nieco ślimaków na brzegu, których nie śmiałem gotować, obawiając się, żeby nie postrzegli ognia tamtejsi mieszkańcy. Przez trzy dni kryłem się w tym miejscu, żywiąc się tylko samymi ostrygami dla oszczędzenia mego szczupłego prowiantu. Szczęściem znalazłem jeden mały strumyk, w którym była woda wyborna.

Czwartego dnia, odważywszy się pójść nieco w głąb kraju, postrzegłem dwudziestu lub trzydziestu ludzi na jednym wzgórku, nie dalej jak o kroków pięćset. Mężczyźni, kobiety i dzieci, zupełnie nadzy, grzali się około wielkiego ognia. Jeden z nich postrzegł mnie i pokazał drugim. Natenczas pięciu oderwało się od kupy i udało się ku mnie. Natychmiast uciekłem ku brzegowi i dopadłszy czołna zacząłem z całych sił robić wiosłami. Dzicy ludzie gonili mnie brzegiem, a że niedaleko na morze wypłynąłem, wypuścili strzałę, która trafiła mnie w lewe kolano i głęboką uczyniła ranę, po której dotychczas jeszcze noszę bliznę. Obawiałem się, żeby strzala nie była napuszczona jadem, przeto odpłynawszy tak, że mnie dosięgnąć nie mogli, starałem się dobrze wyssać ranę, a potem obwinałem, jak mogłem, moje kolano.

Sam nie wiedziałem, co robić. Lękałem się powracać na miejsce, gdzie mnie dzicy ludzie napadli, a będąc przymuszony płynąć na północ, musiałem nieustannie wiosłami robić, gdyż wiatr był z północy i wschodu. Gdy na wszystkie strony rzucałem okiem, szukając miejsca, gdzie bym mógł wylądować, ujrzałem z północy i zachodu żagiel, który co moment rósł w moich oczach. Biłem się przez niejaki czas z myślami, czy mam się ku niemu udać, czy nie. Na koniec wstręt, który powziąłem do całego narodu Jahusów, skłonił mnie, że przedsięwziąłem wrócić się na południe do tej samej zatoki, z której wypłynąłem z rana, woląc się wystawić na wszelkie niebezpieczeństwa pożycia z dzikusami niżeli żyć z Jahusami Europy. Przyciągnąłem czołno moje jak tylko mogłem najbliżej brzegu, a sam skryłem się za małą skałą blisko strumyka, o którym mówiłem.

Statek zbliżył się do zatoki na około pół mili i wysłał szalupę z beczkami dla nabrania wody. Miejsce to znane jest żeglarzom z przyczyny strumyka. Nie postrzegłem ich, aż było za późno szukać innego schronienia. Majtkowie wysiadłszy na ląd zaraz zobaczyli moje czołno i zacząwszy je plądrować łatwo poznali, że ten, do którego należało, był niedaleko. Czterech z nich, dobrze uzbrojonych, szukało naokoło po wszystkich szparach i dziurach, na koniec znaleźli mnie za skałą, leżącego twarzą ku ziemi. Z początku zadziwili się nad moją osobą, nad moimi sukniami ze skórek królików, nad trzewikami z drzewa, nad pończochami z futra. Poznali, że nie był mieszkańcem kraju, gdzie wszyscy chodzą nadzy. Jeden z nich kazał mi wstać i spytał językiem portugalskim, com za jeden. Uczyniłem mu jak najniższy ukłon i odpowiedziałem także językiem portugalskim, który umiałem doskonale: „Jestem nędzny Jahu, wygnany z kraju Houyhnhnmów, i proszę cię, żebyś mnie puścił”.

Zadziwili się słysząc mnie mówiącego swym językiem i widząc kolor mej twarzy wnieśli, że Europejczyk, ale nie wiedzieli, co rozumiałem przez słowa Jahu i Houyhnhnm. Nie mogli też wstrzymać się od śmiechu z mego głosu, który był podobny do końskiego rżenia.

Czułem na ich widok bojaźń i nienawiść. Prosiłem ich, aby mi pozwolili odjechać, i zbliżałem się pomалу do czołna. Lecz pochwycili mnie i przymusili, abym powiedział, z którego jestem kraju, skąd płynąłem, i zadali mi wiele innych pytań. Odpowiedziałem, że narodziłem się w Anglii, skąd wyjechałem lat temu około pięciu, że wtedy pokój panował między ich krajem i moim, a przeto spodziewam się, że nie postąpią ze mną po nieprzyjacielsku, ponieważ nie życzę im nic złego; jestem biedny Jahu, który szuka jakiej bezludnej wyspy, gdzie mógłby na osobności przepędzić resztę swego nieszczęśliwego życia.

Gdy do mnie mówili, ogarnęło mnie podziwienie, zdawało mi się, że na cud patrzył. Tak mi się to zdało dziwne, jak gdybym teraz słyszał w Anglii gadającego psa lub krowę, albo Jahusa w kraju Houyhnhnmów. Odpowiedzieli mi ze wszelką ludzkością i grzecznością, abym się nie trwożył, zapewniając, że ich kapitan przyjmie mnie na swój statek bez opłaty i zawiezie do Lizbony, skąd będę mógł dostać się do Anglii; że natychmiast wyślą spomiędzy siebie dwóch do kapitana dla opowiedzenia mu przypadku i odebrania od niego rozkazu, lecz tymczasem zwiążą mnie, jeśli nie dam im słowa, że nie ucieknę. Odpowiedziałem, żeby ze mną robili, co im się podoba.

Wielką mieli ciekawość dowiedzieć się o moich przypadkach, ale ja niewiele im w tej mierze dogodziłem, przeto wszyscy wniesli, że nieszczęśliwości moje pomieszały mi rozum. Po dwóch godzinach szalupa, co płynęła do statku z wodą słodką, powróciła z rozkazem, aby mnie natychmiast przywieziono. Rzuciłem się im do nóg, prosząc, żeby mnie puszczone i nie odbierano mi wolności mojej, ale nadaremnie. Zostałem związany, wsadzony do szalupy i zaprowadzony na statek do kabiny kapitana.

Kapitan nazywał się Pedro de Mendez i był to człowiek bardzo grzeczny i ludzki. Spytał się mnie naprzód, com za jeden, a potem, co bym chciał jeść i pić. Upewnił mnie, iż będę traktowany jak on sam, i tyle mi naopowiadał grzeczności, że zdumiałem się, widząc tyle dobroci u Jahusa. Z tym wszystkim miałem minę ponurą i niekontentą, a odór jego i jego ludzi mało mnie w zemdle nie wprawił. Na wszystkie jego słowa, pełne ludzkości, odpowiadałem tylko, że mam co jeść w moim czółnie. Mimo tej odpowiedzi kazał mi dać kurczę i bardzo dobrego wina, potem kazał mi dać łóżko w bardzo wygodnej kajucie. Gdy mnie do niej zaprowadzono, położyłem się na koi, tak jak stałem, w odzieniu. Po jakimś czasie, gdy wszyscy marynarze jedli obiad, wypadłem z izby myśląc rzucić się w morze i uciekać wpław, aby nie być przymuszony żyć z Jahusami, ale jeden z żeglarzy ubiegł mnie, a kapitan dowiedziawszy się o moich zamysłach rozkazał mnie zamknąć w kajucie. Po obiedzie przyszedł do mnie Don Pedro i chciał się dowiedzieć o przyczynie, która mną powodowała do przedsięwzięcia ucieczki. Upewnił mnie, że wszystkie, jakie tylko jest w stanie, wyrządzi mi przysługi, i mówił sposobem tak tkliwym i przyjaznym, że zacząłem nań patrzeć jak na stworzenie nieco rozumne. Opowiedziałem mu w krótkich słowach historię mojej podróży, zbuntowanie się moich żeglarzy i wysadzenie mnie na nieznajomy brzeg. Na koniec, że przepędziłem trzy lata między Houyhnhnmami, którzy są końmi gadającymi, rozumującymi i rozumnymi. Kapitan wszystko to poczytał za przywidzenia i kłamstwa, co mnie niewypowiedzianie uraziło. Rzekłem mu, iż zapomniałem kłamać od czasu, jak porzuciłem europejskich Jahusów, że u Houyhnhnmów nie kłamią nawet dzieci i słudzy, że w końcu wolno mu wierzyć lub nie. Przez wdzięczność jednak za wyświadczone mi dobrodziejstwa chcę mieć wzgląd na jego zepsutą naturę i odpowiedzieć na każdy przez niego uczyniony zarzut, tak iż łatwo o prawdę będzie się mógł przekonać.

Kapitan, człowiek rozsądny, uczyniwszy mi wiele kwestii dla doświadczenia, czy się w odpowiedziach z czym nie wydam, i zobaczywszy, iż wszystkie moje odpowiedzi są słuszne, zaczął lepsze o szczerości mojej mieć rozumienie. Przydał:

– Ponieważ tak bardzo się szczycisz przywiązaniem do prawdy, chcę, żebyś mi dał słowo, iż będziesz ze mną zostawać przez całą podróż, nie myśląc sobie życia odbierać, inaczej każe cię zamknąć, aż cię nie przyprowadzę do Lizbony.

Przyrzekłem mu to, czego żądał, ale oświadczyłem, iż wolę największe przykrości niżeli powrót między Jahusów.

Przez całą naszą podróż nic się nie przytrafiło godnego uwagi. Dla okazania kapitanowi, jak czule przyjmowałem jego ludzkość, bawiłem się z nim czasem przez wdzięczność i natenczas usiłowałem ukryć wstręt mój do całego narodu ludzkiego. Wszelako czasem wypadały mi słowa zgryźliwe i szydercze, na które on jakoby nie zważał. Ale większą część dnia przepędzałem samotny w mojej kajucie i do żadnego z żeglarzy mówić nie chciałem.

Kapitan razy kilka przymuszał mnie, abym zdjął z siebie odzienie królicze, i ofiarował mi jedną z najlepszych swych sukni, ale podziękowałem za jego dary wzdragając się wkładać to na siebie, czego używał Jahu. Prosiłem go tylko o pożyczenie dwóch koszul, które były uprane, więc nie obawiałem się, że mnie splugawią. Kładłem na siebie jedną po drugiej co drugi dzień i sam je z wielką troskliwością prałem.

Przybyliśmy do Lizbony piątego listopada 1715 roku. Naówczas kapitan przymusił mnie do włożenia swego płaszcza, aby nas hultajstwo na ulicach nie wyśmiewało. Zaprowadził mnie do swego domu i dał mi na prośbę moją izbę na poddaszu, w najodleglejszym kącie, wychodzącą na podwórze. Prosiłem go także, aby nie wspominał nikomu, com mu o Houyhnhnmach powiedział, ponieważ gdyby się o przypadkach moich dowiedziano, nie dałbym sobie rady z wizytami ciekawych. Mógłbym zostać uwięziony i spalony przez Inkwizycję.

Kapitan namówił mnie, abym włożył nowe suknie, lecz nie chciałem pozwolić krawcowi, ażeby mi wziął miarę, ponieważ jednak Don Pedro był tej samej co ja postury, przeto ubiór, zrobiony podług wziętej z niego miary, dobrze mi pasował. Opatrzył mnie i innymi potrzebami, które przez dwadzieścia i cztery godziny przewietrzałem, nim mogłem użyć.

Kapitan, nie będąc ożeniony, miał tylko do usług swoich trzech służących, lecz żadnemu z nich nie pozwolił usługiwać nam przy stole; tak był względem mnie grzeczny, tyle miał rozsądku, że mi towarzystwo jego nie było nieznośne. Namówił mnie, że z czasem wysadziłem głowę przez okno dachowe. Po jakimś czasie przeprowadzono mnie na niższe piętro, do innej izby, w której okno było na ulicę. Z początku, skorom się do okna zbliżał, natychmiast nazad się cofałem, tak oczy moje widok ludu obrażał. Nareszcie, po tygodniu, tyle dokazał nad dzikością moją, że mnie namówił zejść na dół i usiąść u drzwi. Strach mój zmniejszył się, ale nienawiść i pogarda wzrastały. Odważyłem się w końcu przypatrywać przechodzącym i niekiedy przechadzać się z kapitanem po ulicach, ale zawsze zapychałem nos rutą lub tabaką.

Don Pedro, któremu stan rodziny i interesów moich opowiedziałem, rzekł mi jednego dnia, że poczciwość i sumienie nakazują mi powrócić do mej ojczyzny i żyć z żoną i dziećmi. Powiadomił mnie, że jeden statek stał w porcie w pogotowiu wyjścia pod żagle i udania się do Anglii, obiecując dać mi wszystko, czego by mi tylko było potrzeba na podróż. Podawałem mu różne przyczyny, dla których nie chciałem nigdy powracać do mej ojczyzny i zamierzałem szukać bezludnej wyspy, gdzie bym mógł dokonać reszty mojego życia. Odpowiedział mi, iż wyspa, której bym chciał szukać, była czystym urojeniem i że wszędzie znalazłbym ludzi, przeciwnie zaś, zostając u siebie, byłbym panem i mógłbym, jak by mi się podobało, żyć odludnie.

Dałem się na koniec namówić, nie mogąc postąpić inaczej, a do tego jużem się nieco oswoił. Opuściłem Lizbonę dwudziestego czwartego listopada i wsiadłem na statek kupiecki. Kto był jego kapitanem, nie chciałem się pytać. Don Pedro towarzyszył mi aż do portu i pożyczył dwadzieścia funtów szterlingów. Pożegnał się ze mną najprzyjaźniej i przy rozstaniu uściskał mnie, com znieść musiał bez okazania najmniejszego wstrętu.

Nie miałem w tej podróży ani z kapitanem, ani z żadnymi podróżnymi obcowania, tłumacząc się słabością, którą zmyśliłem, aby móc zostawać w mojej kajucie. Piątego grudnia rzuciliśmy kotwicę na Dunach około dziewiątej z rana, a o trzeciej po południu przybyłem w dobrym zdrowiu do Redriff i udałem się do mego domu.

Żona moja i dzieci zobaczywszy mnie okazały podziwienie i radość, myślały bowiem, że umarł. Lecz muszę wyznać, iż widok ich napełnił mnie nienawiścią, odrazą i pogardą, tym bardziej gdym pomyślał o bliskim związku między nami. Lubo od czasu wygnania z kraju Houyhnhnmów przyzwyczailem się znosić widok Jahusów i nawet rozmawiałem z Don Pedrem de Mendez, jednak wyobrażenia moja i pamięć były ciągle przepełnione myślami wzniosłymi i cnotami przezacnych Houyhnhnmów, a wspomniawszy, że przez związek z samicą

Jahu stałem się ojcem wielu takich zwierząt, przejęty zostałem wstydem, zmieszaniem i najmocniejszą odrazą.

Gdym wszedł do mojego domu, uścisnęła mnie żona moja i dała mi pocałunek, ale będąc już dawno odzwyczajony od uścisków tak obrzydłego zwierza, wpadłem w zemdenie, które przeszło godzinę trwało.

Od mojego przybycia do Anglii już pięć lat upłynęło; w pierwszym roku nie mogłem cierpieć obecności żony mojej i dzieci, ich odór był mi nieznosny, mniej jeszcze mógłbym wytrzymać, gdyby ze mną przy jednym stole jadały. Do tej chwili nie wolno im tykać mojego chleba ani pić z mojej szklanki, nie pozwalałam też nikomu z mojej rodziny dotykać mojej ręki.

Najpierwsze pieniądze obróciłem na kupienie dwóch młodych ogierów, dla których zbudowałem bardzo piękną stajnię i dałem im za masztalerza arcypocziwego człowieka. Zapach stajenny był mi niewypowiedzianie przyjemny, bawiłem dzień w dzień w stajni po cztery godziny, rozmawiając z moimi kochanymi końmi, które rozumieją mnie dość dobrze. Nie znają uzdy ni siodła i żyją ze mną i ze sobą w największej przyjaźni.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Prawdomówność Gulliwera. Jego zamiary wydania tego dzieła. Gani podróżujących, którzy kłamią. Zaprzecza oskarżeniu o złośliwe zamysły w swym dziele. Odpowiada na pewien zarzut. Sposoby zakładania kolonii. Chwali swój kraj rodzinny. Prawa Korony do krajów przez niego odkrytych. Trudności w ich zawojowaniu. Gulliwer żegna się z czytelnikiem, mówi o sposobie przepędzenia reszty swego życia, daje dobre rady i kończy.

Dałem ci, mój kochany czytelniku, dokładną przez przeciąg lat szesnastu i siedmiu miesięcy podróży moich historię i nie tak starałem się w niej o przyjemność, jak raczej o prawdę i rzetelność. Mogłem, śladami innych, zadziwić cię niestworzonymi historiami, ale wolałem opisać przypadki moje z największą prostotą, bo zamiarem moim było cię pouczyć, a nie bawić.

Nam, podróżującym, co bywamy w krajach odległych, gdzie prawie nikt nie postanie, łatwo opisywać zwierzęta, gady, ptaki, ryby dziwne i niezwykłe. Ale na cóż się to przyda? Czyż szczególniejszym zamiarem autora, który przedstawia światu relacje ze swoich podróży, nie powinno być oświecanie i polepszanie przez swoje opisy czytających i przedłożenie im osobliwszych przykładów, bądź w dobrym, bądź w złym, dla zachęcenia ich do cnoty a odstręczenia od występku?

Chciałbym z serca, aby prawem obwarowano, że każdy, nim wyda swoje opisy podróży, musi poprzysiąc wprzód przed wielkim kanclerzem, że wszystko, co ma do druku podać, jest szczerą prawdą. Nie zostawałby może świat w oszukaniu, jak zostaje zawsze, gdyż wielu autorów, celem łatwiejszego zjednania swemu dziełu większej wziętości, podchodzi łatwowiernych czytelników największymi nieprawdami.

Przeczytałem w młodości wielką liczbę opisów podróży z niewypowiedzianym ukontentowaniem, ale jak sam objechałem świat i przypatrzyłem się rzeczom moimi własnymi oczami, nie mam więcej smaku w czytaniu książek tego gatunku, widząc łatwowierność ludzką lak bezwstydnie nadużywaną. Gdy przyjaciele moi osądzili, że opisanie podróży moich może być pożyteczne ojczyźnie, postanowiłem trzymać się jak najściślej prawdy. Nie mogę się pokusić o najmniejsze kłamstwo, póki zostaną mi w pamięci nauki mojego szlachetnego pana i szlachetnych Houyhnhnmów, których przez wiele lat miałem honor być uczniem.

*...Nec si miserum Fortuna Sinonem Finxit, vanum etiam, mendacemque improba finget.*⁵

⁵ ...Gdy nieszczęście przywiodło do nędzy Synona, kłamcą przecież nie zrobi na włossek. Wergili, *Eneida*, II, 79-

Wiem, że niewielki to zaszczyt wydawać historie swoich podróży. Co do tego nie trzeba umiejętności ani dowcipu, dosyć mieć dobrą pamięć i dokładny pamiętnik. Wiem także, że autorowie relacji z podróży podobni są do autorów słowników i po pewnym czasie zostają zaćmieni przez autorów późniejszych, którzy dla tego powodu są na wierzchu. Może mnie toż samo czeka. Nowi podróżujący dostaną się do kraju, gdzie ja byłem, rozszerzą moje opisanie, znajdą błędy (jeśli były) i tak książkę moją podadzą w pogardę, że może ani kto wspomni, że kiedyś pisał. Gdybym pisał dla chwały, wziąłbym to za szczere umartwienie, ale że piszę dla pożytku powszechności, mniej o to dbam i na wszystko jestem gotów.

Któż, czytając mój opis cnót przezacnych Houyhnhnmów i uważając się za rozumne i panujące w swej ojczyźnie zwierzę, nie będzie się własnych wstydił występków? Nie chcę nic mówić, o odległych narodach, u których Jahusy są panującymi, z tych jednakże Brobdingnagowie są niezawodnie najmniej zepsuci i wielkim to byłoby dla nas szczęściem, gdybyśmy ich zasady w moralności i rządzeniu naśladowali. Nie będę się jednak rozwodził nad tym przedmiotem, zostawiając czytelnikowi, aby własne nad tym czynił uwagi i używał przykładów przeze mnie przytoczonych.

Rad bym, żeby komu przyszło na myśl dzieło moje krytykować. W rzeczy samej, co można powiedzieć podróżującemu, który opisuje kraje, gdzie handel nic nas nie obchodzi i gdzie żadnego nie ma z naszymi rękodzielami związku? Pisałem bez pasji, bez ducha stronności, bez chęci urażenia kogokolwiek, pisałem w najszlachetniejszym celu powszechnej nauki dla rodu ludzkiego, pisałem bez żadnego względu na mój własny pożytek, pisałem bez pobudki próżności tak dalece, że postrzegacze, krytycy, potwarcy, pochlebcy, zazdrościcy nie będą mieli najmniejszej sposobności popisywania się swymi obmierzłymi talentami.

Przydaje, że mi dawano poznać, iż jako dobry poddany i poczciwy Anglik powinienem był, powróciwszy, podać sekretarzowi stanu memoriał oznajmiający o odkryciu przeze mnie kraju, ile że wszystkie ziemie, które odkrywa poddany, z prawa należą do Korony. Ale wątpię, aby te kraje, o których tu rzecz, tak łatwo było zawojować, jak łatwo niegdyś Ferdynand Korteż zawojował część Ameryki, gdzie Hiszpanie wymordowali tylu biednych Indian, nagich i bezbronnych. Naprzód co do Lillipucjanów, rzecz jasna, że zdobycie ich niewarte trudu i że nie zyskalibyśmy tyle, ile by flota i wojenna wyprawa kosztowały. Pytam się: czy byłby rozum wojować z Brobdingnagami? Piękna byłaby rzecz widzieć, jak by wojsko angielskie w ich kraju wysiadło! Jakoż to wojsko byłoby kontente, gdyby je posłano do kraju, gdzie zawsze wyspa w powietrzu wisi nad głową, gotowa zgruchotać buntowników, a tym bardziej nieprzyjaciół, którzy by się kusili to państwo opanować!

Prawda, że kraj Houyhnhnmów zdaje się być do podbicia łatwy. Naród ten nie zna sztuki żołnierskiej, nie wie co broń, co strzelba; z tym wszystkim, gdybym był ministrem stanu, nigdy bym takowego przedsięwzięcia nie radził. Ich wysoka roztropność i doskonała jednomyślność są strasznym orężem, nadto wystaw sobie w myśli, gdyby dwadzieścia tysięcy Houyhnhnmów z zapalczywością rzuciło się na wojsko europejskie, jaką by rzeź zrobili swoimi zębami? Jak wiele by głów i brzuchów zgruchotali swymi tylnymi nogami? Słusznie można by do nich zastosować słowa Augusta:

*Recalcitrat undique tutus*⁶.

Zamiast tego, żebyśmy myśleli o zdobyciu ich kraju, ja bym chciał, aby ich zobowiązano do wysłania do nas kilku spomiędzy siebie dla odnowy naszego narodu i Europy, dla nauczania nas pierwszych zasad honoru, prawdy, sprawiedliwości, umiarkowania, miłości ojczyzny, waleczności, niewinności, przyjaźni, życzliwości i wierności. Nazwy tych cnót znajdują się

80. Przekład T. Karyłowskiego.

⁶ Wierzga, zewsząd bezpieczny (łac.).

jeszcze w każdym języku, w dziełach tak nowych, jak i starych autorów, ośmielam się utrzymywać to z pewnością, choć nie jestem bardzo czytany.

Lecz jeszcze i drugą miałem przyczynę, dla której wahałem się z bogacić Jego Królewską Mość moimi odkryciami. Mówiąc prawdę, sposób, jakim monarchowie wchodzi w posesję nowo wynalezionego kraju, powoduje we mnie niejaki skrupuł. Na przykład kupę jakąś rozbojników morskich pędzi nawałnica nie wiedzieć dokąd. Postrzegają ze szczytu statku jakąś ziemię, natychmiast udają się w tę stronę, przybijają do lądu, widzą bezbronny naród, który ich przyjmuje przyjaźnie. Zaraz nadają mu nową nazwę, imieniem swego króla obejmują nad nim panowanie, stawiają zgniłą deskę lub kamień na pamiątkę, która by ten piękny postępek przypominała potomności. Potem biorą się do zabijania jakich dwunastu lub dwudziestu czterech biednych dzikusów, kilku z nich biorą ze sobą gwałtem, wracają do domu i dostają przebaczenie. Oto jest właśnie akt objęcia w posesję w imieniu prawa boskiego. Wkrótce wysyłają inne okręty do tegoż kraju dla wygubienia większej części narodu, biorą na tortury znaczniejszych, aby im wydali swoje skarby, folgują najokrutniejszej srogości i rozwiązłości, napawają ziemię krwią nieszczęśliwego ludu, na koniec obrzydła kupa katów, użyta do tej pobożnej wyprawy, staje się osadą, założoną w barbarzyńskim i bałwochwalczym kraju, aby go nawróciła i oświeciła.

Wyznaję, że to, co tu mówię, nie tyczy się narodu angielskiego, który w zakładaniu osad zawsze okazywał swoją mądrość i sprawiedliwość i może w tej mierze służyć za wzór całej Europy. Wiadomo, jaka jest nasza gorliwość w zakładaniu religii chrześcijańskiej w krajach nowo odkrytych i szczęśliwie objętych, że dla wprowadzenia tam praw chrześcijańskich staramy się posyłać pasterzy pobożnych i przykładnych, ludzi obyczajnych i cnotliwych, kobiety i panienki nieposzlakowane, wodzów dobrych, sędziów sprawiedliwych, a nade wszystko rządców doświadczonej pocziwości, którzy szczęśliwość budują na szczęśliwości mieszkańców, którzy żadnego nie popełniają okrucieństwa, których nie pociąga ani łakomstwo, ani ambicja, ani chciwość, ale jedyną ich troską jest chwała i pożytek Króla Pana naszego.

Wreszcie, co byśmy mieli za zysk w opanowaniu krajów, które opisuję? Co byśmy za pożytek odnieśli za trud zakucia w kajdany i zabijania tamtejszych ludzi, którzy po temu żadnej chęci nie mają? Nie ma w tamtych krajach ani srebrnych, ani złotych kopalń, ani cukru, ani tabaki, nie są więc warte naszej wojennej odwagi ani pobożnej gorliwości.

Jeżeli się zda dworowi inaczej, jestem gotów dać zaświadczenie, gdy o to sądownie zapytany będę, że przede mną żaden Europejczyk nie powstał nogą w tamtych krajach. Biorę na świadectwo zeznanie tamtejszych mieszkańców, jeśli zeznaniu ich może być dana wiara. Co do formalnego zajęcia kraju imieniem mojego monarchy, nigdy mi ta myśl nie przyszła do głowy, a gdybym nawet i o tym pomyślał, przez wzgląd na moje ówczesne położenie, jako też roztropność i własne bezpieczeństwo, musiałbym ją odłożyć do stosowniejszego czasu.

Tym sposobem odpowiedziałem na jedyny zarzut, który by mi uczynić można jako podróznemu, żegnam mego łaskawego czytelnika i powracam do mojego małego ogrodu w Redriff dla zabawiania się filozofią, dla używania nauk cnoty i mądrości, których się u Houyhnhnmów nauczyłem, dla oświecenia Jahusów, mojej własnej rodziny, o ile takie zwierzęta pojąć to potrafią, dla oglądania często mojej postaci w zwierciadle, celem przyzwyczajenia się do widoku stworzeń ludzkich. Zawsze będę opłakiwał bydlęcą naturę Houyhnhnmów mojej ojczyzny, przez wzgląd jednak na szlachetnego mojego pana, na jego rodzinę, przyjaciół i cały rodzaj Houyhnhnmów będę się z nimi obchodził jak najgrzeczniej i najłagodniej, albowiem podobne są do tamtych we wszystkich swoich rysach, lubo ich umysłowe zdolności całkiem zwyrodniały.

W przeszłym tygodniu pozwoliłem żonie mojej pierwszy raz obiadować razem ze mną, ale musiała usiąść przy końcu długiego stołu i krótko odpowiadać na pytania zadawane jej przeze mnie. Że jednak nie mogę jeszcze znieść odoru Jahusa, zapycham sobie nos rutą, lawendą lub tytoniem. Chociaż bardzo ciężko przychodzi podeszłego wieku człowiekowi pozbywać się

starych nałogów, mam jednak nadzieję, że niezadługo będę w stanie cierpieć Jahusa w moim towarzystwie i nie lękać się jego zębów i pazurów. Z daleko większą łatwością mógłbym się pojednać z całym rodzajem Jahusów, gdyby chcieli się kontentować występkami i głupstwami, którymi ich obdarzyła natura. Nie uderza mnie wcale widok prawnika, złodzieja, głupca, pułkownika, błazna, lorda, gracza, polityka, stręczyciela, lekarza, fałszywego świadka, adwokata, zdrajcy i wielu innych, których przywary z naturalnego biegu rzeczy wypływają. Lecz jeżeli widzę mnóstwo przywar i słabości ciała i duszy napuszających się nieograniczoną dumą, tracę natychmiast cierpliwość i nie pojmuję, jak podobny występki i takie zwierzę razem być mogą. Roztropni i cnotliwi Houyhnhnmowie, posiadający wszystkie przymioty będące ozdobą rozumnego stworzenia, nie mają nawet w swoim języku żadnej nazwy na ten występki, jak również nie mają żadnych wyrażań na oznaczenie złego prócz niegodziwości właściwych Jahusom. Jednakowoż występki dumy nie mogli nawet oni w nich odkryć, przez brak zapewne znajomości natury ludzkiej, okazującej się tam tylko w całej zupełności, gdzie Jahusy panują. Ja jednak dzięki większemu doświadczeniu odkryłem niektóre ślady dumy w dzikich nawet Jahusach.

Houyhnhnmowie żyjący pod rządem rozumu nie są dumniejsi ze swoich dobrych przymiotów niż ja na przykład z tego, iż mam obie nogi i ręce, czym żaden człowiek o zdrowym rozsądku nie będzie się chwalił, chociaż brak ich czyni go nieszczęśliwym. Rozwiodłem się obszerniej nad tym przedmiotem dla uczynienia, ile możliwości, towarzystwa angielskiego Jahusa nieco znośniejszym, proszę przeto tych wszystkich, którzy mają skłonność niejaką do tego występkę, ażeby nie wazyli mi się nigdy stawiać przed oczy.

Koniec

SPIS TREŚCI

Wydawca do czytelnika	3
List kapitana Gulliwera	4
Część pierwsza PODRÓŻ DO LILLIPUTU	7
Część druga PODRÓŻ DO BROBDINGNAGU	45
Część trzecia PODRÓŻ DO LAPUTY, DO BALNIBARBÓW, DO LUGGNAGGU, DO GLUBBDUBDRIBU I DO JAPONII	84
Część czwarta PODRÓŻ DO HOUYHNHNMÓW	123